

Mary Higgins

CLARK



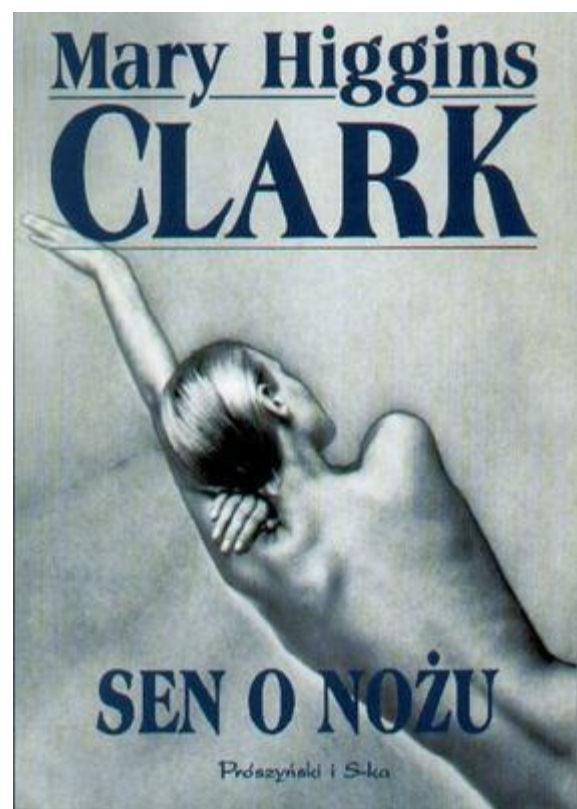
SEN O NOŽU

Průběh a Saha

Mary Higgins
CLARK

SEN O NOŻU

Prószyński i S-ka



Clark Mary Higgins

Sen o nożu

Laurie Kenyon w wieku 4 lat została porwana. Była dręczona i wykorzystywana seksualnie przez 2 lata. Kiedy sytuacja stała się gorąca, porywacze zwrócili małą jej rodzicom. Dziewczynka nie pamiętała co się z nią działo przez te ostatnie lata. Pamiętała tylko jak stała przed domem w różowym kostiumie kąpielowym. Wydaje się, że wszystko jest w porządku, aż do tragicznej śmierci jej rodziców. Dziewczyna zaczyna się dziwnie zachowywać, a psychiatra stwierdza, że Laurie najprawdopodobniej cierpi na rozdwojenie osobowości. Dlatego gdy zostaje zamordowany prof. Allan Grant, to właśnie Laurie zostaje oskarżona o zbrodnię. Dowodem przeciwko niej są listy w których opisuje wyimaginowany romans z profesorem. W jej obronie staje tylko

starsza siostra Sara.

CZĘŚC PIERWSZA

1

Czerwiec 1974 Ridgewood, New Jersey

Dziesięć minut przed tym wydarzeniem czteroletnia Laurie Kenyon siedziała po turecku na podłodze w swoim pokoju, zajęta przestawianiem mebli w domku dla lalek. Była znużona zabawą z samą sobą i chciała pójść wreszcie na basen. Z jadalni dobiegały głosy mamusi i kobiet, które chodziły z nią kiedyś do szkoły w Nowym Jorku. Panie jadły lunch, rozmawiając i śmiejąc się głośno.

Starszej siostry Laurie, Sary, nie było w domu. Poszła na przyjęcie urodzinowe swojej dwunastoletniej przyjaciółki. Laurie wiedziała jednak od mamusi, że pójdzie popływać z Beth, która czasami pilnuje jej w nocy. Beth jednak zaraz po swoim przybyciu usiadła przy telefonie i zaczęła wydzwaniać.

Laurie odgarnęła do tyłu długie jasne włosy, które zaczęły grzać jej twarz.

Minęło już trochę czasu od chwili, kiedy poszła na górę i przebrała się w swój nowy różowy kostium kąpielowy. Może jeśli jeszcze raz spróbuje przypomnieć o sobie Beth...

Beth leżała zwinięta w kłębek na kanapie, przytrzymując słuchawkę ramieniem. Laurie pociągnęła ją za rękę.

- Jestem już gotowa.

Beth spojrzała z wściekłością.

- Za chwilę, skarbie - powiedziała. - To bardzo ważna rozmowa. Laurie usłyszała, jak Beth wzdycha do telefonu.

- Nie cierpię pilnować dzieci.

Dziewczynka podeszła do okna. Długie auto mijало ich dom. Za nim sunął

odkryty, samochód wypełniony kwiatami, potem dużo innych wozów z włączonymi światłami. Ilekroć widziała takie samochody, mówiła, że odbywa się parada, a mamusia poprawiała ją, że to kondukt żałobny w drodze na cmentarz. Ale widok ten i tak przywodził jej na myśl paradę, uwielbiała więc wybiegać na podjazd i machać do ludzi w samochodach. Czasami ktoś machał do niej w odpowiedzi.

Beth odłożyła słuchawkę. Laurie miała właśnie zapytać, czy nie mogłyby wyjść i popatrzeć na przejeżdżające samochody, kiedy Beth znowu sięgnęła po telefon.

Podła Beth - powiedziała sobie w duchu Laurie. Wyszła na palcach do holu i zajrzała do jadalni.

Mamusia i jej przyjaciółki ciągle rozmawiały, co chwila wybuchając śmiechem. Usłyszała głos matki:

- Uwierzycie, że ukończyliśmy szkołę trzydzieści dwa lata temu?

- No cóż, Marie, ty przynajmniej nie musisz się do tego przyz nawać -

odpowiedziała kobieta siedząca obok niej. - Masz czteroletnią córkę. Ja mam czteroletnią wnuczkę!

- Ale wciąż nieźle się trzymamy - wtrąciła inna z kobiet i znowu wszystkie się zaśmiały.

Nawet nie spojrzały na Laurie. One też były podłe. Na stole stała śliczna pozytywka, którą mamusia dostała od jednej z nich. Laurie wzięła ją do ręki.

Od drzwi dzieliło ją zaledwie kilka kroków. Otworzyła je bezszelestnie, przemknęła przez werandę i podjazd. Wypadła na ulicę. Samochody ciągle mijały dom. Zaczęła do nich machać.

Patrzyła za nimi długo, aż całkiem straciła je z oczu. Westchnęła i pomyślała z nadzieją, że koleżanki mamusi wkrótce zaczną zbierać się do domu.

Nakręciła pozytywkę. Usłyszała dzwoneczki, przypominające dźwięk pianina i śpiew: „Na wschód, na zachód...”.

- Dziewczynko.

Nie zauważyła, kiedy nadjechał ten samochód. Prowadziła go kobieta.

Siedzący obok niej mężczyzna wysiadł i chwycił Laurie. Zanim zdążyła się zorientować, siedziała już wciśnięta pomiędzy tych dwoje. Była zbyt zaskoczona, żeby cokolwiek z siebie wykrztusić. Mężczyzna uśmiechał się do niej, ale nie był to miły uśmiech. Włosy kobiety zwisały w nieładzie wzdłuż twarzy, a usta nie były umalowane. Mężczyzna nosił brodę i miał owłosione ręce. Laurie wyraźnie to czuła, kiedy silnie przygniatał ją swoim ciałem.

Samochód ruszył. Laurie kurczowo obejmowała pozytywkę. Te raz głosiki śpiewały: „Dookoła miasta... Chłopcy i dziewczynki ra zem...”.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

Przypomniała sobie, że nie wolno jej wychodzić samej na ulicę. Mamusia będzie na nią wściekła. Poczwała łzy w oczach.

Kobieta wyglądała na zagniewaną. Mężczyzna powiedział:

- Pojeździmy dookoła miasta, maleńka. Dookoła miasta.

Sara szła szybko skrajem jezdni, ostrożnie niosąc kawałek urodzi nowego tortu na papierowym talerzyku. Laurie uwielbiała masę cze koladową i Sara chciała jej w ten sposób wynagrodzić czas, kiedy ma musia przyjmowała gości i nie było nikogo, kto mógłby się z nią pobawić.

Była chudą długonogą dwunastolatką o szeroko otwartych sza rych oczach i marchewkoworudych włosach, które kręciły się w czasie deszczu. Miała mlecznobiałą cerę i smugę piegów na nosie. Nie przy pominiała żadnego z rodziców - jej matka była drobną blondynką o niebieskich oczach, ojciec, dopóki nie posiwiał, miał ciemnobrązowe włosy.

Sarę martwiło to, że John i Marie Kenyon są dużo starsi niż rodzi ce innych dzieci. Obawiała się zawsze, że mogą umrzeć, nim ona do rośnie. Kiedyś matka wytłumaczyła jej wszystko:

- Po piętnastu latach małżeństwa, nie wierzyłam, że urodzę jes zcze dziecko, i wtedy, mając trzydzieści siedem lat, dowiedziałam się, że ty jesteś w drodze.

To było jak dar. A kiedy osiem lat później poja wiła się Laurie, stał się cud, Saro!

Sara przypomniała sobie, że kiedyś w szkole zapytała siostrę Ka tarzynę, co jest lepsze, dar czy cud?

- Cud to największy prezent, jaki może otrzymać człowiek - odparła siostra Katarzyna.

Kiedy tego popołudnia Sara zaczęła nagle płakać w klasie, skła mała, mówiąc, że to z powodu bólu żołądka.

Sara wiedziała, że Laurie jest faworyzowana przez rodziców, pomimo to kochała ich żarliwie. Kiedy miała dziesięć lat, zawarła układ z Panem Bogiem. Jeśli On nie pozwoli tatusiowi i mamusi umrzeć, zanim ona dorośnie, będzie sprzątała w kuchni każdego wieczoru, trosz czyła się o Laurie i przestanie żuć gumę. Dotrzymywała swoich zobow iązań i, jak dotąd, Pan Bóg był przychylny jej prośbie.

Bezwiednie uśmiechając się do swoich myśli, skręciła w ulicę Twin Oaks i stanęła jak wryta. Na podjeździe jej rodzinnego domu ujrzała dwa wozy policyjne z migającymi „kogutami”. Mieszkający w okolicy ludzie stali obok zbici w gromadkę, nawet ci zupełnie nowi sąsiedzi, którzy wprowadzili się dwa domy dalej i których tak naprawdę nie udało się jeszcze poznać. Trzymali swoje dzieci mocno za ręce. Wyglądali na przygnębionych i przestraszonych.

Sara zaczęła biec. Może mamusia lub tatuś zachorowali. Na traw niku stał

Richie Johnson. Byli w jednej klasie w Mount Carmel. Sara zapytała go, co wszyscy ci ludzie tu robią.

Spojrzał na nią ze współczuciem.

- Laurie zaginęła - powiedział. - Stara pani Whelan widziała, jak ktoś wciągał

ją do samochodu, ale nie przyszło jej do głowy, że to po rwanie...

1974-1976

Bethlehem, Pensylwania

Nie odwieźli jej do domu.

Jechali długo, zanim znaleźli się w brudnym budynku gdzieś głęboko w lesie.

Kiedy płakała, dostawała po twarzy. Mężczyzna ciągle ją podno sił i mocno obejmował. Później zabierał ze sobą na górę. Próbowwała go powstrzymać, ale on tylko się śmiał. Nazywali ją Lee. Do siebie zwracali się Bic i Opal.

Bardzo szybko nauczyła się uwalniać od nich w my ślach. Czasami po prostu unosiła się pod sufitem, obserwując, co dzieje się z małą dziewczynką o długich jasnych włosach. Nieraz jej żałowała, innym razem śmiała się z niej.

Czasem, kiedy pozwalali jej spać samej, śniła o mamusi, tatusiu i Sarze. Ale wtedy zaczynała znowu płakać i oni ją bili, więc zmusiła się do tego, żeby nie pamiętać o rodzicach i siostrze. „Tak jest lepiej - mówił w niej jakiś głos. -

Zapomnij o nich na zawsze”.

4

Na początku policja bywała w ich domu codziennie, a zdjęcie Laurie pojawiało się na pierwszych stronach gazet Nowego Jorku i New Jersey. Sara oglądała przez łyzy program „Dzień dobry, Ameryko”, w którym jej rodzice błagali tego, kto porwał Laurie, by ją oddał.

Dziesiątki ludzi dzwoniło, twierdząc, że widzieli Laurie, ale wszystkie tropy okazywały się fałszywe. Policja liczyła na to, że pory wacze zażądatają okupu, nic takiego jednak nie nastąpiło.

Lato trwało i trwało. Sara dostrzegala, że twarz matki staje się coraz bard ziej umęczona i ponura, a ojciec ciągle sięga do kieszeni po tabletki nitroglicerynowe. Codziennie o siódmej rano chodzili na mszę i mo dlili się, żeby Laurie wróciła do domu. Bardzo często budził Sarę w no cy szloch matki i głos ojca usiłującego ją pocieszyć. Słyszała, jak mówił:

- To był cud, że Laurie się urodziła. Musimy wierzyć, że nastąpi kolejny i że ona do nas wróci.

Zaczął się rok szkolny. Sara była dobrą uczennicą. Teraz wprost rzuciła się na książki, odkrywając, że nauka zagłusza jej smutek. Zaw sze lubiła sport, więc postanowiła zapisać się na lekcje golfa i tenisa. Głuchy ból nigdy jednak do końca nie ustępował i wciąż tęskniła za młodszą siostrą. Zastanawiała się, czy Bóg nie chce jej, Sary, ukarać w ten sposób za te chwile, kiedy czuła się urażona, że rodzice poświęcają Laurie więcej uwagi. Nienawidziła siebie za to, że poszła tamtego dnia na przyjęcie urodzinowe. Odsuwała myśl, że wszyscy musieli kompletnie zapomnieć o Laurie, skoro udało jej się niezauważonej wyjść przez drzwi frontowe. Przysięgła, że jeśli Bóg zwróci im Laurie, będzie się nią zawsze, zawsze opiekowała.

Lato minęło. Przez szpary w drzwiach zaczął się wciskać wiatr. Laurie było ciągle zimno. Pewnego dnia Opal przyniosła koszulę z długimi rękawami, kombinezon i zimową kurtkę, która nie przypominała w ogóle ślicznej kurtki, którą Laurie zawsze nosiła zimą. Kiedy znowu zrobiło się ciepło, dostała od nich kolejne rzeczy: szorty, koszulki i sandały. Potem przyszła i przeminęła następna zima. Laurie obserwowała, jak przed domem na wysokim starym drzewie zawiązują się pąki, które szybko zaczynają się rozwijać w liście.

Bic trzymał w sypialni starą maszynę do pisania. Wydawała cha -

rakterystyczny stukot, który dochodził do uszu Laurie, kiedy sprzątała w kuchni albo oglądała telewizję. Stukot był dobrym dźwiękiem. Oznaczał, że Bic nie będzie jej dręczył.

Po jakimś czasie wychodził z sypialni, trzymając w garści plik pa pierów i zaczynał odczytywać Laurie albo Opal to, co napisał. Czytał podniesionym głosem i nieodmiennie kończył: „Alleluja, amen!”. Kiedy kończył, zaczynali z Opal śpiewać. Nazywali to praktykowaniem. Śpiewali pieśni o Bogu i o drodze do domu.

Dom. To było słowo, o którym wewnętrzne głosy zabroniły Laurie kiedykolwiek myśleć.

Laurie nigdy nie oglądała nikogo oprócz nich. Tylko Bic i Opal. Kiedy opuszczali dom, zamykali ją w piwnicy. Zdarzało się to bardzo często. Tam na dole było strasznie. Okno znajdowało się tuż pod sufitem i było zabite deskami. W piwnicy panował półmrok i zdawało się, że cienie zaczy nają się ruszać. Za każdym razem Laurie usiłowała jak najszybciej zasnąć na materacu, który położyli na podłodze.

Bic i Opal prawie nigdy nie przyjmowali gości. Kiedy jednak ktoś się pojawiał, unieruchamiali ją w piwnicy, z nogami przywiązanymi do rury, tak żeby nie mogła wejść po schodach i zastukać w drzwi.

- I nie waż się nas wzywać - ostrzegął ją Bic. - Narobisz sobie tylko kłopotów.

A poza tym i tak cię nie usłyszymy.

Po dłuższej nieobecności w domu wracali zazwyczaj z pieniędzmi. Czasami niewielkimi. Czasami sporymi. W większości były to jedno-i ćwierćdolarówki.

Pozwalali jej wychodzić ze sobą na podwórze z tyłu domu. Poka zali też, jak usuwać chwasty z grządek warzywnych i wybierać jajka z kurnika. Był tam mały kurczaczek, z którym pozwolili jej się bawić. Zajmowała się nim zawsze, kiedy wychodziła na podwórko. Często, kiedy zamykali ją w piwnicy i wyjeżdżali na dłużej, brała go ze sobą na dół.

Aż do dnia, w którym Bic go zabił.

Pewnego razu wczesnym rankiem zaczęli pakować rzeczy - ubrania, telewizor i maszynę do pisania Bica. Śmiali się i śpiewali „Ha -lay--loo-ya”.

- Piętnaście tysięcy watów na stacji w Ohio! - wykrzykiwał. - Bibie Belt, przyjeżdżamy!

Jechali dwie godziny. W pewnej chwili Laurie, wciśnięta z tyłu między stare walizki, usłyszała głos Opal:

- Chodźmy do knajpy i zjedźmy porządny obiad. Nikt nie zwróci na nią uwagi.

- Masz rację - odrzekł Bic i szybko odwrócił się do Laurie. - Opal zamówi dla ciebie kanapkę i mleko. I nie waż się rozmawiać z kimkolwiek, słyszysz?

Znaleźli się w miejscu z długą ladą oraz dużą liczbą stolików i krzeseł. Laurie była tak głodna, że niemal czuła smak smażonego be konu, którego zapach drażnił jej nozdrza. Nagle przypomniała sobie, że jadła już obiad w podobnym miejscu z innymi ludźmi. Poczula, że w gardle wzbiera jej szloch, nad którym nie umie zapanować. Bic pchnął ją, żeby nie zostawała w tyle za Opal, i wtedy wybuchnęła płaczem. Płakała tak bardzo, że nie mogła złapać oddechu.

Widziała, jak wpatruje się w nią kasjerka. Bic złapał Laurie i wyprowadził na parking. Opal pobiegła za nimi.

Bic rzucił dziecko na tylne siedzenie, a sam pośpiesznie zajął miej sce z przodu. Kiedy Opal ruszyła, Bic odwrócił się do Laurie. Próbo wała się osłaniać przed ręką smagającą raz po raz jej policzki. Ale po pierwszym uderzeniu przestała czuć ból. Było jej tylko żal małej dziewczynki, która zanosila się płaczem.

Czerwiec 1976

Ridgewood, New Jersey

Sara oglądała z rodzicami program o zaginionych dzieciach. Ostatnia część była poświęcona Laurie - z jej zdjęciami zrobionymi niedługo przed zaginięciem i z portretem komputerowym, ukazującym, jak prawdopodobnie wyglądałaby teraz, dwa lata po porwaniu.

Kiedy program dobiegł końca, Marie Kenyon wybiegła z pokoju, krzycząc:

- Ja chcę swoje dziecko, ja chcę swoje dziecko!

Po policzkach Sary spływały łzy, kiedy słyszała, jak udęrczony ojciec nieporadnie próbuje uspokoić matkę.

- Może dzięki temu programowi stanie się cud - mówił, ale w jego głosie nie słychać było przekonania.

To Sara odebrała telefon godzinę później. Bill Conners, szef policji w Ridgewood, zawsze traktował ją jak dorosłą osobę.

- Jak rodzice po obejrzeniu programu? Pewnie nie najlepiej?

- Nie najlepiej.

- Nie wiem, czy to im przywróci nadzieję, ale mamy zgłoszenie, które wydaje się obiecujące. Kasjerka w barze w Harrisburgu w Pensylwanii jest przekonana, że widziała Laurie dzisiaj po południu.

- Dzisiaj po południu! - Sara poczuła, że zaczyna jej brakować tchu.

- Zaniepokoiło ją to, że mała dziewczynka wpadła tam nagle w hi sterię. Ale nie był to napad złości. Podobno omal się nie udusiła, próbując powstrzymać płacz. Policja w Harrisburgu dostała już zaktualizowany portret Laurie.

- Kto z nią był?

- Kobieta i mężczyzna. Hippisi. Niestety, ich opis jest niezbyt do kładny.

Kasjerka skupiła uwagę na dziecku. Na tę parę zdążyła zaledwie rzucić okiem.

Policjant poprosił, aby Sara sama zdecydowała, czy będzie rozsądnie mówić o wszystkim rodzicom i dawać im nową nadzieję. Dziewczynka zawarła kolejną umowę z Panem Bogiem: „Spraw, żeby to się okazało cudem, na który czekają. Pomóż policji z Harrisburga znaleźć Laurie. A ja będę się nią zawsze opiekować”.

I popędziła na górę, aby przywrócić wiarę swoim rodzicom.

Problemy z samochodem zaczęły się niedługo po opuszczeniu ba ru. Podczas częstego hamowania w korku silnik zaczął się dławić i w końcu zamierał.

Kiedy stanęli po raz trzeci i zaczęły ich wymijać samochody jadące za nimi, Opal zwróciła się do Bica:

- Jeśli utkniemy na dobre, może się zjawić jakiś policjant. Bądź ostrożny, kiedy zaczniesz się nią interesować - wskazała głową Laurie.

Bic powiedział, żeby zjechała z drogi, gdy zobaczy stację benzynową. Zanim do niej dojechali, kazał Laurie położyć się na podłodze i przykrył ją czarnymi workami na śmiecie, pełnymi jakichś ciuchów.

Usterka okazała się poważna; jej usuwanie miało potrwać do następnego dnia.

Mechanik powiedział, że w pobliżu stacji jest niedrogi i całkiem niezły motel.

Pojechali tam. Bic poszedł do recepcji. Po chwili wrócił z kluczem. Objechali budynek i zatrzymali się tuż przy wejściu do pokoju. Weszli do środka, poganiając Laurie. Później, kiedy Bic odstawił już samo chód do warsztatu, siedzieli przed telewizorem, jedząc przyniesione przez niego hamburgery.

Laurie zasnęła w momencie, gdy zaczął

się program o zaginionych dzieciach. Obudziło ją przeklinanie Bica. „Nie otwieraj oczu - usłyszała w sobie ostrzeżenie. - Będzie się na tobie wyżywał”.

- Kasjerka musiała się jej nieźle przyjrzeć - mówiła Opal. - Niewykluczone, że zobaczyła ten program. Musimy się pozbyć małej.

Nazajutrz Bic poszedł odebrać samochód. Kiedy wrócił, posadził Laurie na łóżku i chwycił ją za rękę.

- Jak ja mam na imię? - zapytał.

- Bic.

- A ona? - brodą wskazał Opal.

- Opal.

- Wymaż te imiona z pamięci. Chcę, żebyś o nas zapomniała. I ni gdy nikomu o nas nie mów. Rozumiesz, Lee?

Laurie nie rozumiała. „Powiedz «tak» - ponaglał głos wewnętrzny. - Skiń głową i powiedz «tak»”.

- Tak - powiedziała cicho i poczuła, że jej głowa potakuje.

- Czy pamiętasz, jak uciąłem łeb kurczakowi? - zapytał Bic. Zamknęła oczy.

Kurczaczek biegał po podwórku, a krew tryskała

z jego szyi. Później upadł u jej stóp. Chciała krzyknąć, kiedy krew chlusnęła na nią, ale nie mogła wydać z siebie głosu. Potem nigdy już nie zbliżała się do kurcząt. Czasami śniło jej się, że goni ją bezgłowy ptak.

- Przypominasz sobie? - pytał Bic, ściskając mocniej jej dłonie.

- T a k .

- Musimy jechać dalej sami. Odstawimy cię w takie miejsce, gdzie na pewno ktoś cię znajdzie. Jeśli kiedykolwiek podasz komuś nasze imiona albo powiesz, jak cię nazywaliśmy, jeżeli kiedykolwiek wskażesz, gdzie mieszkaliśmy lub wygadasz, co robiliśmy razem, pojawię się z nożem na kurczaki i utnę ci głowę. Rozumiesz?

I pokazał jej nóż - długi, ostry, lepki od krwi.

- Przysięgnij, że nikomu nie powiesz - naciskał Bic.

- Przysięgam, przysięgam - wymamrotała Laurie z rozpaczą. Wsiedli do samochodu. Znowu kazali jej leżeć na podłodze. Była nagrzana. Foliowe worki lepiły się do skóry.

Panował już zupełny mrok, kiedy zatrzymali się przed dużym bu dynkiem. Bic wyprowadził ją z samochodu.

- To szkoła - powiedział. - Jutro rano przyjdzie tu mnóstwo ludzi i dzieciaków, z którymi będziesz mogła się pobawić. Zostań tu i po czekaj na nich.

Objął ją gwałtownie. Ścierpła, czując wilgotny pocałunek.

- Szaleję za tobą - powiedział. Ale pamiętaj, jeśli komukolwiek o nas powiesz... - Uniósł dłoń, zacisnął ją, jakby trzymał w niej nóż, i zrobił charakterystyczny ruch na wysokości szyi.

- Przysięgam... - wyjęczała. - Przysięgam...

Od Opal dostała torbę ciastek i colę. Patrzyła, jak odjeżdżają. Wiedziała, że jeśli nie zostanie w tym miejscu, wrócą, żeby ją ukarać. Było bardzo ciemno.

Z pobliskiego lasu dochodziły do niej dziwne odgłosy i szelesty.

Laurie przywarła do drzwi budynku i zaplotła ręce wokół ciała. Przez cały dzień było jej gorąco, ale teraz poczuła zimno i przeraże nie. Może bezgłowy kurczak jest gdzieś tutaj. Zaczęła dygotać.

„Popatrz tylko na tę spoconą mysz". W jednej chwili wypełnił ją szyderczy głos, śmiejący się z małej figurki skulonej u wejścia do szkoły.

Rano szef policji Conners zadzwonił po raz kolejny. Zgłoszenie okazało się trafne. Dziewczynka przypominająca z opisu Laurie została znaleziona przez pracownicę szkoły w wiejskiej okolicy pod Pittsburghiem. Właśnie przesyłają tam odciski palców Laurie.

Godzinę później znowu zadzwonił telefon. Oba zestawy odcisków pasują do siebie idealnie. Laurie niebawem wróci do domu.

John i Marie Kenyon polecili do Pittsburgha. Laurie musiała tam przejść badania kontrolne. Następnego dnia w czasie południowych wiadomości Sara ujrzała, jak jej rodzice wychodzą ze szpitala, a Laurie idzie między nimi.

Przycupnęła przed telewizorem i ścisnęła go obiema rękami. Siostrzyczka urosła i wychudła. Jej długie jasne włosy były w nieładzie. Ale jeszcze coś się zmieniło. Laurie była zawsze taka otwarta i ufna. A teraz, chociaż miała pochyloną głowę, spoglądała bojaźliwie, jakby szukając wzrokiem czegoś, czego obawiała się znaleźć.

Reporterzy bombardowali ich pytaniami. John Kenyon odpowiadając z trudem, w jego głosie słychać było napięcie i zmęczenie:

- Lekarze powiedzieli, że Laurie jest zdrowa, chociaż ma małą niedowagę.

Oczywiście jest trochę oszołomiona i przestraszona.

- Czy mówiła coś o porywaczach?

- Nie powiedziała jak dotąd nic. Jesteśmy państwu bardzo wdzięczni za zainteresowanie i troskę, ale byłoby miło, gdybyście po zwolili naszej rodzinie na trochę spokoju. - Głos ojca przybrał niemal błagalny ton.

- Czy cokolwiek wskazuje na to, że była molestowana? Sara widziała, że jej matka jest w szoku.

- Absolutnie nic. - W jej głosie słychać było przestach. - Jesteśmy przekonani, że Laurie uprowadzona została przez ludzi, którzy chcieli mieć dziecko. Mamy nadzieję, że teraz nie zamienią w koszmar życia innej rodziny.

Sara musiała coś zrobić z energią, która rozsadzała ją od środka. Posłała łóżko Laurie, wybierając pościel z jej ukochanym Kop ciuszkiem. Wyjęła jej ulubione zabawki i porozkładała je po całym pokoju: lalki bliźniaczki w wózek, domek dla lalek, misia i książki z Peterem Rabbitem. Obok poduszki położyła ukochany kocik Laurie.

Później popędziła na rowerze do sklepu po ser, makaron i mielone mięso.

Lazania - Laurie zawsze ją uwielbiała! Kiedy wróciła i zajęła się jej przygotowaniem, rozdzwonił

się telefon. Jakoś udało jej się przekonać wszystkich, żeby wstrzymali się z odwiedzinami przynajmniej przez kilka dni.

Spodziewała się, że rodzice z Laurie przybędą około szóstej. Pół godziny wcześniej lazania była już w piekarniku, sałata w lodówce, a stół nakryty znowu na cztery osoby. Sara poszła na górę, żeby się przebrać. Popatrzyła na swoje odbicie. Czy Laurie ją pozna? Przez ostatnie dwa lata urosła o dziesięć centymetrów, do metra siedemdziesięciu. Ma teraz krótkie włosy. Kiedyś sięgały do ramion. Przedtem była płaska jak deska. Dziś jej młodziutkie piersi dają się już zauważyć. Nie nosi też okularów, tylko szkła kontaktowe.

Sara przypomniała sobie, że tamtego dnia, w którym Laurie została porwana, miała na sobie podczas obiadu dżinsy i długi T-shirt, którego jeszcze nie wyrzuciła. Postanowiła go włożyć do dżinsów.

Gdy samochód zahamował, banda reporterów telewizyjnych z kamerami czekała już na podjeździe. Za nimi stali w grupkach znajomi i sąsiedzi. Kiedy drzwiczki się otworzyły i państwo Kenyonowie po -

magali córce wysiąść, wszyscy naraz zaczęli wykrzykiwać radosne słowa powitania.

Sara podbiegła do swojej młodszej siostry i padła przed nią na kolana.

- Laurie - powiedziała miękko i rozwarła ramiona.

Ujrzała, że jej siostra gorączkowo usiłuje zasłonić twarz dłońmi. Boi się, że ją uderzę, pomyślała Sara.

Wzięła Laurie na ręce i zaniósła ją do domu, podczas gdy rodzice rozmawiali z dziennikarzami.

Laurie w żaden sposób nie zdradziła, że rozpoznaje dom. W ogóle z nimi nie rozmawiała. Obiad jadła w milczeniu, z oczami wbitymi w talerz. Kiedy skończyła, wstała, zaniósła swoje naczynia do zlewu i zaczęła sprzątać ze stołu.

Marie zerwała się z miejsca:.

- Kochanie, nie musisz wcale tego robić.

- Zostaw ją w spokoju, mamó - szepnęła Sara.

Pomogła Laurie sprzątać, mówiąc jej, że jest już teraz dużą dziewczynką, ale nawet kiedy była mała, zawsze pomagała swojej starszej siostrze myć naczynia. Czy pamięta?

Po obiedzie Sara włączyła telewizor. Laurie zaczęła dygotać, kiedy rodzice poprosili, żeby usiadła między nimi.

- Jest przestraszona - orzekła Sara. - Tak jakby była zupełnie gdzie indziej.

Oczy matki wypełniły się łzami, udawała, że pochłania ją oglądany program.

Laurie siedziała po turecku na podłodze, wybrawszy miejsce, z którego widziała wszystko bardzo dobrze, sama nie będąc widziana.

O dziewiątej, kiedy Marie wspomniała o przyjemnej ciepłej kąpie i pójściu do łóżka, Laurie wpadła w panikę. Skuliła się, przyciskając nogi do siebie i chowając twarz w dłoniach. Sara wymieniła spojrzenia z ojcem.

- Biedne maleństwo - powiedział. - Wcale nie musisz iść do łóżka. - Sara ujrzała w jego oczach to samo... niedowierzanie, jakie zo baczyła u matki. - Po prostu wszystko jest dla ciebie bardzo dziwne, prawda?

Marie usiłowała ukryć łzy.

- Ona się nas boi - wyszeptła.

Nie, pomyślała Sara. Ona boi się iść do łóżka. Dlaczego?

Zostawili włączony telewizor. Kwadrans po dziesiątej Laurie położyła się na podłodze i zasnęła. I znowu to Sara wzięła ją na ręce, przebrała i ułożyła w łóżku. Wsunęła w jej rączki i pod policzek ukochany kocyk.

John i Marie podeszli na palcach i usiedli po obu stronach białego łóżeczka, chłonąc cud, który się im przydarzył. Nawet nie zauważyli, że ich starsza córka cicho wychodzi z pokoju.

Laurie spała długo. Rankiem Sara przysłała na nią popatrzeć. Syciła się radosnym widokiem jasnych włosów, kłębiących się na poduszce. Nie mogła oderwać wzroku od małej figurki wtulającej twarz w kocyk. Przypomniała sobie o obietnicy, jaką złożyła Bogu.

„Będę się nią zawsze opiekowała”.

Rodzice byli już na nogach. Wyglądali na wyczerpanych, ale rozświeślała ich radość.

- Ciągłe sprawdzamy, czy ona na pewno tam jest - powiedziała Marie. - Sara, właśnie rozmawialiśmy o tym, że bez ciebie nie udało by się nam przetrwać tych dwóch lat.

Sara pomogła matce przygotować na śniadanie to, co Laurie lubiła najbardziej: naleśniki i bekon. Kilka minut później przydreptała Laurie.

Koszula nocna, która zwykle sięgała kostek, teraz owijała się jej wokół łydek.

Z tyłu ciągnęła za sobą kocyk. Wspięła się na kolana Marie.

- Mamusiu - powiedziała ze skargą w głosie. - Wczoraj chciałam iść na basen, ale Beth ciągle gadała przez telefon.

CZĘŚĆ DRUGA

12 września 1991

Ridgewood, New Jersey

Podczas mszy Sara ciągle zerknęła w bok na siostrę. Widok dwóch trumien na schodach kaplicy całkowicie Laurie zahipnotyzował. Nie płakała już, tylko wpatrywała się w katafalk, na nic innego nie zwracając uwagi - ani na muzykę, ani na modlitwy, ani pożegnalne kazanie. Sara musiała jej kłaść rękę na ramieniu w momentach, kiedy należało wstawać lub klękać.

Pod koniec mszy, gdy monsignor Fisher błogosławił trumny, Laurie wyszeptała:

- Mamo, tato, przepraszam. Nie wyjdę już więcej sama przed dom.

- Laurie - upomniała ją Sara.

Laurie spojrzała na nią niewidzącymi oczami, a potem odwróciła się i z wyraźnym zdziwieniem powiodła wzrokiem po zatłoczonym kościele.

- Tyle ludzi - jej głos zabrzmiał nieśmiało i dziecinnie.

Na zakończenie wszyscy zaśpiewali hymn „Niezwykła łaska”.

Wśród śpiewających było dwoje ludzi, stojących przy drzwiach kościoła. Z

początku śpiewali tak jak inni, ale mężczyzna, przyzwyczajony najwyraźniej do prowadzenia, po chwili przestał się powstrzymywać. Jego baryton zabrzmiał głośniejsz, wznosząc się ponad inne głosy i zagłuszając wokół solisty.

Ludzie zaczęli się odwracać ku niemu z podziwem w oczach.

„Kiedyś byłem zgubiony, lecz teraz się odnalazłem...”.

Poprzez ból i rozpacz spłynął na Laurie lodowaty strach. Ten głos. Dźwięczał w jej głowie i wnętrzu.

„Jestem zgubiona - szlochała w duchu - jestem zgubiona”.

Podniesiono trumny. Zazgrzytały koła katafalku unoszącego trumnę jej matki.

Usłyszała miarowe kroki grabarzy. A potem stukot maszyny do pisania.

„...ślepy, ale teraz widzę”.

- Nie! Nie! - krzyknęła i zapadła w miłosierną ciemność.

Na mszę przyszło wiele koleżanek Laurie z klasy w Clinton College. Przybyło także kilku wykładowców, między innymi Allan Grant, profesor angielskiego. Stał w miejscu, z którego dokładnie było widać upadek Laurie.

Grant należał do z najpopularniejszych nauczycieli w Clinton. Niedawno przekroczył czterdziestkę. Miał gęste brązowe włosy, lekko przyprószone siwizną. Patrząc na jego pociągłą twarz widziało się przede wszystkim oczy: duże, ciemnopiwnie, pełne humoru i inteligencji. Szczupła figura oraz bezpretensjonalny wygląd, sprawiały, że profesor wielu studentkom wydawał

się zniewalający.

Grant bardzo się przejmował swoimi studentami. Laurie chodziła do niego na zajęcia od początku nauki w Clinton. Znał jej osobistą historię i ciekawiło go, czy jej obecne zachowanie jest odbiciem jakichś następstw uprowadzenia.

Tylko raz udało mu się wychwycić coś, co powiązał z jej przeżyciami. Na zajęciach z twórczego pisania okazało się, że Laurie nie jest w stanie prowadzić osobistego pamiętnika. Jednakże jej wypowiedzi o książkach, autorach i sztukach były wnikliwe i zmuszały do myślenia.

Kiedy trzy" dni temu dotarła do niej wiadomość, że ma natychmiast zgłosić się do dziekanatu, uczestniczyła właśnie w jego zajęciach. Ponieważ ćwiczenia w zasadzie dobiegały końca, Grant, jakby przeczuwając kłopoty, postanowił jej towarzyszyć. Gdy przebiegali przez campus, powiedziała mu, że jej rodzice są w drodze do Clinton, aby wymienić się z nią samochodami.

Zapomniała oddać swój kabriolet do przeglądu, więc kiedy wracała ostatnim razem z domu, pożyczyła sedana matki.

- Może po prostu się spóźniają - powiedziała, najwyraźniej usiłując uspokoić samą siebie. - Moja matka twierdzi, że zanadto się o nich martwię, ale jak mam się nie martwić, skoro ona nie czuje się ostatnio za dobrze, a tato ma już siedemdziesiąt dwa lata.

Diekan poinformował ich ze smutkiem, że na drodze nr 78 miał miejsce poważny wypadek.

Allan Grant zawiózł Laurie do szpitala. Jej siostra Sara już tam była. Chmura ciemnorudych włosów okalała twarz, w której domino wały wielkie szare oczy, przepelnione żalobą. Grant widywał Sarę okazjonalnie w college'u i był

pod wrażeniem troski, jaką ta młoda asystentka prokuratora okazuje Laurie.

Jedno spojrzenie na twarz siostry wystarczyło, by Laurie zrozumiiała, że rodzice nie żyją. Powtarzała ciągle: „To przeze mnie, to przeze mnie”, jakby nie słysząc Sary, nalegającej, żeby przestała się obwiniać.

Strapiony Grant patrzył, jak kościelny wynosi Laurie z nawy ko ścioła i jak podąża za nimi Sara. Organista zaczął grać hymn na wyjście. Grabarze, prowadzeni przez monsignora, powoli zaczęli opuszczać świątynię, idąc wzdłuż bocznej nawy. Nagle Grant zobaczył mężczyznę przeciskającego się ku przejściu.

- Przepraszam, jestem lekarzem - tłumaczył cichym, budzącym szacunek głosem.

Jakiś instynkt kazał Allanowi Grantowi wśliznąć się za nim do małego pomieszczenia za przedścionkiem, dokąd została zabrana Laurie. Leżała na dwóch zestawionych krzesłach. Pochylała się nad nią kredowobłada Sara.

- Proszę mi pozwolić... - lekarz dotknął jej ramienia. Laurie drżała i mamrotała coś niewyraźnie.

Lekarz uniósł jej powieki, sprawdził puls.

- Przychodzi do siebie, ale trzeba ją zabrać do domu. W tym stanie nie powinna jechać na cmentarz.

- Wiem.

Allan widział dobrze, jak wiele wysiłku kosztuje Sarę zachowanie spokoju.

- Saro - podszedł do niej, a ona odwróciła się w jego stronę, do piero teraz go zauważając. - Saro, niech mi pani pozwoli odwieźć Laurie do domu. Nic się jej ze mną nie stanie.

- Naprawdę mógłby pan? - Na krótką chwilę wyraz napięcia i smutku na jej twarzy ustąpił miejsca wdzięczności. - W domu sąsiadki przygotowują jedzenie. Laurie ufa panu tak bardzo, trudno o lepszą opiekę. Będę niezwykle wdzięczna.

„Kiedyś byłem zgubiony, lecz teraz się odnalazłem...”.

Zbliżała się do niej ręka trzymająca nóż. Ostrze przecinało powietrze. Kapały z niego czerwone krople. Jej koszula i kombinezon były przesiąknięte krwią.

Na twarzy czuła lepkie ciepło. Coś trzepotało się u jej stóp. Nóż nie przestawał się zbliżać...

Laurie otworzyła oczy. Leżała w łóżku, w swoim własnym pokoju. Było ciemno. Co się stało? Przypomniała sobie. Kościół. Trumny. Śpiew.

- Saro! - krzyknęła rozpaczliwie. - Saro! Gdzie jesteś?

11

Zatrzymali się w hotelu Wyndham na Zachodniej Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy na Manhattanie.

- Bardzo szykownie - zwrócił się do niej. - Przyjeżdża tutaj wielu ludzi show-biznesu. Wymarzone miejsce do zdobywania kontaktów.

Po mszy żałobnej w drodze do Nowego Jorku nie odezwał się ani słowem.

Byli umówieni na lunch z wielbnyim Rutlandem Garriso -nem, pastorem Kościoła Przesłworzy i producentem programu tele wizyjnego pod tym samym tytułem. Garrison chciał odejść na emeryturę i

szukał następcy. Co tydzień do prowadzenia programu był zapraszany inny pastor w charakterze gościa.

Patrzyła, jak przymierza kolejne ubrania. W końcu zdecydował się na niebieski garnitur, białą koszulę i niebieskawoszary krawat.

- Chcą kaznodziei, to będą go mieli. Jak wyglądam?

- Doskonale - zapewniła go.

Sam o tym wiedział. Chociaż nie przekroczył jeszcze czterdziestu pięciu lat, jego włosy nabrały już srebrnego połysku. Dbał o wagę i pamiętał o tym, żeby trzymać się prosto. Dlatego zawsze wyglądał tak, jakby stał ponad innymi ludźmi, nawet wyższymi od niego. Nauczył się rozszerzać oczy, gdy grzmiącym głosem wygłaszał kazania, i z czasem stało się to jego zwykłym wyrazem twarzy.

Sprzeciwił się jej pierwszemu wyborowi: sukience w czerwono-biały wzorek.

- Za mało elegancka jak na to spotkanie. Zbyt przypomina Betty Crocker.

Mówił tak żartem, zawsze wtedy, gdy chciał zrobić wrażenie na przychodzących słuchać jego nauk. Ale teraz wcale nie żartował. Po kazała czarną lnianą sukienkę i pasujący do niej żakiet.

- A to jak?

Skinął w milczeniu głową.

- To będzie dobre. I pamiętaj... - Jego twarz spochmurniała.

- Przecież nigdy nie mówię do ciebie „Bic” przy ludziach - zaprotestowała łagodnie. - Od lat.

W jego oczach pojawił się gorączkowy blask. Opal znała to spojrzenie i bała się go. Minęły już trzy lata od czasu, gdy został wzięty przez lokalną policję na przesłuchanie, ponieważ pewna dziewczynka

o blond włosach poskarżyła się na niego swojej matce. Zawsze radził sobie z podważaniem takich zarzutów, dając przekonujące wyjaśnienia, ale mimo wszystko skargi te zdarzały się zbyt często w zbyt wielu różnych miastach.

Gdy patrzył w taki sposób, znaczyło to, że znowu traci nad sobą kontrolę.

Lee była jedynym dzieckiem, jakie kiedykolwiek porwali. Od chwili, kiedy zauważył ją z matką na zakupach, dostał na jej punkcie obsesji. Śledził ich samochód tamtego pierwszego dnia, a potem krążył po okolicy w nadziei, że uda mu się zobaczyć to dziecko choć przez chwilę. Razem z Opal mieli dwutygodniowy kontrakt w podrzędnym nocnym klubie przy Siedemnastej Ulicy w New Jersey, gdzie śpiewali i grali na gitarach. Mieszkali wtedy w motelu, jakieś dwadzieścia minut od domu Kenyonów. To miała być już ich ostatnia praca w nocnym klubie. Bic zaczął śpiewać pieśni religijne podczas spotkań nawróceniowych i nauczać w okolicach Nowego Jorku. Pewien właściciel

rozgłośni radiowej w Bethlehem w Pensylwanii usłyszał go i zaprosił do prowadzenia programu religijnego w swojej małej radio stacji.

Pech sprawił, że Lee stała sama na ulicy, kiedy oni wyruszyli już w podróż do Pensylwanii, a Bic uparł się, żeby po raz ostatni przejechać obok tego domu.

Zatrzymali się, a on uniósł ją po prostu do góry i wsadził do samochodu. Od tej chwili przez ponad dwa lata Opal żyła w ciągłym strachu i zazdrości, których nie śmiała Bicowi okazać.

Minęło już piętnaście lat od czasu, gdy zostawili ją na podwórku szkolnym, ale on nigdy o niej nie zapomniał. Nosił jej zdjęcie ukryte w portfelu i czasami Opal przyłapywała go na tym, jak wpatruje się w nie, gładząc je palcami. W

ostatnich latach, gdy odnosił coraz większe sukcesy, obawiał się, że pewnego dnia agenci FBI przyjdą do niego i oznajmią, że jest aresztowany pod zarzutem porwania i molestowania seksualnego dziecka.

- Pomyśl o tej dziewczynie z Kalifornii, która wysiała swego ojca do więzienia, bo zaczęła chodzić do psychiatry i przypominała sobie różne zapomniane sprawy - powiedział pewnego razu.

Zaraz kiedy tylko przybyli do Nowego Jorku, Bic przeczytał w „Timesie” o wypadku Kenyonów. Mimo protestów Opal pojechali na mszę żałobną.

- Słuchaj, Opal - tłumaczył jej - teraz w niczym nie przypomina my tamtych grających na gitarach hippisów, których pamięta Lee.

Rzeczywiście wyglądali zupełnie inaczej. Zaczęli zmieniać swój wygląd od momentu, kiedy pozbyli się dziewczynki. Bic zgolił brodę i ściał włosy. Ona ufarbowała swoje na popielaty blond i spięła je w kok. Kupili sobie normalne ubrania w sklepie JC Penny, takie, które pozwalały im bezpiecznie mieszać się z tłumem i w których wydawali się przedstawicielami amerykańskiej klasy średniej.

- Na wypadek gdyby w tamtej knajpie ktoś nam się za dobrze przyjrzał - powiedział.

To wtedy zakazał jej mówić do siebie przy ludziach „Bic” i zapo wiedział, że od teraz będzie zwracał się do niej jej prawdziwym imieniem - Carla.

- Przez te dwa lata Lee wciąż słyszała nasze imiona - powiedział. - Od dzisiaj dla każdego, kogo spotkamy, jestem wielebny Bobby Hawkins.

Mimo to czuła jego strach, gdy wbiegali po kościelnych schodach. Pod koniec mszy, kiedy organista zaczął grać pierwsze nuty hymnu „Niezwykła łaska”, Bic wyszeptał:

- To nasza pieśń, Lee i moja.

Jego głos wzniósł się ponad inne. Gdy kościelny przechodził obok, niosąc omdlałą Lee, Opal musiała

chwycić Bica za rękę, żeby nie próbował dotknąć dziewczyny.

- Pytam jeszcze raz: jesteś gotowa? - w jego głosie zabrzmiała irytacja. Stał

przy drzwiach.

- Tak. - Opal sięgnęła po torebkę i podeszła do niego. Musi go uspokoić. Jego napięcie wypełniało cały pokój. Ujęła jego twarz w dłonie.

- Bie, kochanie. Uspokój się - powiedziała kojącem tonem. - Przecież zależy ci, żeby zrobić dobre wrażenie.

Ale on nie słyszał jej słów. Mówił do siebie pod nosem:

- Ciągle jeszcze potrafię przestraszyć tę dziewczynkę niemal na śmierć, no nie? - Zaszlochał boleśnie bez łez. - Boże, jak ja ją kocham!

12

Dziesięć dni po pogrzebie Sara zadzwoniła do doktora Petera Carpentera, psychiatry z Ridgewood. Widywała go już wcześniej przy różnych okazjach i budził jej sympatię. To, czego się dowiedziała na jego temat, potwierdziło ogólne wrażenie. Jej szef, Ed Ryan, prokurator okręgu Bergen, bardzo cenił

Carpentera.

- To świetny fachowiec. Bez wahania powierzyłbym mu kogoś z rodziny, a wiesz, że jak na mnie, to dużo. Zbyt wielu z tych panów ma nie całkiem po kolei...

Poprosiła lekarza o jak najszybsze spotkanie.

- Moja siostra obwinia się za wypadek naszych rodziców - powiedziała Carpenterowi. Spostrzegła, że unika słowa „śmierć”. Wciąż nie pogodziła się z jej realnością. Ściskając słuchawkę, mówiła dalej: - Kiedyś śnił jej się ciągle ten sam koszmar. Nie zdarzał się już od dawna, ale teraz znowu powraca regularnie.

Doktor Carpenter dobrze pamiętał sprawę porwania Laurie. Kiedy dy została porzucona przez porywaczy i zabrana z powrotem do domu, omawiał z kolegami konsekwencje jej całkowitej utraty pamięci. Z zainteresowaniem przyjąłby ją jak najszybciej, powiedział jednak do Sary:

- Sądzę, że byłoby rozsądnie, gdybym mógł przed wizytą Laurie porozmawiać z panią. Mam dzisiaj po południu wolną godzinę.

Jak często pokpiwała sobie dobrodusznie jego żona, Carpenter mógł uchodzić za wzór uprzejmego lekarza rodzinnego: stalowoszare włosy, rumiana cera, okulary bez ramek, łagodny wyraz twarzy i szczupła sylwetka. Ogólny wygląd doktora Carpentera odpowiadał jego faktycznemu wiekowi; lekarz miał

pięćdziesiąt dwa lata.

Postarał się, aby przytulny gabinet zapewniał poczucie bezpie czeństwa: jasnozielone ściany, udrapowane na oknach zasłony w od cieniach zieleni i bieli, mahoniowe biurko, ozdobione sporą ilością ro ślin w doniczkach, obszerne skórzane fotele w kolorze wina naprzeciw jego obrotowego fotela oraz kanapa w takim samym kolorze, zwró cona frontem do okna.

Gdy sekretarka wprowadziła Sarę do gabinetu, Carpenter z uwa gą przyjrzał

się tej młodej atrakcyjnej kobiecie w prostej niebieskiej sukience. Jej szczupłe, wysportowane ciało poruszało się z łatwością. Nie miała makijażu, a na jej nosie dostrzec można było piegi, Ciemnobrązowa oprawa oczu podkreślała czający się w nich smutek. Włosy związane z tyłu wąską niebieską wstążką spływały ciemnorudą chmu rą na plecy.

Pytania doktora Carpentera nie sprawiły Sarze kłopotów. Opo wiadała:

- Tak, Laurie po powrocie była jakby inna. Już wtedy wydawało mi się, że musiała być wykorzystywana seksualnie. Ale moja matka uparcie wmawiała wszystkim, że porwali ją kochający ludzie, którzy pragnęli mieć dziecko.

Chciała w to wierzyć. Piętnaście lat temu ludzie jeszcze nie mówili głośno o molestowaniu dzieci. Ale prawda była taka, że Laurie bardzo bała się iść do łóżka. Kochała mego ojca, ale już nigdy nie usiadła mu na kolanach. Nie pozwalała, by jej dotykał. W ogóle bała się mężczyzn.

- Na pewno była dokładnie pytana o wszystko po odnalezieniu?

- Tak, w szpitalu w Pensylwanii.

- Pewnie się zachował jakiś protokół. Chciałbym, żeby pani po starała się o jego przesłanie. A co z tym powracającym snem?

- Miała go ostatniej nocy. Była kompletnie przerażona. Naz ywa go snem o nożu. Odkąd wróciła, zawsze bała się ostrych noży.

- Jak wielkie zmiany w jej osobowości zauważyła pani po powrocie?

- Od początku widziałam, że są duże. Zanim ją porwano, była otwartym, towarzyskim dzieckiem. Trochę rozpieszczonym, jak sądzę, ale słodkim.

Miała swoje koleżanki, z którymi się nawzajem odwiedzały. Po powrocie nigdy już nie została na noc w czyimś domu. Nabrała dystansu do swoich rówieśników. Wybrała Clinton College dlatego, że jedzie się tam tylko półtorej godziny samochodem. Na każdy weekend wracała do domu.

- A co z sympatiami? - zapytał Carpenter.

- Widzi pan, Laurie jest bardzo piękną młodą kobietą. Na pewno często ją gdzieś zapraszano i w średniej szkole rzeczywiście chodziła na tańce i zabawy. Nie zainteresowała się jednak chyba nikim

poważniej poza Greggiem Bennettem, a i to nagle się urwało.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Gregg też nie wie. Chodzili ze sobą cały tamten rok. On też studiował w Clinton College i często przyjeżdżał z nią na week endy. Bardzo go lubiliśmy, a Laurie wydawała się z nim szczęśliwa. Oboje są wysportowani, więc często grywali w golfa. Aż nagle pod czas ostatniej wiosny skończyło się. Żadnych wyjaśnień. Po prostu koniec. Nie powiedziała na ten temat ani słowa, a Gregga nie chciała

widzieć na oczy. Przyjechał, żeby z nami porozmawiać. Nie miał pojęcia, co spowodowało zerwanie. Na ten semestr pojechał do Anglii i nawet nie wiem, czy w ogóle słyszał o wypadku moich rodziców.

- Chciałbym spotkać się z Laurie jutro o jedenastej. Nazajutrz rano Sara zawiozła Laurie na umówioną wizytę i obiecała jej, że wróci dokładnie za pięćdziesiąt minut.

- Kupię coś na kolację - powiedziała do siostry. - Spróbujemy jakoś pobudzić twój apetyt.

Laurie skinęła głową i weszła za Carpenterem do gabinetu. Z paniką w oczach odmówiła położenia się na kanapie i wybrała miejsce za biurkiem, naprzeciw doktora. Czekala w milczeniu, smutna i przygaszona. Oczywiście głęboka depresja, odnotował w myślach Carpenter.

- Chciałbym ci jakoś pomóc, Laurie.

- Może pan zwrócić mi rodziców?

- Zrobiłbym to, gdybym tylko mógł. Twoi rodzice, Laurie, nie żyją dlatego, że autobus się zepsuł.

- Nie żyją, bo nie sprawdziłam mego samochodu.

- Zapomniałaś to zrobić.

- Nie zapomniałam. Postanowiłam odwołać umówiony termin przeglądu na stacji kontroli. Powiedziałam, że pojadę na darmowy przegląd do Związku Motorowego. O tym drugim rzeczywiście zapomniałam, ale pierwszy odwołałam rozmyślnie. To moja wina.

- Dlaczego go odwołałaś? - Przyglądał jej się uważnie, podczas gdy ona zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Miałam pewnie jakiś powód, ale nie pamiętam jaki.

- Ile kosztuje przegląd samochodu na stacji?

- Dwadzieścia dolarów.

- A w Związku Motorowym jest za darmo. Czy to nie jest wystarczający powód?

Wyglądała na zatopioną w myślach. Carpenter zastanawiał się, czy słyszała jego ostatnie pytanie. Po chwili jednak wyszeptała:

- Nie. -I pokręciła przecząco głową.

- Zatem dlaczego odwołałaś pierwszą wizytę?

Teraz był pewny, że Laurie go nie słyszy. Była gdzie indziej. Spróbował jeszcze raz.

- Laurie, Sara powiedziała mi, że masz znowu złe sny, a raczej, że powrócił zły sen, który kiedyś miewałaś.

Gdzieś w głębi siebie Laurie usłyszała głośny płacz. Podciągnęła kolana do piersi i schowała głowę. Szloch wypełnił teraz jej krtań i usta.

13

Spotkanie z pastorem Rutlandem Garrisonem i producentami te lewizyjnymi było rzeczowe.

Jedli lunch w prywatnej jadalni kompanii Worldwide Cabel, która dostarczyła program Garrisona międzynarodowej widowni. Przyka wie wyłożył karty na stół:

- Zaczynałem „Kościół Przesłworzy”, kiedy dziesięciocalowy czar no-biały telewizor był jeszcze towarem luksusowym - powiedział. -Przez lata moja posługa dawała milionom ludzi pociechę, nadzieję i wiarę. Przyniosła wielkie zyski, dzięki którym mogły zostać wsparte wartościowe akcje charytatywne.

Chciałbym wiedzieć, że to dzieło przejmie po mnie odpowiednia osoba.

Bic i Opal przytaknęli, wyraz ich twarzy miał świadczyć o szacunku, poważaniu i pobożności. Zostali zaproszeni na następną niedzielę do

„Kościoła Przesłworzy”. Bic przemawiał przez czterdzieści minut.

Opowiadał o swej zmarnowanej młodości, swoim niespełnionym marzeniu, by zostać gwiazdą rocka, o głosie, który dobry Pan dał mu, a który on marnował, śpiewając błahe świeckie piosenki. Mówił o swym cudownym nawróceniu. Tak, zaprawdę, zrozumiał drogę do Damaszku. Podążał śladami Pawła. Pan nie powiedział mu: „Szawle, Szawle, dlaczego mnie przesładujesz?”. Pytanie, które on usłyszał, zabolalo nawet bardziej. W końcu Szawel sądził, że działa w imię Pana, próbując wypełnić chrześcijaństwo. On, Bobby, stał pewnego razu w jednym z tych zatłoczonych, wstrętnych nocnych klubów, śpiewając plugawe teksty, kiedy nagle jego serce i duszę wypełnił

jakiś głos. Był silny i jednocześnie smutny, wzburzony i zarazem wybaczący. Głos zapytał: „Bobby, Bobby, dlaczego mi bluźnisz?”.

Rozpłakał się.

Pod koniec kazania pastor Rutland Garrison objął go po ojcowski. Bobby skinął na Carlę, żeby się do niego przyłączyła. Pojawiła się na wizji, jej oczy były wilgotne, a wargi drżały. Bobby przedstawił ją telewidzom.

Razem odśpiewali na zakończenie hymn „Przynosząc snopy...”.

Po programie tablica świetlna w studio ożyła telefonami wychylającymi wielebnego Bobby'ego Hawkinsa. Zaproszono go do wzięcia udziału w emisji za dwa tygodnie.

Bic milczał, gdy wracali samochodem do Georgii. Dopiero po kilku godzinach powiedział:

- Lee uczy się w Clinton College w New Jersey. Może będzie chciała tam wrócić. Może nie. Pan ostrzega mnie, że czas przypo mnieć jej, co się stanie, jeśli będzie o nas gadać.

Opal przeczuwała, że Bic zostanie wybrany na następcę Rutlanda Garrisona.

Pastor był wyraźnie poruszony, podobnie pozostali. Ale jeśli Laurie zacznie sobie przypominać...

- Co chcesz z nią zrobić, Bic?

- Mam pewną myśl, Opal. Spłynęła na mnie podczas modlitwy.

Podczas drugiej wizyty u doktora Carpentera Laurie oświadczyła, że zamierza wrócić do college'u w najbliższy poniedziałek.

- Tak będzie lepiej i dla mnie, i dla Sary - powiedziała cicho. - Ona się o mnie tak martwi, że nie wróciła jeszcze do pracy, a to będzie dla niej teraz najlepsze. Ja też będę się ostro uczyła, żeby nadrobić te trzy tygodnie.

Carpenter nie wierzył własnym oczom. Siedziała przed nim całkiem nowa Laurie Kenyon. Energiczna i rzeczowa, zupełnie nie przypominała złamanej i przygnębionej dziewczyny, którą zobaczył tydzień temu.

Wtedy ubrana była w złotawy kaszmirowy żakiet, świetnie skrojone czarne spodnie oraz jedwabną bluzkę w kolorach złotym, czarnym i białym. Jej włosy swobodnie opadały na ramiona. Dzisiaj miała na sobie dżinsy i rozciągnięty sweter. Włosy zaczesła do tyłu i spięła klamerką. Sprawiała wrażenie zupełnie spokojnej.

- Miewałaś ostatnio jeszcze jakieś koszmary, Laurie? Wzruszyła ramionami.

- Jestem zakłopotana, gdy przypominam sobie, co wyprawiała mi w tamtym tygodniu. Przecież wielu ludzi miewa złe sny, ale nie rozpo wiadają o tym na prawo i lewo, prawda?

- Nieprawda - odparł cicho. - Laurie, skoro czujesz się dużo pewniej, to może położysz się na kanapie, odprężysz i jeszcze przez chwilę porozmawiamy? - Z

uwagą obserwował jej reakcję.

To samo, co w ubiegłym tygodniu. Całkowita panika w oczach. Tym razem jednak pojawił się również opór, wyrażający się kpina.

- Nie ma potrzeby, żebym się kładła. Potrafię doskonale rozma wiać na siedząco. A zresztą nie ma specjalnie o czym mówić. W moim życiu zdarzyły się dwie złe rzeczy. W obu przypadkach jestem winna. Przyznaję się.

- Obwiniasz się o to, że zostałaś porwana w wieku czterech lat?

- Oczywiście. Miałam zakaz wychodzenia samej na zewnątrz. B ezwzględny zakaz. Moja matka strasznie się bała, że o tym zapomnę i wybiegnę na ulicę.

W okolicy mieszkał chłopak, który lubił jeździć brawurowo samochodem, na granicy bezpieczeństwa. Zawsze, odkąd pamiętam, matka surowo mnie upominała, gdy widziała, że bawię się sama piłką na trawniku. Poza tym, jak pan już wie, jestem odpowiedzialna za śmierć moich rodziców.

Nie było czasu, żeby rozwijać ten temat.

- Laurie, chciałbym ci pomóc. Sara powiedziała mi, że twoi rodzice uważali, iż lepiej będzie nie kontaktować się z psychologiem po twoim porwaniu. To prawdopodobnie jeden z powodów, dla których nie chcesz ze mną teraz rozmawiać. Czy naprawdę nie miałabyś ochoty po prostu zamknąć oczu, odpocząć i spróbować nauczyć się czuć dobrze w mojej obecności? Na następnych sesjach bylibyśmy gotowi do wspólnej pracy.

- Taki pan pewny, że będą następne sesje?

- Mam nadzieję. A będą?

- Tylko żeby sprawić przyjemność Sarze. Będę przyjeżdżała do domu na weekendy, więc w grę wchodziłyby soboty.

- To się da zrobić. Masz zamiar przyjeżdżać do domu w każdy weekend?

- Tak.

- Dlatego, że chcesz być z Sarą?

Pytanie wyraźnie ją poruszyło. Rzeczowe podejście znikło. Laurie założyła nogę na nogę, uniosła podbródek, sięgnęła do tyłu i odpięła klamrę, która przytrzymywała jej włosy.

Carpenter patrzył, jak jasna masa włosów otoczyła jej twarz. Ta jemniczy uśmiech pojawił się na ustach Laurie.

- Jego żona przyjeżdża na weekendy - powiedziała. - Nie ma sensu tkwić wtedy w college'u.

Laurie otworzyła drzwi swego samochodu.

- Czuć, że nadchodzi jesień - powiedziała.

Z drzew spadały pierwsze liście. Ostatniej nocy ogrzewanie włączyło się automatycznie.

- Rzeczywiście - przyznała Sara. - Słuchaj, jeśli to będzie dla ciebie za wiele...

- Nie będzie. Ty wsadzisz wszystkich świrów do więzienia, a ja zaliczę zajęcia, które opuściłam i spróbuję utrzymać dotychczasowe wyniki. Zresztą, ciągle jeszcze mam szansę je poprawić. Choć pewnie nie uda mi się dorównać twoim. Do zobaczenia w piątek wieczorem.

Chciała tylko szybko uścisnąć Sarę, ale w końcu przytuliła się do siostry.

- Nie pozwól mi nigdy zamienić się z tobą samochodami. Sara musnęła jej włosy.

- Ej, myślałam, że ustaliłyśmy, że mama i tata nie byliby zachwyleni takim sposobem myślenia. W przyszły weekend po wizycie u doktora Carpentera wybierzemy się na golfa.

Laurie uśmiechnęła się.

- Zwycięzca stawia kolację.

- Dobrze wiesz, że mnie pokonasz.

Sara pomachała Laurie na pożegnanie, a kiedy auto znikło jej z oczu, weszła do domu. Było cicho i pusto. Mądrzy ludzie powiadają, żeby nie robić dramatycznych zmian po śmierci bliskich, ale instynkt podpowiadał jej, że powinna jak najszybciej poszukać nowego miejsca, na przykład dużego mieszkania w jakiejś wielorodzinnej kamienicy i wystawić ten dom na sprzedaż. Może powinna zadzwonić do doktora Carpentera i zapytać go o zdanie.

Była już ubrana do pracy. Wzięła tylko ze stołu w holu aktówkę i torbę na ramię. Osiemnastowieczny stół o delikatnej konstrukcji, z blatem inkrustowanym marmurem, oraz lustro nad nim były antykami, które należały jeszcze do jej babki. Jak, wraz z innymi pięknymi rzeczami, do których zaliczał się zbiór pierwszych wydań klasyki, wypełniający bibliotekę Johna Kenyona, zmieścić je w trzypokojowym mieszkaniu? Odpędziła tę myśl.

Odruchowo przetarła z kurzu lustro i to, co zobaczyła, zaszokowało ją. Miała trupiobiałą cerę i sine kręgi pod oczami. Jej twarz zawsze była szczupła, ale teraz policzki zupełnie się zapadły. Usta zszarzały. Przypomniała sobie, co ostatniego ranka powiedziała jej matka:

- Saro, dlaczego się nie malujesz? Cień do powiek dobrze by zrobił twoim oczom.

Zrzuciła torbę z ramienia, odłożyła aktówkę na stolik i weszła po schodach na górę. W łazience sięgnęła po rzadko używaną kosmetyczkę. Obraz matki w jasnoróżowej sukni, tak naturalnie pięknej,

tak czule matczynej i radzącej jej, żeby umalowała oczy, przyniósł w końcu piekące łzy, wstrzymywane dotąd ze względu na Laurie.

Ucieszyła się, gdy znów znalazła się w swoim dusznym biurze z jej go łuszczącymi się farbą ścianami, zwałami akt i wiecznie dzwoniącym telefonem. Zarówno jej współpracownicy z biura prokuratora, którzy przyszli w komplecie do domu pogrzebowego, jak i najbliżsi przyjaciele, dzwoniący do niej i odwiedzający ją w ciągu tych kilku tygodni, rozumieli, że sama potrzebuje powrotu przynajmniej do ja kichś pozorów normalności.

- Dobrze, że znów tu jesteś. - Szybki uścisk. Potem pełne zachęty słowa: - Daj znać, kiedy będziesz mieć chwilę czasu...

Na lunch składała się kanapka z żytniego chleba z serem oraz kawa z sądowej kawiarenki. Około trzeciej Sara z satysfakcją stwierdziła, że uporała się ze sporą częścią zaległej korespondencji z klientami, świadkami i adwokatami.

O czwartej, nie mogąc dłużej wytrzymać, wykręciła numer pokoju Laurie w college'u. Telefon odebrano od razu.

- Halo.

- Laurie, to ja. Jak leci?

- Może być. Byłam na trzech ćwiczeniach, ale odpuściłam sobie ostatnie.

Głowa mi pęka.

- Nic dziwnego. Nie wyspałaś się przyzwoicie. Co robisz wieczorem?

- Idę do łóżka. Muszę wyczyścić sobie mózg.

- W porządku. Ja mam zamiar pracować do późna. Bądź w domu około ósmej.

Spróbuję do ciebie zadzwonić.

- Będę czekała.

Sara została w biurze do siódmej piętnaście, w drodze do domu zatrzymała się przy restauracji i kupiła sobie hamburgera. O ósmej trzydzieści zadzwoniła do Laurie.

Po drugiej stronie nikt nie podnosił słuchawki. Może bierze prysznic albo coś jej wypadło, myślała Sara, nie odkładając słuchawki, w której monotonnie dźwięczał wciąż ten sam sygnał. Wreszcie przerwał go czyjś zniecierpliwiony głos:

- Numer Laurie Kenyon.

- Czy jest tam Laurie?

- Nie, i jeżeli nikt nie zgłasza po pięciu, sześciu sygnałach, to pro szę odkładać słuchawkę. Mieszkam dokładnie naprzeciwno, a muszę przygotować się do testu.

- Przepraszam. Nie odkładałam, bo Laurie zamierzała dzisiaj wcześniej się położyć.

- Widocznie zmieniła plany. Wyszła kilka minut temu.

- Czy wyglądała normalnie? Jestem jej siostrą i trochę się dener wuję.

- Och, nie poznałam. Tak mi przykro z powodu tego, co spotkało waszych rodziców. Myślę, że z Laurie wszystko w porządku. Była ele gancko ubrana.

Jak na randkę.

Sara dzwoniła jeszcze o dziesiątej, jedenastej, dwunastej, pierw szej. W końcu zgłosiła się zaspana Laurie:

- Nic mi nie jest, Saro. Wlazłam do łóżka zaraz po kolacji i spałam do tej pory.

- Laurie, dzwoniłam tak długo, że do telefonu podeszła w końcu dziewczyna z naprzeciwnka. Powiedziała mi, że wyszłaś.

- Myli się, Saro. Przysięgam na Boga, że byłam tutaj. - W głosie Laurie słychać było lęk. - Dlaczego miałabym kłamać?

Nie wiem, pomyślała Sara.

- Dobrze przynajmniej, że jesteś cała. Wracaj do łóżka - powiedziała i powoli odłożyła słuchawkę.

Doktor Carpenter wyczuł zmianę w postawie Laurie, kiedy roz parła się swobodnie w fotelu. Tym razem nie proponował jej położe nia się na kanapie.

Utrata chwilowego zaufania, które do niego naj wyraźniej poczuła, była ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył. Zapytał, jak minął tydzień w college'u.

- Całkiem dobrze. Wszyscy byli bardzo mili. Miałam tak wiele do nadrobienia, że zarywałam noce. - Zawahała się i umilkła.

Carpenter odczekał chwilę, a potem powiedział łagodnie:

- Co się dzieje, Laurie?

- Ostatniej nocy, kiedy przyjechałam do domu, Sara zapytała mnie, czy miałam wiadomości od Gregga Bennetta.

- Gregga Bennetta?

- Kiedyś ze sobą chodziliśmy. Rodzice i Sara bardzo go lubili.

- A ty go lubisz?

- Lubiłam, dopóki... Znowu czekał. Jej oczy się rozszerzyły.

- Nie powinien tak na mnie napierać...

- Uważasz, że ci się narzucał?

- Nie. Pocałował mnie. I to było w porządku. Podobało mi się. Ale potem objął mnie w pól.

- I to cię przeraziło, tak?

- Wiedziałałam, do czego to może doprowadzić.

- Do czego?

Laurie patrzyła gdzieś w dal.

- Nie chcę o tym mówić. - Zamilkła na kilka chwil, a potem po wiedziała ze smutkiem: - Założę się, że Sara nie wierzy mi, że nie wychodziłam wtedy w nocy. Martwiła się.

Carpenter wiedział, o czym mowa, bo Sara zadzwoniła, żeby mu o tym powiedzieć.

- Może jednak wychodziłaś? - zasugerował. - Towarzystwo przyjaciół nieźle by ci zrobiło.

- Nie. Nie w głowie mi teraz żadne spotkania. Jestem zbyt zajęta.

- Miewasz jakieś sny?

- Sen o nożu.

Dwa tygodnie temu wpadła w histerię, gdy o to zapytał. Dzisiaj jej głos brzmiał prawie zupełnie obojętnie.

- Przyzwyczałam się do niego. Będę go śniła pewnie tak dłuugo, aż ten nóż rzeczywiście mnie dopadnie. A dopadnie, dobrze pan wie.

- Laurie, w terapii uzewnętrznianie wspomnień ważnych dla emocji nazywamy odreagowaniem. Chciałbym, żebyś zrobiła to teraz dla mnie.

Pokaż mi, co widzisz w swoim śnie. Myślę, że boisz się iść spać, ponieważ się obawiasz, że przyjdzie ten sen. Ale nikt nie może żyć bez snu. Nie musisz nic mówić, po prostu pokaż mi tylko, co dzieje się w tym śnie.

Laurie powoli wstała i uniosła ręce. Jej usta zwięzły się w przebie głym uśmiechu. Okrążyła biurko, idąc w jego kierunku. Stąpała ostrożnie krok po kroku. Wymachiwała ręką w górę i w dół, jakby trzymała w niej wyimaginowany nóż. Prawie do niego doszła, gdy nagle stanęła. Jej wygląd się zmienił. Stała przykuta do miejsca, wytrzeszczając oczy. Rękami usiłowała zetrzeć coś z twarzy i z włosów. Spojrzała w dół i odskoczyła przerażona.

Upadła na podłogę, zakryła rękami twarz, potem skuliła się przy ścianie, dygocząc i wydając przeraźliwe dźwięki, niczym ranne zwierzę.

Minęło dziesięć minut. Laurie ucichła, opuściła ręce i powoli wstała.

- To jest sen o nożu - powiedziała.

- Czy ty jesteś w tym śnie, Laurie?

-Tak.

- Kim jesteś - tym, kto ma nóż, czy tym, kto się boi?

- Każdym. A na końcu giniemy wszyscy.

- Laurie, chciałbym porozmawiać z innym psychiatrą; wiem, że ma wielkie doświadczenie z osobami, które przeżyły straszne rzeczy w dzieciństwie. Czy podpiszesz zgodę na to, żebym porozmawiał z nim o twoim przypadku?

- Jak pan sobie życzy. Dla mnie to żadna różnica.

W poniedziałek o wpół do ósmej rano doktor Justin Donnelly szedł szybko Piątą Aleją, opuszczając okolice południowej części Central Parku, gdzie mieszkał, i kierując się w stronę Szpitala Lehmana na Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy. Za każdym razem starał się prześcignąć samego siebie i przejść ten dwumilowy odcinek o minutę lub dwie szybciej. Jednak z powodu zaniedbania joggingu nie potrafił poprawić swego dwudziestominutowego rekordu.

Był wielkim mężczyzną, który zawsze wyglądał tak, jakby nosił w domu kowbojki i wielki kapelusz i obraz ten w pewnym sensie odpowiadał

prawdzie. Donnelly wychował się na owczej farmie w Australii. Jego kręcone czarne włosy zawsze wyglądały jak potargane. Gdy się uśmiechał, bujne czarne wąsy podkreślały biel zębów. Jego intensywnie niebieskie oczy okalały ciemne rzęsy, których zazdrościły mu kobiety. Dość wcześnie w swej psychiatrycznej karierze zdecydował się na specjalizację w przypadkach rozszczepienia osobowości.

Posiadając dar przekonywania i licząc się jako naukowiec, Donnelly wywalczył utworzenie w Nowej Południowej Walii kliniki leczącej in -

teresujące go przypadki. Wkrótce stała się ona zakładem wzorcowym. Jego artykuły, publikowane w prestiżowych pismach medycznych, wkrótce przyniosły mu światowe uznanie. W wieku trzydziestu

pięciu lat został

poproszony o zorganizowanie centrum terapii osób z rozszczepieniem osobowości w Szpitalu Lehmana.

Justin spostrzegł, że po dwóch latach na Manhattanie niepostrzeżenie dla samego siebie stał się nowojorczykiem. Podczas spacerów do biura i z powrotem wprost upajał się od niedawna znajomymi widokami: końmi i dorożkami jadącymi przez park, wejściem do zoo na Sześćdziesiątej Piątej Ulicy, odzwierciedlonymi puszcami się przed domami Piątej Alei. Wielu z nich pozdrawiało jak starego znajomego. Także teraz, gdy ich mijał, niektórzy zagadywali na temat pięknej październikowej pogody.

Zapowiadał się ciężki dzień. Justin zwykle starał się nie umawiać z nikim między dziesiątą a jedenastą i zachowywać ten czas na konsultacje z personelem. Tego ranka zrobił jednak wyjątek. Pilny sobotni telefon od psychiatry z New Jersey szczególnie go zainteresował. Doktor Peter Carpenter prosił o natychmiastową konsultację w sprawie pacjentki, którą podejrzewał o rozszczepienie osobowości i zamiary samobójcze. Justin zgodził się na spotkanie w poniedziałek o dziesiątej.

Dotarł na róg Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy i Piątej Alei w dwa dziesiąta pięć minut, pocieszając się, że to spory ruch pieszych spowolnił jego tempo.

Główne wejście do szpitala znajdowało się od strony Piątej Alei. Jego klinika miała własne dyskretne wejście od ulicy Dziewięćdziesiątej Szóstej. Justin prawie zawsze przychodził pierwszy. Na jego biuro składał się niewielki szereg pomieszczeń w końcu korytarza. Pierwszy pokój, pomalowany na kolor kości słoniowej i wyposażony skromnie w biurko, obrotowe krzesło, dwa fotele dla gości, szafki na książki i karty pacjentów, ożywiały kolorowe fotografie żaglówek z portu w Sydney. W pokoju w głębi przyjmował pacjentów. Znajdowała się tam specjalna kamera wideo i magnetofon.

Pierwszą pacjentką tego dnia była czterdziestoletnia kobieta z Ohio, przebywająca na leczeniu od sześciu lat i zdiagnozowana jako schizofreniczka. Dopiero niedawno pewien uważny psycholog po

wziął przypuszczenie, że głosy, które kobieta słyszy, pochodzą z jej innej osobowości. Dzięki temu trafiła do Donnelly'ego. Od razu za częła robić spore postępy.

Doktor Carpenter przyszedł punktualnie o dziesiątej. Podziękował wylewnie za zorganizowanie spotkania w tak krótkim terminie i od razu przeszedł do sprawy Laurie.

Donnelly słuchał, notował i wtrącał od czasu do czasu jakieś pytanie. W

końcu Carpenter podsumował:

- Nie specjalizuję się w przypadkach rozszczepienia osobowości, ale wydaje mi się, że u Laurie Kenyon dostrzegłem oznaki tego schorzenia. Zauważyłem wyraźną zmianę w jej głosie i zachowaniu

podczas ostatnich dwóch wizyt.

Wiadomo o co najmniej jednym wypadku, kiedy opuściła swój pokój na kilka godzin, ale jest tego kompletnie nieświadoma. Wierzę, że nie kłamie, zapewniając, że w tym czasie spała. Mięwa powracający koszmar senny o atakującym ją nożu. Ostatnio w czasie odreagowywania najpierw grała rolę osoby trzymającej nóż i wykonującej cięcie, a potem nagle zmieniła się w osobę próbującą uniknąć ciosu. Skopiowałem dla pana jej kartę.

Donnelly szybko przejrzał podane papiery, zakreślając niektóre fragmenty tekstu i wczytując się w te, które wpadły mu w oko. Czuł, że ten przypadek go fascynuje. Ukochane dziecko porwane w wieku czterech lat i porzucone przez porywaczy po dwóch latach, z całkowitą utratą pamięci na temat zdarzeń z tego czasu; powracający koszmar; oświadczenie siostry, że od czasu powrotu na łono rodziny Laurie reagowała na każdy stres dziecinnym lękiem; w końcu tragiczna śmierć rodziców, której czuje się winna.

Odłożywszy kartę, Donnelly powiedział:

- Dokonanie szczegółowego zapisu tego, co mówiła w szpitalu w Pittsburghu, gdzie ją przepytowano na temat ewentualnego długo trwałego molestowania seksualnego, oraz terapia to były dwie rzeczy, które należało wtedy zrobić.

Rozumiem jednak, że nic takiego nie miało miejsca.

- Rodzice absolutnie nie chcieli wyrazić na to zgody - potwierdził Carpenter.

- Do żadnej terapii nie doszło.

- To typowy sposób myślenia sprzed piętnastu lat: udawać, że nic się nie stało.

Nie bez znaczenia jest też to, że Kenyonowie byli starszymi rodzicami -

zauważył Donnelly. - Nie byłoby źle, gdyby udało się nakłonić Laurie, aby przyjechała tutaj i poddała się leczeniu. Powie działałbym nawet, że im wcześniej, tym lepiej.

- Coś mi mówi, że to nie najłatwiejsze zadanie. Sara musiała ją błagać, żeby przyszła do mnie.

- Jeśli będzie się opierać, chciałbym przynajmniej porozmawiać z jej siostrą. Dobrze byłoby, gdyby zwracała uwagę na przejawy nie -

normalnego zachowania Laurie i oczywiście pod żadnym warunkiem nie podejmować tematu samobójstwa.

Dwaj psychiatrzy zbliżyli się do drzwi. W poczekalni ciemnowłosa nastolatka wyglądała ponuro przez okno. Jej ręce pokrywały bandaże. Ledwie słyszalnym głosem Donnelly dodał:

- Powinien pan to potraktować niezwykle poważnie. Pacjenci, którzy doświadczyli stanów traumatycznych w dzieciństwie, bardzo często próbują wyrządzić sobie krzywdę.

Tego wieczoru, gdy Sara wróciła po pracy do domu, korespondencja leżała schludnie ułożona na stoliku w holu. Po pogrzebie pra cująca u Kenyonów od lat gospodyni, Sophie, zaproponowała, że zamiast codziennie, będzie przychodziła co drugi dzień.

-Teraz nie będę potrzebna tak jak poprzednio, Saro, a robię się coraz starsza.

Poniedziałek pozostał jednym z tych dni, kiedy przychodziła. Dla tego poczta była posegregowana, dom pachniał przyjemnie emulsją do polerowania mebli, okna były zasłonięte, a rozproszone światło lamp i kinkietów już od progu zapraszająco rozjaśniało parter.

Powrót do tego pustego miejsca był dla Sary najtrudniejszym momentem dnia.

Przed wypadkiem, kiedy miała przyjechać, rodzice czekali na nią z podwieczorkiem.

Teraz zagryzła wargi i odpędziła wspomnienia. Na wierzchu ster ty leżał list z Anglii. Rozerwała kopertę. Na pewno od Gregga Ben-netta. Przeczytała list najpierw szybko, potem jeszcze raz, powoli. Gregg właśnie dowiedział się o wypadku. Poruszyło ją to, w jaki sposób wyrażał swoje współczucie. Pisał o szacunku wobec Johna i Marie Kenyonów, o wspaniałej atmosferze podczas wizyt w ich domu i o tym, jak ciężko musi być teraz jej i Laurie.

Zakończenie listu brzmiało niepokojąco:

Saro, próbowałem porozmawiać z Laurie przez telefon. Gdy odebrała, wydawała się bardzo przygnębiona. Potem zaczęła krzyczeć coś jakby „nie chcę, nie chcę” i rozłączyła się. Bardzo się o nią martwię. Ona jest taka wrażliwa. Wiem, że się nią na pewno opiekujesz, ale proszę Cię o ostrożność. Wracam do Clinton w styczniu i chciałbym się wtedy z Tobą zobaczyć. Pozdrawiam i ucałuj tę dziewczynę ode mnie. Gregg.

Drżały jej ręce, kiedy przenosiła pocztę do biblioteki. Jutro za dzwoni do doktora Carpentera i przeczyta mu list Gregga. Wiedziała, że Laurie dostała jakieś leki antydepresyjne, ale czyje bierze? Zauważyła, że na automatycznej sekretarce nagrana jest wiadomość. Dzwonił doktor Carpenter, zostawiając swój domowy numer.

Natychmiast sięgnęła po słuchawkę. Opowiedziała doktorowi o liście Gregga.

Potem słuchała przestraszona i zaszokowana jego ostrożnych wyjaśnień, dlaczego widział się z doktorem Donnellym w Nowym Jorku i z jakiego powodu wydaje mu się konieczne, żeby i ona spotka ła się z nim jak najszybciej. Podał jej numer do gabinetu Donnelly'ego. Kiedy połączyła się z jego automatyczną sekretarką, nie mogła opanować głosu i musiała dwa razy powtarzać swój numer telefonu.

Sophie zostawiła jej upieczonego kurczaka i sałatę. Sara bez ape tytu dłubała widelcem w talerzu. Gardło miała ściśnięte. Robiła właśnie kawę, gdy oddzwonił doktor Donnelly. Pierwszy dzień miał już zajęty, ale mógł spotkać się z nią nazajutrz o szóstej wieczorem. Rozłączyła się, przeczytała jeszcze raz list Gregga i nagle w poczuciu nie odpartej konieczności wykręciła numer Laurie. Nie było odpowiedzi. Próbowwała co pół godziny, aż do dwudziestej trzeciej, gdy usłyszała, że ktoś podnosi słuchawkę.

- Halo - zabrzmiał pogodny głos Laurie.

Rozmawiały przez kilka minut; w pewnym momencie Laurie po wiedziała:

- Ależ jestem głupia. Po kolacji walnęłam się na łóżko z tekstem, który mam jutro referować, i zasnęłam. I teraz będę musiała harować po nocy.

W poniedziałkowy wieczór o jedenastej profesor Allan Grant wyciągnął się na łóżku i zapalił nocną lampkę. Rozsunął nieco długie okno sypialni, ale i tak czuł, że jest mu jeszcze za gorąco. Jego żona Karen powtarzała zawsze, że w poprzednim wcieleniu musiał być niedźwiedziem polarnym. Ona sama nie znosiła zimnej sypialni. Nie zdarza się jednak zbyt często okazja, żeby sobie pożartować na ten temat, myślał, odrzucając koc i opuszczając stopy na dywan.

Przez ostatnie trzy lata Karen pracowała w biurze podróży w Madison Arms Hotel na Manhattanie. Z początku zostawała na noc w Nowym Jorku tylko od czasu do czasu. Potem coraz częściej dzwoniła do Allana późnym popołudniem, wyjaśniając:

- Kochanie, mamy tu urwanie głowy, a ja jeszcze muszę przejrzeć stosy papierów. Możesz jakoś sam sobie poradzić?

Radził sobie przez trzydzieści cztery lata, zanim się poznali sześć lat temu podczas podróży po Włoszech. Nie było mu zbyt trudno wrócić do wcześniejszego trybu życia, odkąd Karen wynajęła apartament w hotelu, gdzie mieszkała w nim przez większą część tygodnia. Do domu przyjeżdżała tylko na weekendy.

Grant wstał z łóżka i otworzył szerzej okno. Kotary zafalowały, poruszone podmuchem chłodnego powietrza. Ruszył z powrotem w stronę posłania, ale nagle zawahał się i zawrócił w połowie drogi. Zmienił zdanie; poczuł, że nie ma mowy o tym, żeby teraz zasnął. Do jego gabinetu przyszedł dzisiaj po raz kolejny dziwny list. Kim, u diabła, jest Leona? Nie miał nigdy studentki o takim imieniu.

Stylizowany na ranczo dom był całkiem spory. Allan kupił go, za nim jeszcze pobrali się z Karen. Na początku, kiedy zaczęła w nim bywać, bawiło ją przyozdabianie wnętrza i zastępowanie zniszczonych czy niemodnych już mebli nowymi, ale teraz mieszkanie znowu wyglądało tak, jak w jego kawalerskich czasach.

Kręcąc głową i wyplątując się ze spodni od pizamy, które zawsze owijały mu się wokół łydek, Grant przeszedł wzdłuż holu pomiędzy gościnnymi sypialniami, minął kuchnię, pokój dzienny i jadalnię i do tarł do swojej pracowni. Zapalił górne światło. Po chwili szperania odszukał klucz od górnej szuflady biurka, otworzył ją, wyjął listy i zaczął po raz kolejny je odczytywać.

Pierwszy dostał dwa tygodnie temu:

Allanie, najdroższy. Wciąż myślę o tych wspaniałych godzinach, które spędziliśmy razem ostatniej nocy. Nie potrafię uwierzyć, że nie zawsze byliśmy tak szaleńczo zakochani w sobie, lecz przecież żadna przeszłość już się dla nas nie liczy. Czyż nie? Czy wiesz, jak trudno mi powstrzymać się od tego, żeby wejść na dach i krzyknąć, że szaleję za Tobą? Wiem, że Ty czujesz to samo. Musimy ukrywać fakt, czym jesteśmy dla siebie. Rozumiem to. Po prostu kochaj mnie dalej i pragnij tak,

jak teraz. Leona.

Wszystkie listy zostały napisane w podobnym stylu. Przychodziły codziennie i w każdym była mowa o szaleńczych scenach miłosnych w jego gabinecie na uczelni lub w mieszkaniu.

Prowadził u siebie w domu tyle nieformalnych zajęć, że trudno by łąby nawet powiedzieć, ilu studentów zna wygląd tego miejsca. W nie których listach znajdowały się wzmianki o wytartym, brązowym, skórzanym fotelu w pracowni. Ale ani razu nie został w tym domu sam na sam ze studentką. Nie był aż tak głupi.

Grant z uwagą studiował listy. Na pewno były pisane na starej maszynie.

Czcionki „o” i „w” nosiły ślad uszkodzenia. Przejrzał prace swoich studentów, ale do napisania żadnej z nich nie użyto takiej maszyny.

Nabazgranego podpisu także nie dało się rozpoznać.

Po raz kolejny wahał się, czy pokazać te listy Karen i przełożonym. Nie potrafił przewidzieć reakcji żony. Nie chciał jej urazić. Nie chciał też, żeby czuła się zmuszona porzucić pracę i zostać w domu. Może kilka lat temu tak, ale nie teraz. Teraz bowiem musiał podjąć pewną bardzo ważną decyzję.

Postanowił, że dziekana do spraw studenckich wtajemniczy w sprawę listów dopiero w chwili, gdy dowie się, kto je do niego pisze. Ale problem w tym, że trop nie prowadzi do nikogo, a jeśli ktoś z władz uczelni uwierzy, że w listach jest choć ziarno prawdy, to on będzie mógł się pożegnać z dalszą pracą w college'u.

Przeczytał listy jeszcze raz, zwracając uwagę, czy styl, frazy i zwroty nie przypominają sposobu pisanego kogoś, kogo uczy. Nic. W końcu włożył

wszystko z powrotem do szuflady, zamknął ją, przeciągnął się i poczuł, że jest śmiertelnie zmęczony. I zmarznięty. Co innego spać w chłodnym pokoju pod ciepłym kocem, a co innego siedzieć w przeciągu w bawełnianej piżamie. I skąd właściwie, do cholery, ten przeciąg?

Karen zawsze zaciągała zasłony, kiedy była w domu, ale on nie zwracał sobie tym głowy. Zauważył, że oszklone drzwi na taras nie są zasunięte do końca.

Były ciężkie, powoli przetaczały się po szynach. Prawdopodobnie nie zamknął ich dokładnie, kiedy przedtem przez nie przechodził. Za mek też wiecznie sprawiał kłopoty. Co drugi raz nie zaskakiwał. Grant podszedł do szklanej tafli, dopchnął ją do końca i przekręcił zamek, nie sprawdzając, czy dobrze zaskoczył. Zgasił światło i wrócił do łóżka.

Wśliznął się pod kołdrę w porządnie wychłodzonej sypialni, zamknął oczy i wkrótce zasnął. W najśmielszych snach nie mógłby sobie wyobrazić, że jeszcze pół godziny temu szczupła dziewczyna o długich blond włosach leżała zwinięta w kłębek na jego brązowym skórzanym fotelu i wymknęła się natychmiast, kiedy usłyszała jego kroki.

Pięćdziesięcioletni prywatny detektyw Daniel O'Toole był znany w New Jersey jako Danny Łowca Niewiernych Małżonków. Wbrew wyglądowi człowieka, który nie stroni od alkoholu, i odżywkom w stylu „cześć chłopie, jak leci” cieszył się opinią dobrego fachowca, sumiennego i dyskretnego w zdobywaniu informacji.

Danny przywykł do tego, że ludzie, wynajmując go do śledzenia niewiernych mężów lub żon, używają fałszywych nazwisk. Nie prze szkadzało mu to. Tak długo, jak otrzymywał kolejne zlecenia i zapłatę na czas, jego klienci mogli się nazywać, jak tylko chcieli.

Mimo to nawet jego zadziwiło zadanie, które otrzymał we wtorek rano. Do jego biura w Hackensack zadzwoniła kobieta, która przed stawiała się jako Jane Graves. Zasugerowała, że chodzi o ewentualny proces o odszkodowanie, i powiedziała, że chce go zaangażować do śledzenia poczynań sióstr Kenyon.

Czy starsza siostra pracuje w swoim zawodzie? Czy młodsza wróciła już do college'u, żeby kontynuować studia? Czy często przyjeżdża do domu? Jak się zachowują po śmierci rodziców? Czy widoczne są u nich jakieś oznaki załamania? I bardzo ważna sprawa: czy młodsza z sióstr kontaktuje się z psychiatrą?

Danny wyczuwał tu coś dziwnego. Sarę Kenyon widział kilka razy w sądzie.

Wypadek, w którym zginęli jej rodzice, został spowodowany przez pędzący autobus z uszkodzonymi hamulcami. Całkiem możliwe było, że wytoczono sprawę przeciwko firmie autobusowej, ale towarzystwa ubezpieczeniowe zatrudniają zwykle własnych detektywów. Ale cóż, mimo wszystko praca jest pracą, a w dodatku z powodu recesji interes rozwodowy nie szedł najlepiej.

Trudno odmawiać, jeśli się nie ma w czym przebierać.

Podjmując grę, Danny zadzwonił. Podwoił zwykłą stawkę i usłyszał w odpowiedzi, że czek zostanie wysłany natychmiast. Otrzymał również instrukcję, żeby swoje raporty i przyszłe rachunki przesyłał na numer prywatnej skrytki pocztowej w Nowym Jorku.

Uśmiechając się do siebie, odłożył słuchawkę na miejsce.

We wtorek wieczorem Sara prosto z pracy pojechała do Nowego Jorku.

Dotarła na spotkanie z doktorem Justinem Donnellym punktualnie o szóstej.

Jednak kiedy wchodziła do sekretariatu, on właśnie gdzieś wybiegał.

Usprawiedliwiał się krótko, wyjaśniając, że został wezwany do na głębo przypadku, i poprosił, żeby zaczekała. Zdążyła tylko zauważyć, że jest wysoki i barczysty, ma ciemne włosy i łagodne niebieskie oczy - i już go nie było.

Sekretarka poszła niebawem do domu. Telefony nie dzwoniły. Sa ra przez dziesięć minut przeglądała magazyny, nic jednak nie zdołało jej zainteresować, więc odłożyła je i pogrążyła się w myślach.

Było po siódmej, kiedy wrócił doktor Donnelly.

- Bardzo mi przykro - powiedział po prostu, zapraszając ją do gabinetu.

Sara uśmiechnęła się słabo w odpowiedzi, próbując zignorować skręcający ją głód i wprost niewątpliwe początki migreny. Minęło wiele czasu od południa, kiedy przełknęła kanapkę z razowca z szynką i kawę.

Donnelly wskazał jej krzesło naprzeciwko biurka. Usiadła, zauważając, że lekarz przygląda się jej uważnie. Od razu przeszła do sedna.

- Doktorze Donnelly, posłałam swoją sekretarkę do biblioteki, żeby zrobiła ksero materiałów na temat rozszczepienia osobowości. Wiedziałam o tej sprawie niewiele, ale to, co dzisiaj przeczytałam, przeraziło mnie.

Słuchał, nic nie mówiąc.

- Jeśli dobrze zrozumiałam, podstawową przyczyną tej choroby jest uraz psychiczny, którego doznało się w dzieciństwie. Najczęściej jest to sprawa długotrwałego molestowania seksualnego. Czy mam rację?

- Tak.

- Laurie rzeczywiście doznała bardzo poważnego urazu. Porwano ją i przetrzymywano z dala od domu przez dwa lata, gdy była jeszcze małym dzieckiem. Lekarze, którzy badali ją po odnalezieniu, uważali, że była molestowana.

- Czy mogę się do pani zwracać po imieniu? - zapytał.

- Oczywiście.

- Zatem po kolei, Saro. Osobowość Laurie uległa rozszczepieniu prawdopodobnie w czasie jej porwania. Jeśli przyjmiemy, że ją molestowano, łatwo możemy sobie wyobrazić, jak bardzo musiała być przerażona. Mała ludzka istota nie była w stanie udźwignąć tego wszystkiego, co ją spotkało.

Właśnie w tym momencie nastąpiło coś w rodzaju rozszczepienia jaźni. Z

punktu widzenia psychologii Laurie jako dziecko, które znałaś, znikła, pogrążona w swoim bólu i strachu, a jej miejsce zajęły inne, tworzące się wówczas osobowości; miały one pośpieszyć jej na pomoc. To one właśnie zachowały pamięć

o tamtym czasie. Wygląda na to, że te inne osobowości odezwały się ponownie dopiero ostatnio. Jeśli dobrze zrozumiałem, po odnalezieniu Laurie w wieku sześciu lat stopniowo udało się dziewczynce powrócić do siebie samej sprzed porwania; męczył ją jednak powracający koszmar

senny. Śmierć rodziców to kolejne straszliwe doświadczenie w jej życiu. Doktor Carpenter zauważył u Laurie podczas ostatnich sesji wyraźne zmiany osobowościowe.

Skontaktował się ze mną tak szybko, ponieważ obawiał się, że Laurie może myśleć o samobójstwie.

- Nie powiedział mi tego. - Sara poczuła suchość w ustach. - Laurie jest w depresji, oczywiście, ale... O Boże, chyba nie myśli pan, że to możliwe?

- Saro, czy mogłabyś nakłonić siostrę do spotkania ze mną? Pokręciła głową.

- Dużo wysiłku wymaga nawet przekonanie ją do wizyt u doktora Carpentera.

Moi rodzice byli wspaniałymi ludźmi, ale nie korzystali z pomocy psychiatrów. Matka miała zwyczaj cytować swego wykładowcę z college'u, który uważał, że istnieją trzy typy ludzi: ci, którzy poddają się psychoterapii, gdy są w stresie, ci, którzy omawiają swoje problemy z przyjacielem, taksówkarzem czy barmanem, oraz ci, którzy sami radzą sobie ze swoimi kłopotami. Był przekonany, że bez względu na wybraną metodę poprawa samopoczucia jest taka sama i dotyczy tego samego procenta przypadków.

Laurie dorastała, słuchając tej opinii.

Justin Donnelly uśmiechnął się.

- Przypuszczam, że wciąż dzielą sporo osób.

- Wiem, że Laurie potrzebuje profesjonalnej pomocy - powiedziała Sara.

Kłopot w tym, że nie chce otworzyć się przed doktorem Carpenterem. Tak jakby bała się tego, czego mógłby się o niej dowiedzieć.

- W tej sytuacji, to znaczy skoro nie bardzo udaje się praca z nią samą, ważne jest, aby robić wszystko inne, co tylko można. Przestudiowałem ponownie jej kartę i poczyniłem sporo notatek.

Około ósmej doktor Donnelly, zauważywszy zmęczenie na twarzy Sary, powiedział:

- Poprzestaniemy na razie na tym miejscu, Saro. Proszę cię, abyś zwracała szczególną uwagę na to, co może się odnosić do planów samobójczych; nawet jeśli coś ci się wyda niezbyt ważne, natychmiast informuj o tym doktora Carpentera lub mnie. Mówię teraz absolutnie szczerze. Chętnie zajmę się przypadkiem Laurie. Moja praca polega na badaniu rozszczepienia osobowości i rzadko zdarza się sytuacja, bym miał do czynienia z pacjentami, u których te inne osobowości dopiero się wyłaniają. Zamierzam poroźmawiać o Laurie z doktorem Carpenterem po kilku ich następnych sesjach. Jeśli nie nastąpi jakiś radykalny przełom, obawiam się, że będziemy potrzebować od ciebie więcej informacji na temat siostry. Bądź bardzo czujna.

Sara wahała się przez chwilę, ale w końcu zapytała:

- Doktorze, czy chodzi o to, że dopóki Laurie nie odblokuje wspomnień ze swoich utraconych lat,

nigdy nie będzie zdrowa?

- Dam ci obrazowy przykład, Saro. Moja matka kiedyś odłamała sobie paznokieć do żywego mięsa i w krótkim czasie wdała się tam infekcja. Kilka dni później cały palec spuchł i pulsował. Matka postanowiła leczyć go sama, ponieważ bała się zabiegu chirurgicznego. Gdy wreszcie zdecydowała się pójść na pogotowie, miała czerwoną pręgę na ramieniu i była o włos od zakażenia krwi. Zignorowała sygnały ostrzegawcze, ponieważ bała się bólu związanego z operacją. Rozumiesz?

- A u Laurie można dostrzec sygnały ostrzegające przed infekcją psychiczną, czy tak?

-Tak.

Szli korytarzem do drzwi frontowych. Strażnik wypuścił ich na ze wnątrz. Nie było wiatru, w wieczornym październikowym powietrzu dawał się jednak wyczuć zimny podmuch. Sara podała doktorowi rękę na pożegnanie.

- Czy twój samochód stoi gdzieś w pobliżu? - zapytał Donnelly.

- Tak, to cud, ale znalazłam miejsce na parkingu tuż pod budynkiem.

Odprowadził ją do wozu.

- Będziemy w kontakcie.

Co za miły facet, myślała Sara, odjeżdżając. Próbowwała zanalizować swoje własne odczucia. Jeśli nawet martwiła się o Laurie bardziej niż przed spotkaniem z doktorem, to ostatecznie miała też poczucie, że można jej naprawdę pomóc.

Jechała wzdłuż Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy, mijając Madison i parkowe aleje, przed sobą mając FDR Drive. W okolicach Lexington Avenue pod wpływem impulsu skręciła w prawo w kierunku mia sta. Czuła się wygłodzona, a restauracja U Nicoli znajdowała się tylko kilka przecznic stąd.

Dziesięć minut później siedziała już przy stoliku.

- Jezu, wspaniale cię znowu widzieć, Saro - powitał ją Lou, kelner pracujący od wieków w tym lokalu.

Restauracja miała przytulne wnętrze, a wspaniały widok parują cych dań, wynoszonych z kuchni, podniósł Sarę na duchu.

- Już wiem, co chcę zamówić, Lou.

- Szparagi w sosie winegret, makaron w białym mięczakowym sosie, woda mineralna, kieliszek wina
- wyrecytował.

- Zgadłeś.

Sięgnęła do koszyka z pieczywem po ciepłą, chrupiącą bułeczkę. Dziesięć minut później, właśnie gdy dostała szparagi, ktoś usiadł przy stoliku po jej lewej ręce. Usłyszała znajomy głos, mówiący:

- Doskonale, Lou. Dziękuję. Umieram z głodu.

Sara rzuciła krótkie spojrzenie w tamtą stronę i zorientowała się, że wpatruje się w zaskoczoną, a po chwili rozpromienioną twarz doktora Justina Donnelly'ego.

Siedemdziesięcioośmioletni Rutland Garrison już od dzieciństwa wiedział, że jest powołany do służby. W 1947 roku poczuł, że powinien zbadać potencjalną siłę telewizji i przekonał stację Dumont w Nowym Jorku, by w niedzielne poranki przeznaczyła czas na godzinną audycję religijną „Kościoła Przesłany”. Od tej chwili zaczął głosić słowo Boże.

Teraz powoli serce zaczynało mu odmawiać posłuszeństwa i lekarz zalecił mu jak najszybsze przejście na emeryturę.

- Zrobił pan już w swoim życiu tyle, że starczyłoby dla kilku innych osób, wielbny ojciec Garrison - powiedział. - Zbudował pan szkołę biblijną, szpital, domy opieki, domy dla emerytów. Teraz niech pan coś zrobi dla siebie.

Garrison lepiej od innych zdawał sobie sprawę, jak wielkie sumy mogłyby trafić *po jego* odejściu nie tam, gdzie są najbardziej potrzebne, tylko do niepowołanych kieszeni. Nie miał zamiaru pozwolić, żeby jego posługa religijna przeszła teraz w czyjeś chciwe ręce.

Ale wiedział zarazem, że specyfika telewizyjna wymaga na ambo nie człowieka, który potrafiłby nie tylko dawać natchnienie i przewozić swoją trzódce, ale też głosić dobre, poruszające do głębi kazania.

- Musimy wybrać człowieka umiejącego zrobić show, ale nie showmana -

ostrzegali członków rady Kościoła Przesłany.

Pomimo to pod koniec października, po trzecim gościnnym występie wielbego Bobby'ego Hawkinsa jako kaznodziei, rada głosowała za tym, aby zaprosić go do objęcia ambony. Garrison miał prawo weta wobec tej decyzji.

- Nie jestem przekonany co do tego człowieka - mówił gniewnym głosem. -

Wyczuwam w nim coś, co mnie niepokoi. Nie ma powodu, żeby się spieszyć z podpisaniem umowy.

- On posiada zdolności mesjanistyczne - zaprotestował jeden z członków rady.

- Sam Mesjasz uprzedzał nas, byśmy się obawiali fałszywych proroków. -

Rutland Garrison odczytał z nieco poirytowanych spojrzeń otaczających go ludzi, że uważają jego zastrzeżenia za przejaw niechęci do odejścia na emeryturę. Poddał się zatem. - Róbcie, co chcecie - powiedział zmęczonym głosem. - Ja idę do domu.

Tej nocy wielbny Rutland Garrison zmarł we śnie.

Od czasu ostatniej wizyty w Nowym Jorku Bic czuł irytację.

- Ten stary facet coś do mnie ma - mówił do Opal. - Nie może przeżyć, że wszystkie listy i telefony, jakie teraz dostaje telewizja, do tyczą mnie.

Zadzwoiłem do jednego z członków rady, żeby się do wiedzieć, dlaczego nie mam dotąd żadnej wiadomości, i dowiedziałem się, że powodem są sprzeciwy Garrisona.

- Może lepiej, żebyśmy zostali tutaj, w Georgii, Bic - zasugerowała Opal, ale zaraz odwróciła wzrok, widząc jego pogardliwe spojrzenie. Siedziała w jadalni przy stole, na którym piętrzyły się stosy kopert.

- Jak ofiary w tym tygodniu?

- Bardzo dobrze.

Co czwartek w trakcie swojego programu w lokalnej telewizji i podczas spotkań Bic wzywał do składania datków na cele dobro czynne w różnych punktach kuli ziemskiej. Tylko on i Opal mieli prawa dysponować tymi pieniędzmi.

- Nie da się tego porównać z forszą, jaka nadchodzi dla Kościoła Przeswory wtedy, kiedy ja wygłaszam kazanie.

28 października zadzwonił telefon z Nowego Jorku. Gdy Bic odłó żył

słuchawkę i spojrział na Opal, jego twarz i oczy wprost jaśniały.

- Garrison zmarł w nocy. Proszę, żebym został pastorem Kościoła Przeswory. Mamy się jak najszybciej przeprowadzić do Nowego Jorku.

Proponują nam mieszkanie w hotelu Wyndham, dopóki nie znajdziemy jakiegoś stałego lokum.

Opal zerwała się, aby do niego podbiec, ale coś ją powstrzymało. Jedno spojrzenie na twarz Bica ostrzegło ją, że lepiej zostawić go w spokoju. Wszedł

do swego gabinetu i zamknął drzwi. Kilka chwil później usłyszała ciche dźwięki muzyki i wiedziała, że znowu wyciągnął pozytywkę Lee. Podeszła na palcach do drzwi i usłyszała, jak cieniutkie gło siki śpiewają: „Dokoła miasta... Chłopcy i dziewczynki razem...”.

Coraz trudniej przychodziło Sarze nie pokazywać po sobie, jak bardzo lęka się o Laurie, odkąd ta przestała przyznawać się jej i doktorowi Carpenterowi, kiedy ma sny o nożu. A Laurie uznała po prostu, że nie ma sensu opowiadać o tym. Nikt, nawet Sara, nie mógł zrozumieć, że nóż jest coraz bliżej.

Doktor Carpenter chciał jej pomóc, ale musiała uważać. Czasami godzina z nim mijała tak prędko.

Wydawało jej się zawsze potem, że powiedziała mu o czymś, czego później nie mogła sobie przypomnieć.

Bez przerwy czuła zmęczenie. Mimo że prawie każdej nocy została u siebie i uczyła się, ciągle musiała walczyć, żeby nadążyć z zadanymi pracami.

Czasami znajdowała je na stole już skończone i nie mogła sobie przypomnieć, kiedy się z nimi uporała.

Przez głowę przelatywały jej setki głośnych myśli, jakby grupa ludzi wołała w pomieszczeniu z echem. Jeden z głosów mówił jej, że jest

głupim mazgajem, który sprawia ludziom same kłopoty i że powinna przestać gadać z doktorem Carpenterem. W inne dni słyszała w swojej głowie małą płaczącą dziewczynkę. Dziewczynka czasami płakała bardzo cichutko, czasami łkała i zanosila się głośnym szlochem. Słyszała też kobietę, która mówiła niskim, matowym głosem, jak gwiazda porno.

Weekendy były bardzo ciężkie. W ich wielkim domu panowała głucha cisza.

Nie chciała nigdy zostawać w nim sama. Z zadowoleniem przyjęła fakt, że Sara zgłosiła go do agencji sprzedaży nieruchomości.

Czuła się sobą jedynie podczas gry z Sarą w golfa albo na obiedzie czy imprezie z przyjaciółmi. Przypomniło jej się, jak grywała kiedyś z Greggiem. Tęskniła za nim boleśnie, ale teraz bała się go tak bardzo, że strach wymazał całą miłość. Zamierała na myśl o powrocie Gregga do college'u w styczniu.

Doktor Donnelly wywnioskował po spotkaniu z doktorem Carpenterem, że Sara Kenyon należy do wyjątkowo silnych kobiet, ale na pewno nie był

przygotowany na wrażenie, jakie dziewczyna na nim zrobi podczas ich pierwszej rozmowy. Siedziała tamtego wieczoru po drugiej stronie jego biurka, urocza w swoim skupieniu. Tylko wyraz jej oczu zdradzał smutek i lęk, jakich doświadczała. Jej suknia z ciemnoniebieskiego tweedu, w świetnym gatunku, a zarazem nierzucająca się w oczy, przypomniła mu, że noszenie stonowanych kolorów przez osoby w żałobie uznawano niegdyś powszechnie za stosowny sposób zachowania. Zrobiło na nim wrażenie to, jak błyskawicznie zareagowała Sara na podejrzenie, że jej siostra cierpi na rozszczepienie osobowości, i fakt, że sama postanowiła zebrać jakieś informacje na ten temat jeszcze przed spotkaniem z nim. Podziwiał

inteligencję i zrozumienie, z jakimi podchodziła do psychicznych urazów swojej siostry.

Gdy odprowadzał ją do samochodu, na końcu języka miał zaproszenie na kolację. Potem wybrał się do restauracji i okazało się, że ona też tam jest.

Wyglądała na zadowoloną z tego, że go widzi, więc całkiem zwyczajnie i naturalnie przysiadł się do niej, odstępując swój stolik parze, która weszła zaraz po nim.

To Sara nadawała ton rozmowie. Uśmiechając się, podsunęła mu koszyk z bułkami.

- Wyobrażam sobie, że lunch je pan, podobnie jak ja, w biegu -powiedziała do niego. - Zaczynam właśnie pracować nad sprawą pewnego morderstwa i cały dzień rozmawiałam dzisiaj ze świadkami.

Opowiadała o swej pracy asystentki prokuratora, potem zρέcznie skierowała rozmowę na jego temat. Wiedziała, że urodził się w Australii. Nad *ossobuco*

Justin zrewanżował jej się opowieścią o swej rodzinie i dorastaniu na owczej farmie.

- Pradziadkowie mego ojca przybyli z Brytanii w kajdanach. Oczywiście, przez lata nikt się tym nie chwalił, ale dzisiaj to powód do du my: mieć przodka, który był więźniem Korony w kolonii karnej. Babcia mojej matki urodziła się w Anglii i jej rodzina przeniosła się do Australii, gdy ona miała zaledwie trzy lata. Babcia tęskniła za Anglią przez całe życie. Pojechała tam dwa razy w latach osiemdziesiątych. Ta nostalgia to jeden z aspektów złożonej australijskiej mentalności.

W czasie gdy pili powoli cappuccino, rozmowa zesła na temat je go wyboru -

Sara chciała wiedzieć, dlaczego poświęcił się leczeniu pacjentów z rozszczepieniem osobowości.

Od tamtego wieczoru Justin rozmawiał z doktorem Carpenterem i Sarą co najmniej raz w tygodniu. Carpenter donosił, że Laurie przejawia coraz mniej chęci do współpracy.

- Symuluje - powiedział Justinowi. - Na pozór przyznaje, że nie powinna się czuć odpowiedzialna za śmierć rodziców, ale ja jej nie wierzę. Rozmowę o nich traktuje jako bezpieczny temat. Same miłe wspomnienia. Gdy zaczyna dopuszczać do głosu emocje, mówi i płacze jak małe dziecko. Wciąż odmawia poddania się testowi na osobowość i testowi Rorschacha.

Sara nie zauważyła żadnych oznak depresji samobójczej u siostry.

- Laurie nie cierpi chodzić w soboty do doktora Carpentera - powiedziała. -

Mówi, że to wyrzucanie pieniędzy i że nie ma nic nienormalnego w tym, że ktoś odczuwa głęboki smutek po stracie rodziców. Ożywia się tylko wtedy, kiedy idziemy do klubu. Miała kilka złych ocen w środku semestru. Poprosiła mnie nawet, żebym do niej nie dzwoniła później niż o ósmej wieczorem, jeśli chciałabym z nią rozmawiać. Twierdzi, że nie chce, aby jej przeszkadzano podczas nauki. Ja jednak myślę, że usiłuje uniknąć kontroli z mojej strony.

Doktor Justin Donnelly postanowił nie mówić Sarze, do jakiego wniosku doszli obaj z doktorem Carpenterem: że zachowanie Laurie to typowa cisza przed burzą. Zamiast tego ponowił prośbę o ciągłą obserwację siostry. Zawsze gdy odkładał słuchawkę po rozmowie z Sarą, łapał się na tym, że oczekuje telefonu od niej z całkowicie nieprofesjonalną niecierpliwością.

Morderstwo, którym Sara zajmowała się w biurze prokuratora, okazało się niezwykle okrutną zbrodnią. Dwudziestosiedmioletnia kobieta, Maureen Mays, została uduszona przez dziewiętnastolatka, który włamał się do jej samochodu na parkingu niedaleko stacji kolejowej.

Ta sprawa dostarczała Sarze potrzebnego zajęcia; dziewczyna mogła się oddać ostatecznym przygotowaniom ze świadomością, że termin rozprawy jest już bliski. W skupieniu skoncentrowana, ślęczała nad zeznaniami świadków, którzy widzieli oskarżonego ukrywającego go się na stacji. Szkoda, że nikt z nich wtedy nic nie zrobił, myślała Sara. Wszyscy przecież mieli wrażenie, że coś z nim nie jest w porządku. Wiedziała, że na sądzie dowody desperackich prób uratowania ofiary przed napastnikiem zrobiłyby duże wrażenie.

Rozprawa miała się rozpocząć drugiego grudnia. Wbrew twierdzeniom adwokata obrony, Connera Marcusa, usiłującego zetrzeć na proch oskarżenie Sary, sprawa nie należała do oczywistych. Udało mu się jednak zręcznymi pytaniami zmusić świadków do przyznania, że na parkingu było ciemno i że nie są pewni, czy oskarżony sam otworzył drzwiczki samochodu, czy może otworzyła je Mays, pozwalając mu wsiąść.

Potem przyszła kolej na Sarę i kiedy ta przejęła przesłuchanie, wszyscy świadkowie zeznali, że gdy James Parker zbliżył się do Maureen Mays, ta zdecydowanie go odepchnęła.

Połączenie ohydy tej zbrodni i skłonności Marcusa do robienia show spowodowały, że media zwały się całym stadem. Ławki dla publiczności zajęto do ostatniego miejsca, a sądowi gracze przyjmowali zakłady, jaki będzie wyrok.

Sara weszła w rytm, który w ciągu pięciu lat pracy stał się jej drugą naturą.

Cała żyła sprawą: stan kontra James Parker.

Laurie zaczęła wracać do college'u po spotkaniach z doktorem Carpenterem w soboty.

- Jesteś taka zapracowana, a i mnie też dobrze robi zajęcie się czymś -

przekonywała Sarę.

- Jak ci idzie z doktorem Carpenterem?

- Zaczynam obwiniać kierowcę autobusu o ten wypadek.

- To dobra wiadomość - odpowiedziała Sara, ale podczas następnego cotygodniowego raportu zwierzyła się doktorowi Donnelly'emu:

- Chciałabym jej wierzyć.

Święto Dziękczynienia spędziły z kuzynami w Connecticut. Było lepiej, niż się Sara spodziewała. W Boże Narodzenie popłynęły na Florydę i wzięły udział w pięciodniowym rejsie po Karaibach. Pływanie w basenie na pokładzie Lido sprawiło, że wszystkie budzące teraz tylko przykre wspomnienia bożonarodzeniowe gdzieś znikły. Sara łapała się na tym, że świąteczna przerwa w pracy już się jej dłuży i że chciałaby wrócić do sprawy.

Laurie spędziła większą część rejsu, czytając w kabinie. Zgłosiła się do referatu podczas zajęć z wiktoriańskiej literatury kobiecej u Allana Granta i chciała się do tego dobrze przygotować. Zabrała

ze sobą sta rą, przenośną maszynę do pisania ich matki, aby robić ewentualne notatki. Ale Sara wiedziała, że pisze na niej także jakieś listy, które wykręca z maszyny i chowa, kiedy tylko ona wchodzi do kabiny. Czy Laurie interesuje się kimś? -

zastanawiała się Sara. Dlaczego tak się z tym kryje?

Ma dwadzieścia jeden lat, upomniała samą siebie. Zajmij się swoimi sprawami.

W dniu Wigilii profesor Allan Grant miał nieprzyjemną scenę ze swoją żoną.

Zapomniał schować klucz od szuflady biurka i Karen znalazła ukryte w niej listy. Domagała się, żeby jej wyjaśnił, dlaczego chowa je przed nią i czemu nie zaniósł ich do administracji college'u, skoro zawierają, jak twierdzi, wyłącznie niedorzeczne zmyślenia. Cierpliwie, a potem coraz mniej cierpliwie tłumaczył żonie: - Karen, nie widziałem powodu, by cię niepokoić.

Jeśli zaś idzie o władze uczelni, nie mam przecież nawet pewności, że pisze to któraś ze studentek, chociaż, rzecz jasna, biorę to pod uwagę. Nie wiadomo też, jak zareaguje dziekan. A może w przeciwieństwie do ciebie zacznie się zastanawiać, ile jest w tym prawdy?

W tygodniu między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem listy przestały przychodzić.

- Kolejny dowód na to, że pochodzą od jakiejś studentki - powiedziała Karen.

- Ale teraz chciałabym nawet, żeby przychodziły, bo stempel na znaczku pocztowym mógłby nam bardzo wiele wyjaśnić.

Karen chciała, żeby spędzili sylwestra w Nowym Jorku. Zostali zaproszeni na przyjęcie w restauracji Rainbow Room.

- Wiesz, że nienawidzę wielkich przyjęć - zaprotestował Grant. - Zresztą Larkinowie zaprosili nas do siebie.

Walter Larkin był dziekanem do spraw studenckich. W sylwestra nadciągnęła śnieżycą. Karen zadzwoniła do męża ze swego biura.

- Kochanie, włącz radio. Odwołano autobusy i pociągi. Jak my ślisz, co powinnam zrobić?

Allan wiedział, jakiej żona się spodziewa odpowiedzi.

- Żebyś tylko nie utknęła na Penny Station albo w autobusie na autostradzie.

Może lepiej zostać w mieście.

- Jesteś pewien, że nie masz nic przeciw temu? Nie miał.

Allan Grant zawarł małżeństwo w absolutnym przekonaniu, że to związek na całe życie. Jego ojciec odszedł od matki, gdy Allan był jeszcze dzieckiem. On postanowił, że nie zrobi tego żadnej kobiecie.

Karen bardzo odpowiadał ich układ. Lubiła mieszkać w Nowym Jorku w ciągu tygodnia, a z mężem spędzać weekendy. Na początku ten układ działał

całkiem nieźle. Allan był przyzwyczajony do samotnego życia i brak towarzystwa mu nie przeszkadzał. Teraz jednak jego niezadowoloność narastała. Karen należała do najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widział. Ubierała się jak modelka. W przeciwieństwie do niego miała talent do interesów i dlatego to właśnie ona zajmowała się wszystkim ich finansami.

Ale jej fizyczna atrakcyjność dawno już przestała się dla niego liczyć. Bawiło go przewidywanie kolejnych, wyłącznie zdroworozsądkowych decyzji, jakie podejmowała Karen.

Co tak naprawdę jeszcze ich łączyło? Allan zadawał sobie to pytanie nie po raz pierwszy, szykując się do wizyty w domu dziekana. Po stanowił jednak odłożyć swój problem na potem. Dziś chciał spędzić miły wieczór z przyjaciółmi. Znał wszystkich, którzy mieli przyjść, a byli to ludzie bardzo atrakcyjni i ciekawi.

Zwłaszcza Vera West, najnowszy członek kadry wykładowców college'u.

28

Na początku stycznia campus Clinton College przypominał kryształowy pałac. Olbrzymie ilości śniegu, który spadł w sylwestra, inspirowały studentów do tworzenia wymyślnych rzeźb ze śniegu. Mroźne powietrze zakonserwowało je w pierwotnym pięknie aż do nadejścia ocieplenia i niespotykanego o tej porze roku deszczu.

Teraz na rozmokłej brązowej trawie leżały już tylko żałosne, małe łaty śniegu.

Resztki rzeźb wyglądały groteskowo w na pół rozpuszczonym stanie.

Poegzaminacyjna euforia minęła i w salach wykładów sprawy zaczęły toczyć się normalnym trybem.

Laurie przeszła szybko przez campus do biura profesora Allana Granta.

Wcisnęła ręce w kieszenie narciarskiej kurtki, którą narzuciła na sweter i dzinsy. Włosy ściągnęła z tyłu w koński ogon. Przygotowując się do tego spotkania, najpierw sięgnęła po cień do powiek i kredkę do ust, ale potem starła makijaż.

„Nie próbuj się oszukiwać. Jesteś brzydka”.

Głosy przemawiały do niej coraz częściej. Laurie przyspieszyła kroku, jakby zamierzała przed nimi uciec. „Laurie, to wszystko twoja wina. Także to, co się stało, gdy byłaś mała”.

Laurie miała nadzieję, że nie wypadła najgorzej podczas pierwszego kolokwium z autorów epoki wiktoriańskiej. Do tego roku miała zawsze dobre stopnie, ale teraz czuła się jak na huśtawce. Czasami udawało jej się dostać 5

albo 4+ za wypracowanie. Innym razem ma teeriał wydawał się Laurie kompletnie nowy i wiedziała, że świadczy to ojej nieuwadze na wcześniejszych zajęciach. A potem znajdowała notatki, o których nie pamiętała, że je w ogóle robiła.

Gregg. Zobaczyła go nagle. Przechodził przez jezdnię pomiędzy dwo ma akademikami. Zadzwoił do niej po powrocie z Anglii w zeszłym ty godniu.

Nakrzyczała na niego, żeby dał jej spokój, i rzuciła słuchawkę.

Nie zauważył jej. Przebyła biegiem ostatni odcinek drogi do bu dynku.

Na szczęście korytarz był pusty. Na chwilę oparła głowę o ścianę, jakby ją chciała ochłodzić. „Tchórz!”.

Nie jestem tchórzem, pomyślała natychmiast. Wyprostowała ramiona i rozpogodziła twarz. Grupki młodych ludzi zaczęły właśnie opuszczać gabinet Allana Granta.

Zapukała w uchylone drzwi. Miłe ciepło i wrażenie jakiejś jasności przeniknęło ją od progu.

- Wejdz, Laurie, bardzo proszę. - Grant zawsze był dla niej bardzo uprzejmy.

Ściany w maleńkim biurze Granta pomalowano na słonecznożół-ty kolor.

Przepelnione półki z książkami wisiały na ścianie z prawej strony okna. Długi stół dźwigał różne publikacje i prace studenckie. Błat biurka był up rzątnięty, stał na nim tylko telefon, roślina w doniczce i akwarium, w którym pływała samotna złota rybka.

Grant postawił krzesło naprzeciw biurka.

- Siadaj, Laurie.

Miał na sobie ciemnoniebieski sweter, włożony na cienki biały golf. Wygląda trochę jak ksiądz, przemknęło przez głowę Laurie. Trzymał w ręce jej ostatnią pracę, tę o Emily Dickinson.

- Nie podobała się panu? - zapytała z obawą.

- Uważam, że jest świetna. Jednego tylko nie mogę zrozumieć: dlaczego zmieniłaś zdanie na temat Emily.

A więc praca podobała mu się. Laurie uśmiechnęła się z ulgą. Ale co miał na myśli, mówiąc, że zmieniła zdanie?

- Ostatnim razem, kiedy pisałaś o Emily Dickinson, broniłaś jej pustelniczego trybu życia, twierdząc, że jej geniusz mógł ujawnić się tylko dzięki temu, że odsunęła się od kontaktów z otoczeniem. Teraz widzisz w niej pełną strachu neurotyczkę i uważasz, że jej poezja osiągnęłaby o wiele wyższy poziom, gdyby Emily nie tłumiała swych uczuć. Jesteś zdania, że „erotyczna przygoda z jej mentorem i idolem, Charlesem Wordsworthem, zrobiłaby Emily całkiem dobrze”. -Grant uśmiechnął się. -

Czasami też mi to przychodziło do głowy, ale co ciebie skłoniło do zmiany zdania?

No właśnie, co? Laurie znalazła odpowiedź.

- Może mój umysł pracuje podobnie do pańskiego. A może z aczęłam wyobrażać sobie, co by się zdarzyło, gdyby znalazła fizyczne uj ście dla swoich emocji zamiast tylko bać się ich.

Grant skinął głową.

- W porządku. A tych kilka zdań na marginesie... Ty je napisałaś? To nawet nie wyglądało jak jej pismo, ale na niebieskiej okładce widniało imię Laurie. Przytaknęła.

Coś się zmieniło w profesorze Grancie. Na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia, a nawet zmartwienia. Może tylko stara się być dla niej miły?

Pewnie ta praca jest jednak słaba.

Złota rybka pływała powoli, obojętnie.

- Co się stało z innymi? - zapytała Laurie, wskazując akwarium.

- Jakiś żartowniś je przekarmił. Wszystkie zdechły. Laurie, jest coś, o czym chciałbym z tobą pomówić...

- Wolalabym umrzeć z przejeźdenia niż zginąć w wypadku samo chodowym, a pan? Przynajmniej się nie krwawi. Och, przepraszam. O czym chciałby pan rozmawiać?

Allan Grant pokręcił głową.

- O niczym szczególnym. Jest trochę lepiej, czy tak? Wiedziała, o czym profesor myśli.

- Czasami mogę całkiem szczerze zgodzić się z lekarzem, że jeśli w ogóle to była czyjaś wina, to tylko autobusu z zepsutymi hamulca mi, który jechał za szybko. Innym razem nie.

Jakiś głos w jej głowie krzyczał: „Okradłaś swoich rodziców z resztki życia, tak jak kiedyś okradłaś ich z tych dwóch lat, gdy machałaś do przejeżdżającego konduktu pogrzebowego”.

Nie chciała płakać przy profesorze Grancie. Zachowywał się miło, ale każdy może mieć w końcu dość ciągłego podtrzymywania na du chu przez innych.

Wstała.

- Ja... muszę już iść. Chyba że jest coś jeszcze?

Allan Grant odprowadzał Laurie zmartwionym spojrzeniem. Za wcześnie jeszcze na pewno, ale praca kontrolna, którą trzymał w rę ce, dała mu pierwszą solidną poszlakę do identyfikacji tajemniczej autorki listów podpisującej się „Leona”.

W pracy Laurie krył się jakiś zmysłowy motyw, zupełnie niepo do jny do jej zwykłego stylu, a zbliżony właśnie do tonu owych listów. Wydawało mu się, że rozpoznał nawet niektóre nader ekstrawaganckie zdania. To nie był jeszcze dowód, ale on miał przynajmniej teraz jakiś konkretny punkt wyjścia.

Laurie Kenyon wydawała się ostatnią osobą, którą mógłby podejrzewać o pisanie tych listów. Do tej pory jej stosunek do niego był zawsze pełen szacunku uczennicy dla nauczyciela, którego się podziwia i lubi.

Sięgając po kurtkę, Grant postanowił, że nie powie nic o swoich podejrzeniach ani Karen, ani władzom uczelni. Niektóre z listów miały wręcz sprośny charakter. Pytać o nie niewinną osobę wydawało się bardzo kłopotliwe. Zwłaszcza to dziecko, które przeżyło tak straszną tragedię. Zgasił światło i opuścił gabinet.

Obserwowała go zza żywoplotu, gdy szedł. Czuła, że jej paznokcie wbijają się coraz mocniej w dłoń.

Ostatniej nocy ukryła się w pobliżu jego domu po raz kolejny. Jak zwykle, nie zaciągnął kotar i mogła go obserwować przez trzy godziny. Około dziewiętej podgrzał sobie pizzę i zaniósł wraz z piwem do pracowni. Wyciągnął się w starym skórzanym fotelu, zrzucił buty i położył nogi na otomanie.

Czytał biografię George'a Bernarda Shawa. Tak uroczo wyglądał, kiedy przyglądał nieświadomie włosy. Robił tak również czasami w sali gimnastycznej. Kiedy wypił piwo, spojrzął na pustą szklankę. Wzruszył

ramionami, wyszedł do kuchni i wrócił z pełną.

O jedenastej obejrzał „Wiadomości”, a potem zgasił światło i opuścił

pracownię. Wiedziała, że teraz kładzie się do łóżka. Okno w sypialni zawsze zostawiał otwarte, ale, niestety, zaciągał zasłony. Przez długi czas, gdy światło gasło, po prostu odchodziła, ale pewnego razu nacisnęła na klamkę oszklonych rozsuwanych drzwi i odkryła, że zamek nie działa. Teraz wchodziła czasami do środka, zwijała się na skórzanym fotelu i czekała, aż on zawoła: „Hej, kochanie, chodź tu do mnie pod kołdrę. Jestem taki samotny”.

Raz czy dwa zaczekała do momentu, aż zyskała pewność, że zasnął, i wchodziła na palcach do sypialni, żeby na niego popatrzeć. Ostatniej nocy czuła się jednak zmarznięta i bardzo zmęczona, poszła więc do domu zaraz, gdy tylko zgasił światło.

Zmarznięta i bardzo zmęczona. Zmarznięta.

Laurie rozcierała ręce. Zrobiło się ciemno tak nagle. Nie zauważyła, że panuje już taki mrok, gdy wychodziła przed chwilą z biura pro fesora Granta.

- Ridgewood to jedna z najpiękniejszych miejscowości w New Jersey -

objaśniała Betsy Lyons elegancko ubranej kobiecie, która przeglądała razem z nią zdjęcia ofert biura sprzedaży nieruchomości. - Oczywiście ceny są tu nieco wyższe niż gdzie indziej, ale nawet w dzisiejszej sytuacji rynkowej zawiera się w tej okolicy sporo transakcji.

Opal przytaknęła zamyślona. To była jej trzecia wizyta w Lyons Realty.

Opowiedziała z przekonaniem, że mąż przenosi się do Nowego Jorku, a ona dokonuje teraz wstępnego przeglądu domów do kupienia w New Jersey, Connecticut i Westchester.

- Pozwól, żeby nabrała do ciebie zaufania - pouczał ją Bic. - Ci wszyscy agenci od nieruchomości potrafią nieźle obserwować ewentualnego kupca, czy aby nie chce czegoś zwędzić podczas oprowadzania po domach. Od razu mów każdemu, kogo spotkasz, że szukasz czegoś w różnych miejscach, a dopiero potem, po pierwszej lub drugiej wizycie, powiedz, że najbardziej podoba ci się w New Jersey. Za pierwszym razem, gdy tam pojedziesz, zrób zastrzeżenie, że nie myślisz o czymś tak droгим jak Ridgewood. Potem od czasu do czasu rzucaj uwagi typu, że to całkiem miłe miejsce i przecież tak naprawdę właściwie cię na to stać. Na koniec namów tę kobietę, żeby w piątek pokazała ci dom Lee. Odwrócisz wtedy jej uwagę i...

Było wczesne piątkowe popołudnie. Wszystko rozwijało się zgodne z planem. Opal zdobyła zaufanie Betsy Lyons. Nadszedł odpowiedni moment, żeby zobaczyć dom Kenyonów. Pomoc domowa bywała tam tylko w poniedziałki i piątki rano. Teraz już jej nie powinno być. Starsza siostra siedziała całymi dniami w sądzie, zaangażowana w bardzo głośną sprawę.

Jeśli udałoby się teraz pojechać do domu Lee, Opal znalazłaby się tam jedynie z osobą przychodzącą, tak jak ona, z zewnątrz.

Betsy Lyons niedawno przekroczyła sześćdziesiątkę i wciąż mogła uchodzić za atrakcyjną kobietę. Uwielbiała swoją pracę i wykonywała ją dobrze. Nieraz przechwalała się, że potrafi rozpoznać oszustwo na milę.

- Słuchajcie, ja nie marnuję swego czasu - mawiała nowym agentom. - Czas to pieniądz. Nie myślcie, że jeśli ludzie przeważnie nie mogą sobie pozwolić na domy, które chcą oglądać, to waszym zadaniem jest ich stamtąd odciągnąć.

Gdzieś w tle może siedzieć tatuś ze sporą gotówką, ciułaną przez całe życie aż do starości. Z drugiej strony, nie sądzicie, że ludzie, którzy wyglądają tak, jakby mogli zapłacić każdą cenę, są zawsze poważnie zainteresowani.

Niektórzy z nich chcą po prostu wejść do drogiego domu po to, żeby pooglądać wnętrza. I pamiętajcie: takich nigdy nie spuszczać z oczu.

Betsy Lyons polubiła w Carli Hawkins to, że ta zachowywała się jak osoba na poziomie. Natychmiast wyłożyła swoje karty na stół. Pragnęła zmiany miejsca. Nie wybuchła entuzjazmem na widok każdego domu, jaki zobaczyła. Nigdy nie precyzowała, co jej się nie podoba. Niektórzy ludzie robili tak bez względu na to, czy zamierzali dokonać zakupu, czy też nie. „Łazienka jest za mała” - mawiali na przykład. Oczywiście, kochaneczku.

Zawsze przecież miałaś jacuzzi w łazience!

Pani Hawkins zadawała inteligentne pytania dotyczące domu, który wzbudzał

w niej wstępne zainteresowanie. Z pewnością miała pieniądze. Dobry agent nieruchomości potrafi rozpoznać drogie ubrania. Ale najważniejsze, że Betsy przeczuwała świetny interes.

- To jest prawdziwie czarujące miejsce - mówiła, wskazując na zdjęcie ceglanego domu w wiejskim stylu. - Dziewięć pokoi, zbudowany zaledwie cztery lata temu, prawie nowy, wokół wspaniałe krajo-
braz, a do tego dom schowany w cichym zaułku.

Opal udawała zainteresowanie, wczytując się w szczegółowy opis pod zdjęciem.

- To byłoby ciekawe - powiedziała powoli - ale szukajmy dalej. O, a to na przykład? - Wreszcie dotarła do strony ze zdjęciem domu Kenyonów.

- Jeśli zależy pani na naprawdę pięknym, obszernym, komforto wym domu, to ten jest właśnie do kupienia - powiedziała pani Lyons entuzjastycznie. -

Ponad akr terenu, basen, cztery wielkie sypialnie, każda z własną łazienką; pokój dzienny, jadalnia, pokój śniadaniowy, pracownia i biblioteka na parterze. Osiemset stóp powierzchni, sztukaterie, boazerie, parkiety, pokój dla służby.

- Obejrzymy dzisiaj rano oba te domy - zasugerowała Opal. -Więcej nie dam rady z moim kolaniem.

Bic założył jej opatrunek na lewe kolano.

- Powiesz tej agentce, że je sobie zwichnęłaś - instruował ją. - Będzie dla niej rzeczą naturalną zostawić cię samą w kuchni, jeśli jej po wiesz, że musiałaś upuścić swoją rękawiczkę w którejś sypialni na górze.

- Sprawdzę jeszcze ten wiejski dom - powiedziała Lyons. - Właściciele mają małe dzieci i prosili nas, żeby ich uprzedzić telefonicznie o wizycie. Za to do domu Kenyonów możemy pojechać bez uprzedzenia.

Najpierw zatrzymały się przy wiejskim domu. Opal pamiętała, żeby zadać wszystkie potrzebne pytania. Wreszcie ruszyły w drogę do domu Kenyonów.

Powtarzała sobie w myślach wskazania Bica.

- Okropna pogoda, prawda? - powiedziała Betsy Lyons, gdy je chały przez spokojne ulice Ridgewood. - Ale za to miło pomyśleć, że nadchodzi wiosna. Posiadłość Kenyonów ożywa wiosną wśród kwitnących drzew. Proszę sobie wyobrazić dereń i kwitnące wiśnie. Pani Kenyon uwielbiała pracę w ogrodzie i rośliny kwitły u niej trzy razy w roku.

Ktokolwiek przejmie to miejsce, powinien się czuć szczęśliwy.

- Dlaczego wystawiono ten dom na sprzedaż? - Opal wydawało się rzeczą podejrzaną nie zapytać o to. Nie mogła znieść jazdy tą ulicą. To przywołało we wspomnieniach tamte dwa lata. Przypomniła sobie, jak serce jej waliło, gdy skręcali przy różowym narożnym domu. Ten dom był teraz pomalowany na biało.

Betsy Lyons wiedziała, że nie ma sensu próbować ukrywać prawdy. Kłopot w tym, że niektórzy ludzie wolą unikać pechowych domów. Jej motto brzmiało jednak: lepiej powiedzieć wszystko, niż pozwolić klientowi samemu coś wywąchać.

- Mieszkają tu teraz tylko dwie siostry - powiedziała. - Rodzice zginęli w wypadku samochodowym we wrześniu ubiegłego roku. Uderzył w nich autobus na trasie numer siedemdziesiąt osiem. - Celowo podała miejsce wypadku, aby Opal wiedziała, że nie wydarzył się w pobliżu domu.

Skręciły na podjazd. Bic nakazał Opal, żeby starała się zauważyć jak najwięcej szczegółów. Bardzo chciał wiedzieć, w jakim miejscu żyje Lee.

Wysiadły z samochodu i Betsy włożyła klucz do zamka.

- Oto główny hol. Teraz pani widzi, co miałam na myśli, mówiąc o dobrze utrzymanym miejscu. Czyż tu nie pięknie? - zapytała.

Cicho, chciała na to powiedzieć Opal, obchodząc parter. Pokój dzienny znajdował się po lewej stronie. Bardzo wysoki sufit. Wielkie okna. Niebieskie obicia. Ciemna, dobrze wyfroterowana podłoga, a na niej dwa dywany: jeden wielki, o orientalnym wzorze, tuż przy kominku, drugi mały. Opal z trudem hamowała nerwowy śmiech. To z takiego miejsca zabrali Lee na tamtą ponurą farmę. Aż dziwne, że się nie załamała od razu.

W bibliotece wzdłuż ścian wisiały portrety.

- To Kenyonowie - wskazała ręką Betsy Lyons. - Ładna para, nieprawdaz? A to akwarelowe portrety ich córek, gdy jeszcze były małe. Od czasu, gdy Laurie się urodziła, Sara opiekowała się nią jak druga matka. Nie wiem, czy mieszkając w Georgii, miała pani okazję o tym słyszeć, ale...

Słuchając historii o zniknięciu młodszej córki Kenyonów przed siedemnastu laty, Opal czuła, jak jej serce bije coraz szybciej. Na stole stało zdjęcie Lee i jakiejś starszej dziewczynki. Lee miała na sobie różowy kostium kąpielowy, ten sam, w którym ją zabrali. To jakiś obłęd, pomyślała, że spośród tylu zdjęć w ramkach na stole jej wzrok musiał paść akurat na to jedno. Bic miał rację. Musiał istnieć powód, dla którego Bóg wysłał ich tutaj, żeby pilnować teraz Lee.

Postanowiła, że będzie udawała zakatarzoną. Kiedy weszły do sypialni Lee, wyjęła chusteczkę z kieszeni płaszcza i przy okazji dyskretnie upuściła na podłogę rękawiczkę. Nawet gdyby tego nie wiedziała od Betsy Lyons, i tak łatwo dało się poznać, który pokój należy do Lee. W pokoju jej siostry biurko ugięło się od książek prawniczych.

Opal zeszła schodami za Betsy, a potem poprosiła o pokazanie jeszcze raz kuchni.

- Przepiękna - westchnęła. - W ogóle cały ten dom jest jak marzenie. -

Przynajmniej to ostatnie stwierdzenie ma coś wspólnego z prawdą, pomyślała z niejakim rozbawieniem. - No, czuję, że muszę chyba na dziś przerwać oglądanie. Moje kolano mówi mi, że bym już więcej nie chodziła.

Usiadła na jednym z wysokich taboretów.

- Oczywiście. - Betsy Lyons miała coraz silniejsze przeczucie, że transakcja się powiedzie.

Opal sięgnęła do kieszeni płaszcza po rękawiczki i po chw ili zmarszczyła brwi.

- Na pewno miałam obie, kiedy tu wchodziłam. - Sprawdziła drugą kieszeń, z której wyciągnęła chustkę. - O, już wiem. Kiedy wyjmowałam chusteczkę, musiałam razem z nią wyciągnąć rękawiczkę. To było w sypialni z niebieskim dywanem - wyjaśniła i z wyraźnym wysiłkiem zaczęła zsuwać się ze stołka.

- Proszę tutaj poczekać - powiedziała uprzejmie Betsy Lyons. - Pójdę na górę i przyniosę ją pani.

- Doprawdy, jaka pani miła.

Opal zaczęła, aż skrzypienie schodów upewni ją, że pośredniczka dociera już na piętro. Potem zeskoczyła z taboretu i podbiegła do rzędu wiszących na ścianie obok pieca noży o niebieskich rękojeściach. Chwyciła największy i najdłuższy nóż do mięsa i wrzuciła do swej wielkiej torby.

Kiedy Betsy Lyons z triumfalnym uśmiechem na twarzy wróciła do kuchni, trzymając w palcach zgubioną rękawiczkę, Opal siedziała już z powrotem na taborecie i pochyłona masowała sobie kolano.

30

Pierwsza połowa tygodnia minęła szybko i bez specjalnych wydażeń. Sara pracowała przez całą czwartkową noc, szlifując swoją końcową mowę oskarżycielską.

Pełna przejęcia czytała, zaznaczała niektóre fragmenty, przerabiała je lub wstawiała inne. Na małych fiszkach spisywała najważniejsze argumenty, którymi chciała przekonać sąd. Poranne światło zaczęło przenikać do sypialni o siódmej piętnaście, kiedy Sara czytała ostatnie fragmenty przemówienia.

Panie i panowie, pan Marcus to wykwalifikowany i doświadczony obrońca.

Pracował sumiennie nad każdym ze świadków obecnych na stacji tamtej nocy. Z

ich zeznań wynika, że nie było tam normalnego światła dziennego. Z tego, co

powiedzieli, wynika jednak również, że nie było na tyle ciemno, by nie mogli

zobaczyć twarzy Jamesa Parkera. Każdy z nich widział, jak podszedł on na stacji

kolejowej do Maureen Mays i został przez nią odprawiony. Każdy z nich oświadczył także bez wahania, że to James Parker jest osobą, która wdarła się do samochodu Maureen tamtej nocy... Chciałabym powiedzieć, panie ipanowie, że dowody wykazały ponad wszelką wątpliwość, iż James Parker zamordował tę wspaniałą młodą kobietę i na zawsze odebrał ją jej bliskim: mężowi, matce, ojcu i rodzeństwu. Nikt z nas nie potrafi przywrócić jej życia, ale wy, sędziowie przysięgli, możecie zrobić jedno: poddać jej mordercę sprawiedliwemu osądowi.

Uwzględniła wszystkie argumenty. Waga dowodów była nieza przeczalna.

Conner Marcus był jednak najlepszym obrońcą w spra wach kryminalnych, z jakim dotychczas miała do czynienia. A sędziowie byli nieprzewidywalni.

Sara podniosła się i przeciągnęła. Adrenalina, której poziom podczas procesu zawsze podnosił się w jej organizmie, zaczynała niemal wrzeć, gdy ona sięgała do ostatecznych argumentów. Liczyła na to.

Poszła do łazienki i puściła prysznic. Kusiło ją, żeby stanąć pod strumieniem gorącej wody i długo spod niego nie wychodzić. Zwłaszcza w ramionach czuła silny ból. Zamiast tego jednak odkręciła do końca kurek z zimną.

Wzdrygając się, stała w strugach lodowatej wody.

Szybko wytarła się ręcznikiem, włożyła długi aksamitny szlafrok, wsunęła stopy w kapcie i zbiegła na dół zaparzyć sobie kawę. Czeka -

jąc, aż woda przesączy się przez sitko ekspresu, wykonała kilka ćwi czeń rozciągających i rozejrzała się po kuchni. Wyglądało na to, że Betsy Lyons, agentka nieruchomości, chowa w zanadrzu jakąś poważną ofertę. Sara zorientowała się, że sama wciąż ma mieszane uczucia co do sprzedaży.

Zapowiedziała więc Betsy, że w żadnym wypadku nie obniży ceny.

Kawa była gotowa. Sara naląa jej do swego ulubionego kubka, jednego z tych, które otrzymała od grupy detektywów, gdy pracowała jeszcze jako asystent prokuratora do spraw zbrodni na tle seksualnym. Umieścili na nim napis: „Dla Sary, która sprawia, że seks jest tak interesujący”. Jej mamie nie bardzo się ten żart spodobał.

Zaniosła kawę na górę i piła ją małymi łykami, oszczędnie nakładając na twarz szminkę, róż i cień do powiek. Robienie makijażu sta ło się jej nowym porannym rytuałem, a zarazem serdecznym wspomnieniem o matce. Mamo, jeśli nie masz nic przeciwko temu, będę dzisiaj wyglądała jak z pudełeczka, pomyślała. Dobrze wiedziała, że Marie Kenyon spodobałby się na ten dzień wybór szaroniebieskiej wełnianej sukienki.

Jej włosy. Chmura loków... nie, raczej masa kędziorów. Szczotko wała je niecierpliwie. „Słońce wyjdzie dziś...”, zanuciła. Brakuje mi tylko czerwonej sukienki z białym kołnierzykiem i pekińczyka z ko kardą, pomyślała ironicznie.

Sprawdziła swoją aktówkę. Było w niej wszystko, czego potrzebo wała do swojej mowy. To jest to, pomyślała. Zbiegała ze schodów, kiedy usłyszała, jak otwierają się drzwi kuchenne.

- Saro, to ja! - zawołała Sophie. - Wybieram się dzisiaj do dentysty, dlatego pomyślałam, że zacznę trochę wcześniej. Ależ pięknie wyglądasz!

- Dziękuję. Nie musiałaś wcale przychodzić tak rano. Nie uwa żasz, że po tych dziesięciu latach mogłabyś sobie brać wolne, kiedy tylko potrzebujesz?

Obie kobiety uśmiechnęły się do siebie.

Perspektywa sprzedania domu do tego stopnia martwiła Sophie, że wręcz postawiła Sarze swego rodzaju warunek.

- Zaakceptuję to tylko wtedy, jeśli znajdziecie sobie jakieś mieszkanie na tyle blisko, żebym mogła się wami dalej opiekować.

Tego dnia wyglądała na wyraźnie przygnębioną.

- Saro, pamiętasz ten komplet noży wiszący obok pieca? Sara zapinała już płaszcz.

-Tak.

- Brałaś może po coś jeden z nich?

- Nie.

- Właśnie zauważyłam, że zniknął największy nóż do mięsa. Dziwna sprawa.

- Na pewno gdzieś leży.

- Być może, ale nie mam pojęcia gdzie. Sara poczuła nagle w całym ciele jakiś ciężar.

- Kiedy ostatnio widziałaś ten nóż?

- Nie jestem pewna. Był mi potrzebny w poniedziałek i wtedy za częłam go szukać. W kuchni go na pewno nie ma, o tym mogę cię za pewnić. Jak dawno się to stało, nie mam pojęcia - Sophie zawahała się. - Nie sądzę, żeby tak było, ale może Laurie potrzebowała go do czegoś w college 'u?

Sophie знаła historię snu o nożu.

- Wątpię. - Sara przełknęła ślinę pomimo nagłego skurczu krtani. - Idę. -

Otworzyła drzwi i dodała: - Jeśli mimo wszystko trafisz gdzieś na ten nóż, zostaw dla mnie wiadomość w biurze. Po prostu: „Znalazłam”. Dobrze?

Zauważyła na twarzy Sophie współczucie. Ona uważa, że to Laurie wzięła nóż, pomyślała Sara. O Boże!

Jak szalona podbiegła do telefonu i wykręciła numer Laurie. Siostra podniosła słuchawkę już po pierwszym dzwonku.

- Sara? No pewnie, że u mnie wszystko w porządku - mówiła zasnym głosem. - Dostałam kilka niezłych ocen. Mogłybyśmy to ja coś uczcić.

Sara z ulgą odłożyła słuchawkę i ruszyła wreszcie do garażu. Mógł pomieścić cztery samochody, a teraz stał tam tylko jeden. Laurie zawsze zostawiała swój na ulicy. Pozostałe puste miejsca przypominały o wypadku.

Wyjeżdżając, Sara uspokoiła się w duchu - wygląda na to, że przynajmniej w tej chwili z Laurie jest wszystko w porządku. Wieczorem zadzwoni do obu psychiatrów i opowie im o nożu. Ale teraz postanowiła pozbyć się tej myśli.

Nie czułaby się w porządku wobec Maureen Mays i jej rodziny, gdyby dzisiaj w sądzie nie dała z siebie wszystkiego.

Tylko po co, na Boga, Laurie wzięła ten nóż?

31

- Proces Sary ciągle trwa - powiedziała Laurie do doktora Carpentera, siadając naprzeciw niego w jego gabinecie. - Zazdroszczę jej. Ona tak się angażuje w to, co robi, w to, że jest prokuratorem, że po trafi zagłuszy wszystkie myśli, których chciałaby uniknąć.

Carpenter czekał. Po raz pierwszy podczas ich spotkań coś się w zasadniczy sposób zmieniło. Laurie była inna. Nigdy wcześniej nie ujawniała wrogości wobec Sary. Teraz w jej oczach odbijał się powstrzymany gniew. Musiało pomiędzy siostrami do czegoś dojść.

- Czytałem o tej sprawie - powiedział ostrożnie.

- Nie wątpię. Sara prokurator. Ale ona nie jest aż taka bystra, jak jej się wydaje.

Znowu postanowił się nie odzywać. Czekał, co Laurie jeszcze po wie.

- Byłam wczoraj do domu tuż przed nią. W końcu przyjechała i od razu zaczęła przeproszać, że nie było jej w domu, żeby mnie powitać jako moja starsza siostra. Powiedziałam jej: „Posłuchaj, Sara, w niektórych sprawach nawet ja mogę zadbać sama o siebie. Mam dwadzieścia jeden lat, a nie cztery”.

- Cztery?

- Miałam tyle, kiedy ona poszła na to swoje cholerne przyjęcie, zamiast siedzieć w domu. Nie zostałabym porwana, gdyby była na miejscu.

- Dotąd zawsze oskarżałaś o porwanie siebie, Laurie.

- Siebie też. Ale i moja siostra przyłożyła się do tego. Założę się, że mnie nienawidzi.

Doktor Carpenter miał zamiar między innymi wyleczyć Laurie z uzależnienia od siostry, ale to było coś nowego. Jakby miał do czynienia z kimś zupełnie innym.

- Dlaczego miałyby cię nienawidzić?

- Nie ma czasu na własne życie. To ona powinna tu siedzieć na przeciwko pana. Boże, mógłby się pan wiele nasłuchać! Całe życie ja ko starsza siostra.

Czytałam dziś rano jej stary dziennik. Prowadziła go od dzieciństwa. Napisała tam sporo o moim porwaniu i o tym, że po powrocie zachowywałam się, jej zdaniem, inaczej niż przedtem. Sądzę, że bardzo ją to wtedy przerażało. - W

jej głosie zabrzmiała satysfakcja.

- Czy często przeglądasz dziennik Sary? Spojrzała na niego z niechęcią.

- Zwykle to pan, a nie ja, chce wiedzieć, co myślą inni. Ale chyba nie muszę być gorsza?

Przyglądał się przez chwilę jej wyzywającej, wojowniczej postawie, złączonym kolanom, rękoma obejmującym oparcia fotela, głowie wysuniętej do przodu i grymasowi dziwnego uśmiechu. Gdzie się podziały subtelna, zakłopotana młodzieńcza twarz i drżący głos Jackie Onassis?

- Dobre pytanie. Ale nie oczekuj żadnej jednoznacznej odpowiedzi. Dlaczego jesteś zła na Sarę?

- To przez ten nóż. Sara myśli, że zwędziłam z kuchni nóż do mięsa.

- A dlaczego tak myśli?

- Tylko dlatego, że zginął. Ja go na pewno nie wzięłam. To Sophie, nasza gospodyni, rozdmuchała tę sprawę. Nie mam nic przeciwko przyznaniu się do paru rzeczy, które zdarzyły się w kampusie, ale nie do tej, panie doktorze.

- Czy Sara cię oskarżyła, czy tylko zapytała o ten nóż? To spora różnica, sama wiesz.

- Doktorze, potrafię rozpoznać, kiedy ktoś mnie oskarża.

- Wydawało mi się, że obawiasz się noży. Czy się mylę, Laurie?

- Wolalabym, żeby nazywał mnie pan Kate.

- Kate? A czemu?

- Kate brzmi lepiej niż Laurie - bardziej dojrzałe. Mam na drugie Katherine.

- To może być bardzo korzystne: uda ci się odrzucić dziecięce sprawy. Czy to, co czujesz w tej chwili, to właśnie odrzucenie dziecięcych problemów?

- Nie. Po prostu nie chcę bać się noży.

- Miałem wrażenie, że boisz się ich wprost rozpaczliwie .

- O nie. Nie ja. To Laurie boi się wszystkiego. Z nożem wiąże się jej

„najgorszy scenariusz”. Wie pan, doktorze, niektórzy ludzie przy noszą smutek i ból innym. Jak nasza panna Laurie, na przykład.

I nagle doktor Peter Carpenter zdał sobie sprawę, że Kate jest imieniem jednego z wcieleń Laurie Kenyon.

67

32

W sobotni poranek zaparkowali w pobliżu gabinetu Carpentera. Bie specjalnie wypożyczył starego buicka w takim samym kolorze jak ten, którym jeździła Laurie. Jedyne śródek i obicia miały inny odcień.

- Jeśli ktokolwiek zainteresowałby się, dlaczego otwieramy te drzwi, udam, że pomyliliśmy samochody - wyjaśnił, a potem dodał, czując, że Opal chciałaby wiedzieć więcej: - Zaobserwowaliśmy przecież, że Laurie nigdy nie zamyka drzwi wozu. Jej torba z podręcznikami leży zawsze na podłodze pod przednim siedzeniem. Po prostu wsuniesz tam ten nóż. Będzie leżał na samym dnie i nie ma znaczenia, kiedy go znajdzie. Ważne, że prędzej czy później się na niego natknie. To będzie takie małe przypomnienie, co się z nią stanie, gdyby zaczę-

ła roztrząsać tamtą sprawę z tym swoim doktorem od głowy. A teraz, Opal, zrób to, co należy.

Lee zawsze opuszczała gabinet doktora Carpentera dokładnie za pięć dwunasta. Za sześć dwunasta Opal otworzyła drzwi do wejścia, prowadzącego do jego pomieszczeń na piętrze. Kondygnacja schodów z wąskiego holu prowadziła dalej, do jego mieszkania. Opal rozejrzała się dokoła, jakby znalazła się tu przez pomyłkę, wybierając te drzwi zamiast głównego wejścia do biurowca na rogu Ridgewood Avenue. Na schodach nie było nikogo.

Szybko rozwinęła mały pakunek, który przyniosła ze sobą, upuściła jego zawartość na środku holu i wyszła. Bie siedział przez cały czas w wynajętym samochodzie.

- Ślepy by to zobaczył - powiedziała do niego Opal.

- Nikt cię nie zauważył - zapewnił ją. - A teraz po prostu zaczekamy chwilę i zobaczymy, co się będzie działo.

Laurie schodziła po schodach. Miała zamiar wrócić prosto do col-lege'u. Czy naprawdę było jej potrzebne to siedzenie tutaj i rozbiera nie własnej głowy na części? Jak długo jeszcze ma znosić nieustanną troskę wiecznie udręczonej Sary? Co innego jest dla niej ważne. Teraz liczą się pieniądze, które odziedziczyła. Dobrze wiedziała, ile jej się należy. Sporo. A gdy dom zostanie sprzedany, nie będzie nawet chciała słyszeć o tym, żeby ktoś inny inwestował

te pieniądze za nią. Ma już dość układów z tym tchórzem, który w niej siedzi i mówi zawsze: „Tak, Saro; nie, Saro; jest tak, jak mówisz, Saro”.

Dotarta już na dół schodów. Jej but natknął się na coś miękkiego. Spojrzała pod nogi.

Patrzyły na nią martwe oczy kurczęcia. Rzadkie pióra przylegały do jego czaszki. Na przeciętej szyi widniały grudki zakrzepłej krwi.

Na zewnątrz Bic i Opal usłyszeli pierwsze krzyki. Bic uśmiechnął się.

- Całkiem znajome odgłosy. - Przekręcił kluczyk w stacyjce, po tem westchnął. - A teraz powinienem ją utulić.

Sędziowie przysięgli zaczęli właśnie wchodzić do sali posiedzeń, gdy wbiegła sekretarka Sary. Wyglądało na to, że ława uchwaliła wer dykt i w rzędach dla publiczności trwała walka o jak najlepsze miej sca. Serce Sary zabiło mocniej, gdy sędzia zapytał:

- Panie Foreman, czy sędziowie przysięgli uzgodnili werdykt?

- Tak, Wysoki Sądzie.

To jest to, pomyślała Sara, stojąc przy prokuratorskim stole na wprost ławy przysięgłych. Nagle poczuła dotknięcie na ramieniu. Od wróciła się i ujrzała swoją sekretarkę Janet.

- Nie teraz - powiedziała stanowczo, zdziwiona, że Janet może jej przeszkadzać w chwili ogłaszania werdyktu.

- Saro, tak mi przykro. Doktor Carpenter zabrał twoją siostrę na ostry dyżur do Hackensack Medical Center. Laurie jest w szoku.

Sara tak mocno ścisnęła pióro, które trzymała w ręku, że kostki jej palców aż zbieleły. Sędzia przyglądał się jej z wyraźnym niepokojem. Szepnęła:

- Powiedz mu, że będę tam za kilka minut.

- Czy oskarżony jest winny morderstwa, czy niewinny?

- Winny, Wysoki Sądzie.

Okrzyk „Gdzie sprawiedliwość?” zabrzmiał z tej strony sali, gdzie siedziała rodzina i przyjaciele Jamesa Parkera. Sędzia stuknął młotkiem, ostrzegając przed powtórzeniem się podobnych wybuchów. Upewnił się, że werdykt zapadł jednomyślnie, i zaczął liczyć oddane głosy.

Wycofano z porządku punkt dotyczący wyznaczenia kaucji. Parker został

wyprowadzony w kajdankach. Nie wyznaczono na razie daty kolejnej rozprawy. Sara nie miała czasu na świętowanie zwycięstwa. W korytarzu Janet czekała na nią z płaszczem i torbą.

- Masz tu wszystko, możesz iść prosto do samochodu.

Doktor Carpenter czekał w izbie przyjęć. Krótco wyjaśnił, co się stało.

- Laurie właśnie opuszczała mój gabinet. Dochodziła do drzwi wejściowych na parterze i nagle zaczęła krzyczeć. Gdy dobiegliśmy do niej, straciła przytomność. Była w głębokim szoku, ale teraz powoli przychodzi do siebie.

- Co było powodem zajścia? - Troskliwość doktora wywołała u Sary piekące łzy. Było w nim coś, co przypominało jej ojca. Tak chciałaby, żeby to on był

z nią teraz.

- Najwyraźniej nadepnęła na głowę martwego kurczaka, najpierw wpadła w histerię, a potem znalazła się w szoku.

- Głowa kurczaka? W przedsionku pańskiego gabinetu!

- Tak. Jeden z moich pacjentów, naprawdę ciężki przypadek, uprawia coś w rodzaju kultu. I robi, niestety, właśnie takie rzeczy. Czy Laurie odczuwała kiedykolwiek nieuzasadniony lęk przed kurczętami, myszami albo innymi stworzeniami?

- Nie. Ale kurczaków nigdy nie jadła. Nie znosiła ich smaku. Zza zasłony wyszła pielęgniarka:

- Możecie państwo wejść.

Laurie leżała spokojnie. Miała zamknięte oczy. Sara dotknęła jej ręki.

- Laurie.

Dziewczyna powoli otworzyła oczy. Wyraźnie kosztowało ją to sporo wysiłku i Sara zorientowała się, że siostra musiała dostać bardzo silne leki uspokajające. Słabym, ale wyraźnym głosem Laurie powiedziała:

- Saro, jeśli miałabym się jeszcze raz spotkać z tym doktorem, za biję się.

Allan jadł w kuchni kanapkę.

- Kochanie, przepraszam, że nie przyjechałam wczoraj wieczó rem, ale miałam naprawdę ważną sprawę do załatwienia - powiedziała Karen i zarzuciła mu ręce na szyję.

Musnął ją wargami w policzek i wycofał się z uścisku.

- W porządku. Chcesz coś zjeść?

- Dlaczego nie zaczekałeś? Zająłabym się tym.

- Skąd miałem wiedzieć, o której przyjedziesz?

- Nigdy nie dbasz o jedzenie. - Karen nalała chianti do kieliszka i wręczyła go Allanowi. Stuknęła swoim kieliszkiem o jego. - Na zdrowie, kochanie.

- Na zdrowie - odparł bez uśmiechu.

- Hej, panie profesorze, coś nie tak?

- Owszem, mniej więcej od godziny mam pewność, że za tajemni czą Leona, piszącą do mnie listy, kryje się Laurie Kenyon.

Karen aż zatkanło.

- Jesteś zupełnie pewny?

- Tak, oceniałem prace. Do tej, którą zostawiła Laurie, dołączona była notatka, że komputer się dziewczynie zepsuł i dlatego musiała dokończyć przepisywanie na swojej starej maszynie. Nie ulega wątpliwości, że to ta sama maszyna, na której pisane są listy, łącznie z tym, co przyszedł wc zoraj. -

Sięgnął do kieszeni i podał list Karen.

Przeczytała:

Allanie, mój najdroższy, nigdy nie zapomnę tej nocy. Uwielbiam przyglądać się,

jak śpisz, jak się obracasz i wiercisz, żeby znaleźć najwygodniejszą pozycję, i jak

naciągasz na siebie kołdrę. Dlaczego pozwalasz, żeby w pokoju było tak zimno?

Przymknęłam trochę okno. Zauważyłeś, najdroższy? Założę się, że nie. W pewnym

sensie mógłbyś uchodzić za uosobienie roztargnionego profesora. Ale tylko w

pewnym. Myśl o mnie nieustannie, nigdy o mnie nie zapominaj. Twoja żona nie

pragnie Cię tak, aby być z Tobą cały czas, ale ja tak. Kocham cię. Leona.

Karen jeszcze raz powoli przebiegła oczyma list.

- Dobry Boże, Allanie, czy myślisz, że ta dziewczyna rzeczywiście tu była?

- Nie sądzę. Na pewno to wszystko wymyśliła.

- Nie jestem wcale taka pewna. Chodź.

Poszedł za nią do sypialni. Karen stanęła przed wysokim oknem. Ujęła za klamkę i przekręciła ją. Okno otworzyło się cicho. Łatwo wyszła na zewnątrz przez niski parapet i odwróciła się do męża. Włosy opadły jej na twarz, gdy strumień zimnego powietrza poruszył zasłonami.

- Łatwo wejść i łatwo wyjść - powiedziała, znalazłszy się z powrotem w pokoju. - Allanie, może ona fantazjuje, ale to fakt, że łatwo mogła się tu dostać. Śpisz przecież jak zabity. Od dzisiaj nie powinieneś zostawiać tego okna tak szeroko otwartego.

- Tego już za wiele. Niech mnie szlag, jeśli zmienię swoje zwyczaje -

je. Muszę porozmawiać z Sarą Kenyon. Bardzo mi przykro z powodu Laurie, ale siostra powinna zapewnić jej odpowiednią pomoc i opiekę.

Połączył się z automatyczną sekretarką Sary i zostawił krótką wiadomość:

- Muszę z panią porozmawiać o czymś niezwykle ważnym.

Sara oddzwoniła o wpół do trzeciej. Karen słyszała, jak ton głosu Allana zmienia się z chłodnego na współczujący.

- Saro, co się dzieje? Laurie? Coś jej się stało? - dopytywał się, a po chwili zamilkł, słuchając wyjaśnień. - O Boże, to straszne. Saro, proszę nie płakać.

Wiem, jakie to wszystko dla pani trudne. Ale ona z tego wyjdzie. Musi mi nać trochę czasu. Nic takiego, chciałem tylko zapytać, jak ocenia pani jej samopoczucie. Oczywiście, odezwę się wkrótce. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Karen.

- Laurie jest w szpitalu. Doznała jakiegoś szoku, wychodząc od swojego psychiatry. Wygląda na to, że najgorsze minęło, ale lekarze chcą, żeby została w szpitalu na noc. Pilnuje jej siostra.

- Czy Laurie wróci do college'u?

- Podobno bardzo chce być w poniedziałek na zajęciach. - Bezradnie wzruszył ramionami. - Karen, nie mogłem obciążać teraz Sary Kenyon sprawą tych listów.

- Pokażesz je w administracji?

- Oczywiście. Jestem pewien, że dziekan Larkin poprosi jakiegoś psychologa o rozmowę z Laurie. Wiem, że ona bywa regularnie u psychiatry w Ridgewood, ale być może potrzebuje pomocy także tutaj. Biedne dziecko.

Gdy późnym niedzielnym popołudniem Sara przyjechała do szpitala, Laurie siedziała w łóżku oparta o poduszki i czytała gazetę. Po witała Sarę z radością.

- Cześć. Przyniosłaś rzeczy. Jak dobrze! Ubiorę się i pójdziemy do klub u coś przekąsić.

Wspomniała już o tym przez telefon godzinę wcześniej.

- Jesteś pewna, że to nie za duży wysiłek dla ciebie? - zapytała z obawą Sara.

- Wczoraj naprawdę nie było z tobą dobrze.

- Dla mnie nie, ale może dla ciebie? Och, Saro, dlaczego nie przeprowadzisz się gdzieś bez podawania nowego adresu? Bóg mi świadkiem, ciągle ci w czymś przeszkadzam. - Uśmiechnęła się ponuro i przepaszając zarazem, a Sara natychmiast przytuliła ją do siebie.

Szła tutaj, nie wiedząc, czego ma się spodziewać. Ale zastała prawdziwą Laurie, zmartwioną, że sprawiła komuś kłopot, i zawsze skorą do zabawy.

- Dawno tak dobrze nie wyglądałaś - powiedziała szczerze Sara.

- Dali mi coś na sen i spałam jak kamień.

- To łagodny środek nasenny. Doktor Carpenter przepisał ci też leki antydepresyjne.

Laurie zeszywniała.

- Saro, nie chciałam, żeby mi dawał jakiegokolwiek pigułki, ale wi dzę, że wciąż próbuje. Wiesz, że nienawidzę tabletek. Ale w porząd ku, zacznę je brać.

Tylko już nigdy żadnej psychoterapii.

- Będziesz musiała opowiedzieć doktorowi Carpenterowi o reak cji na leki.

- Proszę bardzo. Przez telefon. Nie mam nic przeciwko temu.

- Laurie, wiesz, że doktor Carpenter konsultował się w twojej sprawie z innym psychiatrą, doktorem Donnellym z Nowego Jorku. Jeśli sama nadal nie chcesz się z nim spotkać, czy pozwolisz mi z nim porozmawiać?

- Och, Saro, wolałabym, żebyś tego nie robiła, ale w porządku, je śli cię to uszczęśliwi - powiedziała Laurie i wyskoczyła z łóżka. - Zabierajmy się stąd.

W klubie spotkały znajomych, którzy zaprosili je do stolika. Lau rie miała apetyt i była w dobrym

nastroju. Sara, patrząc na siostrę, nie mogła uwierzyć, że jeszcze wczoraj ona sama czuła się bliska depresji. Skrzywiła się, przypomniawszy sobie, jak się rozpląkała w słuchawkę, rozmawiając z tym miłym profesorem Grantem.

Gdy wyszły z klubu, Sara nie skręciła w kierunku domu. Pojechała w drugą stronę.

Laurie uniosła brwi.

- Dokąd jedziemy?

- Do miejsca oddalonego o jakieś dziesięć minut drogi od nas. Nazywa się Glen Rock. Wkrótce oddadzą tam do użytku kilka nowych budynków mieszkalnych. Mnie się one bardzo podobają. Pomyślałam, że może razem rzucimy na nie okiem.

- Sara, a nie powinnyśmy raczej po prostu wynająć czegoś na pewien czas?

Chodzi mi o to, że może zechcesz przenieść się wkrótce do Nowego Jorku.

Miałaś przecież takie propozycje. Miejsce, w którym zamieszkamy, powinno odpowiadać twoim, a nie moim planom. Jeżeli ja miałabym próbować grać zawodowo w golfa, przeniósłabym się w jakieś cieplejsze miejsce.

- Nie zamierzam otwierać prywatnej firmy adwokackiej, Laurie. Gdy spotykam się z rodzinami ofiar i widzę ich smutek, wiem, że nie mogę pracować po drugiej stronie barykady, szukając tych wszystkich cholernych luk w prawie, aby zapewnić wolność przestępcom. Lżej mi się śpi, kiedy oskarżam morderców, a nie bronię ich.

Uzgodniły, że najbardziej podoba im się trzykondygnacyjny budynek. Były w nim wielopoziomowe duże mieszkania.

- Przyjemnie wygląda - skomentowała Sara. - Wszystko mi tu odpowiada, nawet te nowoczesne łazienki - zwróciła się do agenta, który je oprowadzał, i dodała: - Czekamy na decyzję kogoś, kto chyba poważnie myśli o kupnie naszego domu. Zgłosimy się do pana ponownie, kiedy zyskamy pewność co do sprzedaży.

Wzięła Laurie pod rękę i pomaszerowały do samochodu. Dzień był chłodny, wiał lekki, ale przenikliwy wiatr. Mimo to czuło się, że do wiosny brakuje już tylko sześciu tygodni.

- Dużo krzewów - zauważyła Sara. - I tylko pomyśl, to nie my będziemy musiały się o nie troszczyć. Fantastyczne, prawda?

- Tato lubił krzątać się na zewnątrz domu, a mama była szczęśliwa, pracując w ogrodzie. Ciekawe, że my za tym wcale nie tęsknimy. - W głosie Laurie brzmiała czułość i rozbawienie.

Czyżby rzeczywiście zaczynała umieć mówić o rodzicach bez bólu i samooskarżeń? Proszę, Boże, niech tak będzie, pomyślała Sara błagalnie.

Doszły do parkingu, na którym panował spory ruch, spowo dowany przez ewentualnych nabywców mieszkań. Najwyraźniej wieść o nowym domu, zbudowanym przez firmę Fox Hedge, szybko się rozeszła. Laurie odezwała się nagle:

- Saro, pozwól mi powiedzieć jedno. Gdy teraz wrócimy do siebie, nie chcę rozmawiać o tym, co się zdarzyło wczoraj. Od pewnego mo mentu dom stał

się miejscem, w którym obserwujesz mnie z przeraże niem. Poza tym ciągle zadajesz mi jakieś pytania i wiem, że one wcale nie są takie zwyczajne, jakby się wydawało. Obiecuj, że od tej chwili przestaniesz mnie nieustannie dręczyć wypytywaniem, jak śpię, co

jem, czy chodzę na randki, i tak w kółko. Pozwól mi rozmawiać z tobą o tym, o czym sama chcę. W porządku?

- W porządku - odpowiedziała Sara rzeczowo.

Traktujesz ją jak matą dziewczynkę, która powinna o wszystkim mówić mamie, oskarżała się w myślach. Może to dobry znak, że zaczyna się obrażać.

Ale co zdarzyło się wczoraj?

Laurie jakby czytała w jej myślach.

- Saro, nie wiem, co mi się wczoraj stało. Ale wiem na pewno, że to ciężka próba odpowiadać na pytania doktora Carpentera. Każde z nich to pułapka.

Czuję się tam zawsze, jakbym próbowała zamknąć naraz wszystkie drzwi i okna, podczas gdy włamywacz usiłuje się dostać z zewnątrz.

- On nie jest włamywaczem, tylko lekarzem. Ale ty nie wydajesz się jeszcze gotowa do terapii. Dlatego zgadzam się na wszystko.

- Dobrze.

Sara przejechała obok strażników przy bramie, zauważając, że wszystkie przybywające samochody są zatrzymywane i sprawdzane. Laurie najwyraźniej się to spodobało. Powiedziała:

- Saro, wpłaćmy zaliczkę na to narożne mieszkanie. Bardzo chcia łabym tu zamieszkać. Z tą bramą i ze strażnikami byłybyśmy bez pieczne. Chcę być bezpieczna. I to mnie właśnie przeraża. Nigdy się tak nie czułam.

Jechały teraz drogą do domu. Samochód nabrał szybkości. Sara musiała zadać pytanie, które ją dręczyło:

- Czy to jest powód, dla którego zabrałaś nóż? Był ci potrzebny, żeb y czuć się bezpiecznie? Laurie, mogę to zrozumieć. Pod warunkiem że nie wpadniesz w taką depresję, że... coś sobie zrobisz. Przepraszam, że pytam, ale to mnie naprawdę przeraża.

Laurie westchnęła.

- Saro, nie mam zamiaru popełnić samobójstwa. Wiem, że o to ci chodzi.

Chciałabym, żebyś mi uwierzyła. Przysięgam, nie wzięłam te go noża!

Tej nocy, znalazłszy się z powrotem w college'u, Laurie postanowiła przepakować swoją torbę. Wytrząsnęła jej zawartość na łóżko. Wy sypały się podręczniki, zeszyty i notesy. Ostatnia rzecz utknęła, zaczepiwszy się o coś na dnie. To był zaginiony nóż do mięsa z ich kuchni.

Laurie cisnęła go na podłogę.

- Nie, nie, nie! - Osunęła się na kolana i schowała twarz w dło -

niach. - Nie brałam go, Saruś! - łkała. - Tatuś mówił, że nie wolno się bawić nożami.

Szyderczy głos przeleciał przez jej głowę: „Zamknij się wreszcie, dzieciaku.

Wiesz, po co ci ten nóż. Dlaczego nie zdobędziesz się na odwagę i nie poderżniesz sobie nim gardła? Boże, muszę zapalić pa pierosa”.

Gregg Bennett powiedział sobie, że go to nic nie obchodzi. A do kładniej, że nie powinno go obchodzić. W kampusie są setki atrakcyjnych dziewczyn. W

Kalifornii spotkał ich jeszcze więcej. W czerwcu zdobędzie dyplom i wtedy nic nie stanie na przeszkodzie, żeby jechać na dalsze studia do Stanford.

Mając skończone dwadzieścia pięć lat, Gregg czuł się doroślejszy niż jego koledzy z uczelni. Ciągle z zakłopotaniem myślał o dziewiętnasto letnim głupku, jakim był, kiedy porzucił college po pierwszym roku z zamiarem zostania biznesmenem. Nie żeby to doświadczenie było jakoś szczególnie bolesne. Szybka interwencja starszych członków rodziny okazała się nawet na dłuższą metę wręcz zbawienna. Poza tym dowiedział się przynajmniej jednego: jak wiele jeszcze nie wie. No i prze konał się, że finanse międzynarodowe to kariera w sam raz dla niego.

Wrócił z Anglii miesiąc temu i w styczniu dopadła go wreszcie nu da. Tam mógł przynajmniej wyskakiwać w czasie weekendów na narty do Camelback.

Nie ma nic wspanialszego niż jazda w puszystym śniegu.

Gregg zajmował mieszkanie nad garażem prywatnego domu, dwie mile od kampusu. To było miłe lokum, wprost wymarzone. Nie miał ochoty dzielić pokoju z trzema czy czterema chłopakami i wciąż imprezować. Tu było czysto i przestronnie - rozkładana kanapa nadawała się zarówno do leżenia, jak i do siedzenia, a na małej kuchence mógł sobie przygotowywać proste posiłki.

Gdy po raz pierwszy przyjechał do Clinton, szybko zwrócił uwagę na Laurie.

Kto by zresztą nie zwrócił? Ale jakoś nigdy nie mieli wspólnych zajęć.

Dopiero potem, półtora roku później, usiedli obok siebie na widowni podczas projekcji „Cinema Paradiso”. Film był świetny. Gdy światła się zapaliły, odwróciła się do niego i zapytała: „Czyż to nie było cudowne?”.

Tak się zaczęło. Skoro atrakcyjna dziewczyna dawała mu znak, że chce, aby się do niej zbliżył, Gregg z największą ochotą zrobiłby następny ruch. Ale w Laurie było coś, co go przed tym powstrzymywało. Instynktownie przeczuwał, że działając szybko, daleko nie zajdzie; to, co rodziło się między nimi, wyglądało na coś więcej niż przyjaźń. Ona była taka słodka, ale nie przesłodzona - potrafiła także złośliwie dowcipkować i miała zdecydowanie silną wolę. Na trzeciej randce powiedział jej, że rozpieszczano ją zapewne jako dziecko. Przyjechali pograć w golfa, ale okazało się, że sprzedano za dużo biletów, więc nie pozostało im nic innego, jak zaczekać godzinę na swoją kolej. Bardzo ją to przygnębiło.

- Założę się, że nigdy nie musiałaś na nic czekać. A mama i tato nazywali cię małą księżniczką - żartował wtedy.

Zaśmiała się i odparła, że rzeczywiście tak ją nazywali. Przy kolacji opowiedziała mu o swoim porwaniu.

- Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że stoję przed naszym domem w różowym kostiumie kąpielowym i ktoś mnie stamtąd zabiera. A potem obudziłam się w swoim własnym łóżku. Jedyny problem w tym, że dzielą te wydarzenia dwa lata.

- Przepraszam za żarciki o rozpieszczonej księżniczce - odezwał się Gregg. -

Zasłużyłaś na to, żebyś była rozpieszczana.

Zaśmiała się.

- I byłam, przedtem i potem. Trafiłeś w sedno.

Gregg wiedział, że Laurie traktuje go jak zaufanego przyjaciela. Dla niego to nie było aż tak proste. Trudno spędzić sporo czasu z taką dziewczyną jak Laurie, która ma w dodatku wspaniałą falę jasnych włosów, piękne ciemnoniebieskie oczy i doskonałą figurę, i nie myśleć o tym, że chciałoby się ją widywać dłużej i częściej. Ale odkąd zaczęła go zapraszać do swojego rodzinnego domu na niektóre week endy, nabrał pewności, że ona też się w nim zakochuje.

A potem wszystko nagle się skończyło w ostatni niedzielny poranek maja.

Pamiętał, jakby to było dziś. Spał długo, a Laurie wpadła na pomysł, żeby wpaść do niego po kościele z bajglami, wiejskim serem i wędzonym łososiem.

Załomotała w drzwi, a gdy nie usłyszał, krzyknęła: „Wiem, że tam jesteś!”.

Narzczył szlafrok, otworzył i spojrzał na nią. Była w lnianej sukience i sandałach, wyglądała świeżo i rześko, jak wcielenie poranka. Weszła, nastawiła kawę i zaczęła wyjmować z torby to, co przyniosła. Powiedziała, a by nie przejmował się ścieleniem łóżka. Chciała być szybko w domu i mogła zostać

tylko parę minut. Kiedy ona sobie pój dzie, będzie mógł się wylegiwać cały dzień, jeśli tylko zechce.

Miała już wychodzić, kiedy objęła go i lekko pocałowała, mówiąc, że powinien się ogolić.

- Ale mimo wszystko mi się podobasz - przyznała. - Ładny nos, mocno zarysowany podbródek i ten uroczy kosmyk.

Pocałowała go jeszcze raz i odwróciła się, by wyjść. I wtedy się to zdarzyło.

Gregg, niewiele myśląc, poszedł za nią do drzwi, położył jej ręce na ramionach, uniósł ją i przygarnął do siebie. Wówczas wpadła w szal. Zaczęła płakać. Wierzgała nogami, chcąc, żeby postawił ją z powrotem na podłodze.

Zrobił to i zdenerwowany zapytał, o co, do cholery, chodzi? Czy ona myśli, że on jest Kubą Rozpruwaczem? Wybiegła z jego mieszkania i od tego dnia miała mu już tylko jedno do powiedzenia - żeby jej dał spokój.

Łatwo się mówi... Problem w tym, że pracując tamtego lata w No wym Jorku, a potem studiując jesienią w Instytucie Bankowości w Londynie, ciągle o Laurie myślał. Teraz wrócił, ale ona nadal czuła do niego niechęć.

W poniedziałek wieczorem kręcił się po kawiarni w centrum studeckim.

Wiedział, że Laurie czasem tu wpada. Celowo przyłączył się do grupy, w której znalazło się parę osób z jej akademika.

- Wszystko się zgadza - opowiadał ktoś przy drugim końcu stołu. - Laurie prawie co wieczór około dziewiętej wychodzi. A jego żona przebywa w ciągu tygodnia na stałe w Nowym Jorku. Próbowałem kiedyś zażartować na ten temat, ale Laurie mnie zbyła. To pewne, że się z kimś spotyka, tyle że nie chce o tym mówić.

Gregg nadstawił uszu. Specjalnie przysunął bliżej krzesło, żeby lepiej słyszeć.

- Teraz dalej: Margy pracuje popołudniami w biurze administracji. Słyszysz o różnych sprawach i wie, że coś się musiało zdarzyć, bo nasz Seksowny Allan przyszedł niedawno bardzo zmartwiony.

- A ja wcale nie uważam, żeby Grant był seksowny. Myślę, że to po prostu bardzo miły facet. - Opinię tę wyraziła ciemnowłosa studentka, wyglądająca na rozsądną osobę.

Plotkarz puścił uwagę mimo uszu.

- Możesz nie uważać, że jest seksowny, ale ludzie tak myślą. W każdym razie na pewno Laurie. Słyszałem, że wysłała do niego cały plik listów miłosnych, które podpisywała „Leona”. Grant zaniósł

je wszystkie do administracji college'u i oświadczył, że są wytworem czystej fantazji. Może obawia się, że skoro ona pisze do niego o ich małym romansie, to potrafi również wszystko wypaplać innym ludziom. Wydaje mi się, że to z jego strony działania asekuracyjne. Woli się zabezpieczyć, zanim

cokolwiek dotrze do jego żony.

- A o czym Laurie pisała?

- Raczej o czym nie pisała! Wyobraźcie sobie, w listach było o tym, że robili to w jego biurze i jego domu!

- Nie żartuj!

- Cóż, jego żona jest ciągle daleko. Takie rzeczy się zdarzają. Pamiętajcie, jak podczas pogrzebu jej rodziców pędził przez cały kościół, gdy Laurie zemdląca?

Gregg Bennett nawet nie zauważył, że wybiegając z kawiarni, prze wrócił

krzesło, które potrącił.

Gdy Laurie zajrzała we wtorek do swojej skrzynki pocztowej, znalazła tam kartkę z prośbą o telefon do dziekana do spraw studenckich. Prosił ją na rozmowę w najbliższym dogodnym dla niej terminie. O co może chodzić? -

zastanawiała się. Kiedy zadzwoniła do dziekana, jego sekretarka zapytała, czy Laurie może przyjść tego dnia o trzeciej.

Pod koniec ubiegłego sezonu narciarskiego kupiła na wyprzedazy biało-niebieską kurtkę narciarską, która tej zimy wisiała bezużytecznie w szafie. Dlaczego nie? - pomyślała, sięgając po nią. Idealna na tę pogodę, śliczna i w dodatku mogę wreszcie zrobić z niej użytek. Włożyła niebieskie dżinsy i biały golf.

W ostatniej chwili zwinęła włosy w koczek. Tak mogłaby wyglądać studentka wyższego roku, która właśnie opuściła półmrok czytelnicy. Może gdy wyrwie się z atmosfery college'u i znajdzie się wreszcie wśród pracujących dorosłych ludzi, pozbędzie się chorobliwego uczucia, że jest wciąż tylko przerażonym dzieckiem.

Był kolejny rześki dzień, jeden z tych, które sprawiały, że oddychała głębiej i instynktownie prostowała plecy. Z ulgą pomyślała, że w sobotni poranek nie będzie musiała siedzieć w tym cholernym gabinecie doktora Carpentera, który starał się być miły, ale zawsze wszystko drażył i analizował.

Pomachała grupce studentów z jej akademika i zdziwiło ją, że od powiedzieli jej jakimś ironicznym spojrzeniem. Nie bądź głupia, po wiedziała sobie.

Nóż. Jak mógł się znaleźć w torbie? Ona na pewno go tam nie włożyła. Ale czy Sara jej uwierzy? „Sara, zrozum, ten cholerny nóż był wciśnięty między moje książki. A teraz jest tutaj. I po problemie”.

Sara zapyta wtedy rozsądnie: „Ale jak się tam znalazł?”. A potem pewnie poradzi jej, żeby odbyła kolejne spotkanie z doktorem Car -penterem.

Nóż znajdował się teraz z tyłu szafki, ukryty w rękawie starej kurtki.

Elastyczny ściągacz zabezpieczał go przed wypadnięciem. A może powinna ten nóż po prostu wyrzucić i pozostawić tym samym zagadkę bez rozwiązania? Ale przecież tato tak sobie cenił ten komplet noży i zawsze powtarzał, że można nimi przeciąć wszystko jednym ruchem. Na samą myśl, że coś może być przecięte jednym ruchem, Laurie wzdragała się całym ciałem.

Idąc przez campus do budynków administracyjnych, zastana wiała się, co zrobić, żeby nóż ponownie znalazł się w kuchni. Może powinna go schować w którejś z szafek kuchennych? Ale Sara mówiła, że Sophie przetrząsnęła dokładnie kuchnię w poszukiwaniu noża.

Nagle przyszło jej do głowy rozwiązanie proste i niepodważalne: Sophie często czyściła srebra. Czasami brała także z kuchni noże i porównywała je razem ze srebrnymi sztuczkami. To jest to, pomyślała Laurie. Chytkiem wrzucę nóż do skrzyneczki ze srebrami w jadalni. Wsunę go jak najgłębiej, tak żeby nie był widoczny. Sophie pomyśli, że musiała go przeoczyć, kiedy poprzednio tam zaglądała. Najważniejsze, że Sara będzie musiała uwierzyć w to wyjaśnienie".

Tak ułożony plan przyniósł jej ulgę, ale już po chwili usłyszała w swojej głowie szyderczy głos: „Bardzo sprytnie, Laurie, ale jak zamierzasz wytłumaczyć pojawienie się tego noża w twojej torbie? Uważasz, że sam tam wskoczył?”. Drwiący śmiech sprawił, że jej dłonie zacisnęły się w pięści.

- Zamknij się! - wyszeptała z wściekłością. - Odejdź i zostaw mnie w spokoju.

Dziekan Larkin nie był sam. Czekał na nią wraz z doktorem Iovino, dyrektorem Centrum Doradczego. Laurie zeszywniała na jego widok.

Usłyszała w sobie ostrzeżenie: „Bądź ostrożna. Jeszcze jeden doktorek.

Ciekawe, co oni kombinują?”.

Dziekan poprosił, żeby usiadła. Zapytał, jak się miewa, czy dobrze sobie radzi z nauką. Zapewnił ją, że wszyscy wiedzą o tragedii, jaka spotkała jej rodzinę, i poprosił, aby zawsze pamiętała, że wszystkim wykładowcom zależy na jej dobrym samopoczuciu.

Następnie powiedział, że doktor Iovino chciałby z nią zamienić kilka słów i że wobec tego zostawia ich samych.

Kiedy drzwi za dziekanem Larkinem się zamknęły, doktor Iovino uśmiechnął

się do niej i powiedział:

- Niczego się nie obawiaj, Laurie. Chciałem tylko porozmawiać z tobą o profesorze Grancie. Co o nim myślisz?

Proste pytanie.

- Uważam, że to wspaniały człowiek - odpowiedziała Laurie. - Jest świetnym wykładowcą i dobrym

przyjacielem.

- Dobrym przyjacielem.

- Właśnie tak.

- Laurie, to że studenci odczuwają szczególną więź z wykładow cą, nie jest niczym niezwykłym. Po stracie rodziców z pewnością po trzebujesz współczucia oraz życzliwości, jest więc rzeczą naturalną, że pogrążona w smutku i samotna, fałszywie postrzegasz tego rodzaju relacje. Fantazjujesz na ich temat. To, co w marzeniach przedstawiasz sobie jako za ledwie możliwe, nagle staje się czymś realnym. Łatwo ten mechanizm wytłumaczyć.

- O czym pan mówi? - Laurie zdała sobie sprawę, że jej głos za brzmiał

zupełnie tak samo, jak głos jej matki, kiedy zirytował ją kelner, dający do zrozumienia, że chciałby umówić się z Laurie na randkę.

Psycholog wręczył jej paczkę listów.

- Laurie, czy to ty napisałaś te listy? Przeglądała je z rosnącym zdumieniem.

- Zostały podpisane przez kogoś imieniem Leona. Dlaczego pan sądzi, że to właśnie ja je napisałam?

- Laurie, masz maszynę do pisania, prawda?

- Wszystko piszę na komputerze.

- Ale masz też maszynę?

- Tak, starą przenośną maszynę mojej matki.

- Czy przywiozłaś ją tutaj?

- Owszem, na wszelki wypadek. Czasem się zdarza, że komputer wysiada akurat wtedy, kiedy muszę coś napisać.

- Czy tę pracę semestralną oddałaś w zeszłym tygodniu? Laurie rzuciła okiem na wskazany tekst.

-Tak.

- Zwróć uwagę, że w całym tym tekście litery „o” i „w” są niewy różnie odbite.

A teraz popatrz, to samo daje się zauważyć w listach do profesora Granta. W

obu przypadkach użyto tej samej maszyny.

Laurie zdumiona patrzyła na doktora Iovino. Na jego twarz za częła się nagle nakładać znieawidzona fizjonomia doktora Carpentera. „Inkwizytorzy!

Bydlaki!".

Doktor Iovino był dużym, zwalistym wręcz mężczyzną. Cała jego sylwetka wyrażała postawę „wszystko w porządku, o nic się nie martw".

- Laurie, porównanie podpisu „Leona" z odręcznymi adnotacja mi na twojej pracy semestralnej wskazuje na duże podobieństwo charakterów pisma.

Głos w jej głowie krzyczał: „To nie tylko psycholog. Teraz występuje w roli grafologa!". Laurie wstała.

- Doktorze Iovino, prawda jest taka, że pozwalałam korzystać z mojej maszyny wielu osobom. A pana posądzenia mnie obrażają. Dziwię się, jak profesor Grant mógł dojść do wniosku, że to ja napisałam te bzdury.

Zdumiewa mnie także fakt, że zdecydował się pan wezwać mnie na rozmowę.

Moja siostra jest prokuratorem. Niewiele wysiłku kosztowałoby ją rozprawienie się z „dowodami", które mają, według pana, świadczyć o tym, że to ja jestem autorką tych odrażających wynurzeń.

Zebrała listy i cisnęła je na biurko.

- Żądam pisemnych przeprosin, a jeśli cała ta sprawa przeniknie na zewnątrz, tak jak to dzieje się z wieloma innymi sprawami w tym biurze, będę żądała publicznego oczyszczenia mnie z tych idiotycznych zarzutów. Jeśli chodzi o profesora Granta, to uważałam go za przyjaciela, przyjaciela rozumiejącego, jak ciężki czas nastał teraz w moim życiu. Najwyraźniej byłam w błędzie. Ci studenci zaś, którzy nazywają go Seksownym Allanem i plotkują na temat jego skłonności do flirtów, nie myślą się. Mam zamiar powiedzieć mu o tym sama. I to zaraz.

Odwróciła się gwałtownie i w pośpiechu opuściła pomieszczenie.

Miała mieć zajęcia z Allanem Grantem o trzeciej czterdzieści pięć. Teraz była trzecia trzydzieści. Nie musi nawet liczyć na szczęście. Po prostu złapie go na korytarzu. Było zresztą za późno, żeby iść do niego do biura.

Czekała na niego, kiedy wkroczył wreszcie na korytarz. Idąc, uśmiechał się i odpowiadał na powitania studentów. W końcu spoj rzał i na nią.

- Cześć, Laurie. - Jego głos zabrzmiał niepewnie.

- Profesorze, jak wpadł pan na nedorzeczny pomysł, że to ja pisałam do pana te listy?

- Laurie, wiem, jak ci teraz ciężko...

- I pomyślał pan, żeby zrobić mi się lżej, kiedy powie pan dzieki nowi Larkinowi, że miewam fantazje na temat sypiania z panem. Czy pan oszalał?

- Laurie, uspokój się. Ludzie zaczynają się nam przyglądać. Dlaczego nie możemy o tym porozmawiać w moim biurze po zajęciach?

- Bo wtedy będziemy mogli się przed sobą obnażyć, ja ujrzę pańskie wspaniałe ciało i zaspokoję wreszcie swoje pożądanie, tak? - Laurie zdawała się nie dostrzegać, że studenci przystają i zaczynają się im przypatrywać. -

Budzi pan we mnie obrzydzenie i pożałuje pan tego, co pan zrobił! -

wyrzucała z siebie słowa w szaleńczym zapamiętaniu. - Bóg mi świadkiem, pożałuje pan tego, co pan zrobił.

Roztrąciła stojących wokół ludzi i biegiem puściła się w kierunku bursy.

Wpadła do pokoju, zamknęła drzwi na klucz i rzuciła się na łóżko. W jej głowie kłębiły się głosy.

Jeden z nich mówił: „Przynajmniej raz dla odmiany stanęłaś we własnej obronie”.

Inny wrzeszczał: „Jak on mógł cię zdradzić? Przecież w listach było ostrzeżenie, żeby nikomu ich nie pokazywał. Pożałuje tego. Do brzo, że masz nóż. Ten erotoman gawędziarz nigdy już nie będzie musiał się martwić, co u ciebie słychać”.

Bic i Opal polecili do Georgii zaraz po niedzielnym programie. Tej nocy urządzono na ich cześć pożegnalny bankiet.

We wtorek rano wyruszyli samochodem do Nowego Jorku. W bagażniku schowali maszynę do pisania Bica, bagaże i kanister z paliwem, pieczołowicie owinięty w ręczniki. Nie wzięli żadnych rzeczy osobistych.

- Kiedy wybierzemy sobie dom, urządzimy w nim nasze własne centrum rozrywki - zarządził Bic. Do tego czasu mieli mieszkać w wynajętym mieszkaniu.

Podczas jazdy Bic przedstawił Opal tok swojego rozumowania:

- Mówiłem ci o tym przypadku, kiedy dorosła kobieta przypomniała sobie, co jej zrobił własny tata; no i tatuś siedzi teraz w więzieniu. Jej wspomnienia na temat tego, co się stało u nich w domu i w samochodzie były bardzo dokładne.

Przypuśćmy, że Pan zechce poddać nas próbie i pozwoli Lee przypomnieć sobie fragmenty życia z nami. Założmy, że dziewczyna zacznie opowiadać o farmie, domu, układzie pokoi i schodach na górę. I teraz niech jakimś cudem ktoś znajdzie to miejsce i zacznie dochodzić; kto je wynajmował. Ten dom to przecież namacalny dowód na to, że mieszkała wtedy z nami. To nic, że nikt nigdy nas z nią nie widział, z wyjątkiem tej kasjerki, która nie była w stanie nas opisać. Wniosek nasuwa się sam: musimy zniszczyć ten dom. Tak nam podpowiada nasz Pan.

Zdażyło się zrobić ciemno, kiedy przejechali przez Bethlehem i do tarli do Elmville. Pomimo to dostrzegli, jak mało się tu zmieniło przez piętnaście lat, odkąd opuścili to miejsce: obskurna knajpa

na uboczu autostrady, jedna stacja benzynowa, rząd drewnianych domów. Lampy zapalone na werandach oświetlały obdrapane ściany i rozpadające się schodki.

Bic ominął główną ulicę i wjechał na okrężną, liczącą pięć mil drogę, dochodzącą do farmy. Kiedy zaczęli się do niej zbliżać, wyłączył światła.

- Wolałbym, żeby nie widziano naszego samochodu - powiedział. - Mało to zresztą prawdopodobne. Nikt nigdy nie łązi po tej drodze.

- A co zrobisz, jeśli pojawią się gliny? - zaniepokoiła się Opal. -I zapytają cię, dlaczego nie masz włączonych świateł?

Bic westchnął.

- Brak ci wiary, Opal. Pan się o nas troszczy. A poza tym ta droga prowadzi tylko na farmę i na moczary.

Kiedy jednak zbliżyli się do zabudowań, ukrył samochód za kępą drzew.

Na farmie nie widać było żadnych oznak życia. Dom stał pogrążony w ciemnościach. W oknach brakowało szyb. Bic nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz, ale kiedy naparł na nie ramieniem, ustąpiły.

Wszedł, postawił na podłodze kanister i wyjął z kieszeni małą latarkę. Snop światła omiół pomieszczenie.

- Wygląda całkiem tak samo - zauważył. - Niczego tu nie zmienili. - A to fotel bujany, na którym siadywałem z Lee na kolanach. Ja kie to było słodkie dziecko.

- Bie, zabierajmy się stąd. Jest zimno, a to miejsce zawsze wywoływało u mnie gęsią skórę. Przez te dwa lata nieustannie się bałam, że ktoś tu przyjdzie i ją zobaczy.

- Ale nikt nie przyszedł. I jeśli ten dom istnieje ciągle w jej pamięci, to już tylko tam się ostanie. Skropię teraz wszystko benzyną, a kiedy wyjdziemy na zewnątrz, podłożysz ogień.

Gdy tylko pierwsze płomienie dosięgły linii drzew, wskoczyli do auta i pośpiesznie odjechali. Dziesięć minut później byli już na autostradzie.

Podczas swojej półgodzinnej wizyty w Elmville nie natknęli się na żaden inny samochód.

W poniedziałek Sara udzieliła wywiadów na temat skazania Parkera „New York Timesowi” i bergeńskiemu „Recordowi”:

- Zdaję sobie sprawę, że Parker ma prawo twierdzić, iż ofiara sama kusiła los, ale gdy to słyszę, krew się we mnie burzy.

- Czy żałuje pani, że nie zażądała kary śmierci?

- Jeślibym zakładała, że przestępca rzeczywiście może zostać na nią skazany, domagałabym się jej. Parker podszedł Mays jak zwierzynę. Zapędził ją w ślepy zaułek. Niech nikt mi nie mówi, że to nie było wykalkulowane z zimną krwią morderstwo.

Kiedy wróciła do biura, jej szef, prokurator okręgu Bergen, złożył jej gratulacje.

- Conner Marcus to jeden z dwóch lub trzech najlepszych obrońców w sprawach karnych w tym kraju, Saro. Zrobiłaś świetną robotę. Ale zarobiłabyś znacznie więcej pieniędzy, gdybyś zajęła miejsce po drugiej stronie.

- Miałabym bronić mordercy? Nigdy!

We wtorek rano, ledwie zdążyła usiąść za biurkiem, zadzwonił telefon.

Agentka z biura sprzedaży nieruchomości, Bets y Lyons, miała nowe wiadomości. Trafiła się kolejna potencjalna klientka, poważnie zainteresowana kupnem domu. Pojawił się jednak pewien problem: kobieta jest w ciąży i chciałaby osiąść w nowym domu przed urodzeniem dziecka. Jak szybko dom mógłby być gotowy do zamieszkania, gdyby zdecydowały się go kupić?

- Tak szybko, jak tego potrzebuje - odrzekła Sara. Mówiąc to, czuła, jakby jakiś ciężar zsuwał się jej z ramion. Meble i wszystkie inne przedmioty, które zdecydowałyby się z Laurie zatrzymać, można będzie łatwo gdzieś zmagazynować.

Tom Byers, trzydziestoletni adwokat, wyrabiający sobie pozycję w dziedzinie naruszeń prawa patentowego, zajrzał na chwilę, przecho dząc.

- Gratuluję, Saro. Czy mogę cię wieczorem zaprosić na drinka?

- No jasne. - Bardzo lubiła Toma. Byłoby miło pójść z nim gdzieś po pracy, chociaż niewiele to dla mnie znaczy, pomyślała, a przed jej oczami pojawiła się twarz Justina Donnelly'ego.

Dochodziła dziewiętnasta trzydzieści, kiedy otwierała drzwi frontowe. Tom zaproponował wspólną kolację, ale poprosiła o odłożenie jej na kiedy indziej.

Pracowała intensywnie całe popołudnie i, jak powiedziała Tomowi, rozboleła ją wszystkie kości.

Zaraz po powrocie do domu przebrała się w piżamę i szlafrok, wsunęła nogi w kapcie i zajrzała do lodówki. Nieoceniona Sophie, pomyślała, patrząc na kawałek pieczeni. Jarzyny, ziemniaki i sos znajdowały się w osobnych naczyniach, przykryte folią i gotowe do podgrzania.

Miała właśnie zamiar zanieść tacę z kolacją do jadalni, kiedy za dzwonił Allan Grant. Słowa powitania zamarły jej na ustach, kiedy usłyszała, co miał do powiedzenia.

- Wspomniałem ci już coś kiedyś na ten temat, Saro. Wiem, że nie jestem w porządku. Powiniennem być uprzedzić was obie, i ciebie, i Laurie, zanim zwróciłem się do władz college'u.

- Uprzedzić o czym?

W miarę jak słuchała, nogi się pod nią ugiwały. Trzymając jedną ręką słuchawkę, drugą przysunęła sobie kuchenne krzesło. Maszyna do pisania.

Listy, które pisała Laurie podczas ich wyprawy statkiem i aura tajemniczości, jaką je otaczała. Kiedy Allan opowiadał o swoim spotkaniu z Laurie, zamknęła oczy, chociaż wolałaby móc zamknąć uszy. Grant zakończył swoją relacją słowami:

- Ona potrzebuje pomocy, natychmiastowej pomocy, Saro. Wiem, że chodzi do psychiatry, ale...

Nie powiedziała mu, że Laurie zrezygnowała z dalszych wizyt u doktora Carpentera.

- Nie umiem wyrazić, jak bardzo jest mi przykro, profesorze -

oświadczyła. - Zawsze był pan tak życzliwy dla Laurie. Cała ta sytuacja musi być dla pana bardzo trudna. Zadzwoń do niej. Zapewnię siostrze wszelką pomoc. - Jej głos gwałtownie się załamał. - Do widzenia. Dziękuję.

Nie mogła odkładać rozmowy z Laurie. Tylko jak powinna się za chować?

Wykręciła domowy numer Justina Donnelly'ego. Nikt nie podnosił słuchawki.

Udało jej się złapać doktora Carpentera. Jego pytania były krótkie:

- Laurie twarde zaprzecza, że napisała te listy? Rozumiem. Nie, ona nie kłamie. Jest zablokowana. Zadzwoń do niej, Saro, zapewnij ją, że ma w tobie oparcie. Zaproponuj, żeby przyjechała do domu. Myślę, że przebywanie w pobliżu profesora Granta nie jest dla niej najlepsze. Musimy doprowadzić do tego, żeby spotkała się z doktorem Donnellym. Od soboty przeczuwałem, że na coś się zanoszą.

Kolacja poszła w zapomnienie. Sara wykręciła numer Laurie. Znowu bez rezultatu. Próbowwała dzwonić co pół godziny aż do północy. W końcu zatelefonowała do Susan Grimes, studentki mieszkającej po drugiej stronie korytarza.

Zaspany głos Susan ożywił się, kiedy Sara się przedstawiła. Oczy wiście wie, co się stało. Tak, natychmiast zajrzy do Laurie.

Czekając na powrót dziewczyny, Sara uświadomiła sobie nagle, że się modli.

„Nie pozwól, żeby zrobiła sobie coś złego. Proszę, Panie Boże, tylko nie to”.

Usłyszała brzęk podnoszonej słuchawki.

- Byłam tam. Laurie śpi jak suseł. Oddycha równo, jak mi się zdaje. Czy mam ją obudzić?

Ulga spłynęła na Sarę.

- Założę się, że wzięła środek nasenny. Nie, nie budź jej i wybaczyć, że cię fatygowałam.

Sara powlokła się do łóżka. Zasnęła natychmiast z błogą pewnością, że przynajmniej tej nocy nie musi się o Laurie martwić. A jutro zadzwoni do niej z samego rana.

Trudno o lepsze zwieńczenie tego uroczego dnia, pomyślał profe sor Grant, odkładając słuchawkę po rozmowie z Sarą. Miała taki przybity głos. A jaki miała mieć? Jej rodzice nie żyją od pięciu miesięcy, a młodsza siostra przeżywa załamanie nerwowe. Allan poszedł do

kuchni. W kącie największej szafki trzymał alkohol. Nie lubił pić sam, wypijał najwyżej jedno lub dwa piwa wieczorem, ale teraz nalał sobie sporą ilość wódki i sięgnął po kostki lodu. W ciągu dnia nie myślał w ogóle o jedzeniu i teraz po pierwszym łyku alkoholu poczuł, że pa li go w gardle i żołądku. Lepiej będzie, jeśli przygotuje sobie coś do jedzenia.

W lodówce znalazł same resztki. Zrezygnował z nich jako z ewentualnych składników kolacji i wyjął z zamrażalnika pizzę.

Czekając na jedzenie, pociągał swojego drinka i zastanawiał się po raz kolejny, dlaczego tak sknocił sprawę Laurie Kenyon. Zarówno na dziekanie Larkinie, jak i na doktorze Iovino duże wrażenie zrobiły kategoryczne zaprzeczenia Laurie. Jak to podsumował dziekan: „panna Kenyon ma sporo racji, mówiąc, że jej maszyna mogła być użyta przez kogokolwiek i że podobieństwo charakterów pisma nie jest żadnym dowodem na to, że ona napisała te listy”.

I teraz tamci dwaj uważają, że rozpętałem sprawę, która może być kłopotliwa dla college'u, myślał Allan. Świetnie. A jak ja mam sobie radzić z Laurie na zajęciach do końca semestru? Czy może się jeszcze okazać, że się rzeczywiście mylę?

Wyjął pizzę z piekarnika i powiedział na głos:

- To niemożliwe. Nie mylę się. Laurie napisała te listy. O ósmej zadzwoniła Karen.

- Kochanie, myślałam o tobie. Jak poszło?

- Obawiam się, że nie najlepiej.

Rozmawiali przez dwadzieścia minut. Kiedy skończyli, Allan czuł się dużo lepiej.

O wpół do jedenastej telefon zadzwonił znowu.

- Wszystko w porządku - powiedział Allan. - Mój Boże, dobrze, że wyłożyłem w końcu wszystkie karty na stół. Biorę tabletkę nasenną i idę spać. Do jutra.

Kocham cię - dodał.

Nastawił radio na budzenie, nastroił sygnał na CBS i natychmiast zasnął.

Allanowi Grantowi nie dane było usłyszeć cichych kroków, zbliżających się do jego łóżka ani dostrzec pochylającej się nad nim postaci. Nie obudził się, kiedy ostrze noża zagłębiało się w jego serce. Chwilę potem szelest zasłony stłumił odgłos towarzyszący jego ostatnim konwulsyjnym

Znowu miała ten straszny sen, ale tym razem był trochę zmodyfikowany. To nie nóż ją atakował, lecz ona, zaciskając na nim mocno dłoń, po dnośliła go i opuszczała. Laurie siedziała wyprostowana na łóżku, zakrywając dłonią usta, żeby nie krzyknąć. Czuła, że jej ręce są lepkie. Dlaczego? Spojrzała w dół.

Dlaczego ciągle ma na sobie dżinsy i żakiet? I gdzie się tak ubrudziła?

Jej lewa dłoń dotykała czegoś twardego. Ścisnęła to coś palcami i poczuła nagły ból, ciepło i wilgoć. Spod jej ręki wypłynęły strużki krwi.

Odrzuciła na bok pościel. Pod poduszką leżał nóż do krojenia mięsa. Na prześcieradle widać było ślady zakrzepłej krwi. Co się stało? Zacięła się? Ale kiedy? I czemu aż tak krwawi? Chyba nie z tej małej rany? Po co w ogóle wyjmowała ten nóż z szafki? A może się jeszcze nie obudziła? Może to fragment snu?

„Nie trać czasu! - krzyknął na nią głos. - Umyj ręce i nóż. Schowaj go z powrotem do szafki. Rób, co ci mówię. Pośpiesz się. Zdejmij zegarek. Pasek jest brudny. W kieszeni masz bransoletkę. Umyj ją także”.

„Umyj nóż”. Zawadzając o meble, pobiegła do łazienki, odkręciła kurki w wannie i włożyła nóż pod strumień wody.

„Schowaj go do szafki”. Wpadła z powrotem do pokoju. „Wrzuć zegarek do szuflady. Pozbądź się ubrania. Zdejmij pościel. Wrzuć wszystko do wanny”.

Potykając się, wróciła do łazienki, szybkim ruchem przełączyła wodę, tak żeby popłynęła z prysznicą, i cisnęła pościel do wanny. Rozebrała się i wrzuciła na wierzch swoje rzeczy. Stała, patrząc, jak woda robi się coraz bardziej czerwona.

Weszła do wanny. Pościel owijała się wokół jej stóp. W zapamiętańtu ścierała lepkie ślady z twarzy i rąk. Zacięcie na dłoni nie przestało krwawić, mimo że owinęła ją ręcznikiem. Mijały minuty, a ona stała z zamkniętymi oczami, poddając się strumieniowi wody spływającej po całym ciele; nie przestawała drżeć, chociaż łazienka pełna była pary.

W końcu stanęła na posadzce, zawinęła włosy w ręcznik, włożyła aksamitny szlafrok i zakręciła krany. Prała ubranie i pościel tak dłu go, aż woda przestała zabarwiać się na czerwono.

Wpakowała wszystko do wielkiego worka, ubrała się i zeszła na dół do pralni, gdzie stały suszarki. Patrzyła, jak bęben maszyny zaczyna wirować.

Pieczołowicie złożyła wysuszone rzeczy i zabrała je na górę.

„Teraz pościel łóżko i zabieraj się stąd. Idź na zajęcia i siedź spokojnie. Tym razem naprawdę jesteś

w tarapatkach. Telefon dzwoni. Nie odbieraj. To pewnie Sara".

Idąc przez campus, spotkała kilku studentów i studentek. Jedna z nich zaczęła natychmiast zapewniać Laurie, że to, co ją spotkało, jest rodzajem przewrotnego molestowania seksualnego i że powinna wobec tego wytoczyć sprawę profesorowi Grantowi. Co za bezczelność, żeby oskarżać kogoś o takie rzeczy.

Potakiwała, błędząc myślami gdzie indziej. Zastanawiała się, kim jest to małe dziecko, nieprzestające zanosić się płaczem jakby przytłumionym przez poduszkę, w którą wtula głowę. Przed oczyma zamajał jej obraz małej dziewczynki o długich jasnych włosach, leżącej na łóżku w zimnym pokoju.

Tak, to ona była tą płaczącą dziewczynką.

Laurie nie zauważyła nawet, kiedy jej koledzy rozeszli się na zajęcia, zostawiając ją samą. Nie zwróciła też uwagi na spojrzenia, jakie, odchodząc, kierowali w jej stronę. Nie słyszała, jak jeden ze studentów, oglądając się, powiedział:

- Ona jest naprawdę dziwna.

Niby zahipnotyzowana weszła do budynku. Wsiadła do windy i na trzecim piętrze wkroczyła na korytarz. Zajrzała na chwilę do sali, w której miały się odbyć zajęcia z Allanem Grantem. Kilkunastoosobowa grupa studentów czekała na profesora.

- Traciecie czas - powiedziała. - Seksowny Allan nie żyje.

CZĘŚĆ TRZECIA

42

Sarze nie udało się złapać Laurie w środę rano w jej pokoju, więc znowu zadzwoniła do Susan Grimes. - Mam prośbę. Zostaw dla Laurie wiadomość na drzwiach, żeby koniecznie do mnie zatelefonowała. To bardzo ważne.

O jedenastej Laurie sama do niej zadzwoniła z komendy policji. Sarę ogarnęło całkowite odrętwienie. Dopiero po kilku minutach zdołała wykręcić numer doktora Carpentera, żeby powiedzieć mu, co się stało, i poprosić go o skontaktowanie się z Justinem Donnellym. Potem, chwytając w biegu płaszcz i torebkę, pobiegła do samochodu. Półtoragodzinna jazda do CI inton była piekłem.

W uszach ciągle miała głos Laurie: „Saro, profesor Grant został

zamordowany. Oni myślą, że to ja. Aresztowali mnie i zawieźli na policję.

Pozwolili tylko raz skorzystać z telefonu".

Zadała siostrze tylko jedno pytanie: „Jak zginął profesor Grant?". Znała odpowiedź, jeszcze zanim

Laurie odpowiedziała. Allan Grant zmarł od pchnięcia nożem. Boże, łaskawy Boże, dlaczego?

Kiedy Sara dotarła na policję, powiedziano jej, że Laurie jest teraz przesłuchiwana. Sara zażądała natychmiastowego widzenia.

Porucznik, z którym rozmawiała, wiedział, że jest asystentką prokuratora.

Spojrzał na nią ze współczuciem.

- Panno Kenyon, wie pani dobrze, że do obecności w czasie przesłuchania ma prawo jedynie jej adwokat.

- Ja jestem jej adwokatem - powiedziała Sara.

- Nie może pani...

- Właśnie w tej chwili rzucam dotychczasową pracę. Jest pan świadkiem mojej rezygnacji.

Pomieszczenie, w którym prowadzono przesłuchanie, było *m ale*. Laurie siedziała na chwiejącym się drewnianym krześle, wpatrzona w obiektyw filmującej ją kamery. Przesłuchiwało dziewczynę dwóch detektywów. Kiedy zobaczyła Sarę, padła jej w ramiona.

- To jakiś obłąd, Saro. Bardzo mi przykro z powodu profesora Granta. Był dla mnie taki dobry. Wpadłam wczoraj w złość z powodu tych listów; on myślał, że to ja je napisałam. Saro, znajdź tego, kto to robił. To na pewno jakaś pomyłona osoba, która go potem zabiła. -Laurie zaczęła szlochać.

Sara przycisnęła głowę Laurie do piersi, instynktownie zaczęła nią kołysać.

Przypomniała sobie, że w podobny sposób uspokajała je mama, kiedy były małe.

- Usiądź, Laurie - powiedział stanowczo młodszy z detektywów. -

Poinformowaliśmy ją o prawie do zachowania milczenia i złożyła już wszystkie wymagane podpisy - zwrócił się do Sary.

Sara pomogła Laurie usiąść z powrotem na krześle.

- Zostaję tutaj z tobą. I nie chcę, żebyś odpowiadała więcej na żadne pytania.

Laurie ukryła twarz w dłoniach. Jej włosy przesypały się do przodu.

- Panno Kenyon, czy mogę zamienić z panią słowo? Nazywam się Frank Reeves.

Sara uprzytomniła sobie, że starszy z detektywów wydaje jej się znajomy.

Zeznawał kiedyś w jednym z jej procesów. Odciągnął ją te raz na bok.

- Obawiam się, że ta sprawa nie może budzić wątpliwości. Wczo raj groziła profesorowi Grantowi.

Dzisiaj, zanim jeszcze je go ciało zostało odnalezione, oświadczyła grupie studentów, że profesor nie żyje. W jej pokoju znaleziono ukryty nóż, który najprawdopodobniej został użyty podczas morderstwa.

Usiłowała wyprać swoje ubranie i pościel, ale są na nich niewyraźne ślady krwi. Ostatecznie rozstrzygnie to badanie laboratoryjne.

- Saruś.

Sara odwróciła się szybko. To Laurie, ale nie ta Laurie, która się działa dotąd na krześle. Jej mimika uległa zmianie, zachowywała się teraz jak dziecko. Jej głos brzmiał tak, jakby miała trzy lata. „Saruś”. Tak zdrabniała jej imię, kiedy była małym brzdącem. „Saruś, ja chcę misia”.

Sara trzymała Laurie za rękę, kiedy dziewczynę postawiono w stan oskarżenia. Sędzia ustalił wysokość kaucji na sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Sara złożyła Laurie obietnicę, że wyciągnie ją z aresztu za kilka godzin. Przemagając ból, patrzyła, jak strażnicy odprowadzają niewiele rozumiejącą Laurie w kajdankach, z rękami skutymi na plecach.

Gregg Bennett przyszedł do sądu, kiedy wypełniała formularze konieczne do uzyskania zgody na wypuszczenie za kaucją.

- Saro.

Spojrzała w górę. Wyglądał na wstrząśniętego i załamane. Nie widziała go od kilku miesięcy. Jej siostra wydawała się kiedyś taka szczęśliwa u boku tego sympatycznego młodego mężczyzny.

- Laurie nigdy nikogo nie skrzywdziłaby z rozmysłem, Saro. Coś musiało w niej pęknąć.

- Wiem. Tylko niepo czytalność może tu być linią obrony. Niepo czytalność w chwili dokonywania czynu.

Zanim skończyła mówić, przypomniała sobie wszystkich adwokatów, których pokonała w sądzie, a którzy stosowali taką właśnie straż tegię. Rzadko się sprawdzała. Najwyżej pomagała zgromadzić wystarczająco dużo wątpliwości, żeby uchronić oskarżonego od kary śmierci.

Poczuła nagle, że Gregg trzyma rękę na jej ramieniu.

- Wyglądasz tak, że kawa chyba ci nie zaszkodzi - powiedział. - Ciągłe pijesz czarną?

-Tak.

Kiedy wrócił, niosąc dwa parujące styropianowe kubki, ona włąs nie kończyła wypełnianie ostatniej strony formularza. Później czekał razem z nią na przyjęcie podania. Taki miły facet, myślała Sara. Dlaczego Laurie się w nim nie zakochała? Dlaczego wybrała człowieka żonatego? A może chciała, żeby Allan Grant zastąpił jej ojca? Kiedy minął pierwszy szok, przypomniała sobie, jak Grant zerwał się i podbiegł do Laurie, kiedy zemdląa. Czy jest możliwe, żeby to on ją zbałamucił jakimiś wyrafinowanymi sposobami? Uwodził, kiedy czuła się osamotniona, osierocona? Sara uświadomiła

sobie, że w jej głowie zaczyna się rysować ewentualna linia obrony.

Kwadrans po szóstej Laurie została wypuszczona za kaucją. Wyszła z aresztu w towarzystwie umundurowanej strażniczki. Gdy ujrzała ich oboje, ugięła się pod nią kolana. Gregg podbiegł, żeby podtrzymać dziewczynę. Jęknęła, kiedy ją złapał. W końcu zaczęła krzyczeć:

- Saro, nie pozwól, żeby on mnie skrzywdził!

43

W środę o jedenastej przed południem w biurze podróży Global Travel, mieszczącym się w hotelu Madison Arms przy Siedemdziesiątej Szóstej Ulicy na Manhattanie, rozległ się dzwonek telefonu.

Karen Grant właśnie zamierzała wyjść z biura. Zawahała się przez moment i zawołała przez ramię:

- Jeśli to do mnie, powiedz, że będę za dziesięć minut. Zanim zacznę cokolwiek robić, muszę się najpierw uporać z pewną sprawą.

Sekretarka Connie Santini podniosła słuchawkę.

- Biuro podróży Global Travel, dzień dobry - powiedziała i wysłuchała, co mówi dzwoniący. - Karen właśnie wyszła. Będzie za kilka minut. - Jej głos brzmiał energicznie.

Anne Webster, właścicielka biura podróży, stała przy szafce z dokumentami.

Odwróciła się. Dwudziestodwuletnia Connie była dobrą sekretarką, ale w rozmowach telefonicznych zachowywała się zbyt nonszalancko. „Zawsze proś o podanie nazwiska - zwykła jej przykazywać Anne w takich sytuacjach.

- A jeśli ktoś dzwoni do kogoś w interesach, pytaj, czy kto inny nie może w czymś pomóc".

- Tak, jestem pewna, że za chwilę będzie - mówiła Connie. - Czy coś się stało?

Anne podeszła szybko do biurka Karen, podniosła słuchawkę i dała Connie znak, żeby odłożyła swoją.

- Mówi Anne Webster. W czym mogę pomóc?

W czasie swojego sześćdziesięciodziewięcioletniego życia nigdy nie zdarzyło się jej przyjąć przez telefon złej wiadomości o krewnym lub znajomym. Kiedy rozmówca przedstawił się jako dziekan Larkin z Clinton College, nie miała wątpliwości, że coś niedobrego przytrafiło się Allanowi Grantowi.

- Jestem szefową Karen i jej przyjaciółką - powiedziała dziekanowi. - Karen jest teraz u jubilera po drugiej stronie korytarza. Mogę ją poprosić, jeśli pan sobie życzy.

Usłyszała wahanie w jego głosie:

- Może nie byłoby źle, żebym pani o tym powiedział. Przyjechałbym osobiście, ale obawiałem się, aby Karen nie dowiedziała się wcześniej o wszystkim z radia albo od kogoś, kto chciałby z nią przeprowadzić rozmowę...

Anne Webster z przerażeniem słuchała wieści o zamordowaniu Allana Granta.

- Powiem jej o tym - obiecała dziekanowi.

Kiedy odłożyła słuchawkę i opowiadała o wszystkim sekretarce, z jej oczu płynęły łzy.

- Jedna ze studentek Allana pisała do niego listy miłosne. W końcu ujawnił

wszystko przełożonym. Wczoraj ta studentka zrobiła straszną scenę, podczas której mu groziła. Dzisiaj rano, kiedy Allan spóźnił się na zajęcia, obwieściła, że nie żyje. Znaleźli go martwego w łóżku z raną od noża w klatce piersiowej. Biedna Karen.

- Idzie - powiedziała Connie.

Widziały ją przez szklaną szybę, oddzielającą ich biuro od korytarza.

Poruszała się lekko i sprężysto. Na jej ustach błąkał się uśmiech, a ciemne włosy spływały miękko na ramiona. Czerwony kostium z perłowymi guzikami podkreślał zgrabną figurę. Wszystko wskazywało na to, że Karen udało się załatwić to, co chciała.

Anne Webster przygryzła nerwowo wargi. Jak powinna jej o tym powiedzieć?

Może poinformuje Karen tylko, że zdarzył się wypadek, i poczeka z resztą, aż znajdą się w Clinton? „Boże - modliła się w duchu - daj mi siłę, której potrzebuję”.

Drzwi się otworzyły.

- Przepraszam - powiedziała z triumfem Karen. - Przyznali, że to była ich wina.

- Nagle jej uśmiech zgasł. - Anne, co się stało?

- Allan nie żyje. - Kobieta nie mogła uwierzyć, że udało się jej to z siebie wyrzucić.

- Allan? Nie żyje? - Pytania Karen świadczyły o tym, że nie bardzo dociera do niej to, co się stało. W końcu powtórzyła: - Allan. Nie żyje.

Anne i Connie pośpieszyły z pomocą, widząc, że nagle zbladła. Chwyciły ją, każda z jednej strony, i posadziły na krześle.

- Jak? - spytała głosem bez wyrazu Karen. - Samochód? Hamulce zaczynały nawalać. Ostrzegalam go. Ale on nie miał głowy do takich rzeczy.

- Och, dziecko... - Anne Webster położyła dłonie na drżących ramionach Karen.

Connie Santini podała resztę szczegółów, a później zadzwoniła do warsztatu i zażądała, aby samochód Karen został natychmiast przyprowadzony do siedziby biura. Później przyniosła płaszcze, rękawiczki i torebki.

Zaproponowała, że też pojedzie. Ale Karen zaprotestowała. Ktoś powinien zostać na miejscu.

Uparta się, że będzie prowadzić.

- Nie znasz drogi, Anne.

Kiedy schodziły na dół, jej oczy były suche. Mówiła o Allanie tak, jakby wciąż żył.

- To najfajniejszy facet na świecie... Jest taki dobry... Najinteligentniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek poznałam... Pamiętam...

Anne dziękowała w duchu losowi, że ruch na trasie jest mały. Karen mogła dzięki temu jechać tak, jakby włączyła automatycznego pilota. Dojeżdżając do drogi numer 78, minęły lotnisko Newark.

- Spotkałam Allana na wyjeździe - mówiła Karen. - Byłam przewodniczką wycieczki po Włoszech. Dołączył do niej w ostatniej chwili. To było sześć lat temu. Okres wakacji minął, a nieco wcześniej zmarła jego matka. Wyznał mi, że nie ma gdzie się podziać na święta. Bardzo nie chciał zostawać w college'u.

Zanim wylądowaliśmy na Newark, byliśmy już zaręczeni.

Przybyły do Clinton kilka minut po dwunastej. Karen zaczęła łkać, kiedy zobaczyła swój dom oznaczony i zabezpieczony przez policję.

- Aż do tej chwili myślałam, że to jakiś zły sen - wyszeptała.

Na podjeździe zatrzymał je policjant, ale szybko się odsunął, po zwałając przejechać samochodowi. Kiedy wysiadały, rozbłysły flesze aparatów fotograficznych. Anne troskliwie objęła Karen i szybko przeszedł kilka kroków, jakie dzieliły je od drzwi wejściowych.

Po całym domu kręcili się policjanci. Byli w salonie, w kuchni, w korytarzu prowadzącym do sypialni. Karen ruszyła w tę stronę.

- Chcę zobaczyć męża - oświadczyła.

Zatrzymał ją siwowłosy mężczyzna i uprzejmie zaprowadził do salonu, gdzie się przedstawił.

- Detektyw Reeves. Przykro mi, pani Grant. Już go stąd zabraliś my. Będzie pani mogła zobaczyć

męża później.

Karen zaczęła dygotać.

- A ta dziewczyna, która go zabiła? Gdzie ona jest?

- W areszcie.

- Dlaczego to zrobiła? Był dla niej taki dobry.

- Ona utrzymuje, że jest niewinna, pani Grant, ale w jej pokoju znaleźliśmy nóż, którym najprawdopodobniej dokonano tej zbrodni.

W końcu tama pękła. Anne Webster spodziewała się, że to nastąpi. Karen Grant wydała z siebie zdławiony szloch, który był na poły śmiechem, a na poły łkaniem i zapowiadał bez wątpienia atak histeryi.

44

Bic włączył telewizor, kiedy jedli lunch w jego biurze w studiu telewizyjnym przy Zachodniej Sześćdziesiątej Pierwszej. Główną informację wiadomości zapowiadał napis: MORDERSTWO NA TELEUCZUCIOWYM W CLINTON

COLLEGE.

Opal niemal straciła oddech, a Bic zrobił się blady, kiedy zdjęcie Laurie jako dziewczynki pojawiło się na ekranie.

- W wieku czterech lat Laurie Kenyon została porwana. Dzisiaj, mając lat dwadzieścia jeden, została oskarżona o zabicie nożem po wszechnie lubianego profesora, do którego wcześniej napisała rzekomo dziesiątki listów miłosnych. Allan Grant został znaleziony w łóżku...

Na ekranie pojawiło się zdjęcie domu. Teren wokół niego był zabezpieczony taśmami policyjnymi. Teraz na ekranie ukazało się otwarte okno.

- Najprawdopodobniej Laurie Kenyon wtedy dostała się do środka przez to okno.

Pokazano też zastawioną rzędem samochodów ulicę. Następnie przeprowadzono rozmowę z jakąś studentką, której oczy aż błyszczały z podniecenia.

- Laurie zrobiła scenę profesorowi Grantowi. Krzyczała wtedy między innymi o tym, że uprawiali razem seks. Moim zdaniem, on usiłował z nią zerwać, a ona się wściekła.

Kiedy wiadomości dobiegły końca, Bic powiedział:

- Wyłącz to, Opal. Zrobiła, co kazał.

- Oddała się innemu - powiedział. - Skradała się nocą do jego łóżka.

Opal nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć lub zrobić. Bic za czął dygotać. Na twarz wystąpiły mu krople potu. Zdjął marynarkę, podwinął rękawy i wyciągnął ręce. Jego bujne owłosienie miało teraz stalowosiwy odcień.

- Pamiętasz, jak się bała, kiedy wyciągałem do niej ręce? - zapytał. - Ale Lee wiedziała, że ją kocham. Przez wszystkie te lata myśl o niej nie dawała mi spokoju. Byłaś tego świadkiem, Opal. A teraz okazuje się, że kiedy ja cierpiałem przez te ostatnie miesiące, widząc ją, będąc nieraz tak blisko, że mogłem jej dotknąć, przejmując się, czy

nie powie o mnie swemu lekarzowi i nie zagrozi wszystkiemu, do czego doszedłem, ona wypisywała jakieś świństwa do kogoś innego.

Jego oczy rozszerzyły się nienaturalnie i stały się błyszczące. Opal podsunęła mu odpowiedź, na którą czekał:

- Lee powinna zostać ukarana, Bic.

- Zostanie. Jeśli oko jest przyczyną grzechu, wyłup je. Jeśli ręka jest przyczyną grzechu, odetnij ją. Lee pozostaje najwyraźniej pod wpływem Szatana. Muszę sprawić, by Pan jej wybaczył. Moim obowiązkiem jest doprowadzić do tego, żeby skierowała ostrze przeciwko sobie samej.

45

Sara jechała drogą Garden State. Laurie spała skulona obok niej. Strażniczka, która przyprowadziła Laurie, obiecała zadzwonić do doktora Carpentera i powiedzieć mu, że są w drodze do domu. Kiedy Laurie zaczęła krzyczeć na widok Gregga, wepchnął ją szybko w ramiona Sary i powiedział rozżalony:

- Laurie, jak możesz, nigdy bym cię nie skrzywdził. Kocham cię. -Potem pokręcił głową i powiedział do Sary: - Nic nie rozumiem.

- Zadzwonię do ciebie - rzuciła szybko Sara. Wiedziała, że numer jego telefonu znajdzie w notesie Laurie. W zeszłym roku Laurie dzwoniła do niego regularnie.

Gdy dotarły do Ridgewood i skręciły w swoją ulicę, Sara z przerażeniem zauważyła trzy wozy parkujące przed ich domem. Tłum reporterów z aparatami i mikrofonami tłoczył się, blokując podjazd. Sara oparła się o klakson. Przepuścili ją, ale biegli obok samochodu, dopóki się nie zatrzymała przy schodach na werandę. Laurie poruszyła się, otworzyła oczy i rozejrzała się wokół.

- Saro, czego chcą ci ludzie?

Sara z ulgą zobaczyła, że drzwi wejściowe się otwierają. Doktor Carpenter i Sophie zbiegli ze schodów. Carpenter, torując sobie drogę wśród reporterów, dotarł do samochodu od strony

pasażera, otworzył drzwiczki i objął

ramieniem Laurie. Gdy razem z Sophie nieomal wnosili ją po schodach do domu, błyskały flesze i padały pytania.

Sara wiedziała, że musi złożyć oświadczenie. Wysiadła z samochodu i zaczęła, aż skierują mikrofony w jej stronę. Zmuszając się do chłodu i opanowania, słuchała pytań.

- Czy to morderstwo z powodu fatalnego zauroczenia?... Czy zdecydujecie się na przyznanie do winy?... Czy to prawda, że porzuci pani pracę, żeby bronić Laurie?... Czy wierzy pani w jej niewinność?

Sara wybrała ostatnie pytanie.

- Moja siostra nie jest prawnie i moralnie winna żadnej zbrodni i udowodnimy to w sądzie. - Odwróciła się i zaczęła sobie torować drogę, rozpychając reporterów.

Sophie trzymała drzwi otwarte. Laurie leżała na kanapie, obok niej siedział

doktor Carpenter.

- Dałem jej silne leki uspokajające - szepnął do Sary. - Zanieśmy ją od razu na górę, do łóżka. Zostawię informację dla doktora Donnelly'ego. Ma dzisiaj wrócić z Australii.

Jakbyśmy ubierały lalkę, pomyślała Sara, gdy razem z Sophie zdjęły z Laurie sweter i zaczęły naciągać na nią nocną koszulę. Laurie nie otwierała oczu i nie wyglądało na to, że jest świadoma, co się z nią dzieje.

- Przyniosę jeszcze jeden koc - cicho powiedziała Sophie. - Ma lodowate ręce.

Pierwszy dźwięk z ust siostry Sara usłyszała, zapalając nocną lampkę.

Rozdzierający szloch tłumiła nieco poduszka.

- Płacze przez sen - powiedziała Sophie. - Biedne dziecko.

No właśnie. Gdyby Sara nie patrzyła na Laurie, mogłaby przysiąc, że to płacze przestraszone dziecko.

- Poproś doktora Carpentera.

Instynkt mówił jej, żeby otoczyć Laurie ramionami i ukołysać, ale zmusiła się, żeby poczekać, dopóki nie przyjdzie lekarz. Ten stanął obok niej w słabym świetle i obserwował śpiącą. Potem, gdy szloch ustał i wciśnięta w poduszkę twarz dziewczyny odprężyla się, Laurie zaczęła szeptać. Pochylili się, żeby lepiej słyszeć.

- Chcę do taty. Chcę do mamy. Chcę do Saruś. Chcę do domu.

Thomasina Perkins mieszkała w małym czteropokojowym szeregowcu w Harrisburgu, w Pensylwanii. Miała teraz siedemdziesiąt dwa lata i była uroczą osobą, której jedyna wada polegała na tym, że kobieta uwielbiała opowiadać o najbardziej podniecającym zdarzeniu jej życia, czyli o swoim udziale w sprawie Laurie Kenyon. To ona była

tą kasjerką, która wezwała policję, gdy mała Laurie zaczęła histerycznie płakać w barze.

Bardzo żałowała, że nie przyjrzała się dokładnie tamtej parze i nie mogła sobie przypomnieć imienia, którym kobieta zwróciła się do mężczyzny, kiedy wybiegali z baru. Całe to wydarzenie śniło się czasami Thomasinie, zwłaszcza mężczyzna, ale zawsze bez twarzy. Widziała tylko zbyt długie włosy, brodę i silne ramiona pokryte gęstym, kręconym runem.

Thomasina usłyszała o aresztowaniu Laurie Kenyon w wiadomościach o szóstej. Biedna rodzina, pomyślała smutno. Stale jakieś kłopoty. Kenyonowie byli jej bardzo wdzięczni. Razem z nimi pojawiła się w programie „Dzień dobry, Ameryko” po powrocie Laurie do domu. Tego dnia John Kenyon wręczył jej dyskretnie czek na pięć tysięcy dolarów.

Thomasina miała nadzieję, że Kenyonowie zachowają z nią stały kontakt.

Przez jakiś czas pisywała do nich regularnie długie, pełne różnych wieści listy. Opisywała, jak każdy, kto odwiedzał bar, chciał usłyszeć o tej sprawie, i że wszyscy mieli łzy w oczach, kiedy opowiadała o przerażeniu Laurie i jej żalnym płaczu.

Pewnego dnia otrzymała list od Johna Kenyona. Podziękował jej jeszcze raz za uprzejmość, ale powiadomił ją też, że byłoby lepiej, gdyby przestała do nich pisywać. Te pełne wspomnień listy bardzo zasmucają jego żonę. A oni właśnie próbują wyrzucić z pamięci ten okropny czas.

Thomasina poczuła wielkie rozczarowanie. Tak bardzo liczyła na ich zaproszenie i wizytę, po której mogłaby opowiadać kolejne historie o Laurie.

Mimo to co roku posyłała im na Boże Narodzenie życzenia, choć oni nigdy jej nie odpowiadali.

Potem, gdy tylko dowiedziała się o wypadku Kenyonów, wysłała do Sary i Laurie kondolencje. Dostała miłą odpowiedź od Sary, która pisała, iż jej rodzice zawsze mówili, że poprzez Thomasinę Bóg odpowiedział na ich modlitwy. Dziękowała jej za piętnaście szczęśliwych lat, jakie stały się udziałem ich rodziny po powrocie Laurie. Thomasina oprawiła ten list w ramki i upewniała się, czy każdy jej gość go za uważa.

Uwielbiała oglądać telewizję, zwłaszcza w niedzielny poranek. Była głęboko religijna i najbardziej lubiła program „Kościół Przesłany”. Z czcią odnosiła się do wielebnego Rutlanda Garrisona i jego śmierć ogromnie ją zasmuciła.

Wielebny Bobby Hawkins zupełnie go nie przypominał. Nie do końca budził

jej zaufanie. Wywoływał w niej dziwne odczucia. Kiedy jednak oglądała jego i Carlę, czuła, że emanuje z nich jakaś hipnotyzująca siła. Nie mogła od nich oderwać oczu. No, a poza wszystkim Hawkins był świetnym kaznodzieją.

Szkoda, że to nie niedziela, kiedy wielebny Bobby każe wszystkim wyciągać ręce do telewizji i prosić o osobisty cud; Thomasina mogłaby wtedy prosić o to, by aresztowanie Laurie okazało się pomyłką. Ale akurat była środa i musiała poczekać do końca tygodnia.

O dziewiątej rozległ się dzwonek telefonu. Dzwonił producent lokalnego programu telewizyjnego „Dzień dobry, Harrisburgu”. Przepraszał, że odzywa się tak późno, i pytał, czy nie wzięłaby udziału w porannym programie, żeby porozmawiać o Laurie.

Thomasina nie kryła zdumienia.

- Wertowałem akta sprawy Kenyonów, panno Perkins - wyjaśnił producent. -

Co za szkoda, że nie może pani sobie przypomnieć imienia tego faceta, który był wtedy z Laurie w barze!

- Tak - westchnęła Thomasina. - On ciągle jeszcze mi się płacze po głowie, ale teraz już pewnie nie żyje albo mieszka w Ameryce Południowej. Zresztą to pomoże?

- Pomoże bardzo dużo - odparł producent. - Pani świadectwo to jedyny dowód, że Laurie została uprowadzona przez porywaczy. A być może będzie potrzebowała więcej dowodów niż ten, żeby wzbudzić w sądzie współczucie ławy przysięgłych. Porozmawiamy o tym jutro podczas programu.

Thomasina odłożyła słuchawkę, zerwała się i natychmiast pobiegła do sypialni. Wyjęła z szafy swoją najlepszą sukienkę z błękitnego jedwabiu i żakiet, po czym zaczęła się im dokładnie przyglądać. Dzięki Bogu, żadnych plam. Przygotowała jeszcze porządny gorset, nie dzielne pantofle i parę eleganckich pończoch, które kupiła w sklepie JC Penny i trzymała na specjalną okazję. Od czasu gdy przestała pracować, nie zwracała sobie głowy zakręcaniem włosów na wałki na noc. Teraz jednak postanowiła zająć się każdym kosmykiem na swojej głowie.

Miała już iść spać, gdy przez głowę przemknęła jej rada wielebnego Bobby'ego, żeby modlić się o cud.

Wyjęła lawendową papeterię, którą dostała w prezencie od siostry strzenicy, i zaczęła szukać kupionego w supermarkecie długopisu firmy Bic. Rozsiadłszy się przy stoliku, zaczęła pisać długi list do wielebnego

Bobby'ego Hawkinsa, opowiadając mu szczegółowo o swoim zaangażowaniu w losy Laurie Kenyon. Wyjaśniała, że kilka lat temu odmówiła poddania się hipnozie, która miałaby rzekomo pomóc jej przypomnieć sobie imię, jakim tamta kobieta nazwała porywacza. Zawsze uważała, że poddać się czemuś takiemu, to jakby powierzyć swoją duszę innemu człowiekowi, a to niekoniecznie może się podobać Bogu. Co wielebny Bobby o tym myśli? Zdaje się na jego opinię. Prosi o szybką odpowiedź.

Drugi list napisała do Sary, wyjaśniając jej swoje poczynania.

Po namyśle postanowiła ofiarować na rzecz Kościoła Przesłany dwa dolary i dołączyła je do listu

do wielbego Hawkinsa.

Doktor Justin Donnelly pojechał do Australii na Boże Narodzenie i postanowił zostać tam przez następny miesiąc. Australijskie lato dawało prawdziwą okazję do odpoczynku. Poza tym przez te cztery tygodnie mógł

odwiedzić rodzinę i zobaczyć się ze starymi przyjaciółmi.

Spędzał też sporo czasu z Pamelą Crabtree. Dwa lata temu, gdy wyjeżdżał do Stanów, byli o krok od zaręczyn, ale uznali, że jeszcze na to za wcześnie.

Pamela zaczynała wtedy właśnie robić karierę jako neurolog i zdobywać uznanie w Sydney.

Podczas świątecznych wakacji często jedli razem kolację, żeglowali, chodzili do teatru. Jednak, mimo że lubił przebywać z Pamelą i po dziwił ją, odczuwał

w jej obecności jakieś niezadowolenie. Być może na przeszkodzie stało coś więcej niż tylko konflikt zawodowy.

Dręczące go poczucie niepokoju stopniowo ustępowało; zrozumiał, że myśli coraz częściej o Sarze Kenyon. Widział ją tylko raz, w październiku, ale tęsknił za ich cotygodniowymi rozmowami. Żałował teraz, że tak się ociągał z zaproszeniem jej na kolację.

Na krótko przed powrotem do Nowego Jorku obgadali wszystko z Pamelą i doszli wspólnie do wniosku, że cokolwiek było między nimi, już się skończyło. Z poczuciem niezmiernej ulgi Donnelly wsiadł na pokład samolotu do Nowego Jorku i dotarł na miejsce w środę, w południe. Wyczerpany długim lotem, położył się do łóżka natychmiast po wejściu do mieszkania.

Spał do dziesiątej i dopiero kiedy wstał, odsłuchał wiadomości na automatycznej sekretarce.

Pięć minut później rozmawiał już z Sarą. Jej zmęczony i napięty głos bardzo go poruszył. Z przerażeniem słuchał opowieści o tym, co się zdarzyło.

- Musisz namówić Laurie na spotkanie ze mną - powiedział, gdy skończyła. -

Jutro mam do uporządkowania kilka spraw w klinice, ale może umówmy się na piątek o dziesiątej?

- Nie będzie chciała przyjechać.

- Musi.

- Wiem. - Nastąpiła pauza, a potem Sara powiedziała: - Cieszę się, że pan wrócił, doktorze.

Ja też, pomyślał Justin i odłożył słuchawkę. Wiedział, że Sara nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, co ją może czekać. Laurie popełniła morderstwo przez jedno ze swoich innych wcieleń, a to oznaczało, że prawdopodobnie nie będzie mógł już pomóc osobie znanej jako Laurie Kenyon.

Późną nocą w środę Brendon Moody wrócił do Teaneck w New Jersey po tygodniu łowienia ryb z kumplami. Jego żona Betty czekała na niego zaaferowana. Natychmiast opowiedziała mu o aresztowaniu Laurie Kenyon.

Laurie Kenyon! Brendon był detektywem przy biurze prokuratora okręgu Bergen siedemnaście lat temu, gdy czteroletnia Laurie zniknęła. Aż do emerytury pracował w wydziale zabójstw i dlatego bardzo do brzo znał Sarę.

Kręcąc głową, włączył wiadomości o jedenastej. Morderstwo w kampusie było główną informacją. Relacja zawierała migawki z domu Allana Granta, wdowę eskortowaną w drodze do domu, Sarę i Laurie opuszczające posterunek policji, a na końcu Sarę składającą oświadczenie dla prasy przed domem Kenyonów w Ridgewood.

Patrzył i słuchał z narastającym przerażeniem. Gdy reportaż się skończył, wyłączył telewizor.

- Ciężka sprawa - powiedział.

Trzydzieści lat temu, gdy starał się o rękę Betty, jej ojciec powie dział szyderczo:

- Ten mały kurczak myśli, że jest wielkim kogutem.

W jakimś stopniu odpowiadało to prawdzie. Betty zawsze czuła, że gdy coś wprawiło Brendona w złość, przebiegały przez niego jakby iskry elektryczne. Podbródek wysuwał mu się do przodu, szare przerzedzone włosy podnosiły się w nieładzie, policzki nabierały rumieńców, a oczy w okularach bez oprawek wydawały się większe niż zwykle.

Mimo sześćdziesięciu lat na karku Brendon nie stracił nic z dziańskiej energii, która niegdyś uczyniła go najlepszym śledczym w biurze prokuratora. Za trzy dni mieli odwiedzić siostrę Betty w Charleston. Teraz Betty sama zasugerowała, że może wolałby wycofać się z podróży, ale zapytała też trzeźwo:

- Czy jest coś, co ty mógłbyś zrobić?

Brendon był teraz licencjonowanym prywatnym detektywem i zajmował się tylko tymi sprawami, które go naprawdę interesowały. Uśmiechnął się z wdzięcznością i smutkiem.

- Módl się, żeby tak było. Sara potrzebuje kogoś, kto pokręci się po kampusie i wygrzebie każdy strzęp informacji, jaki może się jej przydać. To wygląda całkiem jednoznacznie. Bets, słyszałaś to z moich ust tysiące razy, ale powtórzę jeszcze raz. Gdy podchodzisz do sprawy ze sceptycznym nastawieniem, jedyne, na co możesz liczyć, to kilka lat urwanych z ostatecznego wyroku. Trzeba do końca wierzyć w to, że twój klient jest niewinny niczym dziecko w kołysce. Tylko w ten sposób można znaleźć okoliczności łagodzące. Sara Kenyon to cholernie miła kobieta i cholernie dobry prawnik. Zawsze przewidywałem, że kiedyś zostanie sędzią. Ale teraz potrzebuje pomocy. Prawdziwej pomocy. Jutro się z nią spotkam i zgłoszę swoją gotowość.

- Oby zechciała z niej skorzystać - mruknęła Betty cicho.

- Skorzysta, skorzysta. I wiesz co, Bets? Ty tak nie lubisz zimna. Może sama pojedziesz do Charleston i odwiedzisz Jane?

Betty zdjęła szlafrok i weszła do łóżka.

- Czemu nie. Jak cię znam, od tej chwili będziesz jadł, spał i robił wszystkie inne rzeczy, myśląc wyłącznie o tej sprawie.

- Carla, opisz mi dokładnie sypialnię Lee.

Opal miała właśnie nalać Bicowi kawę z ekspresu. Zamarła na chwilę, a potem ostrożnie zaczęła odkręcać kurek nad jego filiżanką.

- Dlaczego?

- Tyle razy cię ostrzegałem, żebyś nie podawała w wątpliwość moich poleceń.

Jego głos był uprzejmy, ale Opal zadrżała.

- Przepraszam. Po prostu zaskoczyłeś mnie. - Spojrzała na niego przez stół, próbując się uśmiechnąć. - Jest ci tak ładnie w tej aksamitnej marynarce, Bobby. Pozwól mi pomyśleć. Już ci mówiłam, że pokój Lee i pokój jej siostry znajdują się po prawej stronie klatki schodowej. Wiem od agentki nieruchomości, że Kenyonowie zrobili z mniejszych pokoi łazienki, dlatego każda z czterech sypialni ma własną. W pokoju Lee stoi podwójne łóżko z aksamitnym zagłówkiem, komoda, biurko, półki na książki, stolik nocny i obrotowy fotel. Czuć tam kobiecą rękę. Narzuta i zasłony uszyte są z wzorzystego materiału w białe i niebieskie kwiaty. Co jeszcze? Dwie niewielkie szafki, wentylator, bładoniebieski dywan.

Mogła przysiąc, że jej opis go nie zadowala, i aż mrużyła oczy, by się skoncentrować na przypomnieniu sobie każdego szczegółu.

- A tak, stoją tam jeszcze rodzinne zdjęcia na jej biurku i telefon na nocnym stoliku.

- Czy zauważyłaś zdjęcie Lee jako małej dziewczynki w różowym kostiumie kąpielowym, który miała na sobie, gdy do nas dołączyła?

- Chyba tak.

- Chyba?

- Jestem pewna.

- Zapomniałaś o czymś, Carla. Ostatnim razem, gdy o tym rozmawialiśmy, powiedziałaś, że na dolnej półce regału zauważyłaś cały stos albumów rodzinnych i wyglądało to tak, jakby Lee przeglądała je albo porządkowała.

Leżało tam podobno luzem sporo zdjęć Lee i jej siostry jako małych dzieci.

- Tak, to prawda. - Opal zdenerwowana piła swoją kawę. Jeszcze kilka minut temu myślała, że wszystko będzie dobrze. Rozkoszowała się luksusem tego pięknego salonu w hotelowym apartamencie, gła dząc delikatny aksamit swojej nowej sukienki od Diora. Podniosła oczy i natknęła się na świdrujące spojrzenie Bica. Jego oczy były błyszczące, mesjańskie. Serce jej zamarło, gdy uświadomiła sobie, że za chwilę zażąda od niej czegoś bardzo niebezpiecznego.

Laurie obudziła się w czwartek kwadrans po jedenastej. Przespała tę noc spokojnie. Otworzyła oczy i rozejrzała się po znajomym pokoju. Oszałamiająca kakofonia huczała w jej głowie. Gdzieś tam płakało dziecko. Dwie kobiety krzyczały głośno na siebie. Jedna z nich wrzeszczała:

„Szałam za nim, ale kochałam go i nie chciałam, żeby to się stało”.

Drugi głos odpowiadał: „Mówiłam ci tamtej nocy, żebyś została w domu. Ty idiotko. Zobacz, co jej zrobiłaś”.

„Ale to nie ja opowiedziałam wszystkim, że nie żyje. To ty jesteś idiotką”.

Laurie przycisnęła obie dłonie do uszu. O Boże, czyjej się to wszystko śni?

Czy Allan Grant naprawdę nie żyje? Czy ktokolwiek może uwierzyć, że to ona go skrzywdziła? Posterunek policji. Cela. Błyskają ce flesze aparatów fotograficznych. Naprawdę to wszystko jej się przytrafiło? Gdzie jest Sara?

Zerwała się z łóżka i podbiegła do drzwi.

- Saro, Saro!

- Sara niedługo przyjdzie - usłyszała znajomy, uspokajający głos Sophie, która właśnie wchodziła na górę. - Jak się czujesz?

Laurie poczuła przepływającą przez nią falę ulgi. Głosy w jej głowie przestały jazgotać.

- Sophie, tak się cieszę, że tu jesteś. Gdzie Sara?

- Poszła do swego biura. Powinna wrócić za kilka godzin. Przygotowałam lunch specjalnie dla ciebie: rosół i sałatkę z tuńczyka, tak jak lubisz.

- Tylko rosół, Sophie. Zejdę na dół za kilka minut.

Weszła do łazienki i odkręciła prysznic. Wczoraj się kąpała, piorąc jednocześnie prześcieradła i ubrania. Co za dziwny pomysł! Usta wiała końcówkę prysznica tak, by gorąca woda cienkim jak igła strumieniem masowała napięte mięśnie jej karku i ramion. Oszołomienie spowodowane środkami uspokajającymi z wolna ustępowało i stopniowo do jej świadomości docierała potworność tego, co się stało. Allan Grant, ten tak uroczy i ciepły mężczyzna, został zamordowany przy użyciu noża, który zginął z ich kuchni.

Sara pytała mnie, czy to nie ja wzięłam ten nóż, myślała Laurie, zakręcając kurki i wychodząc z kabiny. Owinęła się jednym z ogromnych ręczników kąpielowych. Później znalazłam ten nóż w swojej torbie. A potem ktoś musiał

go zabrać z mojego pokoju; pewnie ta sama osoba, która pisała te okr opne listy, rozważała.

Zastanawiała się, dlaczego nie czuje w tej chwili więcej emocji na myśl o Allanie Grancie. Był wobec niej taki serdeczny. Gdy otworzyła drzwi szafy, próbując zdecydować, co włożyć, zrozumiała powody swojego opanowania. Półki pełne swetrów. Podczas kupowania więk szości z nich towarzyszyła jej matka. Matka, której największą rado ścią było dawanie.

I zawsze to udawane przerażenie taty, gdy wracały do domu z pakunkami:

„Wygląda na to, że wspieram cały handel detaliczny”. Wkładała dzinsy i pulower, ocierając oczy. Kiedy się straciło dwoje takich ludzi, trudno o łzy smutku po kimkolwiek innym.

Stała przed lustrem i zaczęła rozczesywać włosy. Powinna pójść do fryzjera. Nie może się jednak tak po prostu umówić. Wszyscy by się na nią gapili i szeptali na jej temat. Aleja przecież nic nie zrobiłam, poskarżyła się swojemu odbiciu. Znowu przypomniła jej się mama. Ile to razy mówiła do niej: „Laurie, wyglądasz zupełnie tak jak ja, kie dy byłam w twoim wieku”.

Ale mama nie miała na pewno tego przerażenia w oczach. Jej usta zawsze się uśmiechały. Przy mamie ludzie czuli się szczęśliwi. Mama nigdy nie sprawiała nikomu kłopotów i nie zadawała bólu.

Szyderczy głos w jej głowie mówił: „Ej, a dlaczego to ty masz wziąć na siebie całą winę? Karen Grant nie miała ochoty żyć z Allanem. Ciągłe znajdowała jakieś preteksty, żeby zostawać w Nowym Jorku. Był samotny. Na kolację jadał zazwyczaj pizzę z zamrażalni-ka. Potrzebował mnie, ale nie zdążył się o tym przekonać. Nienawidzę Karen. Chciałabym, żeby to ona nie żyła”.

Laurie podeszła do biurka.

Po kilku minutach do drzwi zapukała Sophie i odezwała się zanie pokojonym głosem:

- Laurie, lunch gotowy. Wszystko w porządku?

- Czy mogłabyś zostawić mnie samą? Ten cholerny rosół chyba nie wyparuje, prawda? - odpowiedziała z irytacją, wkładając do ko perty list, który właśnie napisała.

Listonosz pojawił się około dwunastej trzydzieści. Siedząc w oknie, uchwyciła moment, kiedy wszedł na alejkę prowadzącą do domu. Zbiegła na dół i otworzyła drzwi wejściowe w chwili, kiedy był już na ganku.

- Odbiorę pocztę. A tu jest list do wysłania.

Kiedy zamykała drzwi, Sophie wychyliła się z kuchni.

- Laurie, Sara prosiła, żebyś nie wychodziła na zewnątrz.

- I po co ta panika, przecież nie wyszłam. Odebrałam tylko poc ztę. - Laurie ścisnęła Sophie za ramię. - Zostaniesz ze mną do powrotu Sary, prawda? Nie chcę siedzieć sama w domu.

51

Późnym popołudniem w środę Karen Grant wracała z Anne Web ster do Nowego Jorku. Była blada, ale opanowana.

- Lepiej będę się czuła w mieście - powiedziała. - Nie potrafiłabym zasnąć teraz w tym domu.

Anne zaproponowała, że zostanie z nią na noc, ale Karen podzię kowała.

- Ty wyglądasz na jeszcze bardziej wykończoną ode mnie. Nic mi nie będzie.

Wezmę tabletkę na sen i pójdę prosto do łóżka.

Spała długo i głęboko. Dochodziła jedenasta, kiedy się nazajutrz obudziła.

Trzy najwyższe piętra hotelu zajmowały apartamenty dla stałych gości. W

ciągu trzech lat, odkąd tu zamieszkała, stopniowo urządzała to miejsce po swojemu. Na jasnej hotelowej wykładzinie podłogowej porozkładała małe dywaniki o orientalnych wzorach w różnych odcieniach purpury, kości słoniowej i błękitu. Dodała zabytkowe lampy, jedwabne poduszki i porcelanowe figurki. Ściany ozdobiła obrazami modnych i obiecujących malarzy.

W rezultacie apartament zaczął przypominać pełne uroku i prze pychu prywatne gniazdko. Nie przeszkadzało to Karen korzystać z upodobaniem z wygód hotelowego życia, zwłaszcza z serwisu pokojowego i sprzątaczk.

Uwielbiała też swoją szafę pełną markowych ubrań, butów od Charlesa Jourdana lub Ferragamo, szali Hermesa i torebek Gucciego. Sprawiała jej wielką satysfakcję świadomość, że ilekroć wychodzi z windy, recepcjoniści zawsze z uwagą rejestrują, co tego dnia ma na sobie.

Wstała i poszła do łazienki. Biały szlafrok z grubego aksamitu wisiał na swoim miejscu. Z przyjemnością owinęła się nim i mocno ścisnęła pasek w talii. Sprawdziła w lustrze, jak wygląda. Oczy jeszcze trochę spuchnięte. To było straszne, gdy zobaczyła Allana na tym stole w kostnicy. W jednej sekundzie przypomniała sobie wszystkie niezwykle chwile, które przeżyli razem. Nigdy nie zapomni drżenia, jakie przenikało ją niegdyś na odgłos jego kroków zbliżających się do sypialni. Jej łzy w kostnicy były prawdziwe. Tym prawdziwsze, że patrzyła na niego po raz ostatni. Ta myśl uświadomiła jej, że musi załatwić niezbędne formalności. Nie teraz jednak; teraz zje śniadanie.

Podniosła słuchawkę i wybrała „4”, cyfrę oznaczającą serwis po kojowy.

Zgłosiła się Lilly.

- Tak mi przykro, pani Grant - powiedziała. - Wszyscy jesteśmy w szoku.

- Dziękuję - odpowiedziała Karen i natychmiast przeszła do za mówienia.

Poprosiła o to, co zwykle: sok ze świeżych owoców, sałatkę owocowa, kawa, bułeczka. - Aha, i proszę o przysłanie wszystkich porannych gazet.

- Oczywiście.

Piła pierwszą filiżankę kawy, kiedy rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

Pobiegła je otworzyć jak na skrzydłach. W progu stał Edwin. Jego przystojna, szlachetna twarz przybrała wyraz zatroskania.

- Najdroższa - westchnął.

Przygarnął ją do siebie, a ona wtuliła twarz w kaszmirową marynarkę, którą podarowała mu na święta. Potem objęła go za szyję, uważając, aby nie zburzyć jego starannie uczesanych włosów w kółko rze ciemnoblonde.

Justin Donnelly przyjął Laurie w piątek rano. Widział wcześniej jej zdjęcia w gazetach, ale mimo to uderzająca uroda dziewczyny zrobiła na nim spore wrażenie. Niebieskie oczy i długie jasne włosy Laurie przywiodły mu na myśl ilustracje z bajek o księżniczkach. Miała na sobie zwyczajne luźne spodnie w kolorze ciemnoniebieskim, białą jedwabną bluzkę z wysoką stójką i biało-niebieski żakiet. Pomimo lęku z całej jej postaci emanowała wrodzona elegancja.

Obok niej, nieco z boku, usiadła Sara. Laurie nie zgodziła się na przyjście do gabinetu bez niej.

- Obiecałam Sarze, że porozmawiam z panem, ale mogę to zrobić tylko w jej obecności.

Być może właśnie asysta Sary sprawiła, że Justin, zanim sam zdołał

cokolwiek powiedzieć, usłyszał ze zdumieniem zadane wprost pytanie:

- Doktorze Donnelly, czy uważa pan, że to ja zabiłam profesora Allana Granta?

- A czy sądzisz, że mam powody, aby w to wierzyć?

- Przypuszczam, że każdy ma wystarczające powody, żeby mnie podejrzewać.

A ja go po prostu nie zabiłam, ponieważ w ogóle nie potrafiłabym zabić nikogo. Fakt, że Allan Grant łączył moją osobę z idiotycznymi anonimami, które dostawał, uważam za upokarzające. Nie zabijamy jednak za to, że ktoś nie poradził sobie z oceną nieprzyjemnej sytuacji.

- My, Laurie?

Czy to zmieszanie, czy też raczej poczucie winy przemknęło przez jej twarz?

Nie odpowiadała, więc Justin powiedział:

- Laurie, Sara rozmawiała z tobą o poważnym oskarżeniu, które zostanie ci prawdopodobnie przedstawione. Czy wiesz, co to za oskarżenie?

- Oczywiście. Jest absurdalne. Ojciec i Sara tyle razy rozmawiali o sprawach, które ona prowadziła, gdzie oskarżony został uznany za winnego, chociaż sam do końca nie wiedział, o co chodzi.

- Rozsądek nakazywałby w tej sytuacji przejąć się tym, co cię czeka, Laurie.

Spuściła głowę. Włosy opadły jej na twarz. Przygarbiła się i zaczęła bawić rękoma, uderzając lekko jedną od drugą. Podciągnęła nogi, tak że przestały dotykać podłogi i zwisały bezwładnie w powietrzu. Zaczęła popłakiwać cichutko w ten sam sposób, w jaki robiła to w ostatnich dniach. Sara odruchowo wychyliła się z fotela, żeby przytulić siostrę, ale Justin ją powstrzymał.

- Jesteś przerażona, prawda, Laurie? - zagadnął. Kiwnęła głową.

Wyszłochala:

- Nie Laurie.

- Nie jesteś Laurie. A powiesz mi, jak masz na imię?

- Debbie.

- Debbie. Jak ładnie. Ile masz lat, Debbie?

- Cztery.

Dobry Boże, pomyślała Sara, słuchając Donnelly'ego rozmawiającego z Laurie, jakby była małą dziewczynką. On ma rację. Musiały się z nią dzieć potworne rzeczy przez te dwa lata nieobecności w do mu. Biedna mama do końca wierzyła, że jej córkę uprowadziła jakaś spragniona dzieci para, która obdarzyła ją uczuciem. Czulałam, że coś nie gra od razu, kiedy wróciła. Gdyby wtedy otrzymała odpowiednią pomoc, czy siedzielibyśmy teraz tutaj? A jeśli prawda jest taka, że żyje w Laurie zupełnie inna osoba, która pisała te listy, a potem zabiła Allana Granta? Czy powinnam pozwolić doktorowi na jej odkrycie? A co będzie, jeśli ta osoba przyzna się do winy? O co on teraz pyta?

- Debbie, jesteś bardzo zmęczona, prawda?

-Tak.

- Czy nie miałabyś ochoty pójść do swojego pokoju i odpocząć? Założę się, że masz prześliczną sypialnię.

- Nie! Nie! Nie!

- W porządku. Możesz zostać tutaj. Zdrzemnij się na krześle, a jeśli Laurie jest gdzieś w pobliżu, poproś ją, żeby wróciła i jeszcze ze mną porozmawiała.

Oddech dziewczyny powoli się uspokoił. Po chwili podniosła głowę i wyprostowała plecy. Jej stopy dotknęły podłogi, a ręka odgarnęła włosy do tyłu.

- Jasne, że się boję - odpowiedziała Justinowi - ale ponieważ nie mam nic wspólnego ze śmiercią Allana, wiem, że mogę polegać na Sarze. Ona dotrze do prawdy. - Odwróciła się z uśmiechem do siostry, a potem znowu spojrzała prosto w oczy lekarzowi. - Na jej miejscu żałowałabym, że nie jestem jedynaczką. Ale, niestety, istnieję, a ona zawsze przy mnie była. I zawsze rozumiała.

- Co rozumiała, Laurie? Wzruszyła ramionami.

- Czy ja wiem...

- Myślę, że wiesz.

- Naprawdę nie.

Justin poczuł, że nadszedł moment, aby powiedzieć Laurie o tym, o czym wiedziała już Sara. O tym, że podczas tamtych dwóch lat spotkały ją straszne rzeczy, tak straszne, że jako małe dziecko nie potrafiła sobie z nimi sama poradzić. Inne osoby przysły jej z pomocą, może tylko jedna, może dwie, a może więcej. W każdym razie w rezultacie tego doszło u niej do rozszczepienia osobowości. Kiedy znalazła się z powrotem w domu, atmosfera pełna miłości sprawiła, że te inne osoby wycofały się. Śmierć rodziców spowodowała tak wielki ból, iż stały się znowu potrzebne.

Laurie słuchała, nie przerywając. W końcu zapytała:

- Jakiego rodzaju terapię pan proponuje?

- Hipnozę. Chciałbym też rejestrować nasze sesje na taśmie wi deo.

- A co się stanie, jeśli przyznam, że jakaś część mnie... jakaś osoba we mnie, jak pan mówi, rzeczywiście zabiła Allana Granta?

Na to pytanie musiała odpowiedzieć Sara.

- Laurie, obawiam się, że w obecnym stanie rzeczy twoja wina zostanie

orzeczona. Jedyne nasze nadzieje w tym, że uda się znaleźć okoliczności łagodzące albo udowodnić, że dokonałaś tej zbrodni bez świadomości tego, co robisz.

- Rozumiem. Istnieje więc możliwość, że zabiłam Allana Granta i pisałam te listy? Nie możliwość. Prawdopodobieństwo. Sara, czy ktoś powoływał się już na rozszczepienie osobowości, broniąc oskarżonego o zabójstwo?

- Tak.

- W ilu przypadkach nastąpiło uniewinnienie? Sara nie odpowiadała.

- W ilu, Saro? - naciskała Laurie. - W jednym? W dwóch? W żadnym? To jest właściwa odpowiedź, prawda? A więc nikt dotąd nie zo stał uniewinniony.

Mój Boże. Cóż, musimy mieć nadzieję. Rozumiem, że nawet jeśli poznamy prawdę, to nie wystarczy, żeby oczyścić mnie z zarzutów. - Najwyraźniej walczyła ze łzami. Po chwili odezwała się ostrym tonem: - Jeszcze jedna sprawa, doktorze. Sara będzie zawsze przy mnie. Nie zamierzam zostawać z panem sama w tym gabinecie przy zamkniętych drzwiach. I nie będę leżała na tej kozetce. Jasne?

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ułatwić ci sytuację, Laurie. Jesteś przemiłą osobą, która przeszła straszne rzeczy.

Zaśmiała się szyderczo.

- A co pan widzi miłego w tej głupiej mazgajowatej dziewczynie? Odkąd się urodziła, sprawia wszystkim same kłopoty.

- Laurie - zaprotestowała Sara.

- Myślę, że Laurie chwilowo znikła - spokojnie orzekł Justin. -Czy się mylę?

- Nie. Mam z nią ciągle tyle kłopotów.

- Jak ci na imię?

- Kate.

- Ile masz lat, Kate?

- Trzydzieści trzy. Proszę posłuchać, nie miałam wcale ochoty się ujawniać.

Chciałam pana tylko ostrzec. Niech się panu nie wydaje, że uda się zahipnotyzować Laurie i zmusić ją do mówienia o tych dwóch latach. To strata czasu. Do zobaczenia.

Zapadła cisza, która przerwało westchnięcie wyczerpanej Laurie.

- Czy nie moglibyśmy przerwać? Tak strasznie boli mnie głowa.

53

W piątek rano klienci Betsy Lyons zawiadomili ją, że są gotowi kupić dom Kenyonów za pięćset siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Nabywcami miała być młoda para, spodziewająca się dziecka i pragnąca w związku z tym jak najszybciej się wprowadzić do nowego domu. Betsy od razu wykręciła numer Sary, ale złapała ją dopiero po południu. Nie umiała ukryć rozczarowania, kiedy ta oświadczyła, że wycofuje swoją ofertę sprzedaży domu. Sara mówiła uprzejmie, ale stanowczo:

- Jest mi niezmiernie przykro, pani Lyons. Przede wszystkim nie mogłabym zaakceptować tak niskiej sumy. A poza tym nie miałabym możliwości zająć się teraz przeprowadzką. Wiem, jak wiele starań

kosztowało panią doprowadzenie do sprzedaży, ale proszę mnie zrozumieć.

Betsy Lyons zrozumiała. Jednakże, z drugiej strony, obroty na rynku nieruchomości były rozpaczliwie małe, trudno się więc dziwić, że liczyła na prowizję.

- Jest mi naprawdę przykro - powtórzyła Sara - ale nie wyobrażam sobie opuszczenia tego domu wcześniej niż na jesieni. Teraz muszę panią przeprosić, bo mam coś niezwykle pilnego do zrobienia. Po rozmawiamy na ten temat innym razem.

Była w bibliotece razem z Brendonem Moodym.

- Zdecydowałam, że lepiej będzie, jeśli zamieszkamy znowu razem -

tłumaczyła detektywowi - ale pod pewnymi warunkami...

- Bezwzględnie - zgodził się Brendon. - To dobrze, że wycofałaś się ze sprzedaży domu. Zaraz po rozpoczęciu procesu miałybyś tu tłumy reporterów udających klientów.

- Nigdy o tym nie pomyślałam - przyznała Sara. Znużonym ruchem odgarnęła włosy, które opadły jej na czoło. - Brendonie, nie umiem wyrazić, jak wdzięczna ci jestem za to, że chcesz poprowadzić dochodzenie w tej sprawie.

Właśnie skończyła opowiadać mu o wszystkim, nie wyłączając te go, co zdarzyło się podczas rozmowy Laurie z Justinem Donnellym.

Moody robił notatki. Jego czoło marszczyło się w skupieniu, a żywe brązowe oczy wydawały się ogromne za szklami okularów. Starannie zawiązany krawat i staroświecki brązowy garnitur dopełniały wizerunek uważnego, rzetelnego słuchacza. Sara wiedziała, że ten obraz odpowiada prawdzie. Kiedy prowadził dochodzenie, nic nie mogło ujść jego uwagi.

Czekała, aż przeczyta ponownie to, co zanotował. Znała tę proce durę. W ten sposób pracowali kiedyś razem w biurze prokuratora. Usłyszała, że Sophie wchodzi po schodach na górę. To dobrze. Sprawdza, co u Laurie.

Sara wróciła w myślach do sytuacji, kiedy wkraczały do domu po wizycie u doktora Donnelly'ego. Laurie powiedziała wtedy z przygnębieniem:

- Sara, żałuję, że to nie ja byłam wtedy w moim samochodzie, kiedy najechał

na niego autobus. Mama i ojciec nie zginęliby wówczas, a ty mogłabyś wciąż wykonywać pracę, którą kochasz. Jestem nędznym człowiekiem, sprowadzającym na wszystkich nieszczęścia.

- Nie jesteś - odpowiedziała jej Sara. - To tobie, gdy byłeś czteroletnim dzieckiem, przytrafiło się nieszczęście. Porwano cię i wyprawiano z tobą Bóg wie jak straszne rzeczy. Teraz masz dwadzieścia jeden lat i wciąż odczuwasz konsekwencje tamtych zdarzeń. I dlatego wpadłaś teraz w spore tarapaty, więc przestań się ciągle obwiniać.

Sara się rozplakała. W końcu i na nią przyszła kolej. Łzy zaczęły z amazywać jej widok. Wycierała je gwałtownie, usiłując nie tracić z oczu tego, co dzieje się na drodze numer siedemnaście.

Nagle zdała sobie sprawę, że jej wybuch może mieć niespodziewa nie dobry skutek. Usłyszała, jak przerażona Laurie mówi ze skrucą:

- Saro, wybacz, cholerna ze mnie egoistka. Powiedz, co mam zro bić?

Odpowiedziała jej:

- Rób to, o co poprosi doktor Donnelly. Pisz dziennik. To mu po może.

Przestań z nim walczyć. Współpracuj podczas hipnozy.

- W porządku, myślę, że mam już wszystko - powiedział teraz dziarsko Moody, przerywając zadumę Sary. - Muszę przyznać, że z czysto zewnętrznego punktu widzenia sprawa wydaje się dość oczywista.

Sposób, w jaki zaakcentował wyrażenie „z czysto zewnętrznego punktu widzenia”, dał Sarze do myślenia. Najwyraźniej przewiduje, w jakim kierunku pójdzie jej obrona.

- Będiesz się starała kłaść nacisk na ograniczoną poczytalność? -zapytał.

- Tak. - Czekala, co Brendon doda.

- Jakiego rodzaju facetem byt ten Grant? Miał żonę. Dlaczego nie byto jej z nim tamtej nocy?

- Pracuje w biurze podróży w Nowym Jorku i mieszka tam w cią gu tygodnia na state.

- To w New Jersey nie ma biur podróży?

- Pewnie są.

- A czy nie zachodzi możliwość, że profesor należał do tego ro dzaju facetów, którzy wynagradzają sobie nieobecność żony flirtowaniem ze studentkami?

- Nadajemy na tej samej fali.

Nagle biblioteka wyposażona w mahoniowe półki, zdjęcia rodzinne, obrazy, niebieski dywan o orientalnym wzorze oraz wyściełane miękką skórą kanapy i krzesła wypełniła się dobrze znaną elektryzująca atmosferą, jaka panowała w ciasnym kącie Sary w biurze prokuratora. Siedząc za starym angielskim biurkiem ojca, poczuła się zupełnie jak za swoim sfatygowanym pulpitem, przy którym pracowała już niemal pięć lat.

- Ostatnio zakończono sprawę, w której oskarżonego skazano za gwałt na dwunastoletniej dziewczynce - powiedziała Moody'emu.

- No myślę - skomentował.

- W oficjalnym uzasadnieniu podano, że ofiara tylko metrykalnie liczyła dwadzieścia siedem lat. Ponieważ cierpiała na rozszczepienie osobowości, udało jej się przekonać przysięgłych, że zgwałcono ją w momencie, kiedy pozostawała w swoim dwunastoletnim wcieleniu, a zatem nie była zdolna do świadomego decydowania o sobie. Sprawcę uznano za winnego gwałtu dokonanego na osobie chorej umysłowo. Po apelacji orzeczenie sądu uchylono, ale problem w tym, że ława przysięgłych uwierzyła zeznaniom kobiety cierpiącej na rozszczepienie osobowości.

Moody pochylił się do przodu z podnieceniem łowcy wietrzącego zapach zwierzyny.

- To, z czym teraz mamy do czynienia, wymagałoby odwrócenia sytuacji.

- Tak. Allan Grant wydawał się bardzo przejęty Laurie. Kiedy ze mdlała w kościele podczas pogrzebu, natychmiast się przy niej znał. Zaproponował, że odwiezie ją do domu i tam z nią pozostanie. Kiedy to sobie przypominam, zastanawiam się, czy nie było w tym nieco za dużo troski - westchnęła. - W

każdym razie można to potraktować jako punkt wyjścia. Na razie nie mamy nic więcej.

- To dobry punkt wyjścia - z przekonaniem oświadczył Moody. - Zostało mi jeszcze kilka rzeczy do wyjaśnienia, a potem pojedę do Clinton i zacznę grzebać.

Znowu zadzwonił telefon.

- Sophie odbierze - powiedziała Sara. - Niech ją Bóg błogosławi! Zamieszkała z nami. Mówi, że nie możemy teraz być same... Ustalmy jeszcze warunki.

- Pogadamy o tym później.

- Nie ma mowy - zaprotestowała zdecydowanie. - Znam cię, Brendonie Moody.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Sophie.

- Przykro mi, że przeszkadzam, Saro, ale znowu dzwoni ta agentka od nieruchomości i mówi, że to niezwykle ważne.

Sara podniosła słuchawkę i przywitała się z Betsy Lyons. Po chwili li udzieliła jej odpowiedzi:

- No cóż, zdaje się, że jestem to pani winna. Ale muszę posta więc sprawę jasno.

Ta kobieta nie może bez końca oglądać naszego domu. W poniedziałek rano będzie tu pusto. Proszę więc umówić się z nią między dziesiątą a pierwszą. To wszystko, co mogę dla pani zrobić.

Kiedy odłożyła słuchawkę, wyjaśniła Brendonowi:

- Chodzi o jakąś obiecującą klientkę, rozważającą kupno tego do mu.

Najwyraźniej byłaby gotowa zaakceptować naszą cenę. Prosi o jeszcze jedne oględziny i zapewnia, że zaczeka z przeprowadzką do chwili, kiedy będzie to możliwe. Przyjedzie w poniedziałek.

Pogrzeb profesora Allana Granta odbył się w kościele episkopalnym pod wezwaniem świętego Łukasza w pobliżu miasteczka uniwersyteckiego w Clinton w sobotę rano. Wykładowcy i studenci stawili się tłumnie, aby oddać cześć popularnemu nauczycielowi. W swoim przemówieniu rektor mówił o intelekcie, serdeczności i wielkoduszności Allana.

- Był nieprzeciętnym nauczycielem... Jego uśmiech potrafił rozjaśnić najbardziej ponury dzień... Potrafił sprawiać, że ludzie czuli się lepsi...

Posiadał zdolność wyczuwania, kiedy komuś wiodło się go rzej ... Zawsze umiał pomóc...

Brendon Moody zjawił się na pogrzebie w charakterze obserwatora. Zależało mu zwłaszcza na przyjrzeniu się wdowie po Allanie Grancie. Ubrała się w tylko z pozoru prosty czarny kostium, na szyję włożyła sznur pereł. Brendon wyrobił sobie przez lata całkiem przyzwoite wyczucie mody. Żyjąc z pensji nauczyciela akademickiego powiększoną o swoje zarobki w biurze podróży, Karen Grant nie miała specjalnie szans na kupowanie markowych ciuchów.

Czy ona albo Grant posiadali jakiś majątek rodzinny? Na dworze było zimno i wietrznie, lecz ona zdecydowała się wejść do kościoła bez płaszcza. A to znaczyło, że zostawiła go w samochodzie. W takim dniu jak dziś na cmentarzu będzie pewnie potwornie zimno.

Płakała, idąc za urną wynoszoną z kościoła. Całkiem ładna kobie ta, pomyślał

Brendon. Ze zdziwieniem zauważył, że Karen Grant wsiada do pierwszej limuzyny z rektorem college'u i jego żoną. A co z rodziną? Z przyjaciółmi?

Brendon postanowił kontynuować swój udział w oddawaniu czci zmarłemu.

Udał się na miejsce pochówku.

Kiedy się tam znalazł, zagadka okrycia Karen została rozwiązana. Właśnie wysiadała z samochodu w sięgającym kostek futrze z norek.

55

Kościół Przeworzy posiadał dwunastoosobową radę, spotykającą się w każdą pierwszą sobotę miesiąca. Nie wszyscy jej członkowie zaakceptowali radykalne zmiany, jakie wielebny Bobby Hawkins wprowadził do scenariusza audycji telewizyjnych. Zwłaszcza Studnię Cudów starsi członkowie uważali za bluźnierstwo.

Telewizjowi widzowie proszeni byli o pisanie na temat oczekiwanych przez nich cudów. Ich listy umieszczano następnie w studni, a tuż przed ostatnim hymnem wielebny Bobby rozpościł nad nimi ręce i pełen emocji modlił się o spełnienie zawartych w nich próśb. Czasami wzywał do siebie któregoś z uczestników zgromadzenia w studiu, pragnącego jakiegoś cudu, i obdarzał go specjalnym błogosławieństwem.

- Rutland Garrison musi się przewracać w grobie - zwrócił się do Bica na comiesięcznym zgromadzeniu jeden ze starszych członków rady.

Bic obdarzył go chłodnym spojrzeniem.

- Czy liczba datków nie wzrosła pokaźnie?

- Owszem, ale...

- Ale co? Więcej pieniędzy na szpital i dom starców, więcej na sie rocińce w Południowej Afryce, co zawsze leżało mi na sercu, i więcej ludzi zwracających się do Pana z pełną wiarą w sprawach, które ich trapią. -

Powiódł wzrokiem po zgromadzonych. - Kiedy przyjąłem tę posługę, zapowiedziałem, że muszę wyprowadzić nasz Kościół na szersze wody.

Zapoznałem się z dokumentami. W ostatnich kilku latach wpływy systematycznie malały. Czy nie mówię prawdy?

Nie było odpowiedzi.

- Czy nie mówię prawdy?

Odpowiedziano mu potakującymi ruchami głów.

- Dobrze więc. Proponuję zatem następujące rozwiązanie: kto nie jest ze mną, ten jest przeciwko mnie i powinien wobec tego zrezygnować z członkostwa w dostojnej radzie. Zamykam dzisiejsze zebranie.

Opuścił salę zgromadzeń i udał się korytarzem do swojego biura, gdzie Opal zajęta była przeglądaniem poczty do Studni Cudów. Jej metoda polegała na szybkim przerzucaniu listów i wybieraniu tych najbardziej nietypowych, które Bic mógłby odczytać podczas programu. Listy układała następnie w jedną stertę, aby łatwo dały się umieścić w Studni Cudów. Osobną kupkę stanowiły datki, które Bic starannie przeliczał.

Opal odłożyła na bok jeden z listów. Bała się pokazać go Bicowi.

- Zaczynają przeglądać na oczy, Carla - poinformował ją. - Zaczynają rozumieć, że droga, którą podążam, to droga Pana.

- Bic - powiedziała trwożliwie. Zmarszczył brwi.

- W tym miejscu nie wolno ci nigdy...

- Wiem. Przepraszam. Ja... Przeczytaj to. - Wcisnęła do jego wyciągniętej dłoni list Thomasiny Perkins.

Karen oraz wykładowcy udali się po pogrzebie do domu rektora, gdzie czekał

na nich lekki posiłek. Dziekan Larkin powiedział Karen, że nie potrafi sobie wybaczyć, iż nie zorientował się, jak poważnie chora jest Laurie Kenyon.

- Dyrektor Centrum Doradczego, doktor Iovino, czuje się podobnie.

- To, co się stało, jest tragedią i nie ma sensu obciążać się winą -

spokojnie odparła Karen. - Ja powinnam była nakłonić Allana do ujawnienia listów, zanim nabrał przekonania, że to Laurie je napisała. Z kolei on nie powinien był zostawiać okna w sypialni tak szeroko otwartego. Mam powody, żeby nienawidzić tej dziewczyny, ale przypominam sobie, jak przykro było Allanowi z jej powodu.

Walter Larkin zawsze uważał Karen za osobę raczej oschłą, ale te raz przyszło mu do głowy, że może nie miał racji. Łzy w oczach i drże nie ust nie mogły być udawane.

Nazajutrz nawiązał do tego przy śniadaniu w rozmowie ze swoją żoną Louise.

- Nie bądź taki romantyczny, Walterze - odrzekła szorstko. - Karen nudziło życie uniwersyteckie i podwieczorki u kolejnych wykładowców. Odeszłaby dawno temu, gdyby Allan nie był dla niej tak wyrozumiały. Przyjrzyj się, jak ona jest ubrana! Chcesz znać moje zdanie? Allan właśnie zaczynał przegłębiać na oczy i dostrzegać, z kim się ożenił. Założę się, że dłużej by tego nie zniósł.

Ta biedna Kenyonówna podarowała Karen bilet pierwszej klasy do Nowego Jorku. W jedną stronę.

Opal pojawiła się w agencji nieruchomości punktualnie o dziesiątą tej rano w poniedziałek. Betsy Lyons już na nią czekała.

- Pani Hawkins - zwróciła się do przybyłej - obawiam się, że nie będę już więcej mogła udostępnić pani domu Kenyonów, więc bardzo proszę, aby przyjrzała się pani dzisiaj uważnie wszystkiemu, co panią interesuje lub o co chciałaby pani zapytać.

Takie powitanie było Opal na rękę. Bie nakazał jej wyciągnąć z agentki wszystko, co kobieta wie na temat sprawy Laurie.

- Tyle tragedii w tej rodzinie - westchnęła. - Jak się miewa ta biedna dziewczyna?

Betsy Lyons z ulgą skonstatowała, że Carla Hawkins nie łączy najwyraźniej sprawy kupna domu ze wstrząsającymi nagłówkami na temat aresztowania Laurie Kenyon pod zarzutem morderstwa. Odwzajemniła się za to większą niż zwykle poufałością.

- Nie zdziwi się pani, zapewne, jeśli powiem, że całe miasto nie mówi o niczym innym. Wszyscy współczują siostrze. Mój mąż, który jest prawnikiem, uważa, że obrona powinna upierać się przy ogra -

niczonej poczytalności, ale coś takiego bardzo trudno udowodnić. Laurie Kenyon nigdy nie zachowywała się dziwnie lub nienormalnie, a znam ją od tylu lat. Przejdźmy może teraz do naszych spraw.

W samochodzie Opal siedziała, nic nie mówiąc. Zastanawiała się, co będzie, jeśli podrzucenie tego zdjęcia przywróci Laurie pamięć? Ale skoro tak się stanie, przypomni jej to również groźbę Bica.

Tamtego dnia Bic zachowywał się naprawdę strasznie. Sam wczes niej zachęcał Lee, żeby pokochała tego głupiego kurczaka. Kiedy wychodziła na podwórko, jej oczy, zazwyczaj wylęknięte i smutne, rozjaśniały się.

Podbiegała do kurczaka, brała go na ręce i przytulała. Bic wyjął z szuflady w kuchni rzeźnicki nóż i mrugnął do Opal.

- Miłego przedstawienia - powiedział.

Wybiegł na zewnątrz. Zaczął wymachiwać przed Lee nożem na wszystkie strony. Przerazona, przytuliła mocno kurczaka do siebie. A wtedy on nachylił

się i chwycił ptaka za szyję. Rozległ się skrzek, Lee zaś w przypływie niezwykłej odwagi próbowała wyrwać ofiarę z rąk oprawcy. Nagły cios Bica przewrócił ją na ziemię. Kiedy usiłowała się podnieść, jednym cięciem "noża pozbawił jej ulubieńca głowy.

Opal poczuła, że staje jej serce, kiedy Bic rzucił trzepoczące się ciało kurczaka przed Lee. Jej stopy obryzgała krew. Potem Bic podniósł głowę martwego ptaka i kierując nóż w stronę gardła Lee, zaczął nim z wściekłością dźgać powietrze. Straszym głosem, z błyszczącymi wściekłością oczyma, zapewnił, że ją spotka to samo, jeśli kiedykolwiek ich wyda. Bic miał rację.

Przypomnienie tego dnia zamknie Lee usta albo doprowadzi ją do szaleństwa.

Betsy Lyons wcale nie czuła się speszona milczeniem swojej pasa żerki.

Wiedziała z doświadczenia, że kiedy ludzie mają się zdecydować na kupno, stają się poważni i skupieni. Szkoda, że Carla Hawkins choć raz nie przywiozła ze sobą męża na oględziny domu. W drodze do domu Kenyonów zapytała ją o to.

- Mąż pozostawił decyzję mnie - spokojnie odparła Opal. - Ufa mojej opinii. A ja wiem dokładnie, co go uszczęśliwi.

- To dobrze świadczy o waszym związku - pośpiesznie zapewniła ją Betsy.

Miała właśnie włożyć klucz do zamka, kiedy drzwi się otworzyły. Zaskoczona Opal ujrzała korpulentną kobietę w ciemnej spódnicy i swetrze, która okazała się gospożą Kenyonów. Jeśli ta osoba ma za miar kręcić się z nimi po domu, Opal trudno będzie podrzucić zdjęcie. Ale Sophie została w kuchni i załatwienie sprawy okazało się łatwiejsze, niż Opal przypuszczała. W każdym pokoju stawała przy oknie, żeby zobaczyć widok.

- Mój mąż prosił, żebym się upewniła, czy dom nie stoi zbyt blisko innych -

wyjaśniła.

W pokoju Lee zauważyła notatnik leżący na biurku. Jego okładka była lekko wygięta i wystawał spod niej koniec długopisu.

- Jakie są dokładne wymiary tego pokoju? - zapytała, pochylając się nad biurkiem, żeby wyjrzeć przez okno.

Tak jak się spodziewała, Betsy Lyons zaczęła szukać w torebce planu domu.

Opal błyskawicznie otworzyła notatnik. Tylko pierwsze trzy lub cztery strony były zapisane. Rzuciły się jej w oczy słowa: „Doktor Donnelly chce, żebym...”. Najwyraźniej Lee prowadzi dziennik. Opal dałaby wszystko, żeby móc przeczytać resztę.

Zaledwie chwilę trwało wyjęcie z kieszeni fotografii i wsunięcie jej pomiędzy kartki notatnika. Bic zrobił je pierwszego dnia, zaraz gdy tylko przyjechali na farmę. Zapłakana Lee stoi na zdjęciu pod dużym drzewem, dygocąc i kuląc się z zimna w swoim różowym kostiumie kąpielowym.

Bic przeciął fotografię nożyczkami na wysokości głowy dziewczynki i górny fragment przymocował zszywkami na dole. Teraz zdjęcie ukazywało Lee patrzącą zapuchniętymi od płaczu oczami do góry, na swoje pozbawione głowy ciało.

- Rzeczywiście, spora odległość od innych domów daje duże poczucie prywatności - powiedziała Opal, a Betsy Lyons poinformowała, że pokój ma wymiary trzy i pół na pięć i pół metra, dzięki czemu, jej zdaniem, nadaje się idealnie na sypialnię.

Justin Donnelly tak zorganizował sobie pracę w tygodniu, że mógł widywać się z Laurie codziennie o dziesiątej przed południem. Umówił ją także na spotkania ze specjalistami od terapii zajęciowej i pisała dzienników. Poza tym w piątek dostała od niego parę książek na temat choroby polegającej na posiadaniu kilku osobowości.

- Laurie - zwrócił się do niej. - Chciałbym, żebyś to przeczytała i zrozumiała, że większość pacjentek to kobiety, które były molestowane w dzieciństwie.

Wszystkie one wypierają to, co im się przytrafiło, zupełnie tak samo, jak ty to robisz. Wydaje mi się, że osoby, które

pojawiły się w tobie, żeby pomóc ci przetrwać te dwa straszne lata, kiedy zostałaś porwana, później trwały w uspieniu aż do czasu, kiedy zginęli twoi rodzice. Teraz wracają w pełni sił. Kiedy przeczytasz książki, które ci dałem, zrozumiesz, że te inne osobowości często usiłują ci pomóc, a nie zranić cię. I dlatego mam nadzieję, że zrobisz wszystko, żeby pozwolić mi z nimi porozmawiać.

W poniedziałek rano w gabinecie Justina była już zainstalowana kamera wideo. Zdawał sobie sprawę, że skoro Sara może się zdecydować na użycie którejś z tych taśm podczas procesu, on musi uważać, żeby nie wyglądało na to, iż podpowiadał Laurie, co ma mówić.

Do gabinetu weszły obie siostry. Donnelly zademonstrował im ka merę i wyjaśnił raz jeszcze, że zamierza rejestrować przebieg spotkań. Zwrócił się do Laurie:

- Potem obejrzysz to wszystko sama.

Po chwili dziewczyna została po raz pierwszy poddana hipnozie. Trzymając kurczowo dłoń Sary, posłusznie skierowała wzrok na dok tora, który zachęcał

ją, żeby się rozluźniła. Zamknęła oczy, oparła się wygodnie i wypuściła z ręki dłoń siostry.

- Jak się czujesz, Laurie?

- Smutno mi.

- Dlaczego ci smutno, Laurie?

- Mnie jest zawsze smutno. - Jej głos był wyższy, niepewny i lekko sepleniący.

Sara obserwowała, jak Laurie wierci się na krześle, jej włosy zasłoniły częściowo twarz, a ruchy stały się miękkie i skoordynowane, aż zaczęły przypominać zachowanie dziecka. Usłyszała głos Justina Do nnelly'go:

- Wydaje mi się, że rozmawiam teraz z Debbie. Czy mam rację? Odpowiedzią było nieśmiałe przytaknięcie.

- Dlaczego ci tak smutno, Debbie?

- Bo robię czasem złe rzeczy.

- Na przykład jakie, Debbie?

- Zostaw to dziecko w spokoju! Ona nie wie, o czy m mówi. Sara przygryzła wargi. To ten pełen złości głos, który słyszała już w piątek. Justin Donnelly zachował spokój.

- Kate, czy to ty?

- Dobrze wiesz, że ja.

- Kate, nie chcę zrobić nic złego Debbie ani Laurie. Dość się już wycierpiał.

Jeśli chcesz im pomóc, czemu nie chcesz mi zaufać?

Zły, szyderczy śmiech poprzedził odpowiedź. Sara zamarła ze zgrozy.

- Nie powinniśmy ufać żadnemu mężczyźnie. Choćby Allan Grant. Wydawał się taki miły dla Laurie, a zobacz, w co ją wpakował. Dobrze, że już go nie ma.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że cieszysz się z jego śmierci?

- Wolałabym, żeby nigdy się nie urodził.

- Masz ochotę o tym porozmawiać?

- Nie.

- A napiszesz o tym w swoim dzienniku?

- Miałam nawet taki zamiar dzisiaj rano, ale to głupie dziecko trzymało notes.

- Pamiętasz, o czym chciałaś napisać? Drwiący śmiech.

- Zdaje się, że bardziej interesuje cię to, o czym nie mam zamiaru pisać.

W drodze do domu Laurie była wyraźnie wyczerpana. Zjadła przygotowany przez Sophie lunch i poszła się położyć.

Sara usiadła przy biurku i przejrzała korespondencję. Sąd rozpa trzy sprawę Laurie w poniedziałek, siedemnastego. Zostały jeszcze dwa tygodnie. Jeśli prokurator wyznacza tak bliski termin, znaczy to, że musi być zdania, iż ma do czynienia z naprawdę ciężkim przypadkiem. I chyba rzeczywiście ma.

Stos poczty urósł na jej biurku. Przeglądała koperty, nie zadając sobie trudu, żeby je otwierać, aż natrafiła na jedną ze starannie wyka ligrafowanym adresem zwrotnym w rogu. Thomasina Perkins! To ta kasj erka, która kiedyś rozpoznała Laurie. Sara przypomniała sobie, że wielka wdzięczność jej ojca wobec tej kobiety topniała, w miarę jak przychodziły od niej kolejne listy, pełne ponurych wynurzeń na temat urazu, jaki ujawniła Laurie wtedy w restauracji. Nie ulegała jednak wątpliwości, że intencje Thomasiny Perkins były dobre. Napisała taki serdeczny list we wrześniu. Teraz pewnie znowu chciała dać wyraz swojemu wielkiemu współczuciu. Sara rozdarła kopertę i przeczytała krótki list. Thomasina podawała swój numer telefonu. Sara podniosła słuchawkę.

Thomasina odezwała się natychmiast. Była niezwykle poruszona tym, że Sara do niej dzwoni.

- Proszę posłuchać, jakie mam wieści. - Rozpierała ją wprost chęć podzielenia się nimi. - Wielebny Bobby Hawkins osobiście do mnie zadzwonił. Nie wierzy w hipnozę. Zaprosił mnie do swojego następ nego programu w niedzielę. Będzie się modlił, żeby Bóg podpowie dział mi imię tego strasznego człowieka, który porwał Laurie.

Wielebny Bobby Hawkins postarał się o sprytne ob rócenie problemu Thomasiny Perkins na swoją korzyść. Oddany pracownik został wysłany do Harrisburga, 'żeby sprawdzić panią Perkins. To było roz sądne posunięcie.

Wielebny Hawkins i rada chcieli mieć pewność, że nie stoi za nią jakiś wścibski reporter. Bie poprosił także o ustalenie, jakim zdrowiem cieszy się Thomasina, zwłaszcza jeśli chodzi o wzrok i słuch.

Rezultaty tego wywiadu okazały się bardzo zachęcające. Thomasina nosiła trzyogniskowe okulary i przeszła operację usunięcia kata rakty. Nic dziwnego, że już przed laty nie potrafiła dokładnie opisać ludzi towarzyszących Laurie.

- Najwyraźniej nie rozpoznaje nas na ekranie telewizora i zapewne nie rozpozna podczas osobistego kontaktu - orzekł Bic, czytając relację. -

Wykorzystamy ją jako inspirację dla działań naszego zgromadzenia.

Następnego niedzielnego poranka rozpromieniona Thomasina, z rękami złożonymi w modlitewnym geście, wpatrywała się z oddaniem w twarz Bica.

- Wiele lat temu ta dobra kobieta była sprawczynią cudu. Pan obdarzył ją zdolnością dostrzeżenia, że pewne dziecko znajduje się w potrzebie. Nie podarował jej jednak umiejętności zapamiętania imienia nikczemnika, który towarzyszył wtedy Laurie Kenyon. Teraz Lee znowu potrzebuje pomocy.

Thomasino, rozkazuję ci usłyszeć i zapamiętać imię, które przez tyle lat krąży w twojej podświadomości.

Thomasina z trudem panowała nad sobą. Bierze udział w programie telewizyjnym, niczym jakaś sława; jak może nie być posłuszna rozkazowi wielbego Bobby'ego? Wytężyła słuch. Cicho grały organy. Nie wiadomo skąd dotarł do niej szept: „Jim... Jim... Jim...”.

Wyprostowała się, wzniosła w górę ręce i krzyknęła:

- Imię, którego szukałam, brzmi „Jim”!

60

Sara powiedziała Justinowi Donnelly'emu o Thomasinie Perkins i powodach jej występu w programie „Kościół Przesztorzy”. O dziesiątej rano w niedzielę Donnelly włączył telewizor i w ostatniej chwili zdecydował się ustawić nagrywanie.

Thomasina ukazała się dopiero pod koniec programu. Donnelly z niedowierzaniem śledził przedstawienie, jakie odgrywał na ekranie wielbny Bobby, oraz objawienie, którego rzekomo doznała pani Perkins, obwieściwszy nagle, że porywacz miał na imię Jim. Facet utrzymuje, że sprowadza cuda, a nie potrafił nawet zapamiętać imienia Laurie, myślał

Donnelly, wyłączając telewizor. Powiedział o niej „Lee”. Mimo tych zastrzeżeń starannie opisał kasetę i odłożył ją na półkę.

Kilka minut później zadzwoniła Sara.

- Przepraszam, że dzwonię do domu, ale nie mogłam nie zapytać, co pan o tym myśli? Czy jest jakaś szansa, że pani Perkins rzeczywiście przypomniała sobie to imię?

- Nie - stanowczo odpowiedział Donnelly. Usłyszał, jak Sara westchnęła.

- Mimo to zamierzam poprosić policję w Harrisburgu o spraw dzenie imienia

„Jim” w komputerach - powiedziała. - Może mają tam w danych kogoś o tym imieniu, kto siedemnaście lat temu molestował dzieci.

- Obawiam się, że to strata czasu. Pani Perkins strzeliła na chybił trafił. No, chyba że rzeczywiście miała bezpośredni kontakt z Panem Bogiem. Jak się czuje Laurie?

- Całkiem dobrze. - Głos Sary zdradzał jednak pewien namysł.

- Oglądała ten program?

- Nie, odmawia słuchania jakiegokolwiek muzyki gospel. A poza tym staram się, żeby była jak najdalej od tego wszystkiego. Teraz ma my zamiar zagrać w golfa. Jest całkiem ładna pogoda, zważywszy na to, że to luty.

- Zawsze miałem ochotę spróbować gry w golfa. To z całą pewno ścią was rozluźni. Czy Laurie pisze czasem dziennik?

- Bazgrze właśnie teraz u siebie na górze.

- To dobrze. W takim razie do jutra.

Donnelly odłożył słuchawkę i zdecydował, że najlepszym sposobem pozbycia się uczucia niepokoju będzie pójście na długi spacer.

Zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy, odkąd zamieszkał w Nowym Jorku, perspektywa kompletnego braku planów na niedzielę wcale go nie zachwyca.

Thomasina miała nadzieję, że po programie „Kościół Przystwo rzy” wielebny Bobby Hawkins i jego przemiała żona Carla zaproszą ją na lunch do jakiegoś przyjemnego miejsca w rodzaju Zielonej Tawer ny, a może nawet zaproponują przejażdżkę po Nowym Jorku. Była tutaj ostatnio trzydzieści lat temu.

Ale wydarzyło się coś innego. W momencie kiedy kamery zostały wyłączone, Carla szepnęła coś wielebnemu Bobby'emu i oboje nagle posmutnieli. Po chwili zaczęli ją wręcz wypychać ze studia, wypowia dając pośpiesznie i zdawkowo pożegnalne formułki. Asystenci tej pa ry odprowadzili Thomasinę do samochodu, którym miała zostać odwieziona na lotnisko.

Po drodze próbowała poprawić sobie nastrój wspomnianiem chwały, jaką stanowił dla niej występ, oraz perspektywą relacjonowa nia go znajomym. A może producent programu „Dzień dobry, Harrisburgu” zaprosi ją znowu, żeby opowiedziała o cudzie, który jej się zdarzył?

Thomasina westchnęła. Była zmęczona. Poprzedniej nocy nie zmrużyła oka z podniecenia i teraz bolała ją głowa. Marzyła o filiżan ce herbaty.

Na lotnisku znalazła się niemal dwie godziny przed odlotem, więc weszła do jednej z kafeterii. Sok pomarańczowy, owsianka, bekon, jajka, ciastko i herbata przywróciły jej normalne dobre

samopoczucie. To było takie podniecające doświadczenie! Wielebny Bobby wydawał się jej niemal Bogiem, kiedy czuła, że modli się, stojąc nad nią.

Odsunęła pusty talerz, naląła sobie drugą filiżankę herbaty i pijąc ją, pomyślała jeszcze raz o przeżytych cudzie. Bóg przemówił bezpośrednio do niej słowami „Jim, Jim”.

Nigdy w życiu nie podważyłaby niczego, co usłyszałaby od Boga, ale kiedy papierową serwetką usiłowała zetrzeć tłusty ślad po bekonie, którego skrawek spadł na jej niebieską sukienkę, zawstydzona uświadomiła sobie narzucającą się jej od jakiegoś czasu karygodnie bluźnierczą myśl: „To nie to imię wtedy słyszałam”.

62

W poniedziałek rano, dziesięć dni po pogrzebie męża, Karen Grant wkroczyła do biura, niosąc okazałą stertę poczty.

Anne Webster i Connie Santini już tam były. Rozmawiały właśnie kolejny raz o tym, że Karen nie zaprosiła ich na stypę, mimo iż wyraźnie słyszały, jak rektor zapewniał ją, że wszyscy znajomi przybyli na pogrzeb będą mile widziani.

Anne Webster wciąż zastanawiała się nad tym, dlaczego zostały pominięte.

- Jestem przekonana, że to z powodu jej głębokiego przygnębienia. Connie inaczej o tym myślała. Była pewna, że Karen nie chciała, aby ktokolwiek z kolegów Granta miał okazję je zapytać o biuro po dróży.

Łatwo sobie wyobrazić, jak Anne z wrodzoną szczerością opowiada, że w ostatnich latach interes raczej słabo się kręci. Connie go towa jest się założyć o ostatniego dolara, że w Clinton College Karen stwarzała pozory, iż Global Travel dorównuje co najmniej Perillo Tours.

Pojawienie się Karen przerwało dyskusję. Przywitała koleżanki krótko i powiedziała:

- Dziekan przysłał tu kogoś z pocztą, która przychodzi wciąż na adres domowy. Potworna ilość. Przypuszczam, że większość tych listów zawiera wyrazy współczucia. Nie znoszę czytać takich rzeczy, ale chyba nie ma m wyjścia.

Westchnęła z przesadnym znużeniem i usiadła za biurkiem. Sięgnęła po nóż do papieru. Po chwili jęknęła: -O Boże!

Connie i Anne podbiegły do niej.

- Co się stało? Coś złego?

- Dzwońcie na policję w Clinton - rzuciła Karen. Jej twarz zrobiła się biała jak kreda. - To list od Laurie Kenyon. Znów podpisała się jako Leona. Ta stuknięta dziewczyna teraz straszy, że mnie zabije!

Poranna poniedziałkowa sesja z Laurie wniosła niewiele. Dziewczyna wyglądała na przybitą. Opowiedziała Justinowi o grze w golfa.

- Kiepsko mi szło, doktorze Donnelly. Po prostu nie mogłam się skoncentrować. Nawałnica myśli w głowie.

Nie dała się jednak nakłonić do rozmowy o tych myślach. Żadne z jej alter ego również nie chciało z nim rozmawiać. Kiedy Laurie po szła na terapię zajęciową, Sara powiadomiła Donnelly'ego, że zaczęła siostrę przygotowywać do przesłuchania przed sądem.

- Myślę, że to wszystko zaczyna do niej powoli docierać - wyjaśniła. -

Ostatniej nocy zastałam ją na oglądaniu albumów rodzinnych, które trzyma u siebie w pokoju. - W oczach Sary pojawiły się łzy, ale szybko je otarła. -

Powiedziałam jej, że oglądanie zdjęć mamy i taty to w tej chwili nie najlepszy pomysł.

Opuścili klinikę w południe. O drugiej Sara zadzwoniła. Justin Donnelly słyszał w tle krzyk Laurie. Sara mówiła drżącym głosem:

- Laurie wpadła w histerię. Musiała znowu oglądać albumy. Po darła jedno zdjęcie na strzępy.

Donnelly zrozumiał wreszcie, co wrzeszczy Laurie. Jej słowa brzmiały:

- Przrzekam, że nie powiem! Przrzekam, że nie powiem!

- Wyłumacz mi, jak do was dojechać - zażądał. - I daj jej dwie tabletki valium.

Sophie wpuściła go do środka.

- Są w pokoju Laurie, doktorze. - Wskazała mu schody na górę. Sara siedziała na łóżku, obejmując otępiałą Laurie.

- Zmusiłam ją, żeby wzięła valium - poinformowała go. - Uspokoiła się i teraz już jest chyba dobrze.

Puściła Laurie i pomogła jej położyć głowę na poduszce. Justin pochylił się nad dziewczyną i zaczął ją badać. Miała nierówny puls, płytki oddech, rozszerzone źrenice i chłodną skórę.

- Jest w szoku - powiedział cicho. - Czy nie wiesz, co ją do tego doprowadziło?

- Nie. Kiedy przyjechaliśmy do domu, wydawało się, że wszystko jest w porządku. Miała zamiar pisać dziennik. Później usłyszałam krzyk. Myślę, że znowu musiała zacząć przeglądać albumy, ponieważ podarła jedno zdjęcie.

Strzępy leżą rozrzucone po całym biurku.

- Chciałbym, aby zostały zebrane - powiedział Justin. - Postaraj się, żeby nie zginął żaden kawałek. -

Zaczął lekko uderzać Laurie po twarzy. - Laurie, to ja, doktor Donnelly. Chciałbym, żebyś ze mną porozmawiała. Podaj mi swoje imię i nazwisko.

Laurie nie odpowiadała. Donnelly zaczął ją cucić intensywniej.

- Powiedz, jak się nazywasz - powtarzał z uporem.

W końcu Laurie otworzyła oczy i spojrzała ze zdziwieniem.

- Doktor Donnelly - wymamrotała z ulgą. - Kiedy pan przyszedł? Dopiero teraz Sara zobaczyła, jak słaba jest jej siostra. Ostatnia godzina była koszmar. Środek uspokajający uśmierzył histerię, ale zachowanie Laurie mogło teraz budzić jeszcze większe obawy. Sara bała się, że siostra odpłynie tak daleko, iż nie będzie mogła wrócić. W drzwiach pojawiła się Sophie.

- Może przynieść jej filiżankę herbaty? - zapytała cichutko. Justin usłyszał ją i spojrzał przez ramię.

- Bardzo proszę - powiedziała.

Sara podeszła do biurka. Zdjęcie było rzeczywiście w strzępach. W krótkim czasie od chwili kiedy zaczęła krzyczeć, do momentu gdy ona i Sophie dobiegły do niej, Laurie udało się podrzeć je na mikro skopijne kawałki. To będzie cud, jeśli uda się je złożyć z powrotem.

- Nie chcę tu zostać - oświadczyła Laurie.

Sara się odwróciła. Laurie siedziała na łóżku, obejmując rękami podciągnięte kolana.

- Nie mogę tutaj zostać, naprawdę.

- W porządku - spokojnie powiedział Donnelly. - Zejdźmy na dół. Wszystkim nam się przyda filiżanka herbaty. - Pomógł Laurie wstać.

Byli w połowie schodów, kiedy dzwonek w holu zawiadomił, że ktoś stoi przed drzwiami.

Sophie szybko poszła otworzyć. Na ganku stało dwóch umundurowanych policjantów. Przynieśli nakaz aresztowania Laurie, ponieważ dopuściła się napisania listu z pogrózkami do wdowy po Allanie Grancie, złamała zasady, zgodnie z którymi została warunkowo zwolniona. Musi wobec tego wrócić do aresztu.

Tego wieczoru Sara siedziała w gabinecie doktora Donnelly'ego w klinice .

- Gdyby nie pan, doktorze, Laurie tkwiłaby teraz w więziennej celi - mówiła.

- Nie umiem wprost wyrazić swojej wdzięczności.

To prawda. Kiedy Laurie postawiono przed obliczem sędziego, Donnelly przekonał go, że dziewczyna znajduje się pod wpływem tak silnego stresu, iż wymaga hospitalizacji. Sędzia zmienił pierwotne postanowienie i zezwolił na niezwłoczne umieszczenie Laurie w strzeżonym szpitalu. W

drodze z New Jersey do Nowego Jorku biedaczka wyglądała, jakby była w transie.

Justin, starannie dobierając słowa, powiedział:

- Bardzo się cieszę, że mamy ją tutaj. Wymaga teraz ciągłej obserwacji i opieki.
- Aby ustrzec ją od pomysłów wysyłania kolejnych listów z po grózkami.
- I chronić przed działaniem na własną szkodę. Sara wstała.
- Zajęłam panu wystarczająco dużo czasu, jak na jeden dzień. I tak będę tutaj jutro od fana.

Dochodziła dziewiąta.

- Znam tu na rogu ulicy miejsce z dobrym jedzeniem i szybką obsługą -

powiedział Donnelly. - Może poszlibyśmy tam coś zjeść, a potem zamówię taksówkę, która odwiezie cię do domu.

Sara dzwoniła już wcześniej do Sophie z informacją, że wieczorem może zająć się swoimi sprawami, skoro Laurie została zatrzymana w szpitalu.

Perspektywa kolacji i kawy z Justinem Donnellym wydała jej się znacznie przyjemniejsza od powrotu do pustego domu.

- Chętnie - odpowiedziała po prostu.

Laurie stała przy oknie w swoim pokoju w klinice. Podobał jej się. Nie był

duży, więc mogła go ogarnąć jednym spojrzeniem. Czuła się w nim bezpiecznie. Okna na zewnątrz nie otwierały się. Próbowwała. Okno wewnętrzne wychodziło na hol i pokój pielęgniarek. Miało za słone, ale Laurie nie zaciągnęła jej do końca. Nie chciała siedzieć w ciemnościach.

Co takiego się dzisiaj stało? Pamięta tylko, że siedziała przy biurku i pisała.

Przewróciła kartkę notatnika i wtedy...

Wszystko nagle znikło. Aż do chwili, gdy zobaczyłam doktora Donnelly'ego, pochylającego się nade mną, pomyślała. Później scho dziliśmy na dół i przyjechała policja.

Powiedzieli, że wysłała list do wdowy po Allanie Grancie. Dlaczego miałabym do niej pisać? - zastanawiała się Laurie. Twierdzili, że jej groziłam.

To śmieszne. Kiedy miałabym napisać ten list? I jak go wysłać?

Jeśli Karen Grant dostała ten list w ciągu ostatnich kilku dni, to znaczy, że ktoś inny musiał zająć się jego wysłaniem. Nie mogła się doczekać, żeby powiedzieć o tym Sarze.

Laurie oparta się czołem o szybę. Szkło był zimne. Czowała się zmęczona i chciała się położyć. Spać. Kilku ludzi szło pośpiesznie chod nikiem, pochylając głowy. Najwyraźniej na dworze nie było za ciepło.

Ujrzała kobietę i mężczyznę przechodzących przez ulicę przed kliniką.

Czyżby to Sara i doktor? Nie była pewna.

Odwróciła się, przeszła przez pokój i wśliznęła się do łóżka. Okryła się szczelnie kołdrą. Oczy same jej się zamykały. Dobrze będzie odpłynąć.

Byłoby jeszcze lepiej nie musieć nigdy się obudzić.

We wtorek rano Brendon Moody pojechał do kampusu w Clinton. Zamierzał

przeprowadzić lokatorów domu, w którym mieszkała Laurie. Po pogrzebie Allana Granta nie miał czasu przyjrzeć się budynkowi. Pięć lat temu wzniesiono go na potrzeby dobrze sytuowanych studentów. Przestronne pokoje wyposażono w małe kuchnie i osobne łazienki. Wynajmowali je studenci, których, tak jak Laurie, stać było na opłacenie odrobiny prywatności.

Lokal, który zajmowała Laurie, został dokładnie przeszukany przez techników z biura prokuratora. Właśnie do jej mieszkania Brendon skierował

pierwsze kroki.

W środku panował nieopisany bałagan. Z łóżka zdjęto pościel. Przez uchylone drzwi szafy widać było niedbale pozawieszane ubrania. Z komody wystawały niedomknięte szuflady. Zawartość biurka leżała wysypana na blacie.

Moody wiedział, że śledczy wzięli ze sobą maszynę, na której były pisane listy do Allana Granta. Zabrali też resztkę papeterii. Wiedział również, że pościel Laurie i jej poplamione krwią ubrania wraz z paskiem od zegarka i bransoletką zostały skonfiskowane.

Czegóż więc szukał?

Zagadnięty w tej sprawie, odpowiedziałby: „Niczego”. Znaczyło by to, że nie ma żadnego szczególnego zamysłu. Rozglądał się wokół, próbując wyczuć atmosferę miejsca.

Już pierwszy rzut oka upewnił go, że w normalnych warunkach ten pokój był

z pewnością bardzo miły. Podwiązane, sięgające podłogi zasłony w kolorze kości słoniowej, kunsztowna narzuta na łóżko w tym samym kolorze, oprawione reprodukcje Moneta i Maneta na ścianach, na najwyższej półce regału kilka trofeów golfowych.

W przeciwieństwie do innych studentek Laurie nie umieszczała zdjęć swoich przyjaciół wokół ramy lustra nad toaletką. Tylko jedna fotografia stała na biurku. Brendon przyjrzał się jej. Kenyonowie. Znał rodziców Laurie. To zdjęcie musiało zostać zrobione za ich domem. Wyglądali na szczęśliwych.

Wczuj się w sytuację dziewczyny, nakazał sobie Moody. Rodzina przez taje istnieć. Obciążasz się winą za to. Obdarzasz zaufaniem face ta, który życzliwie się do ciebie odnosi. Jest zarówno atrakcyjny, jak i dostatecznie dojrzały, żeby można w nim było widzieć kogoś w rodzaju ojca. A później gość cię odtrąca. I wtedy eksplodujesz.

Prosta sprawa. Brendon, zamyślony, krążył wokół, rozglądając się uważnie.

Stał nad wanną w łazience. Znalaziono w niej ślady krwi. Laurie wyprała tutaj pościel i ubranie, a potem je wysuszyła i złożyła równo. Usiłowała również wyczyścić pasek od zegarka. Brendon dobrze wiedział, że prokurator może to wykorzystać. Będzie próbował udowodnić, że morderczynie systematycznie, choć w panice, niszczyła dowody zbrodni.

Przed wyjściem z pokoju Moody raz jeszcze rzucił okiem na wnę trze. Nie znalazł nic, choćby najmniejszego śladu czegoś, co mogłoby pomóc Laurie.

Dlaczego zatem miał nieodparte wrażenie, że coś ważnego uszło jego uwagi?

Sara spędziła bezsenność. Cały dzień przypominały jej się po nownie mrozące krew w żyłach wrzaski Laurie, podarte zdjęcie, przybycie policjantów, siostra w kajdankach, Justin przysięgający, że doprowadzi do jej zwolnienia i weźmie ją pod swoją opiekę, kiedy jechali za samochodem policyjnym do Clinton. Świtało, kiedy wreszcie zasnęła. Spała niespokojnym snem, pełnym obrazów sal sądowych i wyroków skazujących.

Zbudziła się o ósmej, wzięła prysznic, włożyła brązową kaszmirową bluzkę, spodnie ogrodniczek i ciemnobrązowe pantofle. Zeszła na dół. Po kuchni krzątała się Sophie. Kawa już się parzyła, a w koloro wym dzbanku na stole czekał świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy. W misie od Tiffany'ego przygotowana była sałatka z pomarańczy, grejpfrutów, jabłek i melona. Obok leżała tacka z angielskiego tostera.

Wszystko wygląda tak normalnie, pomyślała Sara. Tak jakby rodzice i Laurie mieli za chwilę zejść na śniadanie. Wskazała na tackę.

- Sophie, pamiętasz? Tata zawsze nazywał to schładzaczem to stów. Miał

rację.

Kobieta przytaknęła. Jej okrągła, pozbawiona zmarszczek twarz zdradzała napięcie. Nalała Sarze soku.

- Martwiłam się ostatniej nocy, że mnie tu nie było, gdy wróciłaś. Czy Laurie naprawdę zgodziła się pójść do szpitala?

- Zdaje się, że zrozumiała, że ma do wyboru albo klinikę, albo więzienie. -

Sara zmęczonym ruchem potarła czoło. - Coś się musiało wczoraj wydarzyć.

Nie wiem co, ale powiedziała, że już nigdy nie zostanie na noc w swojej sypialni. Sophie, jeśli ta

kobieta, która tu była, żeby obejrzeć dom, zdecyduje się na kupno, to ja się zgodzę.

Wbrew oczekiwaniom nie usłyszała protestu. Zamiast tego Sophie westchnęła i powiedziała:

- Może masz rację. To już nie jest szczęśliwy dom. Zresztą, jak moż na spodziewać się czegoś innego po tym, co się wydarzyło we wrześniu?

Rezygnacja Sophie przyniosła Sarze ulgę, ale i zasmuciła ją. Dziewczyna dopiła sok mimo ściśniętego gardła.

- Jeszcze tylko kawa. - Gdy to mówiła, uderzyła ją nagła myśl. - Czy jesteś pewna, że znalazłaś wszystkie kawałki tamtego zdjęcia?

Usta Sophie uniosły się w tryumfalnym uśmiechu.

- Mało tego, złożyłam je w całość - pokazała sklejoną fotografię. - Popatrz, układałam je na kawałku papieru, a kiedy byłam pewna, że pasują do siebie, przyklejałam. Jedyny problem w tym, że ponieważ te kawałki są bardzo małe, klej wyciekał na boki. Trudno powiedzieć, co na nim jest.

- Dlaczego? To po prostu zdjęcie Laurie jako małej dziewczynki. - Sara przyjrzała się zdjęciu. - Ale chyba nie to ją tak poruszyło. - Nadal przyglądała się uważnie fotografii. Na koniec wzruszyła bezradnie ramionami. - Wezmę zdjęcie ze sobą. Doktor Donnelly chce je zobaczyć.

Z troską w oczach Sophie patrzyła, jak Sara odsuwa krzesło. Miała nadzieję, że odtworzenie zdjęcia pomoże w jakiś sposób wyjaśnić, co spowodowało histeryczny wybuch Laurie. Przypomniała sobie nagle o czymś i sięgnęła do kieszeni fartucha. Nie było tam jednak tego, co spodziewała się znaleźć.

Oczywiście, że nie było. Pojedynczą zszywkę, którą usunęła z jednego z kawałeczków, wsunęła przecież wczoraj do kieszeni sukienki. A dzisiaj włożyła inną. Ale to z pewnością nie ma znaczenia, uznała, nalewając Sarze kawy.

66

We wtorek Bic i Opal, słuchając porannych wiadomości CBS o ósmej, dowiedzieli się o liście z pogrózkami, który Laurie Kenyon wysłała do Karen Grant. Dowiedzieli się także o cofnięciu jej warunkowego zwolnienia i umieszczeniu pod strażą w klinice ze względu na stwierdzony u niej zespół

rozszerzenia osobowości.

Opal zapytała nerwowo:

- Myślisz, że zmuszają tam do gadania, Bic?

- Na pewno będą intensywnie pracować nad tym, żeby wyciągnąć z niej wspomnienia z dzieciństwa - odparł. - Musimy wiedzieć, co się dzieje. Dzwon natychmiast do tej kobiety z agencji nieruchomości, Carla.

Sara miała właśnie jechać do Nowego Jorku, kiedy złapała ją Betsy Lyons.

- Saro - mówiła podniecona - mam dobre wiadomości dla ciebie! Dzwoniła pani Hawkins. Oszalała na punkcie tego domu. Chce jak najszybciej doprowadzić sprawę do końca i jest nawet gotowa pozwo lić ci mieszkać w nim jeszcze przez rok. Pyta tylko, czy mogłaby od czasu do czasu wpaść tu ze swoim projektantem wewnątrz, oczywiście tylko wtedy, kiedy będzie ci to odpowiadało. Saro, pamiętasz, jak ci mówiłam, że będziesz pewnie musiała obniżyć trochę cenę siedemset pięćdziesiąt tysięcy? Otóż moja droga, ona się wcale nie targuje i płaci gotówką.

- Mam nadzieję, że nie śnię - cicho odpowiedziała Sara. - Cieszę się, że dom kupią ludzie, którym on się naprawdę podoba. Przekaż im, proszę, że będą mogli się wprowadzić w sierpniu. Nasze nowe mieszkanie powinno zostać do tego czasu wykończone. Nie będzie mi przeszkadzało, jeżeli przyjdą z projektantem. Laurie przebywa w szpitalu, a ja, nawet kiedy jestem w domu, to i tak cały czas siedzę w bibliotece.

Betsy zadzwoniła do Carli Hawkins.

- Gratulacje. Wszystko ustalone. Sara nie ma nic przeciwko, żeby przyszła pani ze swoim projektantem. Mówi, że będąc w domu, przesiaduje głównie w bibliotece. - Betsy ściszyła głos. - Nie wiem, czy pani wie: zamierza bronić swojej siostry w sądzie. Biedaczka. Ma ręce pełne roboty.

Bic przysłuchiwał się rozmowie z drugiego aparatu. Na koniec Betsy Lyons, zegnając się, powiedziała:

- Raz jeszcze gratuluję. Jestem pewna, że będą państwo szczęśliwi w tym pięknym domu.

Bic odłożył słuchawkę z uśmiechem.

- Ja też jestem pewien, że będziemy szczęśliwi - powiedział i podszedł do biurka. - Carla, gdzie moja specjalna książka telefoniczna?

Rzuciła się na poszukiwanie.

- Tutaj Bic, w tej szufladzie. - Podała mu ją. - Jakiego projektanta wewnątrz mam wynająć?

- Oj, Carla - westchnął, wertując spis telefonów. Znalazł nazwisko, którego szukał, i wykręcił numer do Kentucky.

Sara przypomniała sobie, że Laurie znalazła się w klinice, tak jak stała.

Dziękując w duchu losowi, że telefon opóźnił jej wyjazd do No wego Jorku, poszła do pokoju Laurie i wraz z Sophie spakowała torbę z jej rzeczami.

W klinice zawartość torby została poddana kontroli. Pielęgniarka odłożyła na bok skórzany pasek i sznurowane buty.

- Na wszelki wypadek - rzekła łagodnym głosem.

- Wszyscy tu pewnie myślą, że jest samobójczynią - powiedziała Sara Justinowi kilka minut później. Szukała zrozumienia w jego wzroku. Czuła, że zniesie wszystko z wyjątkiem współczucia. Nie mogą się tego pozbyć, pomyślała, przełykając ślinę i próbując rozluźnić ściśnięte gardło.

- Mówiłem ci już wczoraj, Saro, że Laurie cierpi na depresję. Ale jednego jestem pewien - i w tym nasza największa nadzieja - ona nie chce cię już więcej krzywdzić. Zrobi wszystko, żeby do tego nie do puścić.

- Ale czy sobie zdaje sprawę, że zraniłaby mnie najbardziej, gdyby zrobiła sobie samej coś złego?

- Tak, myślę, że wie o tym. I mam wrażenie, że za czyna mi wierzyć. Jest również świadoma, że przekonałem sędziego o umieszczeniu jej tutaj zamiast w więzieniu. Czy udało ci się ustalić, co to za zdjęcie wczoraj podarła?

- Sophie skleiła je w całość. - Sara wyjęła zrekonstruowaną fotografię z torebki i podała ją Justinowi. - Nie potrafię zrozumieć, dlaczego akurat to zdjęcie tak na nią podziało - powiedziała. - Jest mnóstwo podobnych w albumach i w całym domu. Justin uważnie oglądał fotografię.

- Przez te wszystkie naddarcia i klej trudno się zorientować. Poproszę pielęgniarkę, żeby ją tutaj przyprowadziła.

Laurie ubrała się w to, co przywiozła jej Sara: dżinsy i niebieski sweter, który podkreślał kolor jej oczu. Miała rozpuszczone włosy. Bez makijażu wyglądała na szesnaście lat. Widząc siostrę, podbiegła do niej i wtuliła się w jej ramiona.

Głaszcząc włosy Laurie, Sara pomyślała: kiedy zacznie się proces, tak właśnie będzie wyglądała. Młodo. Bezbronnie.

Ta refleksja pomogła jej wziąć się w garść. Uświadomiła sobie, że kiedy skupia uwagę na obronie Laurie, własne emocje potrafi utrzymać w ryzach.

Laurie usiadła na jednym z foteli. Najwyraźniej nie miała najmniejszej ochoty zbliżyć się do kozetki. Wkrótce sama o tym wspomniała.

- Założę się, że mieliście ochotę nakłonić ją do położenia się - odezwała się znanym im już ostrym tonem.

- Przypuszczam, że to mówi Kate, prawda? - zapytał Justin. Wygląd szesnastolatki zniknął. Twarz Laurie nabrała surowości.

Nie, pomyślała Sara, raczej hardości. Wydawała się starsza.

- Tak, Kate. Chciałabym panu podziękować za uchronienie tego mazgaja przed więzieniem. To by ją zabiło. Próbowaliśmy jej wyperswadować napisanie tego głupiego listu do żony Allana, ale nie chciała mnie słuchać, no i sami widzicie, co się porobiło.

- To Laurie napisała ten list? - zadał pytanie Justin.

- Nie, Leona. Ten mazgaj napisałby raczej list z kondolencjami. To byłoby zresztą równie niedobre. Przysięgam, że nie mogę już jej znieść. Pozostałych dwóch także. Jedna bez końca wzdycha za Allanem Grantem, a druga, ta mała, ciągle płacze. Jeśli nie przestanie, to ją chyba uduszę.

Sara nie mogła oderwać oczu od Laurie. Osoba, nazywająca się Kate, kierowała, a przynajmniej usiłowała kierować poczynania mi Laurie. Jeśli ujawni przed sądem swoją butę i skłonność do agresji, Laurie nie ma co liczyć na uniewinnienie.

Chwilę ciszy przerwał Justin:

- Wiesz co, nie zdążyłem włączyć kamery. Pojawiłaś się dzisiaj tak szybko.

Nie masz nic przeciwko temu, żebym zrobił to teraz?

Wzruszyła ramionami z irytacją:

- Śmiało. I tak ją przecież włączysz.

- Kate, wczoraj Laurie była strasznie załamana, prawda?

- Sam pan wie, był pan tam.

- Byłem później, już po jej załamaniu. Pomyślałem, że może ty mi powiesz, co było jego przyczyną.

- Dalsza rozmowa na ten temat jest niemożliwa. Donnelly nie wyglądał na zaskoczonego.

- W porządku, nie będziemy więc o tym rozmawiać. A czy możesz mi pokazać, co robiła Laurie, kiedy ją to spotkało?

- Nic z tego, przyjacielu. - Odwróciła głowę. - A ty przestań wreszcie chlipać.

- Czy to Debbie płacze? - zapytał Justin.

- A niby kto?

- Nie wiem. Ile was tam jest?

- Nie tak wiele. Parę odeszło, kiedy Laurie wróciła do domu. I bar dzo dobrze, bo zaczęło być tłoczno. Powiedziałam ci, zamknij się.

- Kate, może ja pogadam z Debbie i dowiem się, o co jej chodzi?

- Proszę bardzo. Nie mogę przez nią nic robić.

- Debbie, nie bój się, bardzo cię proszę. Nic złego cię nie spotka. Porozmawiaj ze mną dobrze? - Głos Justina Donnelly'ego brzmiał łagodnie i przymilnie.

Nastąpiła gwałtowna zmiana. Włosy opadły do przodu, rysy twarzy złagodniały, a usta zaczęły drżeć.

Laurie splotła ręce na brzuchu i zaczęła machać nogami. Po policzkach spłynęły jej łzy.

- Cześć, Debbie - przywitał ją Justin. - Dużo się dzisiaj napłakałaś, prawda?

Przytaknęła gwałtownym ruchem całego ciała.

- Czy coś ci się wczoraj przytrafiło? Pokiwała głową.

- Debbie, przecież wiesz, że cię lubię. Że dbam o to, żebyś była bezpieczna.

Jak sądzisz, potrafisz mi zaufać?

Niedbałe kiwnięcie.

- Więc możesz mi chyba powiedzieć, co cię tak przestra szyło? Pokręciła głową przecząco.

- Nie możesz. No to może spróbuj mi to pokazać. Pisałaś dzień nik, tak?

- Nie. To Laurie pisała. - Głos należał do dziecka i brzmiał bar dzo smutno.

- Laurie pisała, ale ty możesz chyba powiedzieć, co pisała, prawda?

- Nie bardzo, dopiero zaczęłam się uczyć czytać.

- W porządku. To pokaż mi, co robiła Laurie.

Podniosła wyobrażony długopis, zrobiła ruch, jakby otwierała ze szyt i zaczęła pisać w powietrzu. Zawahała się, zatrzymała długopis, jakby się namyślaj ąc, rozejrzała się wokół i wyciągnęła rękę, żeby przewrócić stronę.

Nagle jej oczy się rozszerzyły. Niemy krzyk rozwarł usta. Zerwała się na równe nogi, zrobiła gest, jakby odrzucała od siebie zeszyt, i obiema rękami zaczęła z pasją naśladować czynność darcia czegoś na strzępy. Na jej wykrzywionej twarzy wypisane było przerażenie. Niespodziewanie przerwała, opuściła ręce i krzyknęła:

- Debbie, wracaj do środka! Niech pan słucha, doktorze, wpraw dzie czasami mam dość tego bachora, ale się nim opiekuję. Niech pan spali to zdjęcie i nigdy więcej nie zmusza małej do oglądania go.

Kate przejęła dowodzenie.

Kiedy sesja dobiegła końca, pojawiła się pielęgniarka, która miała odprowadzić Laurie do jej pokoju.

- Czy jeszcze przyjedziesz? - błagalnie zapytała dziewczyna siostrę, stojąc w drzwiach.

- Tak. Kiedy tylko zezwoli na to doktor Donnelly. Gdy Laurie odeszła, Justin wręczył Sarze zdjęcie.

- Czy widzisz tu cokolwiek, co mogło ją przestraszyć? Sara spojrzała badawczo.

- Przez ten klej i ślady rozdarcia nie widać zbyt wiele. Po tym, jak obejmuje się ramionami, widać, że jest jej zimno. Ten sam kostium kąpielowy ma na sobie na naszej wspólnej fotografii, która stoi w bib liotece. Zrobiono ją kilka dni przed porwaniem. Była w tym kostiumie, kiedy zniknęła. Czy sądzi pan, że to mogło wywołać taką reakcję?

- Bardzo możliwe. - Doktor Donnelly położył zdjęcie na dokumentach. -

Postaramy się, żeby się dzisiaj nie nudziła. Teraz pójdzie na terapię zajęciową, a po południu będzie miała czas na pisanie dziennika. Wciąż odmawia poddania się jakimukolwiek standardo wemu testowi. Na pewno pomiędzy innymi zajęciami znajdę chwilę, żeby ją zobaczyć. Mam nadzieję, że w końcu nadejdzie moment, kiedy zechce porozmawiać ze mną bez twojej obecności. Myślę, że tak się w końcu stanie.

Sara wstała.

- O której mogę tu wrócić?

- Zaraz po jej kolacji. Może o szóstej?

- Oczywiście.

Kierując się do wyjścia, obliczyła, ile ma czasu. Dochodziło połu dnie. Jeśli będzie miała szczęście, dotrze do domu przed pierwszą. Że by znaleźć się tu z powrotem punktualnie, będzie musiała dla uniknię cia korków wyjść przed czwartą trzydzieści. Oznacza to, że zostaje jej trzy i pół godziny na pracę.

Justin odprowadził ją aż do recepcji, a później patrzył, jak się od dała. Przez wąskie wyprostowane plecy miała przewieszoną na skos dużą torbę. Szła z podniesioną głową. Nie poddawaj się dziewczyno, pomyślał. Gdy obserwował, jak zmierza korytarzem do drzwi fronto wych, dostrzegł, że chowa nagle ręce w kieszeniach, jakby broniąc się przed zimnem, któ re ciągle czuła.

C Z Ę Ś Ć CZWARTA

68

Sąd zebrał się 17 lutego i wkrótce postawiono Laurie w stan oskarżenia za morderstwo z premedytacją. Początek procesu został wyznaczony na 5

października.

Następnego dnia Sara spotkała się z Brendonem Moodym u Solariego, w popularnej restauracji tuż przy budynku sądu okręgu Bergen. Przychodziło tu sporo adwokatów i sędziów. Unikali teraz rozmów z Sarą. Ona przecież powinna siedzieć razem z nimi, żartować, pomyślał Brendon, a nie widywać ich tylko z daleka.

Sara cały ranek spędziła w bibliotece sądowej, wyszukując przy padków obrony z użyciem argumentu o braku poczytalności i ogra niczonej świadomości czynu u winowajcy. Brendon dostrzegł zmar twienie w jej oczach. Widział, że jej uśmiech gaśnie natychmiast, kiedy osoba, z którą wymieniała pozdrowienia, odwracała się i szła w swoją stronę. Sara była blada i miała zapadnięte policzki. Ucieszyło go, że przynajmniej zamówiła porządny posiłek, i powiedział, że bardzo to pochwała.

- Wszystko tu smakuje jak trociny, ale na tym etapie nie bardzo mogę sobie pozwolić na chorobę - odpowiedziała Sara, krzywiąc się.

- A tobie smakowało jedzenie w kampusie?

- Nie było wyszukane. - Brendon ugryzł spory kęs swojego cheeseburgera. -

Niewiele zebrałem materiału, Saro. - Wyjął swoje notatki.

- Najlepszym, ale zarazem najbardziej niebezpiecznym świadkiem bę dzie Susan Grimes, sąsiadka Laurie z naprzeciwka. To ta, z którą roz mawiałaś kilka razy przez telefon. Zauważyła, że od października Laurie wychodziła regularnie między ósmą a dziewiątą wieczorem i wracała najwcześniej o jedenastej, a zdarzało się, że i później. Twierdzi, że wyglądała wtedy zawsze inaczej niż zwykle, to znaczy o wiele seksowniej. Miała grubą warstwę makijażu i utapirowane włosy. Wkładała obcisłe dzinsy i pantofle na wysokich obcasach. To było zupełnie nie w jej stylu i Susan sądziła, że Laurie się z kimś spotyka.

- Czy cokolwiek wskazuje na to, że rzeczywiście miała jakieś kon takty z Allanem Grantem?

- Z listów, które do niego pisała, można bez trudu wybrać daty, które rozmijają się z rzeczywistością. - Moody przysunął do siebie notatki. -

Szesnastego listopada Laurie napisała, że umierała z rozko szy w ramionach Allana poprzedniej nocy. A poprzedniego dnia, czy li w piątek, piętnastego listopada, Allan i Karen uczestniczyli w przyjęciu wydziałowym. Podobnie rzecz się ma z datą drugiego, dwunastego i czternastego grudnia oraz szóstego i jedenastego stycznia. Mogę zresztą to ciągnąć aż do dwudziestego ósmego stycznia. Widzisz, miałem nadzieję zdobyć dowody na to, że Allan Grant starał się ją zbałamucić. A tymczasem wiemy tylko, że to ona kręciła się wokół jego domu, i nie brak nawet drobnej poszlaki, że on był tego świa dom.

Wszystko wskazuje na to, że sprawy wyglądały całkiem inaczej.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że Laurie wszystko wymyśliła i że nie mamy podstaw choćby do zasugerowania, że Grant usiłował wykorzystać jej załamanie psychiczne?

- Muszę porozmawiać z jeszcze jedną osobą, z nauczycielką, któ ra przebywała na zwolnieniu lekarskim. Nazywa się Vera West. Słyszałem różne plotki na temat jej i Allana.

Miły rozgwar, mieszający się z wybuchami śmiechu i szczękiem ta lerzy, wszystkie te tak dobrze znane odgłosy. More niedawno stano wiły część naturalnego kolorytu dnia pracy Sary, nagle wydały

jej się obce i natrętne.

Rozumiała dobrze, co chce jej dać do zrozumienia Brendon Moody. Jeśli Laurie zmyśliła całą historię spotkań z Alla nem Grantem i jeśli on w czasie nieobecności żony nawiązał romans z jakąś inną kobietą, a Laurie się o tym dowiedziała, daje to prokuratorowi podstawę do twierdzenia, że dokonała morderstwa w szale zazdrości.

- Kiedy przesłuchasz Vere West? - zapytała.

- Mam nadzieję, że wkrótce.

Sara dopiła resztkę kawy i poprosiła o rachunek.

- Muszę wracać. Mam się zobaczyć z ludźmi, którzy zamierzają kupić dom.

Nie zgadniesz! Ta pani Hawkins okazała się nie kim innym, tylko żoną wielbionego Bobby'ego Hawkinsa.

- A kto to? - zapytał Brendon.

- Nowy kandydat programu „Kościół Przesłuchany”. To pod czas występu w tym programie pani Perkins przypomniała sobie, że facet, z którym widziała wtedy Laurie, miał na imię Jim.

- A, ten naciągacz. Jak do tego doszło, że kupuje wasz dom? Ciekawość okoliczności, zważywszy na to, że pani Perkins brała udział akurat w jego programie.

- Nie sądzę. Żona Hawkinsa przyjeżdżała oglądać dom jeszcze przed programem. Zresztą to pani Perkins do niego napisała, a nie odwrotnie. A czy mamy jakąś odpowiedź z policji w Harrisburgu? Mają w kartotekach kogoś imieniem Jim?

Brendon Moody liczył na to, że Sara nie zada tego pytania. Starannie dobierając słowa, odparł:

- Prawdę mówiąc, właśnie odpowiedzieli. Niejaki Jim Brown z Harrisburga znany był ze skłonności do molestowania nieletnich. Jego lista przewinień jest bardzo długa. Przebywał w okolicy, w której została znaleziona Laurie.

Pani Perkins pokazywano wtedy jego zdjęcie, ale nie rozpoznała Browna.

Mimo to policja chciała go przesłuchać. Jednak zaraz po odnalezieniu Laurie przepadł jak kamień w wodę.

- I nigdy już się nie pokazał?

- Zmarł w więzieniu w Seattle sześć lat temu.

- Za co siedział?

- Za porwanie i molestowanie pięcioletniej dziewczynki. Zezna wała podczas procesu, opowiadając o dwóch miesiącach, które z nim spędziła. Czytałem te zeznania. Inteligentna dziewczuszka. Wyszła z tego niezłe poturbowana psychicznie. Było o tym głośno w gazetach swego czasu.

- Dla nas oznacza to tyle co nic, nawet jeśli właśnie on porwał Laurie. A w sytuacji, kiedy w psychice Laurie nastąpiłby jakiś przełom i przypomniaby sobie, że był to rzeczywiście Jim Brown, prokurator może przedstawić sądowi gazety sprzed lat i oświadczyć, że oskarżona po prostu wzoruje się na zeznaniach z tamtego procesu.

- Nie wiemy przecież na pewno, czy ten facet miał cokolwiek wspólnego z Laurie - zauważył rozsądnie Moody. - Ale rzeczywiście, jeśli miał, to wszystko, co przypomni sobie Laurie będzie brzmiało jak kłamstwo.

Żadne z nich nie wypowiedziało na głos tego, co obojgu przyszło do głowy.

Jeśli sprawy będą się nadal rozwijały w tym kierunku, im przyjdzie prawdopodobnie prosić prokuratora o rozważenie zmniejszenia kary w zamian za przyznanie się Laurie do popełnienia przestępstwa jeszcze przed rozpoczęciem procesu. Gdyby to rzeczywiście okazało się konieczne, zanim lato minie, Laurie znajdzie się w więzieniu.

Bic i Opal jechali z Betsy Lyons do domu Kenyonów. Ubrani byli oboje w tradycyjny sposób. On włożył szary garnitur w nikiłe prążki, białą koszulę i niebieskawopopielaty krawat. Do tego ciemnoszary płaszcz i rękawiczki w takim samym odcieniu.

Opal niedawno rozjaśniła włosy i zmieniła uczesanie. Miała teraz fryzurę podobną do tej, jaką nosiła Elizabeth Arden. Jej popielatą wełnianą suknię zdobił aksamitny kołnierz i mankiety. Na wierzchu Opal włożyła czarny dopasowany płaszcz, dyskretnie wykończony przy szyi sobolami. Jej czarne pantofle i torebka od Gucciego zrobione były z jaszczurczej skóry.

Bic usiadł z przodu obok Betsy Lyons. Zerknęła na niego z ciekawością, wskazując różne ważniejsze punkty w mieście. Dotarło do niej, że ma do czynienia z kimś ważnym dopiero wtedy, kiedy ktoś w agencji zapytał:

„Betsy, czy ty wiesz, kim jest ten facet?”.

Wiedziała tylko, że występuje w telewizji. Ale nie miała pojęcia, że prowadzi swój własny program. Przyglądając się mu teraz, stwierdziła, że jest wyjątkowo atrakcyjnym, wręcz charyzmatycznym mężczyzną. Mówił teraz o przeprowadzce w okolice Nowego Jorku:

- Kiedy zostałem powołany do prowadzenia programu „Kościół Przesławił”, zrozumiałem, że będziemy potrzebowali domu w tych okolicach. Nie lubię mieszkać w dużym mieście. Carla miała niełatwe zadanie, żeby coś dla nas znaleźć. Ale ciągle jakoś wracała do tej miejscowości i tego domu.

Chwała niech będzie za to Panu, pomyślała Betsy.

- Miałem tylko jedną wątpliwość. - Głos kaznodziei przybrał Uprzejmy, łagodny ton. - Obawiałem

się, czy Carla nie narazi się na rozczarowanie.

Byłem przygotowany na to, że dom może zostać wycofany ze sprzedaży.

Ja też, pomyślała Betsy Lyons, czując niemiły dreszcz na samą myśl o takiej możliwości.

- Obie siostry Kenyon z pewnością będą się lepiej czuły w jakimś mniejszym lokum - zauważyła poufałym tonem. - Proszę spojrzeć, to ta ulica. Trzeba jechać wzdłuż Lincoln Avenue, minąć wszystkie te śliczne domy, a tu, gdzie droga zakręca, zaczyna się właśnie Twin Oaks Road. - Jechała teraz w kierunku domu Kenyonów. Zaczęła wymieniać nazwiska sąsiadów: - Tu mieszkają właściciele Williams Bank. A to dom Kimballów, ten w stylu elżbietańskim. Tu mieszka ta aktorka, Courtney Meier.

Siedząca z tyłu Opal, nerwowo ścisnęła rękawiczki. Ilekroć przyjeżdżali do Ridgewood, miała wrażenie, jakby ślizgali się po cienkim lodzie, uparcie i konsekwentnie sprawdzając jego wytrzymałość. Zbliżając się coraz bardziej do krytycznego punktu.

Sara już na nich czekała. Atrakcyjna, pomyślała Opal, po raz pierwszy mając okazję przyjrzeć się jej z bliska. Typ urody, który zyskuje w miarę upływu lat.

Bieć przeszedłby koło niej obojętnie, kiedy była małą dziewczynką. Opal wolałaby, żeby Lee nie miała wtedy złotych włosów do pasa. Wolałaby też, żeby mąż nie było tamtego dnia na ulicy.

Przebierańcy, pomyślała Sara, wyciągając dłoń do Opal. I natychmiast zastanowiła się, dlaczego, na litość boską, tak pomyślała. Pani Hawkins była dobrze ubraną kobietą po czterdziestce. Miała nienaganą fryzurę, małe usta i drobną twarz. Wydawała się słaba i wiotka. A może to magnetyczna osobowość wielebnego Bobby'go Hawkinsa tak działała. Wydawało się, że to on wypełnia pokój i skupia w sobie całą energię. Natychmiast nawiązał do sprawy Laurie.

- Nie wiem, czy pani wie, że modliliśmy się w naszym programie o to, żeby pani Thomasina Perkins przypomniała sobie imię człowieka, który skrzywdził

pani siostrę.

- Widziałam ten program - odpowiedziała Sara.

- I sprawdziła pani, czy imię Jim może mieć z tym coś wspólnego? Nasz Pan działa na różne sposoby, czasami bezpośrednio, a czasami pośrednio.

- Sprawdzamy wszystko, Co tylko może się wiązać ze sprawą mojej siostry -

oświadczyła Sara tonem niedwuznacznie kończącym ten wątek rozmowy.

Hawkins zrozumiał to od razu.

- Piękne wnętrze - rzekł, rozglądając się po bibliotece. - Moja żona ciągle powtarza, jak szczęśliwa będzie, mogąc pracować w miejscu, gdzie można zmieścić tyle książek. I jeszcze te olbrzymie okna,

uwielbiam jasność. Nie chciałbym zajmować pani więcej czasu. Jeśli można, obejrzymy teraz jeszcze raz dom z panią Lyons, a potem mój prawnik skontaktuje się z pani prawnikiem w celu dopełnienia formalności...

Betsy Lyons zaprowadziła ich na górę, Sara zaś wróciła do pracy. Zajął się ponownie przepisywaniem notatek, które zrobiła w bibliotece sądowej, ale uświadomiła sobie, że lepiej będzie, jeśli zacznie się już szykować do wyjazdu do Nowego Jorku.

Państwo Hawkinsowie i Betsy Lyons zajrzeli do niej, żeby ją po wiadomości o swoim wyjściu. Wielebny Hawkins dodał jeszcze, że chętnie przyprowadziłby tu jak najszybciej architekta wnętrz, ale nie chciałby tego robić w czasie, kiedy Sara pracuje w bibliotece. Jaka pora byłaby wobec tego najodpowiedniejsza?

- Jutro albo pojutrze między dziewiątą a dwunastą lub późnym popołudniem -

odrzekła Sara.

- A zatem jutro rano.

Kiedy Sara wróciła nazajutrz z kliniki i weszła do biblioteki, nie mogła wiedzieć, że od tej chwili każde słowo wypowiedziane w tym miejscu powoduje uruchomienie specjalnego urządzenia, które przez kazuje je dalej, do ukrytego w pokoju gościnnym w ścianie szafy magnetofonu.

Karen Grant jechała do Clinton w połowie marca z nadzieją, że będzie to jej ostatnia wizyta w tym miejscu. Od śmierci Allana wszystkie soboty spędzała na porządkowaniu domu, przeglądaniu tego, co nagromadziło się przez sześć lat małżeństwa. Wybierała meble, które chciała zabrać ze sobą do Nowego Jorku. Resztą obiecał się zająć handlarz skupujący używane sprzęty.

Sprzedła samochód Allana i zleciła agencji nieruchomości znalezienie kupca na dom. Dzisiaj w kaplicy na terenie uczelni miała się odbyć msza w intencji Allana.

Jutro wybierała się na cztery dni do St Thomas. Dobrze będzie wyrwać się na chwilę, pomyślała, jadąc drogą w kierunku New Jersey. Praca w branży turystycznej miewa również przyjemne strony. Właśnie zaproszono ją na Rafę Frechmana, jedno z jej ulubionych miejsc.

Edwin też jedzie. Jej serce zaczęło bić mocniej. Uśmiechnęła się bezwiednie.

Jesienią nie będą już musieli ukrywać, że są razem.

Msza przypominała pogrzeb. Przytłaczające wrażenie robiły na niej te wszystkie pochwały pod adresem Allana. Słyszała swój własny szloch.

Siedząca obok Louise Larkin objęła ją ramieniem.

- Dlaczego mnie nie słuchał? - szeptała Karen do ucha Louise. - Ostrzegałam, że ta dziewczyna jest niebezpieczna.

Przewidziano mały poczęstunek u Larkinów. Karen podziwiała ich dom.

Liczył ponad sto lat, ale został pięknie odnowiony. Przypominał domy z Cooperstown, gdzie mieszkało tyłu jej znajomych ze szkoły średniej. Ona sama wychowała się w przyczepie i wciąż pamiętała, jak jeden z dzieciaków w szkole zapytał ją szyderczo, czyjej rodzina zrobi sobie rysunek swego domu na kółkach na świątecznej kartce.

Larkinowie zaprosili nie tylko wykładowców i personel admini stracyjny, ale także kilkunastu studentów. Niektórzy podchodzili, żeby złożyć Karen kondolencje, inni przystawali, żeby opowiedzieć ja kąś historię związaną z Allanem. Oczy Karen wypełniały się łzami, kiedy tłumaczyła ludziom, że co dzień mocniej odczuwa brak Allana.

W drugim kącie sali stała z kieliszkiem białego wina w ręku Vera West. Miała około czterdziestki. Jej okrągłą, sympatyczną twarz oka lały wijące się naturalnie brązowe włosy. Brązowe oczy ukryte były za ciemnymi okularami.

Nie włożyła ich jednak, by lepiej widzieć. Obawiała się, że spojrzenie może ją zdradzić. Pociągała wino, starając się nie przypominać sobie, że na przyjęciu wydziałowym kilka miesięcy temu po drugiej stronie stał Allan, a nie jego żona. Vera miała nadzieję, że urlop zdrowotny pozwoli jej wziąć się w garść i zapanować nad emocjami, o które lepiej, żeby nikt jej nie podejrzewał. Kiedy odgarniała kosmyk włosów opadający jej zawsze na czoło, przypomniła sobie fragment wiersza dziewiętnastowiecznego poety: „Smutek, któ ry nie da się wypowiedzieć, to największy ciężar do udźwignięcia”.

Podeszła do niej Louise Larkin.

- Tak się cieszę, Vero, że wróciłaś. Brakowało nam ciebie. Jak się czujesz? -

Badawczo spojrzała na Vere.

- Mononukleoza odbiera siły.

- O tak.

Po pogrzebie Allana Vera zaszyła się w swoim domku na wsi w Cape Cod.

Mononukleoza posłużyła jej jako wymówka w rozmowie z dziekanem.

- Karen wygląda świetnie, jak na osobę, która przeżyła taką strasną. Nie sądzisz, Vero?

Vera uniosła kieliszek, upiła łyk wina i powiedziała cicho:

- Karen jest piękną kobietą.

- Mam na myśli to, że bardzo schudłaś i wyglądasz tak mizernie, że gdybym nie znała was obu i musiała zgadnąć, która jest wdową, wskazałabym na ciebie. - Louise Larkin ścisnęła dłoń Vero i uśmiechnęła się współczująco.

Niewyraźne głosy na korytarzu obudziły Laurie. Te dźwięki towa rzyszyły jej już od trzech miesięcy. Luty, marzec, kwiecień. Teraz zaczyna się maj. Kiedy była na wolności, to znaczy zanim tu trafiła, czuła się wszędzie, czy to na ulicy, czy w szkole, nawet w domu, tak jakby osuwała się bezwolnie w dół i nie mogła zrobić nic, żeby powstrzymać to spadanie. A tutaj, w klinice, czas się dla niej zatrzymał. Żyła na zwolnionych obrotach. Czuła wdzięczność za to wychnienie, mimo że w końcu i tak nikt i nic jej nie uratuje.

Powoli uniosła się na łóżku i objęła ramionami kolana. Lubiła tę chwilę dnia, zaraz po obudzeniu, kiedy uświadamiała sobie, że żaden koszmar o nożu nie wyrwał jej ze snu i że wszystko, co ją prześladowe, trzyma się na razie od niej z daleka.

Oczekiwano, że właśnie tego rodzaju refleksje będzie zapisywała w dzienniku. Sięgnęła po długopis leżący na nocnym stoliku i notatnik z grzbietem ściągniętym spiralą. Miała teraz czas, żeby zanotować kilka myśli, zanim się ubierze i pójdzie na śniadanie. Spiętrzyła poduszki, oparła się o nie i otworzyła dziennik.

Kilka stron zostało zapisanych od ostatniej nocy. Dziecięca ręka pisała ciągle to samo: „Chcę do mamy. Chcę do domu”.

Tego samego ranka, trochę później, Sara i Laurie siedziały w gabinecie Justina Donnelly'ego naprzeciw jego biurka. Laurie uważnie przyglądała się doktorowi czytającemu jej dziennik. Ależ wielki z niego mężczyzna, myślała.

Szerokie ramiona, wyraziste rysy, burza włosów. Lubiła jego intensywnie niebieskie oczy. Zazwyczaj nie podobały się jej wąsy, u niego jednak wyglądały tak naturalnie, zwłaszcza nad tymi białymi zębami! Lubiła też jego ręce. Szerokie, ale z długimi

palcami. Ogorzałe, bez śladu zarostu. To zabawne, uznała, że wąsy pasują do doktora Donnelly'ego, nienawidziła wszakże, kiedy mężczyzna miał włosy na rękach i ramionach. Usłyszała, że wypowiada ostatnią myśl na głos.

Donnelly podniósł oczy.

- Laurie?

Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia, czemu tak powiedziałam.

- A czy możesz to powtórzyć?

- Powiedziałam, że nienawidzę, kiedy mężczyzna ma włosy na rękach i ramionach.

- Jak myślisz, dlaczego ci to akurat teraz przyszło do głowy?

- Ona na to nie odpowie.

Sara natychmiast rozpoznała głos Kate. Justin nie wyglądał na zaskoczonego.

- Daj spokój, Kate - powiedział z rozbawieniem. - Ciągłe ci się udaje zastraszać Laurie. A ona chce ze mną porozmawiać. Albo ra czej Debbie.

Sądząc po charakterze pisma, to Debbie pisała w zeszycie poprzedniej nocy.

- W każdym razie z pewnością nie ja. - W ciągu ostatnich trzech miesięcy jej ton zmienił się, nie był już tak ostry. Między Justinem i Kate pojawiał się rodzaj ostrożnego porozumienia.

- Czy mógłbym teraz porozmawiać z Debbie?

- Nie ma sprawy. Tylko nie doprowadź jej znowu do płaczu. Ro bi mi się niedobrze, kiedy to dziecko zaczyna się mazać.

- Kate, nie udawaj - odpowiedział Justin. - Ochroniasz Debbie i Laurie, wiemy o tym oboje. Ale to zbyt trudne zadanie dla ciebie jed nej. Musisz mi pozwolić im pomóc.

Włosy opadające na twarz stały się już rozpoznawalnym sygnałem. Sara czuła, że serce jej się kraje, kiedy usłyszała przestraszony dziecięcy głosik, przedstawiający się jako Debbie. Czy tak właśnie było przez te dwa lata, kiedy płacząc i trzęsąc się ze strachu, Laurie tęskniła do tych, których kochała?

- Cześć, Debbie - powiedział Justin. - Jak się dzisiaj czuje nasza duża dziewczynka?

- Lepiej, dziękuję.

- Bardzo się cieszę, że zaczęłaś pisać dziennik, Debbie. A wiesz, dlaczego napisałaś wczoraj właśnie te słowa?

- Wiedziałam, że w zeszycie nic nie ma. Sprawdziłam na początku.

- Sprawdziłaś? A co chciałaś znaleźć?

- Nie wiem.

- Co obawiałaś się znaleźć, Debbie?

- Inne zdjęcia - wyszeptała. - Muszę już iść. Oni mnie szukają.

- Kto? Kto cię szuka? Ale już jej nie było.

Niedbały śmiech. Laurie założyła nogę na nogę, lekko osunęła się na krzesło.

Wyzywającym gestem poprawiła włosy.

- No i poszła sobie. Myśli pewnie, że tak dobrze się schowa, że jej nie znajdą.

Sara zeszywniała. Szyderczy głos należał do Leony, autorki listów do Allana Granta, jego zabójczynie. Do tej pory ujawnił się dopiero dwa razy.

- Witaj, Leono. - Donnelly wychylił się zza biurka, okazując swo im zachowaniem, że ma do czynienia z atrakcyjną kobietą. - Spodziewałem się, że złożysz nam wizytę.

- No, cóż trzeba jakoś żyć. Nie można się ciągle bez sensu kręcić w kółko.

Masz papierosa?

- Jasne. - Sięgnął do szuflady, wyjął paczkę papierosów i zapalił jednego dla niej. - A ty się kręcisz bez sensu w kółko, Leono?

Wzruszyła ramionami.

- Wiesz dobrze, jak to jest. Miałam hyzia na punkcie tego profesorka.

- Allana Granta?

- Tak, ale słuchaj, to już skończone, jasne? Przykro mi z jego po wodu, no cóż, trudno, stało się.

- Co się stało?

- Wydał mnie przed dziekanem i szkolnym psychiatrą.

- Nieźle cię wtedy wkurzył, prawda?

- Wiesz dobrze, że tak. Zresztą Laurie też, ale z innych powodów. Świetnie później odegrała tę scenę na korytarzu.

Będę musiała prosić o zmniejszenie kary w zamian za przyznanie się do winy, pomyślała Sara. Jeśli ta osoba ujawni się podczas przesłuchań i zacznie się wypowiadać bez cienia skruchy na temat śmierci Allana Granta...

- Wiesz, że Allan nie żyje...

- Cóż, w końcu to do mnie dotarło. Ale to był szok.

- Wiesz, jak umarł?

- Oczywiście, że wiem. Od ciosu naszym nożem kuchennym. -

Brawura w jej głosie nagle osłabła. - Bóg mi świadkiem, wolałabym, żeby został wtedy w moim pokoju, kiedy poszłam złożyć mu wizytę. Naprawdę za nim szalałam, wiesz?

72

W ciągu trzech miesięcy między początkiem lutego i końcem kwietnia Brendon Moody regularnie odwiedzał Clinton College. Wszyscy go już znali.

Widywano detektywa gawędzącego ze studentami, wykładowcami i niedawnymi współlokatorami Laurie.

Z tego, co się dowiedział, niewiele mogło się przydać do obrony Laurie, ale wyłapał kilka rzeczy, które mogły choć trochę obniżyć wyrok. Przez pierwsze trzy lata studiów Laurie była wzorem dobrej studentki. Lubili ją zarówno wykładowcy, jak i koledzy.

- Była lubiana, ale na dystans, jeśli wie pan, co mam na myśli - wyznała Brendonowi studentka z trzeciego piętra. - To raczej naturalne, że ludzie po pewnym czasie zaczynają otwarcie mówić o swoich randkach, rodzinie albo o tym, co im w duszy gra. Laurie nigdy nie rozmawiała o takich sprawach.

Trzymała się ludzi i dobrze z nimi żyła, ale jeśli ktokolwiek zagadnął ją o Gregga Bennetta, który za nią szalał, zbywała to śmiechem. Zawsze było wyraźnie widać, że stara się coś ukryć.

Brendon Moody sprawdził dokładnie pochodzenie Gregga Bennetta. Zamożna rodzina. On sam to zdolniacha. Porzucił college, żeby zacząć robić interesy, ale dał sobie przemówić do rozsądku i wrócił na studia. Ukończył dwa wydziały i oba z wyróżnieniem. Broni dyplomu w maju. Od września ma zamiar zacząć studia magisterskie na uniwersytecie stanfordzkim. Żadna matka nie miałaby nic przeciwko temu, żeby taki chłopak zaprosił jej córkę do swego domu i przedstawił rodzinie, pomyślał Brendon, a potem przypomniał

sobie, że tak samo mówiono o seryjnym mordercy, Tedzie Bundym.

Każdy, kto studiował z Laurie, twierdził, że po śmierci rodziców nastąpiła w niej dramatyczna zmiana. Miała wrażliwe nastroje i wydawała się nieobecna duchem. Często skarżyła się na bóle głowy. Za częła opuszczać zajęcia i z opóźnieniem oddawać prace.

- Nieraz po prostu przechodziła obok, nie mówiąc nawet „cześć”. Albo patrzyła na człowieka, jakby go nigdy wcześniej nie widziała na oczy -

tłumaczył jeden ze studentów z niższego roku.

Brendon nie wspominał nikomu o chorobie Laurie. Sara utrzymywała tę informację w tajemnicy. Nie chciała, żeby stała się przedmiotem powszechnych roztrząsań przed rozpoczęciem procesu.

Wielu studentów widywało Laurie wychodzącą samą wieczorem i wracającą późno. Zastanawiano się, z kim może się spotykać. Kilka osób zaczęło kojarzyć fakty, zauważając, że na zajęcia z Allanem Grantem Laurie przychodzi często wcześniej niż inni i wyraźnie zwleka z wyjściem, żeby móc z nim jeszcze porozmawiać sam na sam.

Louise Larkin, żona dziekana, bardzo lubiła rozmawiać z Moodym. To ona podsunęła mu informację, że Allan Grant zaczął się interesować jedną z nowych nauczycielek, zatrudnionych na wydziale literatury angielskiej. Idąc tym tropem, poprosił o rozmowę Verę West. Ta jednak nie pozwoliła się w nią wciągnąć.

- Allan Grant był wobec wszystkich życzliwy i przyjacielski - ucięła sprawę, ignorując całkowicie sugestię zawartą w pytaniach detektywa.

No to zaczynamy od nowa, pomyślał ponuro Brendon. Problem w tym, że rok akademicki zbliżał się do końca i wiele osób znających Laurie miało się rozjechać po obronie pracy dyplomowej do domów. Tak samo jak Gregg Bennett.

Ponaglany tą sytuacją, Brendon wykręcił numer Bennetta i zapytał, czy mogliby się jeszcze raz spotkać na kawie. Gregg wyjeżdżał właśnie z Clinton na weekend, więc ustalili, że zobaczą się w poniedziałek. Jak zwykle, Bennett zapytał o stan Laurie.

- Z tego, co wiem od jej siostry, powoli dochodzi do siebie - odparł Brendon.

- Bardzo proszę przypomnieć Sarze, żeby zadzwoniła do mnie, jeśli tylko będę mógł coś dla niej zrobić.

Jeszcze jeden jałowy tydzień, myślał Brendon, jadąc do domu. Kiedy już był

na miejscu, z niechęcią stwierdził, że jego żona zaprosiła na wieczór grono znajomych pań i wszystkie mają zamiar jeść jakieś gotowe dania z plastikowych talerzy.

- Zjem coś u Solariego - powiedział, składając na czole żony niecierpliwy pocałunek.

- Ze też się dałeś wciągnąć w te bzdury, nie pojmuję tego, naprawdę.

- Baw się dobrze, kochanie. Świetnie ci zrobi świeża dostawa naj nowszych ploteczek.

Tej nocy zaznał wreszcie długo oczekiwanego odpoczynku. Sie działał w barze, gawędząc ze starymi znajomymi z biura prokuratora.

Rozmowa w naturalny sposób zesłała na Sarę i Laurie Kenyon. W po wszechnej opinii byłoby lepiej, gdyby Sara zrezygnowała z zamiaru powiadomienia sądu przed rozprawą o tym, że Laurie przyznaje się do winy.

- Jeśli ograniczą oskarżenie do spowodowania śmierci bez preme dytacji, nawet z okolicznościami obciążającymi, Laurie może dostać od piętnastu do trzydziestu lat. Odsiedzi jedną trzecią wyroku i wyjdzie, zanim skończy dwadzieścia sześć czy siedem lat.

- Wyznaczono już sędziego Armona, a on nie wchodzi w żadne układy -

powiedział inny asystent prokuratora. - Tak czy owak, ci, którzy dopuścili się morderstwa z powodu fatalnego zauroczenia, ra czej nie powinni liczyć na przychylność żadnego sędziego.

- Wolałbym nie widzieć, jak takiego słodkiego dzieciaka jak Laurie pakuje się za kratki razem z różnymi przyjemniaczkami -dodał inny.

Obok Brendona Moody'ego stał prywatny detektyw, Bill Owens, pracujący dla towarzystwa ubezpieczeniowego. Czekał, aż temat się wyczerpie. W

końcu powiedział cicho:

- Brendonie, lepiej, żeby się nie wydało, że to ja ci powiedziałem. Moody nie odwrócił się, ale jego spojrzenie pobiegło w bok.

- O co chodzi?

- Znasz Danny'ego OToole'a?

- Danny'ego Łowcę Niewiernych Małżonków? No pewnie. Ko góż to ostatnio wyśledził?

- W tym cała rzecz. Był tu niedawno, trochę wypił i, jak zwykle, ludzie zaczęli gadać o sprawie Laurie Kenyon. Teraz słuchaj. Danny dostał zlecenie, żeby śledzić obie siostry, wkrótce po śmierci ich rodziców. Coś w związku z ubezpieczeniem. Kiedy młodsza została aresztowana, zlecenie się urwało.

- Brzmi obiecująco - powiedział Moody. - Zajmę się tym. I dzięki.

- Ludzie, którzy kupują nasz dom, działają Sarze na nerwy. -Laurie sama zainicjowała rozmowę z doktorem Donnellym.

Justin nie krył zdziwienia.

- Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Tak właśnie jest. Sara powiedziała, że trochę za bardzo się tam kręca. Przejmą dom dopiero w sierpniu i już spytali, czy mogą posadzić parę krzewów.

- Widziałaś ich kiedyś w telewizji, Laurie? Pokręciła przecząco głową.

- Nie lubię takich programów.

Justin poczekał, czy doda coś jeszcze. Miał przed sobą sprawozdanie z terapii zajęciowej. Powoli rysunki Laurie stawały się czytelniejsze. W kilku ostatnich kolażach zawierała podobne sceny: jeden ukazywał bujany fotel, wymoszczony wielką poduszką, obok widać było kobiecą postać, na drugim przed pozbawionym okien domem rosło drzewo o grubym pniu i mocnych, rozłożystych konarach.

Justin wskazał na rysunki.

- Pamiętasz, że je zrobiłaś? Laurie spojrzała na nie obojętnie.

- Pewnie. Średnia ze mnie artystka, co?

- Nie najgorsza. Laurie, spójrz na ten bujany fotel. Czy możesz go opisać?

Zobaczył, jak zaczyna uciekać. Jej oczy się rozszerzyły, a ciało napięło. Nie chciał, żeby zablokowała dziewczynę jedną z jej osobowości.

- Laurie, spróbuj.

- Boli mnie głowa - wyszeptała.

- Przecież mi ufasz, Laurie. Przypomniało ci się coś, prawda? Nie bój się.

Zrób to dla Sary, powiedz mi o tym, wyrzuć to wreszcie.

Wskazała na fotel na rysunku, zacisnęła usta i przycisnęła ręce do boków.

- Jeśli nie możesz powiedzieć, co się stało, pokaż to, Laurie.

- Dobrze - odpowiedziała dziecięcym głosem.

- Grzeczna z ciebie dziewczynka, Debbie.

Zaczepiła się nogami o jego biurko i odsunęła krzesło do tyłu. Ręce i ramiona ułożyła tak, jakby ścisnęła je w tej pozycji jakaś zewnętrzna siła. Pozwoliła opaść przednimi nogami krzesła z głuchym łoskotem na podłogę i za chwilę znowu je podniosła. Na wykrzywionej twarzy malował się strach. „Niezwykła łaska, jaki słodki dźwięk” - zaśpiewała wątłym, dziecięcym głosem.

Krzesło opadało i wznosiło się, doskonale naśladowując bujany fotel. Z

wygiętym w łuk ciałem i skrępowanymi rękami naśladowała małe dziecko, trzymane przez kogoś na kolanach. Justin spojrział na rysunek. Ależ tak.

Poduszka miała kształt kolan. Małe dziecko siedzące na kolanach kogoś, kto buja się w fotelu. Do przodu, do tyłu. Do przodu, do tyłu.

„...i łaska doprowadzi mnie do domu”. Ruch krzesła ustał. Jej oczy znowu się zamknęły. Zaczęła szybciej oddychać i łapczywie chwytając powietrze. Wstała i wspięła się na palce, jakby coś ją pociągnęło wzwyż.

- Najwyższa pora iść na górę - powiedziała niskim głosem.

Kogóż to znowu licho niesie, pomyślała z rozdrażnieniem Sophie, obserwując, jak ciemnoniebieski cadillac parkuje na podjeździe do domu.

Sara i Brendon byli właśnie w kuchni. Czekali, aż zaparzy się kawa.

- O Boże! - z irytacją powiedziała Sara. - To moja wina. Sama na to pozwoliłam - tłumaczyła Brendonowi. - Wiesz co, Sophie, kiedy kawa będzie gotowa, przynieś ją do biblioteki, a im powiedz, że mam spotkanie. Zupełnie nie jestem dzisiaj w nastroju, żeby słuchać tego pobożnego tonu.

Brendon szybko wśliznął się za nią do biblioteki i zamknął drzwi w tej samej chwili, kiedy rozległ się dzwonek.

- Cieszę się, że nie dałaś im kluczy - powiedział do Sary. Uśmiechnęła się.

- Nie jestem taka głupia. Chodzi o to, że jest tu całe mnóstwo rzeczy, z którymi nie mam co zrobić, a oni aż się palą, żeby je kupić. Wy najęłam już wcześniej rzeczoznawcę, ale oni przychodzą teraz ze swoim i słysząc jego wyceny, sama już nie wiem, co myśleć.

- Czemu z tym nie skończyć raz na zawsze? - zapytał Brendon.

- To moja wina. Najpierw im powiedziałam, co chcę sprzedać, a potem spojrzałam na resztę i zdałam sobie sprawę, że w żaden sposób nie upchnę tego w naszym nowym mieszkaniu. A zatem ostatnio wspomniałam, że chcę się pozbyć także innych gratów. No i teraz przy łażą i pytają, a to o obraz, a to o stół, a to lampę. I tak w kółko - Sara odgarnęła do tyłu skrócone w sprężynki włosy. Zawsze tak reagowały, kiedy było ciepło i wilgotno. Przypominały teraz gęstwinę zrudziałych jesiennych liści.

- Ale to nie wszystko - dodała, siadając za biurkiem. - Tatuś nigdy nie **zalażył** klimatyzacji, a oni jak najszybciej chcą ją mieć zainstalowaną, tak żeby działała, kiedy się wprowadzą. A to oznacza rozpoczęcie prac już teraz.

Lepiej nic nie mów, upomniał się w duchu Brendon, siadając w skórzanym fotelu naprzeciw biurka. Wiedział, że Hawkinsowie zdecydowali się zapłacić wysoką cenę za dom, a jeśli jeszcze kupią meble, Sara nie będzie musiała się trudzić ich sprzedaż lub szukaniem miejsca, w którym można by je zmagazynować. Szpital Laurie kosztuje niemało, a ubezpieczenie studenckie pokrywa zaledwie

małą część tych wydatków. Nie mówiąc już o kosztach związanych z przygotowaniem obrony, a przecież Sara nigdzie nie pracuje, myślał.

- Czy masz szansę zmiany swojej polisy ubezpieczeniowej? - zapytał.

- Cóż, Brendonie, nie zachodzi żadna nadzwyczajna okoliczność. Ojciec zawsze prowadził te sprawy porządnie. Jego ubezpieczenie miało przejść na mamę, a w razie, gdyby umarła przed nim - na nas. Ponieważ faktycznie on żył

kilka minut dłużej niż ona, przeszło od razu na nas. Na nieszczęście, cały kapitał z wyjątkiem domu jest zamrożony jako majątek powierniczy, co miało pewien sens, zanim stało się to, co się stało. A tak mamy dostawać po pięćdziesiąt tysięcy dolarów przez pięć lat z sumy wynoszącej ćwierć miliona dolarów, należące się każdej z nas z osobna. I nie ma możliwości podważenia zasad zarządzania tym majątkiem powierniczym.

- A co z przedsiębiorstwem autobusowym? - zapytał Brendon. - Wniosłaś przeciw nim sprawę z powództwa cywilnego?

- Oczywiście - odpowiedziała Sara. - Ale dlaczego mieliby nas sprawdzać?

My nie brałyśmy udziału w tym wypadku.

- Do diabła, no tak. Miałem nadzieję, że mnie to dokądś zaprowadzi. Tak czy inaczej, postawię temu facetowi, który was śledził, kilka głębszych i przycisnę go do muru. Ale prawdopodobnie to o to chodzi. Po prostu przedsiębiorstwo autobusowe. A jak się miewa Laurie?

Sara zastanawiała się chwilę.

- Chyba lepiej i to pod wieloma względami. Pogodziła się wreszcie ze śmiercią rodziców. A doktor Donnelly jest wspaniały.

- Nic jej się nie przypomina w związku ze śmiercią Allana Granta?

- Nic. Ale za to powoli pozwala ujawniać się wspomnieniom z czasu porwania. Na razie są to małe fragmenty. Justin, to znaczy doktor Donnelly, jest przekonany, że musiała być molestowana. Ale nawet odtwarzanie zapisów sesji nie pomaga jej w prawdziwym przełamaniu się. - W głosie Sary zabrzmiała rozpacz. - Brendonie, już maj. Przez te trzy miesiące nie udało mi się znaleźć niczego, co mogła bym wykorzystać do jej obrony. Wygląda na to, że ma trzy dodatkowe osobowości. Kate pełni rolę opiekunki i zachowuje się niemal jak niedobra niania. Nazywa Laurie mazgajem i złości się na nią, ale później staje w jej obronie. To ona blokuje pamięć mojej siostry. Leona jest bardzo pobudzona seksualnie. To ona durzyła się w Allanie Grancie. W tamtym tygodniu powiedziała doktorowi Donnelly'emu, że jest jej przykro, że wzięła ze sobą nóż tamtej nocy.

- Dobry Boże - wymamrotał.

- Ostatnia jest Debbie. Ma cztery lata. Ciągłe płacze. - Sara załamała rękę. - To wszystko, Brendonie.

- Czy kiedykolwiek przypomni sobie, co się stało?

- Możliwe, ale nikt nie potrafi przewidzieć, ile czasu to zajmie. Ona wierzy Justinowi i rozumie, że może skończyć w więzieniu. Ale nie wygląda na to, by się miała przełamać. - Sara spojrzała na Brendona. - Nie sugeruj przyznania się do winy.

- Wcale nie mam takiego zamiaru - mruknął. - W każdym razie jeszcze nie teraz.

Do biblioteki weszła Sophie z kawą na tacy.

- Zostawiłam ich samych na górze - powiedziała. - Dobrze zrobiłam?

- Oczywiście - odpowiedziała Sara. - W końcu to kaznodzieja, Sophie. Z

pewnością nie chowa po kieszeniach naszej biżuterii.

- Dzisiaj debatują nad połączeniem waszych łazienek. Chcą tam zamontować jacuzzi. Zawsze myślałam, że duchowni żyją skromniej - poinformowała Sophie ze złością i postawiła tacę.

- Niekoniecznie - powiedział Brendon. Wrzucił trzy kostki cukru do kawy i energicznie ją zamieszał.

- Gregg Bennett naprawdę nie wie, co wywołało tak dziwną reakcję Laurie w tamtym roku. Mam wrażenie, że wciąż za nią szaleje.

W przeddzień śmierci Granta kilkoro studentów rozmawiało o tym, że Laurie zadurzyła się w profesorce. Gregg przypadkiem to usłyszał. Podobno wybiegł

wtedy jak oparzony.

- Zazdrosny? - zapytała szybko Sara. Brendon wzruszył ramionami.

- Nawet jeśli, to nie ma to związku ze śmiercią Granta, chyba że...

- Chyba że Laurie wróci pamięć.

Rozległo się pukanie do drzwi. Sara wzniosła oczy do nieba.

- Przygotujcie się na błogosławieństwo - szepnęła, a potem zawołała: - Proszę wejść!

W drzwiach stanęli Bic i Opal, uśmiechając się uprzejmie. Byli ubrani zwyczajnie. Bic zdjął marynarkę. Pod spodem nosił T-shirt, który odsłaniał

zarośnięte ręce. Opal miała na sobie spodnie ogrodniczki i bawełnianą bluzkę.

- Nie chcemy przeszkadzać, przyszliśmy po prostu zapytać, co słychać.

Sara przedstawiła im Brendona Moody'ego, który wymamrotał kilka słów powitania.

- A co u małej dziewczynki? - zapytał Bic. - Nie wiecie nawet, ilu ludzi modli się za nią.

Justin Donnelly nie chciał tego mówić Sarze, ale stracił nadzieję, że Laurie zdoła odzyskać pamięć przed procesem. Wraz z dwiema te-rapeutkami, Pat i Kathie, prowadzącymi z Laurie zajęcia z pisania dziennika i rysunków, przeglądał taśmy z zapisem kolejnych sesji.

- Zwróćcie uwagę, że jej inne osobowości ufają mi i są gotowe rozmawiać, ale milczą jak grób, gdy usiłuję wrócić do nocy dwudziestego ósmego stycznia albo do czasów porwania Laurie. Przeanalizujmy jeszcze raz te osobowości.

Kate ma trzydzieści trzy lata, czyli prawie tyle co Sara. Sądzę, że Laurie stworzyła ją po to, żeby się nią opiekowała, co pokazuje nam, jak Laurie postrzega Sarę. W przeciwieństwie do Sary jednak, Kate jest zazwyczaj poirytowana, nazywa Laurie mazgajem, ma jej za złe, że wpakowała się w kłopoty. Wydaje mi się, że to obrazuje przekonanie Laurie, iż zasłużyła na gniew Sary. Debbie ma cztery lata. Chce rozmawiać, ale jest zbyt przestraszona -

na, a może po prostu nie rozumie, co się stało. Przypuszczam, że bardzo przypomina Laurie w tym wieku. Czasami widać u niej prze błyski dobrego humoru. Sara Kenyon twierdzi, że Laurie była wyjątkowo wesołym dzieckiem, zanim została porwana. Leona to dość seksowna dama. Nie ulega wątpliwości, że szalała za Allanem Grantem i była zazdrosna o jego żonę. Bez wątpienia czuła taką złość na niego za to, co uznała za zdradę, że była w stanie go zabić. Jednak teraz mówi o nim z uczuciem, tak jak się wspomina dawnego kochanka. Historia skończona, a kiedy złość wyparuje, pamięta się tylko do bre strony.

Siedzieli w pokoju dla personelu obok gabinetu Justina. Przez okno wpadały promienie wiosennego słońca. Justin z miejsca, gdzie siedział, mógł

obserwować solarium. Kilku pacjentów korzystało w nim z ładnej pogody. W

pewnym momencie ujrzał, że wchodzi tam Laurie i Sara.

Pat, terapeutka od rysunków, trzymała w ręku kilka nowych prac dziewczyny.

- Czy masz to zdjęcie, które Laurie podarła w domu? - zapytała Donnelly'ego.

- Jest tutaj. - Justin otworzył teczkę.

Terapeutka przyjrzała się uważnie fotografii, porównała ją z nie którymi rysunkami Laurie i w końcu ułożyła je obok siebie.

- No dobrze, spójrzcie na to. - Wskazała na patykowatą postać. -I na to, i jeszcze na to. Co wam przychodzi do głowy?

- Zaczęła ubierać tę postać w kostium kąpielowy - skomentował Justin.

- Właśnie. Teraz zwróćcie uwagę, że na tych trzech rysunkach po stać ma długie włosy. A na tych dwóch jest inaczej. Bardzo krótkie włosy i twarz raczej chłopięca. Ręce złożone w taki sposób, jak na tej posklejanej fotografii.

Niewykluczone, że Laurie odtwarza swój wygląd, ale tak, jakby była chłopcem. Wiele bym dała za to, żeby to zdjęcie nie było takie zniszczone.

Musiała się strasznie namęczyć, żeby je podrzeć na drobne strzępy.

Kathie zaczęła omawiać ostatnie wypracowanie Laurie.

- Charakter pisma wskazuje, że napisała to Kate. Daje się zauważyć, że różni się on bardzo od tego, którym posługiwała się w lutym. Styl też coraz bardziej przypomina Laurie. A teraz posłuchajcie: „Jestem coraz bardziej zmęczona.

Laurie wytrzyma wszystko, co musi się stać. Ma wielką ochotę przejść się po Central Parku, pojechać do klubu golfowego i zagrać. Znalezienie się znowu na polu golfowym sprawiłoby jej wielką radość. Nie minął jeszcze rok, odkąd okrzyknięto ją najlepszą młodą golfistką w New Jersey. Może więzienie nie różni się bardzo od tego miejsca. Może też jest bezpieczne. Może sen o nożu i w więzieniu będzie się trzymał z daleka. Nikt nie może się przecież przedostać do strzeżonego więzienia. Nie będą mogli przyjść z nożami w nocy. W więzieniu sprawdza się pocztę. A to znaczy, że zdjęcia nie będą mogły same wkładać się w zeszyty”.

Terapeutka podała tekst Justinowi.

- Doktorze, może to znak, że Kate akceptuje winę Laurie i karę, którą ona poniesie.

Justin wyglądał przez okno. Dwie siostry siedziały na ławce, przytulone do siebie. Na wszystko, co mówiła Sara, Laurie reagowała śmiechem. Można by pomyśleć, że te dwie atrakcyjne kobiety siedzą na tarasie swego domu albo w klubie.

Pat podążyła za jego wzrokiem.

- Wczoraj rozmawiałam z Sarą. Na moje oko, jej nerwy nie są w najlepszym stanie. W dniu, kiedy Laurie znajdzie się w więzieniu, może ci przybyć nowa pacjentka.

Justin wstał z krzesła.

- Będą u mnie za dziesięć minut. Pat, myślę, że masz rację. Ona rysuje wersje podartego zdjęcia. Czy znasz kogoś, kto umiałby pozbyć się tego kleju i tak to ułożyć ponownie, żebyśmy mogli zobaczyć coś więcej?

- Zastanowię się. Donnelly zwrócił się do Kathie:

- Czy nie uważasz, że jeśli Laurie albo Kate uświadomią sobie, jak będzie się czuła Sara po wyroku skazującym, to może osłabi to ich przyzwolenie na przyznanie się Laurie do winy przed rozprawą?

- Niewykluczone.

- Dobrze. I jeszcze jedno. Mam zamiar porozmawiać z Greggiem Bennettem, byłym chłopakiem Laurie. Spróbuję ustalić, co zdarzyło się w dniu, od kiedy tak strasznie zaczęła się go bać.

Kiedy Brendon Moody przysiadł na barowym stołku przy Dan-nym, którego nazywano Łowcą Niewiernych Małżonków, zauważył, że rysy jego twarzy cherubina zaczęły już tracić na wyrazistości. Popękane naczynka krwionośne na nosie i policzkach świadczyły o tym, że Łowca nie wylewa za kołnierz.

Dan przywitał Moody'ego z wrodzoną wylewnością:

- To ty, Brendonie, kojący widok dla udręczonych oczu!

Moody wymamrotał coś w odpowiedzi, powstrzymując się od uwagi na temat jego irlandzkiego akcentu Danny'ego. Przypomniawszy sobie, po co tu przyszedł i dlaczego skazuje się na udział w alkoholowych zamiłowaniach Danny'ego. Zamówił kolejkę i zapytał go, co sądzi o drużynie baseballowej w tym sezonie.

- Rewelacja. Absolutny czad! Danny aż zapał z radości. - Chłopaki robią, co chcą.

Kiedys się z tobą lepiej gadało, pomyślał Brendon, ale powiedział:

- No to świetnie.

Po godzinie, kiedy on sam wciąż pił drugiego drinka, Dan kończył trzeciego.

Trzeba było zacząć działać. Brendon skierował rozmowę na Laurie Kenyon.

- Byłem na sprawie - rzekł, zniżając konfidencjonalnie głos. Oczy Danny'ego zwęziły się.

- Słyszałem. Tej biednej małej trochę się pomieszało, co?

- Na to wygląda - potwierdził Brendon. - Wydaje mi się, że odjęło jej rozum po śmierci rodziców. Szkoda, że nie korzystała wtedy z pomocy specjalisty.

Danny rozejrzał się wokół.

- Właśnie, że korzystała - powiedział szeptem. - Zapomnij, kto ci o tym mówi.

Ale nie chcę, żebyś błędził w ciemnościach.

Brendon wyglądał na zaskoczonego.

- Sugerujesz, że odwiedzała psychiatrę?

- Tak jest. W Ridgewood.

- A skąd o tym wiesz, Danny?

- Ale to zostanie między nami?

- Jasne.

- Zaraz po śmierci Kenyonów zostałem wynajęty do przyjrzenia się życiu ich córek.

- Na pewno nie żartujesz? To musiało być towarzystwo ubezpieczeń. Pewnie coś w związku ze skargą na przedsiębiorstwo autobusowe?

- Brendonie Moody, dobrze wiesz, że personalia klientów detek tywa to jego największy sekret.

- No pewnie, że wiem. Ale ten autobus jechał za szybko i miał nie sprawne hamulce. Kenyonowie nie mieli szans. To oczywiste, towa rzystwo ubezpieczeniowe wpadło w panikę i było zainteresowane w znalezieniu czegoś przeciwko powódce. Zresztą, kto inny miałby powód, żeby je sprawdzać?

Danny konsekwentnie milczał. Brendon dał znak barmanowi, który w odpowiedzi przecząco pokręcił głową.

- Odwiozę mojego przyjaciela do domu - obiecał Moody.

Wiedział, że najwyższy czas zmienić temat. Godzinę później, kiedy udało mu się umieścić Danny'ego w swoim samochodzie, znowu na wiązał do sprawy Kenyonów. Dojeżdżając do domu Łowcy Niewiernych Małżonków, wreszcie uzyskał to, na co liczył.

- Brendonie, jesteś moim dobrym kolegą. - Danny z trudem artykułował

słowa. - Myślisz, że nie czuję, jak starasz się wyciągnąć ze mnie informacje?

Dobra, ale to musi zostać tylko między nami i tą latarnią. Nie mam pojęcia, kto mnie wynajął. To było utrzymane w tajemnicy. W każdym razie kobieta.

Przedstawiała się jako Jane Graves. Nigdy wcześniej nie miałem z nią do czynienia. Dzwoniła co tydzień, żeby usłyszeć bieżący raport. Potem wysyłałem go, podając na kopercie numer skrytki pocztowej w Nowym Jorku.

Chcesz wiedzieć, kto to był, moim zdaniem? Obecna wdowa po profesorze.

Czy to nie do niego Kenyonówna wypisywała te listy? I jakimś dziwnym trafem moje zlecenie ustało następnego dnia po morderstwie.

Danny pchnął drzwiczki samochodu i wygramolił się na zewnątrz.

- Spokojnej nocy, a następnym razem pytaj od razu. Nie będziesz musiał tyle wydawać na drinki.

„Architekt”, którego Bic w czasie jednej z pierwszych wizyt przyprowadził ze sobą do domu Kenyonów, pochodził z Kentucky, gdzie niegdyś siedział w więzieniu. To on połączył bibliotekę i telefon z urządzeniem podsłuchowym.

On także niepostrzeżenie zainstalował w pokoju gościnnym magnetofon.

Bic i Opal nie mieli trudności w zmienianiu kasety i zabieraniu już nagranej .

Po prostu wchodzili na górę z taśmami mierniczymi oraz próbkami tkanin i farb. Bic zaczynał przesłuchiwanie taśm już w dro dze powrotnej, a potem puszczał je jeszcze kilkakrotnie w hotelowym apartamencie.

Sara regularnie rozmawiała wieczorami z Justinem Donnellym i te rozmowy stanowiły niewyczerpane źródło informacji. Na początku Opal musiała zapanować nad uczuciem irytacji, jaką budziła w niej namiętna potrzeba Bica, żeby orientować się na bieżąco, co się dzieje z Lee. W miarę jednak jak mijały kolejne tygodnie, odczuwała coraz

większe rozdarcie między strachem przed zdemaskowaniem a rosnącą fascynacją rozmowami o okrucach wspomnień Laurie. Dyskusja Sa ry i doktora o przypomnieniu sobie przez dziewczynę bujanego fotela rozczuliła Bica.

- Moja maleńka - westchnął. - Pamiętasz, jak była śliczna i jak ładnie śpiewała piosenki, których ją uczyliśmy? - Pokiwał z rozrzewnieniem głową, ale już po chwili ściągnął brwi. - Zaczyna gadać.

Otworzył drzwi balkonowe i pozwolił majowemu powietrzu wypełnić pokój.

Delikatny podmuch zmarszczył zasłony. Bic pozwolił sobie ostatnio na zapuszczenie włosów dłuższych niż zwykle. Tego dnia były w dodatku trochę zmierzwiłone. Miał na sobie stare spodnie ogrodniczki i T-shirt. Na odsłoniętych rękach kłębił mu się siwy zarost, który Opal nazywała swoją ulubioną poduszką. Wpatrywała się w niego z uwielbieniem.

- O czym myślisz, Opal? - zapytał Bic.

- Powiesz, że oszalałam.

- Zaryzykuj.

- Przyszło mi do głowy, że z tą masą włosów, T-shirtem i bez marynarki brakuje ci jeszcze tylko złotego kolczyka, który kiedyś nosiłeś, żeby przestać być wielbnyim Hawkinsem i znowu stać się wokalistą z nocnych klubów.

Bic patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Nie powinnam była tego powiedzieć, myślała niespokojnie Opal. Nie mogło mu się to spodobać. Nagle Bic odezwał

się:

- To Pan podsunął ci to spostrzeżenie, Opal. Kiedy myślałem o starej farmie w Pensylwanii i bujanym fotelu, na którym siadywa łem z moją ślicznotką w ramionach, zaczął mi się rysować w myślach pewien pla n. Ty go uzupełniłaś.

- Jaki plan?

Łaskawe spojrzenie znikło.

- Żadnych pytań. Wiesz przecież. Nigdy nie zadawaj pytań. To są sprawy między mną a Panem.

- Przepraszam, Bobby - celowo zwróciła się do niego tym imię niem, wiedząc, że to złagodzi jego gniew.

- W porządku, Opal. Z tego całego gadania wynika jasno, że nie powinienem chodzić przy nich w koszulkach z krótkimi rękawami. Sprawa owłosionych rąk wciąż się przewija. A nie zwróciłaś uwagi na coś jeszcze? - Uśmiechnął

się przebiegle. - Wygląda na to, że sytuacja zaczyna się robić mocno romantyczna. Posłuchaj tylko, jak Sara

i doktor zaczynają ze sobą rozmawiać. Słyszę coraz więcej uczucia w głosach.

A on wyraźnie coraz bardziej się nią przejmuje. To dobrze. Kiedy Lee dołączy do chórów anielskich, jej siostrę będzie miał kto utulić.

Karen zerknęła zza biurka i rozplynęła się w uśmiechu. Skądś znała tego niskiego, łysiejącego mężczyznę z pooranym zmarszczkami czołem.

Poprosiła, żeby usiadł. Kiedy spojrzała na jego wizytówkę, wiedziała już, dlaczego wydał jej się znajomy. To ten prywatny detek tyw, pracujący dla sióstr Kenyon. Był nawet na pogrzebie. Wiedziała od Louise Larkin, że wypytywał o różne rzeczy ludzi z kampusu.

- Pani Grant, proszę powiedzieć, jeśli przychodzę nie w porę. -Mężczyzna powiódł wzrokiem po biurze.

- Ależ nie - zapewniła go. - Jest wcześnie, interes jeszcze się nie zaczął kręcić.

- Wydaje mi się, że biznes turystyczny w dzisiejszych czasach w ogóle słabo się kręci - rzekł Brendon od niechcenia. - Przynajmniej tak twierdzą moi przyjaciele.

- Cóż, to sprawa ogólnej sytuacji, na nic nie ma dzisiaj koniunktury. Ale może jednak wybierze pan coś dla siebie?

Ostra sztuka, pomyślał Brendon, i zachowuje styl bez względu na sytuację.

Miała na sobie turkusowy lniany spodniem i odpowiednio dobraną bluzkę.

Niebieskozielony kolor podkreślał barwę jej oczu. Takich ubrań nie kupuje się w domu towarowym, zarejestrował w myślach Brendon. Ani takiej broszki w kształcie półksiężyca, z ja-deitem i diamentami, jaką Karen ma w klapie.

- Może innym razem - odrzekł. - Chciałbym natomiast, oczywiście, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, zadać kilka pytań na temat zmarłego.

Jej uśmiech zgasł.

- Trudno mi rozmawiać o Allanie - powiedziała. - Louise Larkin mówiła mi o panu. Wiem, że

pomaga pan przy przygotowaniu obrony Laurie Kenyon.

Panie Moody, bardzo mi jej żal, ale ona odebrała życie memu mężowi i nastawała na moje własne.

- Ona nawet nie pamięta tych wydarzeń. Jest bardzo chora. -Brendon mówił

cicho i spokojnie. - Moje zadanie polega na tym, że-by pomóc sądowi to zrozumieć. Przeglądałem kopie listów, które ona lub ktoś inny napisał do profesora Granta. Kiedy dowiedziała się pa ni, że mąż je otrzymuje?

- Z początku Allan tego nie ujawniał. Przypuszczam, że nie chciał mnie niepokoić.

- Niepokoić?

- Cóż, te listy były żalosne i zarazem kuriozalne. „Wspomnienia”, które zawierały, odnosiły się do nocy, kiedy byliśmy z Allanem ra zem. Nie mogłam mieć wątpliwości, że to czysty wymysł, ale mimo wszystko sprawa wydawała się bardzo nieprzyjemna. Natknęłam się w końcu na listy przypadkiem i zapytałam, co to takiego.

- Czy znała pani dobrze Laurie?

- Nie bardzo. Nieźle grała w golfa, często widywałam jej nazwi sko w gazecie.

Kiedyś na jakiejś imprezie w college'u poznałam jej ro dziców. Było mi niezmiernie przykro z powodu ich śmierci. Wiem, że Allan uważał, iż ona stoi w obliczu jakiegoś załamania.

- Czy przebywała pani w Nowym Jorku tamtej nocy, kiedy zgi nął?

- Byłam na lotnisku, gdzie spotykałam się z klientem.

- Kiedy rozmawiała pani z mężem po raz ostatni?

- Dzwoniłam do niego około dwudziestej. Był okropnie przybity. Opowiedział

mi o scenie, którą zrobiła mu na korytarzu Laurie Kenyon. Miał poczucie, że źle rozegrał tę sprawę. Uważał, że zanim przedstawił ją dziekanowi, powinien był usiąść z Sarą i Laurie i spokojnie przedyskutować z nimi wszystko.

Twierdził, że wierzy, iż dziewczyna naprawdę nie przypomina sobie, że pisała te listy. Kiedy jej to zasugerowano, wpadła w autentyczną złość i przerażenie.

- Zdaje sobie pani sprawę, że jeżeli w podobny sposób będzie pa ni zeznawać jako świadek, może to w istotny sposób pomóc Laurie?

W oczach Karen pojawiły się łzy.

- Mój mąż był najmiłszym i najlepszym człowiekiem, jakiego kie dykolwiek znałam. Byłby ostatnim,

który chciałby, żebym w jakikolwiek sposób skrzywdziła tę dziewczynę.

Oczy Moody'ego zamieniły się w szparki.

- Pani Grant, naprawdę ani przez chwilę nie miała pani wątpliwości, czy pani mąż nie zadurzył się w Laurie?

Wyglądała na zaskoczoną.

- To śmieszne. Ona ma dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia jeden lat. A on miał czterdzieści.

- Nie takie rzeczy się zdarzają. Zrozumiałbym doskonale, gdyby się okazało, że chciała pani mieć pewność i, powiedzmy, wynajęła ko goś, żeby to sprawdził.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- O wynajęciu kogoś takiego jak ja, na przykład... Łzy wyparowały. Karen nie kryła złości.

- Panie Moody, nigdy nie śmiałabym obrazić mojego męża w taki sposób. -

Wstała. - Nie sądzę, abyśmy mieli sobie jeszcze coś do powiedzenia.

Moody podnosił się powoli.

- Pani Grant, proszę mi wybaczyć i zrozumieć, że moim zadaniem jest szukanie wszystkiego, co może poprawić sytuację Laurie. Sama pani wspominała, że według profesora Granta znajdowała się na granicy załamania. Jeśli zatem przyjmiemy, że coś się między nimi wydarzyło i on zawiadomił o tym władze uczelni, w rezultacie czego ona...

- Panie Moody. Proszę nawet nie próbować bronić dziewczyny, która zabiła mojego męża, narażając na szwank jego reputację. Allan był spokojnym człowiekiem i zawsze wprawiało go w zakłopotanie, kiedy wychodziło na jaw, że jakaś studentka się w nim podkochuje. Takie są fakty i nie można ich zmieniać tylko po to, aby chronić jego morderczynię.

Kiwając przepaszająco głową, Brendon Moody lustrował do kładnie biuro.

Przyjemnie urządzone. Kanapa i fotele z czerwonej skóry. Na ścianach oprawione w ramy duże fotografie z różnych egzotycznych miejsc. Na biurku Karen Grant i na stoliku przy kanapie świeże kwiaty. Jednak na blacie przed nią nie widać było żadnych papierów, a telefon nie zadzwonił ani razu, odkąd Moody tu wszedł.

- Pani Grant, chciałbym, żebyśmy się rozstali w przyjemniejszej atmosferze.

Moja córka lata na liniach American Airlines. Uwielbia swoją pracę.

Twierdzi, że to wchodzi w krew. Mam nadzieję, że podobnie jest z panią i że zajęcia zawodowe pomagają pani przejść do siebie po stracie męża.

Wyglądało na to, że trochę ją udobruchał.

- Zginęłabym bez tego.

Nic nie świadczyło o tym, że ktoś jeszcze przebywa w biurze.

- Ile osób tu pracuje? - zapytał, starając się, aby zabrzmiało to niezobowiązująco.

- Sekretarka, która wyszła coś załatwić, i Anne Webster, właściwie cielka. Jest dzisiaj chora.

- To znaczy, że w tej chwili pani za wszystko odpowiada?

- Anne wkrótce przejdzie na emeryturę. I wtedy rzeczywiście przejmę firmę.

- Rozumiem. No cóż, zdaje się, że zabrałem pani wystarczająco dużo czasu.

Wyszedł, ale nie opuścił hotelu. Usiadł w holu i oddał się obserwacji biur podróży. Przez dwie godziny nie pojawił się ani jeden klient. Przez szklaną szybę widać było, że Karen ani razu nie musiała podnieść słuchawki.

Złożywszy gazetę, której użył jako parawanu, Moody skierował się powoli w stronę recepcji, gdzie wdał się w pogawędkę z portierem.

Gregg Bennett jechał autostradą aż do wylotu Lincoln Tunnel. Dzień był ciepły i parny, zupełnie jak w lipcu, a nie pod koniec maja. Opuścił dach w swoim nowym kabrioletcie, który dostał od dziadka po ukończeniu college'u. Prezent sprawił go w zakłopotanie. Protestował: „Dziadku, mam dwadzieścia pięć lat i jestem wystarczająco dorosły, żeby samemu zarobić na samochód”. Ale matka odciągnęła go na stronę: „Gregg, na litość boską, nie bądź takim uparciuchem. Dziadek tak się cieszy, że zostałeś przyjęty do Stanfordu.

Chodzi dumny jak paw”.

Tak naprawdę chodziło o to, że Gregg wolał dziesięcioletniego Forda, którym jeździł w Clinton i którego kupił z drugiej ręki. Fajnie było wrzucać do jego bagażnika torby ze sprzętem do golfa, wiedząc, że Laurie za chwilę usiądzie obok i zacznie się z nim przekomarzać na temat jego gry.

Laurie.

Skręcił w drogę numer trzy, prowadzącą do tunelu. Ruch był mały. Zerknął na tablicę rozdzielczą. Wpół do czwartej. W porządku. Jest jeszcze mnóstwo czasu przed wizytą w klinice. Miał nadzieję, że wygląda tak jak trzeba.

Zastanawiał się długo, co włożyć. W końcu wybrał lnianą brązową marynarkę, koszulę, luźne bawełniane spodnie i mokasyny. Laurie miałyby mu za złe, gdyby się za bardzo wystroił. Na samą myśl, że po tylu miesiącach wreszcie ją zobaczy, aż zaschło mu w gardle.

Sara czekała na niego przy recepcji. Pocałował ją w policzek na przywitanie.

Od razu zobaczył, że przechodzi piekło. Miała cienie pod oczyma, co w połączeniu z ciemnymi brwiami i rzęsami powodowało, że jej cera wydawała się przezroczysta. Poszli wprost do lekarza Laurie.

Donnelly postawił sprawę jasno:

- Może przyjdzie kiedyś dzień, w którym Laurie opowie nam o la tach porwania, a także o śmierci Granta. Wszystko wskazuje jednak na to, że dzień ten nie nastąpi wystarczająco szybko, żebyśmy mogli wyko rzystać te informacje do jej obrony. Teraz staramy się odtwarzać sytuacje, w których następowało u niej rozszczepienie osobowości, po to, żeby dojść do tego, co wyprowadzają z równowagi. Wspominał pan Sarze i detektywowi Moody'emu o incydencie, który wydarzył się rok temu w pańskim mieszkaniu.

Chcielibyśmy go odtworzyć, Laurie zgodziła się na ten eksperyment. Mamy zamiar filmować jego przebieg. Prosimy, żeby w jej obecności opisał pan dokładnie, co pan wtedy zrobił, mówił i jak byliście wtedy usytuowani względem siebie. Bardzo proszę, dla jej dobra, niech pan nie dodaje ani nie pomija niczego. Dosłownie niczego.

Gregg kiwał głową ze zrozumieniem. Doktor Donnelly podniósł słuchawkę telefonu.

- Bardzo proszę o przyprowadzenie Laurie.

Gregg nie miał pojęcia, czego powinien się spodziewać. Z pewno ścią Laurie, którą ujrzał, nie była tą, którą pamiętał: w bawełnianej spódniczce, T -shircie, z wąskim paskiem podkreślającym smukłość sylwetki, i w sandałach. Ona też zmartwiała na jego widok. Coś powstrzymało Gregga od wstania. Pomachał

jej tylko ręką na przywitanie i powiedział:

- Cześć, Laurie.

Nie spuszczała z niego badawczego spojrzenia, siadając przy Sa rze. W końcu skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Justin włączył kamerę.

- Gregg, rok temu przysła do ciebie w odwiedziny Laurie i z nie znanych powodów wpadła nagle w panikę. Opowiedz nam o tym.

Gregg tak często wracał w myślach do tego ranka, że zaczął mó wić bez wahania:

- To był niedziela. Pospałem dłużej. O dziesiątej Laurie zadzwo niła do drzwi i obudziła mnie.

- Proszę opisać miejsce, w którym pan mieszka - przerwał Justin.

- Wynajęte mieszkanie nad garażem kilka kilometrów od campu su. Mała kuchnia, barek ze stołkami do siedzenia, rozkładana kana -

pa, regały z książkami, komoda, dwie szafy, przyzwoita toaleta. Cał kiem niezłe się tam mieszka.

Sara spostrzegła, że Laurie przymyka oczy, jakby sobie coś przy pominając.

- W porządku. Czy spodziewał się pan, że Laurie do pana wpadnie?

- Nie. Tamtego dnia miała jechać do domu. Proponowała zresztą, żebym pojechał razem z nią, ale ja musiałem się przygotowywać do jakiegoś zaliczenia. Poszła na mszę o dziewiątej rano, a potem wstąpiła do piekarni.

Kiedy otworzyłem drzwi, powiedziała coś w rodzaju: „Dostawa świeżych bułeczek”.

- Jak się zachowywała?

- Była odprężona. Chętnie się śmiała. W sobotę graliśmy razem w golfa. Przez cały czas nie było wiadomo, kto zwycięży. W końcu mnie pokonała. Kiedy przyszła w niedzielę, miała białą lnianą sukienkę i wyglądała prześlicznie.

- Czy ją pocałowałeś? Gregg zerknął na Laurie.

- W policzek. Odebrałem od niej sygnał przyzwolenia. Musiałem uważać, bo nie zawsze miała na to ochotę. Łatwo wpadała w popłoch. Kiedy ją całowałem albo obejmowałem, robiłem to powoli i ostrożnie, zwracając uwagę, czy nie jest spięta. Jeśli była, dawałem spokój.

- Nie frustrowało cię to? - zapytał szybko Justin.

- No jasne, ale zawsze czułem w Laurie jakiś przestach i wiedziałem, że potrzebuje czasu, aby mi zaufać. - Gregg spojrział na Laurie. - Nigdy jej nie skrzywdziłem. Zabiłbym, każdego ktokolwiek chciałby jej zrobić krzywdę.

Laurie patrzyła na niego i już nie unikała jego wzroku. Teraz ona zaczęła mówić:

- Siedziałam obok Gregga przy barku. Piliśmy kawę i jedliśmy na spółkę trzeciego bajgla. Rozmawialiśmy o tym, kiedy znowu uda nam się pograć w golfa. Czułam się bardzo szczęśliwa tamtego dnia. Ranek był taki piękny i wszystko wydawało się takie świeże i czyste. - Kiedy powiedziała „czyste”, jej głos załamał się.

Gregg wstał z krzesła:

- Laurie powiedziała, że musi już iść. Pocałowała mnie i zaczęła się zbierać do wyjścia.

- W tym momencie nie zauważyłeś u niej jeszcze żadnych oznak strachu lub paniki? - wtrącił Justin.

- Żadnych.

- Laurie, chciałbym, żebyś stanęła przy Greggu, tak jak wtedy. Zachowuj się, jakbyś właśnie opuszczała jego mieszkanie.

Laurie wstała z wyraźnym ociąganiem.

- To było tak - wyszeptała. Stojąc tyłem do Gregga, sięgnęła po wyobrażoną kłamkę. -1 wtedy on...
 - I wtedy ja uniosłem ją do góry... - dokończył Gregg. - Tak dla żartu. Bardzo chciałem ją jeszcze raz pocałować.
 - Pokaż, jak to było - wydał polecenie Justin.
 - O tak. - Gregg stanął za Laurie, ujął ją delikatnie za ramiona i zaczął unosić do góry.
- Cała zeszywniała. Zaczęła kwilić jak dziecko. Gregg natychmiast ją puścił.

- Laurie, powiedz, czego się boisz - łagodnie poprosił Justin. Kwilenie przeszło w tłumione, dziecięce łkanie, ale odpowiedzi nie było.
- Debbie, to ty płaczesz - zgadł Justin. - Powiedz mi dlaczego. Wskazała na dół i na prawo. Cichutki głosik zaszlochał:
- On chce mnie tam wziąć. Gregg słuchał zaszokowany. Powiedział:
- Czekaście - zastanowił się. - Gdybyśmy byli w moim mieszkaniu, ona wskazywałaby na kanapę.
- Opisz ją - polecił Justin.
- Dopiero co wstałem, więc była nie zaścielona.
- Debbie, dlaczego się przelęknęłaś na myśl, że Gregg zabierze cię do łóżka? Co mogłoby ci się tam stać? Powiedz nam.

Ukryła twarz w dłoniach. Nie przestając szlochać, dziecięcym głosem, powtarzała:

- Nie mogę.
- Ale dlaczego nie, Debbie? Przecież cię kochamy. Podniosła wzrok i podbiegła do Sary.
- Saruś, naprawdę nie wiem, co się działo - wyszeptała. - Kiedy wchodziliśmy do łóżka, ja gdzieś odpływałam.

Vera West usiłowała jakoś wytrwać do końca semestru. Z trudem przychodziło jej utrzymywanie pozorów spokoju, ale wiedziała, że to absolutnie koniecznie. Idąc przez kampus późnym popołudniem z teczką wypełnioną pracami semestralnymi przyłapała się na modli twie, w której prosiła, by Bóg pozwolił jej zdążyć do wiejskiego domku, gdzie mieszkała, zanim wybuchnie płaczem.

Uwielbiała swój domek. Stał na końcu ścieżki. Kiedyś mieszkał w nim ogrodnik pracujący w leżącej niedaleko posiadłości.

Kiedy miała trzydzieści siedem lat, wróciła na uczelnię i po trzech latach uzyskała doktorat. Poczwała

wtedy, że potrzebuje czegoś innego niż życie w Bostonie, i dlatego zdecydowała się na pracę w instytucie literatury angielskiej w Clinton.

Niewielki college od razu przypadł jej do serca. Poza tym jako miłośniczka teatru cieszyła się z bliskości Nowego Jorku.

W przeszłości interesowało się nią poważnie kilku mężczyzn. Ona sama myślała czasem z tęsknotą, że trafi w końcu na kogoś wyjątkowego, ale na co dzień żyła w przekonaniu, że podzieli los swoich nie zamężnych ciotek.

Aż spotkała Allana Granta.

Długo nie uświadamiała sobie, co się dzieje, ale w końcu stwierdziła, że jest w nim zakochana. Podobnie jak ona, był wykładowcą, a przy tym miłym człowiekiem, pedagogiem, którego inteligencję po dziwiła, rozumiała też, dlaczego jest tak lubiany.

Wszystko zaczęło się w październiku. Pewnego wieczoru po zajęciach samochód Allana nie chciał zapalić, więc zaproponowała, że odwiezie kolegę do domu. Zaprosił ją na herbatę, a ona się zgodziła. Nie pomyślała o tym, że jego żony może nie być w domu.

Zaskoczył ją widok drogich mebli; wiedziała przecież, ile zarabia wykładowca w college'u. Niemniej dziwne wydawało jej się to, że mieszkanie wyraźnie wymaga gruntownego sprzątnia. Trudno jej było to wszystko zrozumieć, bo wtedy jeszcze nie wiedziała, że Karen, żona Allana, nie tylko pracuje na Manhattanie, ale wynajmuje tam też apartament hotelowy.

- Dzień dobry pani.

-Słucham? Aha, dzień dobry... - Vera wykrzesła z siebie uśmiech, mijając grupę studentów. Ich bez troski nastrój wyraźnie wskazywał, że semestr zbliża się do końca. Żaden z nich nie jest przecież skazany na odczuwanie pustki lata, pustki przyszłości.

Tamtego pierwszego wieczoru w domu Allana, kiedy on przygotowywał dla nich whisky z wodą, zaproponowała, że przyniesie lód. W lodówce ujrzała stopy zapakowanych porcji pizzy, lazanii, kawał-

ków kurczaka i innych podobnych rzeczy. Mój Boże, pomyślała, to on się tak odżywia?

Dwa dni później Allan wpadł do niej, żeby oddać książkę. Pieklą właśnie kurczaka, którego apetyczny aromat wypełniał cały dom. Kiedy coś wspomniał na ten temat, niedługo się zastanawiając, zaprosiła go na kolację.

Allan miał zwyczaj chodzić na długie spacerunki przed wieczornym posiłkiem.

Zaczął coraz częściej do niej po drodze zaglądać, zwłaszcza cza wtedy kiedy Karen nocowała w Nowym Jorku. Dzwonił i pytał, czy Vera nie ma nic przeciwko jego towarzystwu, a jeśli nie, to co mógłby przynieść. Nazywał

siebie „człowiekiem, który przychodzi na obiad”. Pojawiał się z butelką wina, dobrym serem albo owocami. Nie siedział dłużej niż do ósmej, ósmej trzydzieści. Zawsze zachowywał się w stosunku do niej uprzejmie i zawsze tak samo, bez względu na to, czy byli sami, czy w towarzystwie.

Mimo to Vera zastanawiała się często podczas bezsennych nocy, kiedy w końcu ludzie zaczną plotkować na ich temat. Nie miała wątpliwości, że on nic nie mówi swojej żonie o ich spotkaniach.

Allan pokazał jej listy od Leony w niedługi czas potem, odkąd zaczęły przychodzić.

- Nie chcę, żeby Karen się o nich dowiedziała - powiedział. - Mogłyby tylko zburzyć jej spokój.

- Z pewnością nie miałyby powodu, by im uwierzyć.

- Zgadza się, ale mimo pozorów zaradności Karen jest dość słaba, a ja stanowią dla niej dużo silniejsze oparcie, niż jej się wydaje.

Kilka tygodni później oświadczył, że Karen znalazła listy.

- Jest tak, jak przewidywałem. Zmartwienie i niepokój.

Vera pomyślała wtedy, że Karen wysyła dość sprzeczne sygnały. Martwi się o swego męża, ale prawie stale przebywa tak daleko od niego. Niezbyt mądra kobieta.

Z początku wyglądało na to, że Allan celowo unika jakiegokolwiek rozmowy na tematy osobiste. Potem stopniowo zaczął nawiązywać do czasów dzieciństwa.

- Ojciec opuścił nas, kiedy miałem osiem miesięcy. Moja matka i babka... co za duet! Robiły wszystko, żeby zarobić chociaż dolara więcej. - Zaśmiał się. -

No, prawie wszystko. Moja babka miała duży stary dom w Ithace.

Wynajmowała pokoje starym ludziom. Zawsze mówię, że wychowałem się w domu starców. Czterech lub pięciu z nich było emerytowanymi nauczycielami, więc miałem niezłą pomoc przy odrabianiu lekcji. Mama pracowała w miejscowym sklepie. Każdy grosz był oszczędzany na moją edukację i wydawany z namysłem. Przysięgam, że były rozczarowane, gdy uzyskałem stypendium do Yale. Obie świetnie gotowały, nigdy nie zapomnę tego uczucia, kiedy przyjeżdżałem do do mu w zimne popołudnie po egzaminach, otwierałem drzwi i wchłaniałem w siebie mieszaninę zapachów wydobywających się z kuchni.

Allan opowiadał jej to wszystko na tydzień przed śmiercią. A po tem dodał:

- Vero, zupełnie tak samo czuję się, kiedy przychodzę tutaj. Cie pło i wrażenie, że jestem z kimś, z kim chcę być, i kto, mam nadzieję, chce być ze mną. -

Objął ją: - Czy mogę cię prosić o trochę cierpliwości? Muszę jeszcze coś załatwić.

Po raz ostatni widzieli się tej nocy, kiedy zginął. Nie krył przygnębia.

- Żałuję, że nie zacząłem od spotkania z Laurie i jej siostrą. Po śpieszyłem się z tą rozmową z dziekanem. Nie zdziwię się, jeśli usłyszę od niego, że moje relacje ze studentami są zbyt przyjacielskie. Zapytał mnie, czyja i Karen mamy jakieś problemy małżeńskie, skoro ona tutaj nie mieszka.

Kiedy był już w drzwiach, pocałował ją namiętnie, a potem powiedział:

- To się zmieni. Bardzo cię kocham i potrzebuję.

Jakieś przeczucie podpowiadało jej, że lepiej będzie, jeśli z nią zo stanie.

Gdyby tylko posłuchała tego głosu i machnęła ręką na plotki! A jednak pozwoliła Allanowi odejść. Chwilę po wpół do jedenastej zadzwoniła do niego. Jego głos brzmiał wyjątkowo radośnie. Rozmawiał z Karen i wyznał jej wszystko. Właśnie wziął tabletkę nasenną i kładł się spać. Na koniec powtórzył: „Kocham cię” - i to były ostatnie słowa, jakie od niego usłyszała.

Nie chciało jej się spać, więc obejrzała „Wiadomości” o jedenastej, a potem zaczęła sprzątać. Trzepała poduszki, układała czasopisma. Nagle zobaczyła, że coś błyszczącego leży na fotelu. Kluczyki do samochodu Allana. Musiały mu wypaść z kieszeni.

Przepelniał ją irracjonalny niepokój o niego, ale oto miała niezły pretekst do jeszcze jednego telefonu. Wykręciła numer i długo wsłuchiwała się w sygnał.

Bez odpowiedzi. Tabletkę nasenną naprawdę silnie działa, uspokajała siebie samą.

Dzisiaj ponownie uświadomiła sobie swoją samotność. Kiedy wreszcie znalazła się na ścieżce do swego domku, przyśpieszyła kroku i podniosła głowę. Przed oczyma miała twarz Allana i czuła, jak jej ra miona wyciągają się do niego. Weszła na schody. „Allan, Allan, Allan”.

Nie zdawała sobie sprawy, że wymawia jego imię na głos, dopóki jej spojrzenie nie padło na Brendona Moody'ego, który czekał na ganku.

Siedząc w restauracji Villa Cesare w położonym o kilka kilometrów od Ridgewood Hillsdale, Sara zastanawiała się, jakim cudem dała się namówić na wspólną kolację z wielebnym Bobbym i Carla Hawkinsami.

Pojawili się w drzwiach pięć minut po jej przybyciu z Nowego Jorku.

Wyjaśnili, że właśnie jeździli sobie wokół, aby lepiej poznać oko licę, kiedy ona minęła ich w alei Lincolna.

- Odniosłem wrażenie, że potrzebuje pani pomocy - powiedział wielebny Bobby. - Czułem wyraźnie, że Pan każe mi zawrócić i zająć tu, żeby zapytać, co u pani słychać.

Dochodziła siódma, kiedy po wyjściu z kliniki i pożegnaniu się z Greggiem Bennettem, wróciła wreszcie do domu. Sophie miała wolne i Sara zdała sobie nagle sprawę, jak bardzo jest zmęczona i głodna. Kiedy otworzyła drzwi do pustego domu, poczuła, że nie ma ochoty do niego wchodzić.

Natychmiast pomyślała o swojej ulubionej Villa Cesare, gdzie zawsze można było liczyć na miłą atmosferę. No i na owoce morza z kieliszkiem białego wina, a na deser cappuccino. Właśnie wychodziła, kiedy zjawili się Hawkinsowie. Po chwili rozmowy już z nią jechała na kolację.

Odpowiadając na powitania znajomych, siedzących przy innych stolikach, Sara uświadomiła sobie, że ludzie jej dobrze życzą i że nie odrzuci żadnej modlitwy. Z tych myśli wyrwał ją nagle wielebny Bob by. Pytał o Laurie.

- To kwestia czasu - wyjaśniała. - Justin, to znaczy doktor Donnelly, nie ma wątpliwości, że Laurie w końcu odzyska pamięć i zacznie mówić o nocy, kiedy zginął profesor Grant. Na razie jednak jej wspomnienia na ten temat splatają się ze strasznymi doświadczeniami z przeszłości. Doktor uważa, że w pewnym momencie nastąpi u niej coś w rodzaju spontanicznego przełomu.

Módlmy się do Boga, żeby tak było.

- Amen - jednym głosem zakończyli Bobby i Carla. Pomyślała, że niepotrzebnie tak dużo mówi o Laurie. To w końcu obcy ludzie, tyle że kupują od niej dom. Właśnie nie, dom. To bezpieczny temat.

- Mama dbała o rośliny w ogrodzie, więc zawsze było u nas kolo rowo -

zmieniła temat, sięgając po chrupiącą bułkę. - Tulipany pięknie kwitły.

Widzieli państwo zresztą. A za mniej więcej tydzień powinny się pojawić moje ukochane azalie. Te u nas są cudowne, ale jeszcze ładniejsze mają D'Andreasowie. To ten dom na rogu.

Opal aż się rozpromieniła.

- Który dokładnie? Ten z zielonymi okiennicami czy ten biały, który kiedyś był różowy?

- Ten, który kiedyś był różowy. Mój Boże, ojciec wpadł w furję, kiedy poprzedni właściciel pomalował go na ten kolor. Pamiętam, jak groził, że zażąda, aby w ramach rekompensaty zmniejszono mu po datki.

Opal poczuła na sobie piorunujący wzrok Bica. Rozmiar wpadki sprawił, że o mało się nie udławiła. Dlaczego ten różowy dom musiał jej się przyplątać akurat teraz? Ile to już lat minęło od czasu, kiedy go pomalowano na biało?

Na szczęście Sara Kenyon najwyraźniej nie zauważyła, co się stało. Zdażyła już przejść do sprawy swojego nowego mieszkania.

- Będzie gotowe w sierpniu - mówiła - więc na pewno uda nam się zwolnić dom na czas. To bardzo uprzejme z państwa strony, że zgo dzili się państwo tak długo czekać.

- Czy jest jakaś szansa na to, że Laurie wróci do domu? - zadał od niechcienia pytanie Bic, patrząc, jak kelner nakłada im cielęcinę.

- Proszę się o to modlić, wielebny panie Hawkins - odpowiedziała Sara. -

Doktor Donnelly uważa, że nie stanowi zagrożenia dla nikogo. Chce, żeby zbadał ją psychiatra z biura prokuratora i orzekł, czy Laurie może przestać być pacjentką całodobową. Według niego, po to, by mogła współpracować ze swoimi obrońcami, musi porzucić przekonanie, że tylko za zamkniętymi drzwiami jest bezpieczna.

- Niczego tak bardzo nie pragnę, jak ujrzeć pani młodszą siostrę w domu -

rzekł na pożegnanie Bic.

Leżąc przed zaśnięciem w łóżku, Sara nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś jej umknęło, coś, co powinna zauważyć.

To z pewnością coś, co powiedziała Laurie, uznała i zapadła w sen.

82

Justin Donnelly szedł z kliniki do swojego mieszkania. Jego własne myśli tak go pochłaniały, że w ogóle nie zwracał uwagi na to, co mija po drodze.

Dochodziła siódma, a do zachodu słońca brakowało jeszcze czterdziestu minut. Parne ciepło zniechęcało do siedzenia w murach. Wzdłuż Piątej Alei przelewał się wolno strumień ludzi, przeglądających książki wystawione na zewnątrz przy ścieżkach okalających park. Inni oglądali prace artystów amatorów.

Ostry zapach *somlaki*, greckiej sałatki, docierający do jego nozdrzy w chwili, kiedy znużeni sprzedawcy chowali na noc swoje wózki, widok koni i barwnie udekorowanych powozów na rogu Piątej i Central Park South, sznur limuzyn przed hotelem Plaża - wszystko to umknęło jego uwadze. Justin koncentrował

się całkowicie na Laurie Kenyon.

Stanowiła z pewnością najbardziej interesujący przypadek ze wszystkich znanych mu dotychczas. Zdarzało się bardzo często, że kobiety, które były molestowane w dzieciństwie, czuły się później temu winne i uważały, że w jakiś sposób same spowodowały to, co je spotkało. Większości udawało się w końcu zrozumieć, że jako dzieci były zbyt słabe, aby temu zapobiec. Ale Laurie Kenyon nie przyjmowała tego do wiadomości.

Robiła jednak inne postępy. Przed opuszczeniem kliniki zajrzał jeszcze na chwilę do niej. Było już po obiedzie i Laurie poszła do solarium. Zastał ją siedzącą cicho i zatopioną w myślach.

- To niezwykle miłe ze strony Gregga, że zgodził się przyjść tutaj -sama zaczęła rozmowę. - Wiem, że nigdy by mnie nie skrzywdził.

Justin postanowił wykorzystać okazję.

- Nie tylko by cię nie skrzywdził, ale zrobił dzisiaj dla ciebie bardzo dużo, Laurie. Pomógł ci się przekonać, że zwykły niewinny gest wywołuje w tobie jakieś wspomnienia. Ale reszta należy do

ciebie. Powinnaś pozwolić wreszcie ujawnić się tym wspomnieniom, bo tylko w ten sposób dojdiesz do siebie.

Odrzekła:

- Wiem, że powinienam. Spróbuję. Obiecuję. Czy wie pan, dokto rze, co najbardziej chciałabym teraz zrobić? - Nie czekała nawet na odpowiedź. -

Chciałabym polecieć do Szkocji i zagrać w golfa na St Andrews. Czy to się panu wydaje szalone?

- Skąd, to brzmi fantastycznie, jeśli o mnie chodzi.

- Jednak to się nigdy nie wydarzy.

- Nie, chyba że zdecydujesz się sobie pomóc.

Wchodząc do budynku, w którym mieszkał, zastanawiał się, czy nie pchnął jej za daleko. Czy nie popełnia błędu, prosząc psychiatrę z biura prokuratora o zgodę na wypuszczenie Laurie do domu za kaucją.

Kilka minut później, kiedy siedział już na balkonie z kieliszkiem australijskiego chardonnay w ręku, zadzwonił telefon. Przełożona pielęgniarek przeprosiła, że przeszkadza.

- Panna Kenyon chce z panem rozmawiać. Mówi, że to pilne.

- Laurie?

- Nie Laurie, doktorze. Jej alter ego, Kate. Chce panu przekazać coś niezwykle ważnego.

- Proszę mi ją dać. Usłyszał ostry głos:

- Niech pan posłucha, doktorze Donnelly. Pewien dzieciak bar dzo chce z panem porozmawiać, ale Laurie mu na to nie pozwala.

- Co to za dzieciak, Kate? - szybko zapytał Justin. Miałem rację, pomyślał, Laurie ma jeszcze jedną osobowość, która się do tej pory nie ujawnił a.

- Nie znam jego imienia. Nie powie mi, jak się nazywa. Ale wiem, że ma dziewięć czy dziesięć lat i jest bardzo inteligentny. I robi dla Laurie wszystko. Zmęczyło go już to, że tak długo krzyczy bezskutecznie. Niech pan nie przestaje nad nią pracować i złamie jej opór. Dzisiaj niemal już mu się udało z panem porozmawiać.

Justin usłyszał stuknięcie odkładanej słuchawki.

15 czerwca do wielebnego Bobby'ego Hawkinsa zadzwoniła Liz Pierce z magazynu „People”. Prosiła o spotkanie, ponieważ powie rzono jej napisanie o nim artykułu do wrześniowego numeru.

Bic najpierw trochę protestował, a potem powiedział, że jest mu niezmiernie miło.

- Z radością skorzystam z możliwości głoszenia mojego słowa i w taki sposób

- zapewniła Pierce.

Kiedy jednak odłożył słuchawkę, jego głos stracił ciepły ton.

- Opal, jeśli odmówię, ta dziennikarka może pomyśleć, że coś ukrywam. A tak przynajmniej mogę mieć wpływ na to, co napisze.

84

Brendon Moody przyglądał się Sarze ze współczuciem. Był upalny czerwcowy dzień. Dziewczyna miała na sobie granatowy lniany żakiet, białą bluzkę i białą spódnicę. Dochodziła dopiero ósma trzecie ści, ale ona była gotowa do codziennej wyprawy do Nowego Jorku. To trwa już czwarty miesiąc, pomyślał Brendon, je, pije, oddycha z myślą o linii o brony i, jak dotąd, niestety, bez realnych efektów; spędza całe dnie w klinice i jeszcze musi być wdzięczna, że jej siostra przebywa tam, a nie w więzieniu. A teraz jeszcze on miał ją pozbawić wiary w ostatni sensowny argument.

Sophie zapukała do drzwi i weszła, nie czekając na przyzwolenie. Na tacy niosła, oprócz filiżanek z kawą, bułeczki i sok pomarańczowy.

- Panie Moody - odezwała się - mam nadzieję, że namówi pan Sarę na to, żeby zjadła bułkę. Nic nie je i niedługo zostanie z niej tylko skóra i kości.

- Ależ Sophie - zaprotestowała Sara.

- Żadnych „ależ Sophie”. Mówię prawdę. - Gospośia postawiła tacę na biurku, a jej twarz zdradzała zmartwienie. - Czy nasz cudotwórca ma zamiar znowu się dzisiaj tu pokazać? - zapytała. - Słowo daję, Saro, powinnaś ich poprosić, żeby zaczęli płacić czynsz.

- To ja powinnam im płacić czynsz - odrzekła Sara. - Od marca ten dom należy do nich.

- Ale w umowie zostało wyraźnie powiedziane, że wyprowadzicie się w sierpniu.

- Oni mi nie przeszkadzają. Okazali się dla mnie b ardzo mili.

- No cóż, kiedyś oglądałam ich co niedziela i muszę ci powiedzieć, że niezła z nich para. Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że ten facet za rabia na obiecywaniu cudów i zachowuje się tak, jakby Pan Bóg wpa dał do niego codziennie na pogawędkę. A w dodatku nadużywa jego imienia.

- Sophie - protestowała Sara.

- No dobrze, dobrze, już nie przeszkadzam - Sophie, kręcąc głową, wymaszerowała z biblioteki. Ciężki krok ujawniał głęboką deza probatę.

Sara podała Brendonowi filiżankę.

- A więc na czym skończyliśmy, jeśli w ogóle zdążyliśmy coś po wiedzieć?

Brendon przysunął sobie filiżankę, wsypał do niej trzy czubate łyżeczki cukru i głośno zamieszał.

- Chciałbym przynieść dobre wieści - zaczął mówić - ale ich nie mam.

Przypuszczaliśmy, że Allan Grant wykorzystał depresję i smutek Laurie, a potem doprowadził ją do załamania, ujawniając jej listy władzom uczelni.

Sara, jeśli nawet rzeczywiście tak było, nigdy nie zdołamy tego udowodnić.

Jego małżeństwo się wypaliło. Przeczuwałem to i postanowiłem sprawdzić jego żonę. Wystarczy spojrzeć, jakie drogie rzeczy ta kobieta nosi. Według obsługi hotelowej miewała wielu facetów, ale od około roku trzyma się wciąż tego samego, za którym najwyraźniej szaleje.' Facet nazywa się Edwin Rand.

Jest jednym z tych gładkich przystojniaczków, którzy żyją z kobiet. Ma jakieś czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Pisuje teksty dla pism turystycznych, ale nie zarabia tyle, żeby się samemu utrzymać. Często bywa zapraszany do egzotycznych kurortów na całym świecie. Z życia na cudzy koszt uczynił

sztukę.

- Czy Allan Grant wiedział o jego istnieniu? - zapytała Sara.

- Nie jestem pewien. Kiedy Karen przyjeżdżała do domu, oboje zachowywali się tak, jakby wszystko między nimi było w porządku.

- Załóżmy jednak, że się dowiedział i poczuł się zraniony. I wtedy pomyślał o Laurie, wiedząc, że za nim szaleje.

Snucie domysłów najwyraźniej przywróciło Sarze energię. Biedne dziecko, rzuca się na wszystko, co może się przydać do obrony.

- Nic z tego - uciął jej spekulacje. - Allan spotykał się z jedną z nauczycielek, Vera West. Rozpłakała się podczas rozmowy i wyznała, że słyszała go po raz ostatni przez telefon około dziesiątej trzydzięści tamtej nocy. Był w dobrym nastroju i powiedział jej, że czuje ulgę, bo wyłożył karty na stół.

- To znaczy?

- Ona zrozumiała to tak, że poprosił żonę o rozwód. Brendon patrzył w bok, żeby nie widzieć smutku Sary.

- Bardzo łatwo zresztą można by wytoczyć sprawę przeciw jego żonie -

powiedział. - Matka Allana Granta zostawiła mu pewien fundusz. Co roku otrzymywał z niego około stu tysięcy dolarów. Całość, mniej więcej półtora miliona, miał otrzymać po ukończeniu sześćdziesięciu lat. Widać, że matka niezbyt wysoko oceniała jego umiejętność obchodzenia się z pieniędzmi.
Z

tego, co zrozumiałem, Karen Grant traktowała ten coroczny dochód jak coś własnego. W wypadku rozwodu fundusz matki Allana nie byłby brany pod uwagę jako majątek

wspólny. A to, co Karen zarabia w biurze podróży, nie wystarczyłoby na utrzymanie drogiego apartamentu w hotelu i kupowanie markowych ciuchów.

No i musiałyby się pożegnać ze swoim przyjacielem. Śmierć Allana pozwoliła jej przejąć wszystko. Jedyne problemy w tym, że z pewnością nie pożyczyla od Laurie noża, nie zabiła nim męża, a po wszystkim nie podrzuciła narzędzia zbrodni z powrotem.

Sara nie zauważyła, że jej kawa prawie całkiem wystygła. Popijając ją małymi łykami, czuła, jak napięte dotychczas mięśnie szyi i gardła rozluźniają się.

- Mam wiadomości z biura prokuratora - odezwała się po chwili. - Tamtejszy psychiatra przejrzał taśmy z sesji terapeutycznych. Doпуска możliwość, że Laurie cierpi na rozszczepienie osobowości. - Przesunęła ręką po czole, tak jakby chciała zetrzeć z niego ból. - Jeśli Laurie od razu przyzna się do zabójstwa, sędziowie przysięgli odstąpią od żądania najwyższego wymiaru kary. Wtedy wyjdzie za jakieś pięć lat, może szybciej. Jeśli jednak jeśli dojdzie do procesu, będzie oskarżona o morderstwo z premedytacją. A wtedy ukażą ją surowo.

- Mija miesiąc, odkąd Kate zadzwoniła do mnie, żeby powiedzieć o jeszcze jednej osobowości Laurie, dziewięcio- lub dziesięcioletnim chłopcu, który chce ze mną porozmawiać - przypomniał Sarze Justin Donnelly. - Mówiłem ci już, że od tamtej pory Kate wypiera się, aby cokolwiek o nim wiedziała.

- Pamiętam. - Skinęła głową. Najwyższy czas powiedzieć, do jakiego wniosku doszli wspólnie z Brendonem Moodym. Oboje stwierdzili, że najkorzystniej dla Laurie będzie, jeśli od razu przyzna się do winy. - Podjęłam decyzję... -

zaczęła.

Justin słuchał, wpatrzony w jej twarz. Gdyby umiał, myślał, narysowałby ją i podpisał: „Smutek”.

- A teraz posłuchaj - podsumowywała. - Psychiatrzy stanowią przyjmują do wiadomości, że Laurie molestowano w dzieciństwie i że istnieją w jej przypadku wyraźne symptomy rozszczepienia osobowości. Wiedzą, że ława przysięgłych potraktuje ją łagodnie i że Laurie raczej nie powinna zostać skazana za morderstwo z premedytacją. Jednakże kara za spowodowanie śmierci przy istnieniu okoliczności obciążających może oznaczać także trzydzieści lat więzienia. Z drugiej

strony, jeśli Laurie przyzna się do zabójstwa drugiego stopnia w afekcie pod wpływem czyjejś

prowokacji, czeka ją w najgorszym razie dziesięć lat. I tylko od sędziego będzie zależało, czy dostanie wówczas ustawowe pięć lat bez możliwości wcześniejszego zwolnienia warunkowego. Równie dobrze sędzia może skazać ją na zwykłe pięć bez zastrzeżeń co do możliwości zwolnienia warunkowego i skrócenia wyroku za dobre zachowanie, a wtedy może wyjść nawet za rok lub dwa. Jak widzisz, nie mam prawa ryzykować niemal trzydziestu lat życia Laurie.

- Ale jak ona może przyznać się do przestępstwa, którego popełnienia nawet nie pamięta? - zapytał Justin.

- To możliwe. W oświadczeniu będzie musiała z oznaczyć, że chociaż go nie pamięta, analizując dowody, doszła wraz ze swym adwokatem do wniosku, że jednak je popełniła.

- Jak długo możesz z tym jeszcze poczekać? W głosie Sary słychać było niepewność:

- Do czego zmierzasz? Uważam, że właśnie nic innego, tylko zaniechanie presji, może się okazać dla Laurie pomocne na dłuższą me tę. Więc niech już tak będzie.

- Nie, Saro.

Odsunął krzesło i podszedł do okna. Już po chwili żałował, że to zrobił.

Zobaczył Laurie stojącą z rękami opartymi o szklaną ścianę w solarium.

Nawet z takiej odległości poznał, że musi się czuć niby uwięziony ptak, tęskniący do lotu. Odwrócił się do Sary.

- Daj mi jeszcze trochę czasu. Jak sądzisz, kiedy pozwolą jej wrócić do domu?

- W przyszłym tygodniu.

- W porządku. Czy jesteś zajęta dzisiaj wieczorem?

- Muszę się zastanowić - odpowiedziała gwałtownie, usiłując za panować nad emocjami. - Jeśli pojedę do domu, zdarzy się jedna z dwóch rzeczy. Albo pojawią się Hawkinsowie, żeby podrzucić jakieś swoje rzeczy i zaprosić mnie na kolację. Albo zastanę Sophie, którą bardzo kocham, zajęta przeglądaniem ubrań moich rodziców i usiłującą zrobić z tymi rzeczami to, z czym ja zwlekałam - pozbyć się ich w końcu. Trzecia możliwość jest taka, że usiądę i zajmę się obmyśleniem jak najlepszej linii obrony dla Laurie.

- Ale masz na pewno przyjaciół, którzy cię wyciągną z domu.

- Mam mnóstwo przyjaciół - potwierdziła. - Dobrych przyjaciół, krewnych i różnych wspaniałych ludzi, którzy chcą pomóc. Ale pod koniec dnia, chyba to rozumiesz, brak mi sił, żeby tłumaczyć każde mu, co się dzieje. I nie potrafię spokojnie wysłuchiwać pustych zapewnień, że na pewno nastąpi jakiś przełom i wszystko się dobrze skończy. Ile razy mam się dowiadywać, że nic by się nie wydarzyło, gdyby Laurie nie została kiedyś porwana? Sama dobrze o tym wiem. I ta wiedza doprowadza mnie do szaleństwa. A jeszcze głupie gadanie, że przecież ojciec skończył

siedemdziesiątkę, a mama przeszła niedawno operację i prognozy lekarzy nie były najlepsze, więc może to dobrze, że odeszli razem. Nie wiem, czy rozumiesz, ja się nawet mogę zgodzić z tą opinią, ale nie chcę już tego słyszeć.

Justin wiedział, że wystarczy jedno słowo pocieszenia, a doprowa dzi Sarę do łez. Nie chciał do tego dopuścić. Za chwilę miała do nich dołączyć Laurie.

- Pomyślałem, że moglibyśmy dzisiaj razem zjeść kolację - powiedział

łagodnie. - A tutaj mam coś, co chciałbym ci pokazać.

Wyjął z teczki Laurie fotografię o wymiarach osiem na dziesięć. Przecinały ją ledwie widoczne linie.

- To powiększenie zdjęcia, które Laurie podarła w dniu, kiedy tu trafiła -

wyjaśnił. - Człowiek, który je odtworzył, wykonał rzetelną robotę. Powiedz, co teraz na nim widzisz?

Sara spojrzała na fotografię i jej oczy rozszerzyło zdziwienie.

- Poprzednio nie dostrzegłam, że Laurie na nim płacze. I to drzewo. Jakiś walący się dom. A to za nim? Stodoła? Nie ma nic takiego w Ridgewood.

Gdzie to zostało zrobione? - Nagle zmarszczyła brwi. - Chwileczkę. Trzy razy w tygodniu Laurie chodziła do przedszkola. Prowadzono wtedy często dzieci do parków. W okolicach Harriman State Park są takie zabudowania. Dlaczego jednak to zdjęcie tak strasznie na nią podziałało?

- Właśnie mam zamiar się dowiedzieć - powiedział Justin i widząc wchodzącą Laurie, włączył kamerę.

Laurie zmusiła się do popatrzenia na fotografię.

- Za tymi budynkami był kurnik - wyszeptała. - Złe rzeczy się tam działy.

- Jakie złe rzeczy, Laurie? - zapytał Justin.

- Nie paplaj tyle, bo on cię znajdzie, i wiesz, co ci zrobi.

Sara poczuła, jak paznokcie wbijają się jej w zaciśniętą dłoń. Nie słyszała nigdy przedtem tego pewnego siebie, chłopięcego głosu. Laurie miała skupioną twarz. Jej własne rysy uległy zatarciu, a zaciśnięte usta świadczyły o determinacji. Na przemian uderzała jedną ręką o drugą.

- Cześć - swobodnie zaczął rozmowę Justin. - Jesteś nowy. Nie znam cię.

- Wracaj lepiej do środka! - kocim głosem odezwała się Leona. - Niech pan posłucha, doktorze, wiem dobrze, że nasza szefowa Kate próbuje mnie osaczyć. Niech nawet o tym nie marzy.

- Leono, czemu ty zawsze stwarzasz problemy? - zareagował Justin.

Mówił ostrym głosem. Sara uświadomiła sobie, że zastosował no wą taktykę.

- Ponieważ to ze mnie zawsze robiono idiotkę. Ufałam Allanowi, a on mnie zdradził. Zaufałam panu, kiedy kazał mi pan prowadzić dziennik, a pan włożył

między kartki tamto zdjęcie.

Włosy Laurie częściowo zakrywały jej twarz. Odgarniała je zalotnym gestem, wyraźnie nie zdając sobie z tego sprawy.

- To nieprawda, nie znalazłaś tego zdjęcia w dzienniku, Leono.

- Owszem, zupełnie tak samo znalazłam ten cholerny nóż w swojej torbie. A przecież byłam miła, kiedy poszłam wtedy do niego. Ale spał tak spokojnie, że nie chciałam go budzić. A teraz wszyscy obwiniają mnie o jego śmierć.

Sara wstrzymała oddech. Nie reaguj, rozkazała sobie w myślach. Nie rozpraszać jej.

- Czy próbowałaś go zbudzić? - Justin mówił takim tonem, jakby gawędzili o pogodzie.

- Nie, chociaż poszłam tam, żeby mógł się w końcu przekonać. Chodzi mi o to, że nie miałam dokąd uciec. Nóż, który znikł z kuchni. Sara. Sophie. Doktor Carpenter. Wszyscy chcieli się dowiedzieć, dlaczego go wzięłam. A ja go nie brałam. I na koniec zdrada Allana. Wie pan, co postanowiłam zrobić? - zadała pytanie, ale ciągnęła dalej, nie czekając, aż lekarz odpowie. - Postanowiłam mu pokazać, na co mnie stać. Chciałam się zabić na jego oczach. Tak żeby żałował tego, co mi zrobił. Nie miałam już po co żyć. Nie wierzyłam, że może mi się jeszcze zdarzyć w życiu coś dobrego.

- Weszłaś do jego domu przez duże okno?

- Nie, nie przez okno. Przez drzwi na taras, w których źle działa zamek. Kiedy weszłam do sypialni, był już w łóżku. O rany, ma pan papierosa?

- Oczywiście. - Donnelly zszedł, aż Leona ponownie się usadowiła z zapalonym papierosem w dłoni. Po chwili zapytał: - Co robił Allan, kiedy do niego weszłaś?

Jej usta wygięły się w uśmiechu.

- Chrapał. Czy może pan uwierzyć? Musiałam zapomnieć o mojej wielkiej scenie. Leżał zwinięty w kłębek jak małe dziecko, obejmował poduszkę. Był

rozczochrany i chrapał. - Jej głos nabrał miękkości. Zawahała się. - Mój ojciec też chrapał. Mama mówiła zawsze, że tylko to chciałyby w nim zmienić.

Umarłego mógł zbudzić tym swoim chrapaniem.

Tak, pomyślała Sara, tak.

- Cały czas trzymałaś w ręku nóż?

- Postawiłam torbę na podłodze przy łóżku. Do tego momentu miałam nóż w ręku, w końcu położyłam go na wierzchu torby. Czułam zmęczenie. I wie pan, o czym pomyślałam?

- Powiedz.

Nagle Leone zastąpiła czteroletnia Debbie:

- Przypomniałam sobie, jak nigdy nie pozwalałam się tacie obej mować albo całować po powrocie z tego domu, gdzie był kurnik. I wtedy położyłam się obok Allana, a on nic nie wiedział, po prostu chrapał.

- A co się stało potem, Debbie?

Proszę Cię, Panie Boże, modliła się w duchu Sara.

- Potem wpadłam w przerażenie, że się obudzi i z wściekłości na mnie znowu powie o wszystkim dziekanowi. Wstałam szybko i wyszłam na paluszkach. A on się niczego nie domyślał.

Zachichotała radośnie jak mała dziewczynka, której upiekła się kara za splatanie figła.

Justin zaprosił Sarę na obiad do restauracji U Neary'ego przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy.

- Często tu jadam - zdążył szepnąć, zanim Jimmy Neary pośpie szył, żeby się z nimi przywitać. Donnelly przedstawił mu Sarę: - Przyprowadziłem kogoś, kogo powinienes trochę podtuczyć, Jimmy.

Kiedy usiedli za stołem, powiedział:

- Myślę, że miałaś wystarczająco ciężki dzień. Może chcesz dla odmiany posłuchać trochę o Australii?

Ku swemu zdziwieniu, zjadła całą porcję: spory stek i wszystkie frytki. Kiedy Justin zamawiał butelkę chianti, protestowała:

- Ej, ty wrócisz do domu na piechotę, ja muszę prowadzić.

- Wiem, ale jest dopiero dziewiąta. Zaraz pójdziemy na długi spa cer. A potem koniec zapraszam cię na kawę do siebie.

Letni wieczór w Nowym Jorku, pomyślała Sara, kiedy zasiedli na małym balkonie z filiżankami kawy z ekspresu. Światelka na drze wach wokół

Zielonej Tawerny, soczysta barwa liści, konie i powozy, spacerowicze i biegacze. Cały ten świat nie miał wiele wspólnego z pokojami bez klamek i więziennymi celami.

- Porozmawiajmy jednak o naszej sprawie - odezwała się. - Czy jest jakakolwiek możliwość, żeby uznać za prawdę to, co powiedziała nam dzisiaj Laurie, a raczej Debbie? Ze leżała obok Granta, a potem pozostawiła go śpiącego?

- Biorąc pod uwagę to, co wie Debbie, to na pewno prawda.

- Czy podejrzewasz, że Leona mogła przejąć grę, kiedy Debbie zdecydowała się wyjść?

- Ona albo ta osobowość, której jeszcze nie poznaliśmy.

- Rozumiem. Laurie przypomniała sobie coś, kiedy zobaczyła zdjęcie? Co to mogło być?

- Wydaje mi się, że prawdopodobnie chodzi o kurnik, w którym być może Laurie była trzymana przez te dwa lata. To zdjęcie przypomniała jej o jakimś incydencie, który się tam wydarzył. Przyjdzie czas, kiedy się o tym dowiemy.

- Ale czasu jest coraz mniej. - Sara nie zdawała sobie sprawy, że płacze, dopóki nie poczuła łez na policzku. Zakryła usta ręką, żeby powstrzymać szloch.

Justin przytulił ją do siebie.

- Wypłacz się, Saro - powiedział z czułością.

Brendon Moody wyznawał teorię, że jeśli czeka się dostatecznie dłużej, w końcu coś musi nastąpić. Tym razem nagrodą za jego cierpliwe oczekiwanie okazało się całkiem niespodziewane wydarzenie z 25 czerwca. Niejaki Don Fraser, student pierwszego roku z Clinton, został aresztowany pod zarzutem handlowania narkotykami. Kiedy uświadomił sobie, że przyłapano go na gorącym uczynku, zaproponował, że w zamian za łagodne potraktowanie ujawni pewną informację na temat tego, co się działo z Laurie Kenyon tej nocy, kiedy zabiła Allana Granta.

Prokurator nie mógł mu niczego zagwarantować, ale powiedział, że zrobi tyle, ile będzie mógł. Za sprzedawanie narkotyków w odległości mniejszej niż tysiąc stóp od college'u groziło co najmniej trzy lata. Ponieważ miejsce, w którym przyłapano Fräsera, znajdowało się dokładnie na skraju tak zwanej strefy szkolnej, prokurator przystał na to, żeby w oskarżeniu przyjąć, iż miało to miejsce poza nią. Oczywiście, jeśli informacje Fräsera okażą się istotne.

- Chciałbym również mieć zagwarantowany immunitet na to, co wam powiem

- naciskał Fraser.

- Byłbyś niezłym adwokatem - zauważył prokurator. - Jeszcze raz przypomnę ci nasz układ. Jeśli ty dostarczysz nam naprawdę istotnej informacji, to ci pomożemy. To wszystko, na co mogę przystać. Wchodzisz w to czy nie?

- W porządku, w porządku. Przypadkiem stałem na rogu North Church i Marple w nocy dwudziestego ósmego stycznia... - rozpoczął swoją opowieść Fraser.

- Przypadkiem! O której?
- Dziesięć po jedenastej.
- Zgadza się. No i co się wydarzyło?
- Gadałem ze znajomymi. W końcu poszli, a ja zostałem, bo cze kałem na jednego kumpla, który nie przychodził. Było zimno, więc pomyślałem, że wrócę do domu.
- Jest dziesięć po jedenastej?
- Tak. Nagle - Fraser zaczął starannie dobierać słowa - nie wiadomo skąd pojawiła się ta laska. Wiedziałem, że nazywa się Laurie Kenyon. Wszyscy ją znali. Grała nieźle w golfa, jej zdjęcie było często w gazetach, no i później ten wypadek jej starych.
- Jak była ubrana?
- Skórzany żakiet, dżinsy.
- Dostrzegłeś jakieś ślady krwi?
- Nic a nic.
- Rozmawiałeś z nią?
- To ona do mnie podeszła. Zrobiła to w taki sposób, jakby chciała mnie poderwać. Miała w sobie coś bardzo seksownego.
- Zaczekaj chwilę. Róg ulic North Church i Marple dzieli jakieś dziesięć budynków od domu Granta, zgadza się?
- Mniej więcej. No więc podeszła i zapytała, czy nie mam czegoś do zapalenia.
- I co ty na to?
- Ale to nie zostanie wykorzystane przeciwko mnie?
- Nie. Co zrobiłeś?
- Myślałem, że chodzi jej o trawę, więc ją wyciągnąłem.
- I?
- Wściekła się. Powiedziała, że nie używa tego świństwa i myślała o zwykłym papierosie. Miałem jakieś papierosy, więc zaproponowałem, że sprzedam jej paczkę.
- A nie mogłeś jej po prostu poczęstować jednym?

- Niby dlaczego?

- Kupiła w końcu te papierosy?

- Nie. Kiedy sięgnęła po torebkę, powiedziała ni stąd ni, zowąd coś dziwnego.

„Cholera, muszę wrócić. Ten głupi dzieciak zapomniał to zabrać”.

- Jaki dzieciak? Co zapomniał zabrać?

- Nie mam pojęcia, jaki dzieciak. Jestem pewien, że chodziło jej o torbę. Powiedziała, że wróci za dwadzieścia minut i żebym na nią zaczekał.

- Zaczekałeś?

- Pomyślałem: „Czemu nie? Może w końcu przyjdzie ten mój kumpel”.

- I stałeś tam dalej?

- Nie. Wolałem, żeby mnie nikt nie widział. Zszedłem z chodnika i stanąłem między krzakami na trawniku przed narożnym budynkiem.

- Ile czasu minęło, zanim wróciła?

- Jakies piętnaście minut. Ale się nawet nie zatrzymała. Pędziła, jakby ją ktoś gonił.

- To bardzo ważne. A miała torbę?

- Coś trzymała, myślę, że właśnie torbę.

87

Bic i Opal w skupieniu słuchali taśmy z rozmową Sary i Moody'ego na temat zeznań aresztowanego studenta.

- Jego informacje są zgodne z tym, co mówiła Laurie - tłumaczyła Sara Moody'emu. - Debbie pamięta, że wyszła od Allana Granta. Ale na temat tego, co zdarzyło się po powrocie do jego domu, nie wypowiadała się żadna z jej osobowości.

Bic zauważył złowieszczym tonem:

- Najpierw wyszła z domu tego faceta, potem wróciła i zabiła go -potworne.

Opal musiała opanować uczucie zazdrości. Pocieszała się w duchu, że to już nie potrwa długo. Sara Kenyon wyprowadzi się w ciągu najbliższych tygodni, a do jej nowego mieszkania Bic nie będzie miał dostępu.

Bic wysłuchał jeszcze raz ostatniego fragmentu rozmowy.

- Sędzia ma zamiar pozwolić Lee opuścić klinikę już ósmego lipca. To przyszła środa - powiedział.
- Wybierzemy się z wizytą do Ridgewood, żeby przywitać ją w domu.

- Bic, chyba nie masz zamiaru spotkać się z nią twarzą w twarz.

- Wiesz dobrze, jaki mam zamiar, Opal. Ubierzemy się konwencjonalnie. Nie będziemy mówić o Bogu i modlitwie, mimo że boli mnie, kiedy nie mogę włączyć Pana do naszych codziennych spraw. Chodzi o to, że musimy jej pomóc. Jeśli przypomni sobie o czymś, będziemy mogli powiedzieć, że nas w to miesza przez pomyłkę, bo wszystko jej się pokręciło. Nie zostaniemy tam długo. Przepraszamy, że przeszkadzamy, i wyjdziemy. A teraz przymierz to.

Zobaczymy, czy dobrze wyglądasz.

Wręczył jej pudełko. Otworzyła je i wyjęła perukę. Podeszła do lustra, włożyła ją i odwróciła się do niego.

- Mój Boże, idealnie - orzekł.

Zadzwonił telefon. Opal podniosła słuchawkę.

To był Rodney Harper ze stacji WLIS z Bethlehem.

- Pamiętasz mnie? - zapytał. - Zarządzałem stacją, w której mieściły się moje programy w radiu kilka lat temu. Teraz należy już do mnie.

Opal wskazała Bicowi na migi, żeby podniósł drugą słuchawkę, i powiedziała:

- Rodney Harper. Jasne, że cię pamiętam.

- Gratuluję wam sukcesu. Naprawdę dużo osiągnęliście. Dzwonię, bo przyszła dzisiaj do mnie kobieta z „People”, żeby o was porozmawiać.

Opal i Bic wymienili spojrzenia.

- A o co pytała?

- Jakimi jesteście ludźmi i takie tam. Powiedziałem jej, że Bobby to cholernie dobry kaznodzieja, najlepszy, jakiego mieliśmy. Na co nie zapytała, czy mamy może wasze zdjęcie z tamtego czasu.

Opal dojrzała ostrzegawczy błysk w oku Bica i wiedziała, że on musiał

zobaczyć to samo w jej wzroku.

- I co, miałeś?

- Nie udało nam się znaleźć ani jednego, przykro mi. Dziesięć lat temu zmieniliśmy siedzibę i

pozbyliśmy się wtedy mnóstwa rzeczy. Najwyraźniej wasze zdjęcia musiały się zaplątać razem z nimi.

- Nie przejmuj się - powiedziała Opal, czując jak mięśnie jej brzucha rozluźniają się. - Poczekaj chwilę. Bobby też tu jest i chciałby pogadać.

Bic zaczął od wylewnego powitania.

- Rodney, przyjacielu, miło słyszeć twój głos. Nigdy nie zapomi nam, że to ty pierwszy stworzyłeś nam szansę. Gdyby nie to, że daliśmy się poznać w twojej stacji, nie byłoby teraz „Kościoła Przystwo rzy”. A jeślibyś trafił

przypadkiem na jakieś nasze stare zdjęcie, byłbym ci wdzięczny, gdybyś je po prostu podarł. Wyglądaliśmy wtedy dość szmatławo, jak hippisi, i nie sądzę, żeby to się spodobało starszym ludziom, oglądającym „Kościół Przystworzy”.

- Jasne, Bobby. Jeszcze jedna sprawa, jeśli masz czas. Zabrałem tę reporterkę, żeby jej pokazać dom, w którym mieszkaliście przez te dwa lata, kiedy pracowaliście u nas. I wiesz co, zupełnie mi umknęło, że ten dom się spalił.

Pewnie jakiś dzieciak albo włóczęga dostał się do środka i zaproszył ogień.

Bic zmrużył jedno oko i z triumfem spojrzał na Opal.

- Cóż, takie rzeczy się zdarzają, ale jest mi naprawdę przy kro. Lubiliśmy z Carla to miejsce.

- Zrobili kilka zdjęć tego, co zostało. Reporterka mówiła, że nie jest pewna, czy je wykorzysta. Przynajmniej ostał się kurnik i kiedy ktoś go zobaczy, nie będzie mógł zaprzeczyć, że doszliście do wszystkiego sami.

88

Karen Grant zasiadła przy swoim biurku o dziewiątej. Z ulgą stwierdziła, że Anne Webster nie ma jeszcze na miejscu. Z trudem ukrywała złość do odchodzącej na emeryturę właścicielki. Webster odłożyła sprzedaż biura na połowę sierpnia, a Karen właśnie wtedy została zaproszona do wzięcia udziału w inauguracyjnym locie linii New World do Australii. Bardzo jej na tym zależało, tym bardziej że

Edwin miał również zaproszenie i chcieli wykorzystać tę okazję, żeby być razem.

Powiedziała Anne, że nie musi przychodzić do biura: interes kręci się dość słabo, a ona sama da sobie świetnie radę. W końcu Anne miała już prawie siedemdziesiąt lat, a poza tym codzienne podróże z Bronxville do centrum trochę kosztowały. Anne jednak okazała się zadziwiająco uparta. Chciała do końca prowadzić swoje sprawy. Rozpoczęła nawet akcję zapewnienia stałych klientów, że Karen będzie się nimi w przyszłości opiekowała równie dobrze jak ona sama.

Miała swoje powody, rzecz jasna. Przez trzy lata będzie jeszcze otrzymywała określony procent z

dochodów biura. Nie ulega również wątpliwości, że chociaż przez ostatnie dwa lata ruch turystyczny zmałał, ludzie już na powrót zaczęli się interesować podróżami.

Kiedy w końcu ona pozbędzie się Anne całkowicie, Edwin zacznie swobodnie korzystać z biura. A późną jesienią wreszcie zamieszkają razem. Wtedy będzie już po procesie Laurie Kenyon, podczas którego Karen wolałaby występować jako zboliała wdowa. Gdyby nie kręcąca się wciąż Anne i ten cholernie dociekliwy detektyw, Karen mogłaby mówić o błogim szczęściu.

Szalała za Edwinem. Majątek Allana został przepisany na nią, a to oznaczało sto tysięcy dolarów rocznie przez najbliższe dwadzieścia lat. Ponadto w tym czasie wartość majątku się powiększy. Na swój sposób była zadowolona, że nie otrzymała wszystkiego od razu. W końcu Edwin może jej się kiedyś znudzić, a jego apetyt na pieniądze przewyższa nawet jej własny.

Uwielbiała biżuterię. Kiedy przechodziła obok wystawy sklepu ju bilerskiego w holu - firmy L. Crown - zawsze musiała przynajmniej na nią zerknąć.

Kupując coś, na co zwróciła uwagę, zawsze odczuwała lęk, że Allan w końcu zejdzie na ziemię i zażąda wyciągów bankowych. Był przekonany, że przeważającą część corocznej wypłaty z funduszu przekazywała na rachunek oszczędnościowy. Teraz miała ten problem z głowy, a dysponując spadkiem po Allanie oraz pieniędzmi z polisy ubezpieczeniowej, nie mogła już żądać od losu więcej. Postanowiła, że gdy tylko upora się ze sprzedażą tego cholernego domu w Clinton, sprawi sobie prezent w postaci szmaragdowego naszyjnika.

Ludzie niechętnie jednak decydowali się na kupno domu, w którym popełniono morderstwo. Żeby ich zachęcić, obniżyła cenę o połowę.

Tego ranka zastanawiała się nad urodzinowym prezentem dla Edwina. Miała jeszcze dwa tygodnie, żeby podjąć decyzję.

Drzwi się otworzyły. Karen zmusiła się do serdecznego uśmiechu na widok wchodzącej Anne. Zaraz usłyszę, że nie mogła spać w nocy, ale ucięła sobie drzemkę w pociągu, pomyślała.

- Witaj, Karen. Kochanie, wyglądasz prześlicznie. Czy to jeszcze jedna nowa suknia?

- Zgadza się. Kupiłam ją wczoraj - potwierdziła. I zaraz dodała, nie mogąc się powstrzymać: - To Scaasi.

- Wygląda na to - westchnęła Anne i odgarnęła kosmyk siwych włosów, który wysunął się z okalającego jej głowę warkocza. - Moja droga, dzisiaj czuję, ile mam lat. Nie mogłam zasnąć w nocy i znowu spałam jak kamień w pociągu.

Siedziałam obok mojego sąsiada, Eda Andersona. Mówi o mnie zawsze

„śpiąca królewna" i ostrzega, że pewnego dnia obudzę się w miejscu, gdzie już tylko wyładowuje się towary z pociągu.

Karen zawtórowała jej śmiechem. Boże, ile razy jeszcze będę mu siała wysłuchiwać opowieści o

śpiącej królewnie? - pomyślała. Jeszcze tylko trzy tygodnie, obiecała sobie w duchu. W dniu, w którym podpisujemy umowę, Anne Webster przejdzie do historii.

Z drugiej strony jednak... Tym razem uśmiech, który posłała Anne, był absolutnie szczery.

- Ty naprawdę jesteś śpiącą królewną. Zaśmiały się obie.

Brendon Moody widział, jak za kwadrans dziesiąta w biurze pojawiła się sekretarka Connie Santini, a po chwili opuściła ją Karen Grant. Coś mu nie pasowało w relacji Anne Webster, według której cały wieczór 28 stycznia spędziła wraz z Karen Grant na lotnisku Newark. Rozmawiał z nią na ten temat tydzień temu, ale dzisiaj postanowił, że porozmawia raz jeszcze.

Podszedł do drzwi. Wkroczył w próg, ze słowami:

- Dzień dobry, pani Webster. Przechodziłem obok i pomyślałem, że wpadnę.

Dobrze pani wygląda. Miło panią wciąż tu widzieć. Myślałem, że może zdążyła już pani przejść na emeryturę.

- A mnie miło, że pan o mnie pamięta, panie Moody. Jeszcze tu jestem, postanowiłam dociągnąć do połowy sierpnia. Mówiąc wprost, interes znowu zaczął się nieźle kręcić. Zastanawiam się nawet czasem, czy nie powinnam się wstrzymać ze sprzedażą biura. Ale potem, kiedy wstaję rano i biegnę do pociągu, zostawiając męża czytającego spokojnie gazety i popijającego kawę, mówię sobie, że chyba już wystarczy.

- Cóż, interes ruszył bez wątpienia dlatego, że pani i Karen Grant wiecie, jak zapewnić klientom odpowiednią obsługę - skomentował Moody, zapadając w fotel. - Sama mi pani mówiła, że tej nocy, kiedy zginął profesor Grant, udały się panie obie na lotnisko Newark. Nie znam wielu osób prowadzących biura podróży, którzy osobiście pofatygowałby się na lotnisko, nawet żeby przywitać bardzo ważnego klienta.

Anne Webster z zadowoleniem słuchała komplementów.

- Pani, po którą wyszliśmy, ma już swoje lata - wyjaśniła. - Uwielbia podróżować i zazwyczaj towarzyszą jej przyjaciele oraz krewni, którym zresztą opłaca całą podróż. W ubiegłym roku zorganizowałyśmy dla niej i ośmiu osób wyprawę dookoła świata. Tej nocy wracała sama, ponieważ musiała skrócić podróż z powodu złego samopoczucia. Jej szofer miał akurat wolne i wyjechał gdzieś dalej, więc zaproponowałyśmy, że odbierzemy ją i zawieziemy do domu. To naprawdę dla nas nic wielkiego, a dla niej duża pomoc. Karen prowadziła, a ja siedziałam na tylnym siedzeniu i rozmawiałam z naszą pasażerką.

- Samolot wylądował o dziewiątej trzydzieści, o ile pamiętam - niedbale zapytał Brendon.

- Nie, tak miało być według rozkładu. Kiedy przybyłyśmy na lotnisko, dochodziła dziewiąta. Okazało się, że samolot wystartował później z Londynu. Podano komunikat, że wyląduje o dziesiątej,

więc poszliśmy do poczekalni dla VIP-ów.

Brendon zerknął do notatek.

- Zgodnie z pani zeznaniami rzeczywiście wylądował o dziesiątej. Anne Webster wyglądała na zakłopotaną.

- Pomyliłam się. Później o tym myślałam i uświadomiłam sobie, że przecież dochodziła wtedy prawie dwunasta trzydzieści.

- Dwunasta trzydzieści!

- Właśnie. Kiedy zasiadaliśmy w poczekalni, ogłoszono, że nawa liły komputery i opóźnienie będzie jeszcze większe. Ale nam się wcale nie dłużyło, ponieważ oglądaliśmy z Karen telewizję.

- Założę się, że się nie dłużyło - zaśmiała się sekretarka. - Pani Webster, pewnie pani większość czasu przedzemała?

- Na pewno nie - z godnością odpowiedziała Anne Webster. - Leciał właśnie

„Spartakus”. Kiedyś był to mój ulubiony film. A teraz jeszcze uzupełnili go o to, co kiedyś wycięli. Z pewnością nie zmrużyłam nawet oka.

Moody pozostawił tę wymianę zdań bez komentarza.

- Karen Grant ma przyjaciela Edwina, pisującego o podróżach, prawda?

Nie umknął mu wyraz twarzy sekretarki oraz to, że nagle przygryzła wargi.

Musi z nią koniecznie porozmawiać, gdy kiedyś zastanie ją tu samą.

- Panie Moody, kobieta, która zajmuje się biznesem, widuje wielu mężczyzn.

Chodzi z nimi na lunch lub kolacje i mimo mojego wieku wcale mnie to nie razi, nie widzę w tych spotkaniach nic niestosownego - nieprzejednanym tonem mówiła Anne Webster. - Karen Grant to atrakcyjna i pracowita młoda kobieta. Miała szczęście poślubić niezwykłego człowieka, który rozumiał jej potrzebę kształtowania własnego życia. On sam był niezależny finansowo i odznaczał się wobec niej niezwykłą hojnością. A ona nigdy nie wypowiadała się o nim inaczej niż w superlatywach. Jej kontakty z innymi mężczyznami miały absolutnie profesjonalny charakter.

Connie Santini siedziała nieco z tyłu, na prawo od Webster. Kiedy Brendon spojrział na nią przelotnie, wykonała klasyczny gest całkowitego niedowierzania: wzruszyła ramionami i przewróciła oczyma.

Zebrań personelu kliniki 8 lipca dobiegało niemal końca. Pozostawała jeszcze do przedyskutowania sprawa jednej pacjentki: Laurie Kenyon. Justin Donnelly zdawał sobie sprawę, jak bardzo interesuje wszystkich ten przypadek.

- Możemy chyba mówić o przełomie - rozpoczął. - Nawet o znaczącym przełomie w jej podejściu do tego, co się z nią działo przez owe dwa lata porwania. Problem jednak w tym, że nie mamy dość czasu. Dzisiaj Laurie zostanie wypisana do domu i od tej chwili będzie pacjentką leczoną poza kliniką. Za kilka tygodni stawi się przed sądem i przyzna do spowodowania zabójstwa, prosząc w zamian o łagodniejszą karę. Zrobi to w ostatnim przewidzianym prawem momencie.

W sali zapadła cisza. Za stołem konferencyjnym oprócz doktora Donnelly'ego siedziało jeszcze czterech lekarzy: dwóch psychiatrów, terapeutka od zajęć artystycznych i terapeutka od pisania dziennika. Właśnie ona, Kathie, pierwsza przerwała milczenie:

- Doktorze, wszystkie jej osobowości piszą dziennik i żadna nie przyznała się do zabicia Allana Granta.

- Wiem - powiedział Justin. - Poprosiłem Laurie, żebyśmy pojechali do domu Granta w Clinton i żeby na miejscu pokazała nam, co się tam wtedy stało.

Potrafiła przedstawić przecież bardzo plastycznie, że trzymał ją na kolanach ktoś siedzący w bujanym fotelu. Jednak odtworzenia zabójstwa stanowczo odmówiła.

- A to może wskazywać, że ani ona, ani żadna z jej osobowości nie chce pamiętać, co się wtedy stało.

- Możliwe.

- Doktorze, jej ostatnie rysunki zawierają dużo więcej szczegółów. Zwłaszcza jeśli chodzi o tę pątykową postać kobiecą. Proszę spojrzeć. - Pat, zajmująca się terapią poprzez sztukę, puściła w obieg kilka prac Laurie. - Teraz wynika z nich, że kobieta nosiła coś na szyi. Czy Laurie wspominała coś o tym?

- Nie, powiedziała tylko, że jej rysunki świadczą wyraźnie o tym, że nie ma za grosz talentu.

Godzinę później w gabinecie Justina pojawiła się Laurie. Miała na sobie jasnoróżowy lniany żakiet i białą plisowaną spódnicę. Towarzyszyła jej Sara, której komplement Justina na temat wyglądu siostry sprawił wyraźnie przyjemność.

- Wpadło mi to w oko, kiedy robiłam wczoraj zakupy - wyjaśniła. - Mamy przecież w końcu ważny dzień.

- Wolność - cicho odezwała się Laurie. - Ograniczona, trochę przerażająca, ale mimo to pociągająca. - Zamilkła i po chwili niespodziewanie dodała: -

Doktorze, już chyba najwyższy czas, żebym spróbowała, jak się leży na pańskiej kozetce.

Justin postarał się o niedbały ton:

- Czuj się moim gościem. A czemu właśnie dziś? Zsunęła pantofle i wyciągnęła się na kozetce.

- Może dlatego, że jest mi tak dobrze z wami, a w tym ubraniu znowu poczułam się sobą. No i tak się cieszę, że zobaczę dom przed przeprowadzką

- wyjaśniła i zawahała się. - Sara wspominała, że po dobrowolnym przyznaniu się do winy zostanie mi jakieś sześć tygodni, zanim zapadnie wyrok. Prokurator zgodził się wystąpić do sądu o pozwolenie na to, abym mogła przebywać na wolności do tego czasu. Wiem, że po wyroku będę musiała pójść za kratki. Dlatego bardzo chciałabym spędzić jak najprzyjemniej te sześć tygodni. Będziemy grały w golfa i pojedziemy obejrzeć nowe mieszkanie, żebyśmy mogła później o nim myśleć.

- Mam jednak nadzieję, że nie zapomnisz wpadać na sesje ze mną, Laurie.

- No pewnie, że nie. Będziemy u pana codziennie. Chodzi tylko o to, że jest tyle rzeczy, które chciałabym zrobić. Chęć pojeżdżenia sa -

mocho dem wręcz mnie rozpiera. Zawsze to lubiłam. Gregg ma nowy kabriolet. W przyszłym tygodniu umówiłam się z nim na golfa. - Uśmiechnęła się. - Jak miło pomyśleć, że pójdę z Greggiem pograć i że z jego strony nic mi nie grozi. I wiem, że pan, doktorze, też nic złego mi nie zrobi. Dlatego właśnie mogę tu teraz leżeć.

- Z mojej strony na pewno nic złego cię nie spotka, Laurie - powiedział. - Czy kochasz się w Greggu?

Pokręciła głową.

- To za mocno powiedziane. Jestem w tej chwili zbyt zdezorientowana i nie potrafiłabym chyba w nikim się zakochać. Przynajmniej w tym sensie, o który panu chodzi. Ale zawsze zaczyna się od tego samego, to znaczy od tego, że się z kimś chętnie przebywa, prawda?

- Masz rację. Laurie, a czy mógłbym teraz zamienić kilka słów z Kate?

- Jeśli pan chce. - Jej ton był obojętny.

Już od kilku tygodni Justin nie musiał wprowadzać Laurie w hip nożę, żeby wywoływać jej pozostałe osobowości. Teraz też Laurie po prostu usiadła, wyprostowała plecy i zmrużyła oczy.

- Która godzina, doktorze? - zapytała głosem Kate.

- Kate, mam problem - przystąpił do rzeczy Justin. - Pragnę, żeby Laurie zaczęła spokojnie odnosić się do siebie i wszystkiego, co ją spotkało. Ale nie osiągnę tego, dopóki cała prawda nie wyjdzie na jaw. A ona spychają coraz głębiej, prawda?

- Doktorze, działa mi pan na nerwy. Wyłożę sprawę jasno. Po pierwsze, nie protestuje już, kiedy ma wziąć lekarstwo. Po drugie, przysięgała, że nigdy nie zmruży oka w swoim rodzinnym domu, a teraz nie może się doczekać, kiedy się w nim znajdzie. Po trzecie, dotarło do Laurie, że do śmierci jej rodziców doszło przez przypadek, a nie z jej winy. Facet w stacji kontrolnej, do którego pojechała, chcąc

sprawdzić samochód, miał owłosione ręce. Nie jej wina, że ją to odstraszyło.

Ona naprawdę wiele zrozumiała. Czy to wszystko jeszcze pana nie zadowala?

- Hej, Kate, przez cały czas wiedziałaś, czemu Laurie nie pojechała na ten przegląd samochodu i nic mi nie powiedziałaś? Więc dlaczego go mówisz mi o tym teraz?

Sara przypomniała sobie Sama, pracownika miejscowej stacji obsługi. Nie dalej jak wczoraj tam tankowała. Sam zaczął pracować pod koniec zeszłego lata. Był rosnącym mężczyzną o silnych rękach. Wczoraj miał na sobie T-shirt i rzeczywiście zauważyła, że nawet na zewnętrznej stronie dłoni kłębią mu się gęste włosy.

Kate wzruszyła ramionami.

- Mówię, bo już jestem zmęczona tym trzymaniem języka za zęba mi. A poza tym więzienie zapewni temu małemu mazgajowi bezpieczeństwo.

- Bezpieczeństwo? Przed czym? Przed kim? - dopytywał się Justin. - Kate, nie rób jej tego. Powiedz nam, co wiesz.

- Wiem tylko, że kiedy jest na zewnątrz, oni mogą się do niej dostać. Nie może uciec i sama dobrze o tym wie. Jeśli nie znajdzie się szybko w więzieniu, na pewno ją dopadną.

- Kto jej zagraża? Kate, proszę - błagał Justin. Pokręciła głową.

- Doktorze, próbuję panu powiedzieć, że nie wiem wszystkiego, a dziecko, które wie, nie ma zamiaru gadać. To mały spryciarz. Jestem już zmęczona.

Sara patrzyła, jak na jej oczach ucho z Laurie agresywnie nastawia wieniec, jak dziewczyna mięknie od środka i ponownie wyciąga się na kozetce. Jej oczy się zamknęły, a oddech z sekundy na sekundę stawał się równiejszy.

- Kate chyba nie chce się już dłużej ujawniać - powiedział Justin szeptem do Sary. - Uznała najwyraźniej, że wypełniła swoje zadanie. Sara, przyjrzyj się temu. - Pokazał jej rysunki Laurie. - Popatrz na tę kobiecą postać. Czy przypomina ci coś ten naszyjnik?

Sara zmarszczyła brwi.

- Wygląda znajomo. Mam wrażenie, że już go widziałam.

- Spójrz na te dwa rysunki - poprosił Justin. - Jest najdokładniej przedstawionym przedmiotem. Widać wyraźnie, że środkowa część ma kształt owalu i jest umieszczona w kwadracie wypełnionym małymi brylantami. Czy to ci się z czymś kojarzy?

- Zastanawiam się... - głośno myślała Sara. - Mama miała trochę ładnej biżuterii, którą trzymała w sejfie. Jest tam też naszyjnik. Małe diamenty wokół owalnego kamienia w środku. Co to było? Akwa-maryna?... Nie, na pewno nie. Wiem, to był...

- Nie wypowiadaj tego słowa. Jest zakazane. - Rozkaz został wypowiedziany niespokojnym, ale

stanowczym głosem małego chłopca. Laurie siedziała i wpatrywała się uporczywie w Sarę.

- Jakie słowo jest zakazane? - zapytał Justin.

- Nie mów! - Chłopięcy głos, dobywający się z ust Laurie, miał na poły błagalny, na poły rozkazujący ton.

- Jesteś tym chłopcem, który pojawił się, żeby z nami porozmawiać w zeszłym miesiącu - powiedział Justin. - Ciągłe nie wiemy, jak się nazywasz.

- Nie mam pozwolenia na podawanie żadnych nazw i imion.

- Cóż, może ty masz taki zakaz, ale nie Sara. Saro, czy przypomi nasz sobie nazwę tego kamienia, który znajdował się w naszyjniku twojej mamy?

- To był opal - cicho odpowiedziała Sara.

- A co dla ciebie znaczy opal? - zwrócił się Justin z naciskiem do Laurie.

Ta siedziała na kozetce i przeciągała się. Znowu była sobą. Wyglądała na zdziwioną.

- Czyżbym zasnęła? Zrobiłam się nagle taka senna... O co mnie pytaliście? O

opal? To kamień półszlachetny. Saro, mama miała prze cież piękny naszyjnik z opalem.

Zawsze, kiedy mijali tabliczkę z napisem „Ridgewood wita was”, Opal czuła, jak zaczyna w niej narastać napięcie. Wyglądały zupełnie inaczej, zapewniała samą siebie w myślach, wygładzając fałdy bia-ło-granatowej sukni, ze staroświeckim wykończeniem przy szyi, z dłu gimi rękawami i wąskim paskiem. Jej strój uzupełniały granatowe pantofle i odpowiednia torebka. Z biżuterii miała tylko sznur pereł i obrączkę. Kilka godzin wcześniej skróciła i ufarbowała włosy. Były teraz popielate i gładko przylegały do głowy. Wielkie okulary przeciwsłoneczne z niebieskimi szklami ukrywały jej oczy i zmieniały nieznacznie kontury twarzy.

- Wyglądasz naprawdę szycownie, Carla - z aprobatą powiedział przed wyjściem Bic. - Nie przejmuj się. Nie ma najmniejszej szansy, żeby Lee cię rozpoznała. A co powiesz o mnie?

Miał na sobie śnieżnobiałą koszulę z długimi rękawami, brązowy garnitur oraz brązowo-biały krawat. Jego włosy były kompletnie siwe. Chociaż pozwolił im ostatnio trochę urosnąć, zaczesał je teraz gładko do tyłu, .tak że w ogóle nie przypominały kędzierzawej czupryny, z której był niegdyś bardzo dumny. Zgolił także włosy z dłoni. Wyglądał jak uosobienie dystyngowanego duchownego.

Skręcili w ulicę Twin Oaks.

- Kiedyś ten dom był różowy - powiedział z ironią Bic. - Postaraj się nigdy do tego nie wracać i nie używać imienia Lee. Jeśli w ogóle będziesz się do niej zwracała po imieniu, mów „Laurie”.

Opal już miała przypomnieć Bicowi, że to on w czasie programu wymienił

imię Lee, ale zrezygnowała. Zamiast tego przepowiedziała sobie w myślach to, co powie Laurie, jeśli stanie z nią twarzą w twarz.

Przed domem stały trzy samochody. Jeden należał do gosposi. Drugim, BMW, jeździła Sara. Ale trzeci, oldsmobile na nowojorskich numerach? Nie mieli pojęcia, czyj jest.

- Mają jakiegoś gościa - wyraził przypuszczenie Bic. - W ten sposób Pan zapewnia nam świadka, który zezna w razie czego, że Lee nas widziała.

Była piąta. Promienie popołudniowego słońca padały na zadbane zielony trawnik i liliowe hortensje, rosnące wokół domu. Bic zaparkował na podjeździe.

- Wejdziemy tam tylko na chwilę, nie zostaniemy długo, nawet je śli zechcą nas zatrzymać.

Zatrzymywanie Hawkinsów było ostatnią rzeczą, jaka mogła przyjść Sarze do głowy. Wraz z Laurie i Justinem siedzieli w salonie, a uśmiechnięta radośnie Sophie, która na powitanie długo trzymała Laurie w objęciach, właśnie robiła herbatę.

Kiedy Laurie zaczęła pakować swoje rzeczy, Justin zaskoczył Sarę propozycją towarzyszenia im.

- Pomyślałem, że powinienem być przy Laurie, kiedy wróci do do mu -

wyjaśnił. - Nie oznacza to, że spodziewam się u niej żadnej przykrej reakcji, ale nie była tam w końcu od pięciu miesięcy. Nie wiado mo, jakie wspomnienia do niej wrócą. Zrobimy tak: podjedziemy do mnie twoim samochodem, a wtedy ja przesiądę się do swojego i pojadę za wami.

- Pewnie chcesz też być na miejscu, jeśli miałby nastąpić jakiś przełom -

domyśliła się Sara.

- Racja.

- Właściwie to nawet się cieszę, że z nami pojedziesz. Boję się jej powrotu do domu nie mniej niż ona.

Sara mimowolnie rozwarła zaciśniętą dotąd dłoń. Justin ujął ją de likatnie.

- Saro, obiecaj mi, że kiedy Laurie zacznie odsiadywać wyrok, za dbasz trochę o siebie i zwrócisz się o pomoc do jakiegoś psychiatry. Nie obawiaj się, nie siebie mam na myśli. Wiem, że nie byłoby to najlepsze rozwiązanie. Musisz jednak zająć się trochę sobą.

Przez chwilę, czując ciepło jego dłoni wokół swoich, przestała się obawiać tego, co miało nastąpić - reakcji Laurie na powrót do domu i dnia, kiedy miała stać obok niej, słuchając, jak siostra przyznaje się do winy.

Gdy zadzwonił dzwonek, jeszcze wyraźniej poczuła, że cieszy się z obecności Justina. Laurie, która z radością oprowadzała doktora po domu, zamarła w przestkach.

- Nie chcę nikogo oglądać. Sophie wymamrotała pod nosem:

- Stawiam dziesięć do jednego, że to nasza para.

Sara przygryzła z irytacją wargi. Boże, ci ludzie wszędzie się wcisną.

Słyszała, jak wielebny Hawkins tłumaczył Sophie, że szukali pu dła z ważnymi papierami i w końcu uprzytomnili sobie, że dołączyli je do rzeczy, które przewieźli tutaj.

- Gdybyśmy mogli tylko szybciotko zajrzeć do piwnicy i zabrać to pudło, bylibyśmy bardzo wdzięczni - mówił.

- To ludzie, którzy kupili dom - wyjaśniła Sara sytuację Justinowi i Laurie. -

Nie przejmujcie się, nie mam zamiaru prosić ich, żeby usie dli. Obawiam się jednak, że muszę z nimi zamienić dwa słowa. Pewnie zauważyli mój samochód.

- Nie uważam, żebyś miała obowiązek do nich wychodzić - zdążył powiedzieć Justin, kiedy z holu dobiegły odgłosy kroków. Za chwilę w drzwiach pokazali się Bic i Opal.

- Saro, moja droga, wybacz. To wszystko przez te dokumenty, których mój księgowy rozpaczliwie potrzebuje. Czy to Laurie?

Laurie siedziała obok Sary na sofie. Wstała.

- Sara opowiadała mi o panu i pańskiej żonie. Bic dalej stał w drzwiach.

- Jest nam niezmiernie miło cię poznać, Laurie. Twoja siostra jest wspaniałą dziewczyną i to samo mówi o tobie.

- Naprawdę wspaniałą - jak echo powtórzyła Opal - a my jesteśmy bardzo szczęśliwi, że kupiliśmy od was ten dom.

Bic skierował wzrok na Justina.

- Wielebny Hawkins z żoną, doktor Donnelly - wymamrotała Sara.

Z ulgą usłyszała, jak po tej prezentacji Hawkins powiedział:

- Nie będziemy dłużej zakłócać waszych szczęśliwych chwil. Zaj rzymy jeszcze na dół i weźmiemy to, czego potrzebujemy. Życzymy wam wszystkim dobrego dnia.

Sara uświadomiła sobie, że w ciągu minuty lub dwóch Hawkin-som udało się zniszczyć nastrój nieśmiałej radości, towarzyszący po wrotowi Laurie do domu. Kiedy wyszli, dziewczyna zapadła w milczenie i nie reagowała wcale na barwną opowieść Justina o jego dzieciństwie w Australii na owczej farmie.

Sara z wdzięcznością przyjęła fakt, że Justin zgodził się zostać na kolacji.

- Sophie przygotowała tyle jedzenia, że mogłybyśmy nakarmić pułk wojska - powiedziała.

Laurie także bardzo chciała, żeby Justin został jeszcze z nimi.

- Jest mi rażniej, kiedy pan tu jest, doktorze.

Posiłek przebiegał w nieco lepszym nastroju. Niemiłe wrażenie, ja kie pozostawili po sobie Hawkinsowie, rozwiewało się, w miarę jak pochłaniali pyszne jedzenie: bażanta z dzikim ryżem. Justin i Sara pili do niego wino, a Laurie wodę stołową. Pod koniec deseru Laurie przeprosiła wszystkich na chwilę. Kiedy wróciła, trzymała w ręku niewielką torbę.

- Doktorze - powiedziała - nie potrafię. Muszę z panem wrócić na noc do kliniki. Saro, przykro mi, ale mam przecucie, że spotka mnie w tym domu coś złego i nie mogę tu zostać.

Kiedy Brendon Moody zadzwonił do Sary następnego ranka, oprócz jej głosu słyszał w słuchawce skrzypienie otwieranych co chwila drzwi oraz zgrzyt przesuwanych mebli.

- Wyprowadzamy się stąd - wyjaśniła Sara. - Laurie nie może przebywać w tym domu. Nowe mieszkanie nie jest jeszcze całkowicie wykończone, ale można to odłożyć na później. - Opowiedziała o tym, jak poprzedniego dnia Laurie zdecydowała się na powrót do kliniki.

- Chcę zabrać ją stamtąd dzisiaj po południu - oznajmiła - i zawieźć prosto do nowego mieszkania. Pomoże mi je urządzać. Dobrze jej zrobi, jeśli będzie czymś zajęta.

- Tylko nie dawaj Hawkinsom klucza - zgryźliwie zażartował Brendon.

- Nie mam najmniejszego zamiaru. Jeśli o nich chodzi, jestem na granicy wytrzymałości. Ale wiesz...

- Wiem. Zapłacili duże pieniądze i pozwolili wam mieszkać po do konaniu transakcji. Ale jak ci się udało załatwić tak szybko przewóz mebli?

- Wymagało to trochę starań.

- Wpadnę do ciebie i pomogę trochę. Mogę na przykład pakować książki i obrazy.

Kiedy Brendon dotarł na miejsce, przeprowadzka była już w pełnym toku.

Sara ze związanymi w kucyk włosami, w szortach w kolorze khaki i bawełnianej bluzce, zajęta była oznaczaniem mebli, które zdążyli już wstawić Hawkinsowie.

- Nie uda się dzisiaj przewieźć wszystkiego - powiedziała do Brendona - ale nie będzie nieszczęścia, jeśli zrobię to na raty. Mam prawo użytkować to miejsce do dwudziestego piątego sierpnia. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebym wpadała tu do tego czasu i zastanawiała się na

miejscu, co zrobić z różnymi rzeczami, zabrać je czy nie.

Z kuchni wychyliła się Sophie.

- Nie przypuszczałam, że doczekam dnia, w którym poczuję ulgę, opuszczając ten dom - zwierzyła się Brendonowi. - Ci Hawkinsowie okropnie mi działają na nerwy. Zapytali, czy nie pomogłabym im w urządzaniu się tutaj, kiedy wreszcie się sprowadzą. Odpowiedź brzmiała: nie.

Brendon poczuł, jak jego wewnętrzna antena unosi się w górę.

- A co się pani w nich nie podo ba? Przecież Sara często mówi, że wyświadczyli jej wielką uprzejmość.

Sophie parsknęła. Jej okrągłą i zazwyczaj pogodną twarz wykrzywił grymas niesmaku.

- Jest w nich coś dziwnego. Niech pan sam powie. Ile razy musiał by pan oglądać pokoje i szafy, żeby zdecydować, czy je powiększać, czy zmniejszać? To wszystko tylko pozorowane ruchy, na moje oko.

Przysięgam, jestem prawie pewna, że przez ostatnie miesiące ich sa mochód nieustannie krążył wokół tego domu. I jeszcze te pudła, które zostawili w piwnicy. Niech pan podniesie któreś z nich. Leciutkie jak piórko. Założę się, że nie są nawet do połowy wypełnione. A oni ciągle dowożą nowe. Po prostu tylko po to, żeby mieć pretekst do kolejnej wizyty tutaj. O co się pan założy, że wielebny wykorzysta historię Laurie w jednym ze swoich programów?

- Sophie, jest pani bardzo mądrą osobą - ze wzruszeniem powiedział Brendon.

- Niewykluczone, że trafiła pani w sedno.

Sara powierzyła detektywowi spakowanie zawartości swojego biurka, nie wyłączając ukrytych w najgłębszej szufladzie dokumentów związanych ze sprawą Laurie.

- Jeśli możesz, zachowaj kolejność, w której są ułożone - poprosiła. - Ciągle je przeglądam w nadziei, że nagle coś mnie oświeci.

Brendon zauważył na kartce leżącej na wierzchu napis „Kurczak”:

- Co to jest?

- Mówiłam ci już kiedyś, że na tej fotografii, którą dzięki doktorowi Donnelly'emu udało się ponownie skleić i powiększyć, widać z tyłu kurnik i że wiąże się z nim coś, czego Laurie strasznie się boi.

- Mówiłaś - przytaknął Moody.

- To mi nie dawało spokoju. I nagle zrozumiałam dlaczego. Wzięłam Laurie do psychiatry w Ridgewood, doktora Carpente-ra. Na kilka dni przed śmiercią Allana Granta, kiedy wychodziła z ga

binetu, doznała straszliwego szoku. Wszystko wskazuje na to, że tym, co ją wprawiło w ten stan, była główka kurczęcia, na którą nadepnęła w holu u doktora Carpentera.

Moody uniósł głowę niczym pies wietrzący trop.

- Saro, czy chcesz mi powiedzieć, że głowa kurczaka tak po prostu leżała sobie przed wejściem do gabinetu doktora Carpentera?

- Doktor leczył wtedy pewnego mężczyznę, który, według policji, odprawiał

jakieś dziwne obrzędy. Uznaliśmy z doktorem, że to on za kradł się niezauważony i podrzucił tę główkę. Brendonie, jakoś nie przyszło nam wtedy na myśl, żeby to wiązać z Laurie. A teraz już sa ma nie wiem.

- I ja też nie - odpowiedział. - Wiem tylko, że jakaś kobieta wyna jęła Danny'ego O'Toole'a, żeby ją informował o waszych poczynaniach. Danny wysledził, że Laurie chodzi do psychiatry w Ridge -

wood. Sam mi o tym powiedział. A to oznacza, że osoba, która mu płaciła, również została o tym poinformowana.

- Brendonie, czy to możliwe, że ktoś, kto wiedział, jak zareaguje Laurie, rzeczywiście podrzucił tam tę główkę?

- Nie mam pojęcia. Powiedziałem ci tyle, ile sam wiem. Ale czuję przez skórę, że to nie towarzystwo ubezpieczeniowe wynajęło Danny'ego. On sam sądzi, że była to żona Granta. Ale mnie jakoś do tego nie przekonał.

Spostrzegł, że Sara drży cała z emocji i napięcia.

- Spokojnie - powiedział. - Jutro wybiorę się do Danny'ego i obiecuję, że się dowiem, kto płacił za śledzenie was.

W czasie powrotnej podróży do kliniki poprzedniej nocy Laurie siedziała w samochodzie, nic nie mówiąc. Dyżurna pielęgniarka za meldowała następnego ranka Justinowi, że Laurie spała nerwowo i mówiła coś przez sen.

- Czy udało się pani usłyszeć, co mówiła? - zapytał.

- Wchodziłam do niej kilka razy, ale wychwyciłam tylko pojedyn cze słowa.

Mamrotała coś o więzach, które krępują.

- Więzy, które krępują? - zmarszczył brwi Justin. - Zaraz, zaraz. To zwrot z hymnu. Zobaczmy. - Wyjął notatki. - Proszę bardzo: „Błogosławione będą więzy, które krępują...”.

Kiedy Laurie stawiała się później na codzienną sesję terapeutyczną, wyglądała na spokojną, ale zmęczoną.

- Doktorze, przed chwilą dzwoniła Sara. Przyjedzie tu dopiero późnym popołudniem. I niech pan zgadnie, co wymyśliła! Przeprowadzamy się do nowego domu. Czy to nie wspaniałe?

- Hej, co za tempo.

Świetny pomysł, Saro, pomyślał Justin. Stary dom wywołuje zbyt wiele wspomnień. Wciąż nie miał pewności, co wpłynęło wczoraj tak drastycznie na nastrój Laurie. To się stało mniej więcej w tym czasie, kiedy wstąpili Hawkinsowie. Ale przecież zostali zaledwie parę minut. Czy chodziło o to, że byli dla niej obcy, a tym samym symbolizowali jakiś rodzaj zagrożenia?

- W nowym miejscu najbardziej podoba mi się to, że przy wejściu do budynku cały czas stoi strażnik - mówiła Laurie. - A kiedy ktoś dzwoni do drzwi, wszystko widać na monitorze, nie można więc popełnić błędu i wpuścić kogoś obcego.

- Laurie, wczoraj powiedziałaś, że coś okropnego przydarzy ci się w twoim rodzinnym domu. Porozmawiajmy o tym.

- Nie chcę na ten temat rozmawiać. I nie mam zamiaru nigdy więcej tam przebywać.

- W porządku. Jednak poprzedniej nocy, kiedy spałaś, okazało się, że jesteś niezłą gadułą.

Spojrzała na niego ubawiona.

- Naprawdę? Tata zawsze twierdził, że nawet jeśli udało mi się nie wygadać z czymś w ciągu dnia, robię to później przez sen.

- Pielęgniarka niewiele zdołała zrozumieć, ale na pewno słyszała, że mówisz coś o „więzach, które krępują”. Czy przypominasz sobie, co ci się śniło, kiedy mówiłaś te słowa?

Patrzył, jak usta Laurie robią się coraz bledsze, powieki opadają, ręce się składają, a nogi zaczynają dyndać w powietrzu.

- „Błogosławione będą więzy, które krępują...” - zaśpiewał czysty dziecięcy głosik i po chwili umilkł.

- Debbie, to ty, prawda? Powiedz mi coś o tej piosence. Gdzie się jej nauczyłaś?

Zaczęła znowu śpiewać:

- „Nasze serca w chrześcijańskiej miłości...” Nagłym ruchem zakryła sobie usta.

- Niech pan jej da spokój - wydał rozkaz chłopięcy głos. - Jeśli musi pan koniecznie wiedzieć, to nauczyła się tej piosenki w kurniku.

Tym razem Brendon Moody postanowił nie poić Danny'ego Łowcy Niewiernych Małżonków drinkami. Przeciwnie, udał się do jego biura z samego rana, zdecydowanie licząc na trzeźwość kolegi. Cokolwiek miałyby to oznaczać w praktyce, pomyślał, sadowiąc się po drugiej stronie

odrapanego biurka.

- Danny - zaczął. - Powiem bez owijania w bawełnę. Słyszałeś, że Laurie Kenyon wróciła do domu?

- Słyszałem.

- Czy ktoś prosił cię znowu, żebyś się jej przyjrzał? W oczach Danny'ego pojawił się niepokój.

- Brendonie, wiesz doskonale, że relacje między detektywem i jego klientem są równie poufne jak między spowiadającym się i księdzem.

Brendon walnął pięścią w blat.

- Ale nie w tym wypadku. I nie w żadnym innym, kiedy wystawia się kogoś na niebezpieczeństwo tylko dlatego, żeby chronić swoje interesy.

Rumiana twarz Danny'ego pobladła.

- Co to ma niby znaczyć?

- To znaczy, że ktoś, kto zna rozkład dnia Laurie, może celowo usiłować ją nastraszyć, podrzucając w miejscach, gdzie ona ma się znaleźć, ucięte główki kurcząt. To znaczy również, że nie zatrudniło cię żadne cholerne towarzystwo ubezpieczeniowe i że nie zrobiła tego wdowa po Allanie Grancie. Danny, zadam ci trzy pytania i chcę, żebyś na nie odpowiedział. Pierwsze: kto ci płacił i jak to robił? Drugie: dokąd przesyłałeś informacje na temat sióstr Kenyon? I trzecie: gdzie jest kopia tych informacji? Kiedy już odpowiesz, dasz mi tę kopię.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie przez chwilę bez słowa. W końcu Danny wstał, sięgnął po klucz, otworzył szafkę i zaczął przeglądać teczki z dokumentami. Wyjął jedną z nich i podał Brendonowi.

- Tu są odpowiedzi na wszystkie twoje pytania - powiedział. - Zadzwoiła do mnie kobieta, która przedstawiła się jako Jane Graves. Powiedziała, że reprezentuje ewentualnego oskarżonego w sprawie wytoczonej w związku z wypadkiem małżeństwa Kenyonów. Zleciła śledzenie ich córek. Mówiłem ci, że to się zaczęło zaraz po pogrzebie i trwało aż do momentu aresztowania Laurie pod zarzutem zamordowania Allana Granta. Przesyłałem sprawozdania na numer skrytki pocztowej w Nowym Jorku i przy okazji dołączałem zawsze rachunek. Zarówno zaliczka, jak i późniejsze wypłaty przychodziły w postaci czeku wystawianego w banku w Chicago.

- Czek - zachnął się Brendon. - Prywatna skrytka pocztowa. I nie przyszło ci do głowy, że coś tu śmierdzi?

- Jeśli byś śledził pary w taki sposób, jak ja to robię, nie dziwiłbyś się, że ten, kto cię wynajmuje, robi wszystko, żeby pozostać nierozpo znanym - odciął się Danny. - Możesz sobie u mnie zrobić ksero tych dokumentów. Ale pamiętaj, że nie dostałeś ich ode mnie.

Nazajutrz Brendon Moody zatrzymał się przed nowym miejscem zamieszkania Sary i Laurie. W środku zastał tylko Sarę i Sophie, po nieważ Laurie pojechała do Nowego Jorku.

- Sama usiadła za kierownicą. Marzyła o tym. Czy to nie cudowne?

- I nie bała się?

- Sprawdziła, czy wszystkie zamki w drzwiach działają. Ma zamiar zaparkować tuż przy klinice. W samochodzie jest poza tym tele fon, więc naprawdę powinna czuć się bezpiecznie.

- Ostrożność nigdy nie zawadzi - powiedział Brendon, ale postanowił zmienić temat. - Nawiasem mówiąc, podoba mi się tutaj.

- Mnie też. Będzie jeszcze ładniej, kiedy nadamy temu wszystkie mu jakiś wygląd, a to nastąpi już niedługo. Chciałabym, żeby Laurie zdążyła się jeszcze nacieszyć nowym lokum, zanim... - Sara nie dokończyła tej myśli. -

Przy tych trzech poziomach będziemy miały nie złą gimnastykę. Ale przyznaj, że góra nadaje się idealnie na pracownię, nie sądzisz? Niżej będą sypialnie, na dole salon, jadalnia i kuchnia, a z tyłu pokój wypoczynkowy.

Brendon nie miał wątpliwości, że Sara z takim zapałem angażuje się w urządzenie nowego miejsca również dlatego, aby na chwilę zająć się czymś innym niż sprawa Laurie. Niestety, o niektórych sprawach musiał ją poinformować. Położył na jej biurku teczkę.

- Rzuć na to okiem.

Zaczęła czytać, a jej oczy z każdą chwilą robiły się większe.

- Boże, tu jest opisane całe nasze życie, każdy krok. Komu mogło zależeć na tego rodzaju informacjach o nas? Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć to wiedzieć? - Spojrzała pytająco na Moody'ego.

- Zamierzam się dowiedzieć, kto za tym stoi, nawet jeśli miałbym przemocą dostać się do danych tego banku w Chicago - odparł gniewnie.

- Brendonie, jeśli udowodnimy, że Laurie była więziona przez ko goś, kto wiedział, jak ją przestraszyć, sędzia zacznie mieć wątpliwości. Jestem tego pewna.

Brendon Moody uciekł wzrokiem od pełnego nadziei spojrzenia Sary.

Postanowił, że nie powie jej na razie, że intuicja kazała mu wracać myślą do Karen Grant. „Źle się dzieje w państwie duńskim”, po myślał, i z pewnością ma to jakiś związek z tą damą. Postanowił przyrzec się bliżej całej sprawie.

Prywatna skrytka pocztowa w Nowym Jorku została wynajęta na nazwisko J.

Graves. Opłaty uiszczano w gotówce. Urzędnik odpowiedzialny za obsługę skrytek, niski mężczyzna o włosach zaczesanych do tyłu, w niedokładnie wyprasowanym garniturze, nie potrafił sobie przypomnieć nic na temat osoby, która opróżniała skrytkę.

- Użytkuje ją już trzecia osoba od lutego - wyjaśnił Moody'emu. - A ja dostaję pieniądze za sortowanie poczty, a nie za prowadzenie klubu.

Moody wiedział, że tego rodzaju skrytki wynajmują ludzie parają cy się rozprowadzaniem literatury pornograficznej albo ci, którzy propagują w prasie cudowne sposoby na szybkie wzbogacenie się. Ta cy ludzie z pewnością dbają o to, żeby nie zostawiać po sobie żadne go śladu. Postanowił wykonać następny krok: zadzwonić do banku Citizen w Chicago. Sam za siebie trzymał

w tej sprawie kciuki. Do niektórych banków można było po prostu wejść z ulicy, wpłacić w kasie pieniądze i dostać za nie czek. Gdzie indziej tego rodzaju usługę świadczano tylko tym, którzy posiadali w danym banku konto. Modląc się w duchu, Moody wykręcił numer.

Powiedziano mu, że praktyką banku Citizen jest wydawanie cze ków tylko posiadaczom stałych rachunków. Bingo, pomyślał Bren dom Jednak, poinformowano go niezwłocznie, bez nakazu sądowego bank nie ma prawa udzielać żadnych informacji na temat prowadzonych rachunków i ich dysponentów.

- Zdobędę nakaz, proszę się nie martwić - odpowiedział wzburzony Moody.

Natychmiast zadzwonił do Sary.

- Mam znajomego ze studiów, który otworzył praktykę w Chica go -

powiedziała. - Poproszę go, żeby zwrócił się do sądu o wydanie nakazu. To nam zajmie kilka tygodni, ale przynajmniej naprawdę coś tym razem mamy.

- Na razie jednak nie obiecuj sobie za wiele - ostrzegł Sarę Moody. - Mam swoją teorię. Karen Grant z pewnością posiadała dość pie niędzy, żeby wynająć Danny'ego. Wiemy, że Laurie jako Laurie lubi ła profesora Granta i ufała mu. Założmy, że zwierzyła się swemu wykładowcy z tego, co napędza jej strachu, a on nieopatrznie wspomniał o tym żonie.

- Sugerujesz, że Karen Grant mogła sądzić, że między Allanem i Laurie coś jest i chciała ją zastraszyć?

- W tej chwili tylko takie wytłumaczenie przychodzi mi do głowy, ale mogę się gruntownie mylić. Powiem ci tylko jedno, Saro: ta kobieta jest fałszywym, zimnokrwistym gadem.

96

24 lipca, mając u boku Sarę, Laurie przyznała się do zabicia profe sora Allana Granta.

W rzędach przeznaczonych dla prasy tłoczyli się reporterzy róż nych sieci radiowych i telewizyjnych, dzienników i czasopism. Za pro kuratorem, w kapeluszu z czarną woalką i złotej biżuterii, siedziała Karen Grant. W części przewidzianej dla widzów studenci z Clinton i regularni bywalcy rozpraw sądowych chłonęli z przejęciem każde wypowiedz iane słowo.

W pierwszym rzędzie, tuż za Laurie i Sarą, siedzieli Justin Donnelly, Gregg Bennett i Brendon

Moody. Kiedy padły słowa: „Proszę wstać, sąd idzie”, i na salę wkroczył sędzia, Justin poczuł obezwładniającą bezsilność. Laurie była w jasnoniebieskim lnianym kostiumie, podkreślającym jej delikatną urodę.

Patrząc na nią, można by pomyśleć, że ma osiemnaście lat, a nie dwadzieścia dwa. Na zadawane pytania odpowiadała cichym, lecz pewnym głosem. To raczej Sara sprawia wrażenie bardziej kruchej, pomyślał Justin. Jej ciemnorude włosy kontrastowały z perłową szarością żakietu. Wydawał się za duży i Justin zastanawiał się, ile musiała stracić na wadze, odkąd zaczął się ten koszmar.

W miarę jak Laurie odpowiadała na pytania, salę zaczęła ogarniać atmosfera smutku. Tak, rozumie, co oznacza jej oświadczenie. Tak, zapoznała się dokładnie z dowodami. Tak, ona i jej adwokat wyrażają przekonanie, że dopuściła się zabicia Allana Granta w przypływie złości i żalu, gdyż pokazał

jej listy władzom uczelni. Swoją wypowiedź zakończyła słowami:

- Przedstawione dowody przekonują mnie, że dokonałam tej zbrodni. Niczego nie pamiętam, ale przyjmuję do wiadomości, że ją popełniłam. Jest mi bardzo przykro. Ten człowiek był dla mnie bardzo dobry. Poczulałam się zraniona i wpadłam w złość, kiedy zaniósł te listy do administracji, ale zareagowałam tak dlatego, że nie pamiętałam również, abym je napisała. Chciałabym przeprosić przyjaciół profesora Granta, jego studentów i kolegów z wydziału.

Przeze mnie utracili wspaniałego człowieka. Nie ma sposobu, abym mogła im to kiedykolwiek wynagrodzić. - Po tych słowach zwróciła się w stronę Karen Grant. - Jest mi naprawdę bardzo, wprost niewypowiedziane przykro. Jeśliby to było możliwe, najchętniej oddałabym własne życie, żeby przywrócić je pani mężowi.

Sędzia wyznaczył datę ogłoszenia wyroku na 31 sierpnia. Sara przymknęła powieki. Wszystko działa się za szybko. Nie minął jeszcze rok, odkąd straciła rodziców, a już za chwilę miano jej odebrać siostrę.

Jeden ze strażników odprowadził ich do bocznego wyjścia, aby mogli uniknąć mediów. Wyjeżdżali pośpiesznie. Gregg za kierownicą, obok niego Moody, a z tyłu Justin, Laurie i Sara. Jechali w stronę drogi numer 202, kiedy Laurie powiedziała:

- Chcę jechać do domu profesora Granta.

- Dlaczego właśnie teraz, Laurie? Dotąd byłaś taka nieugięta - zdziwiła się Sara.

Laurie ścisnęła dłońmi głowę.

- Kiedy stałam przed sędzią, słyszałam własne myśli, głośne jak tam -tamy.

Mały chłopiec krzyczał we mnie, że jestem kłamczucha.

Gregg zawrócił zrećcznie, chociaż wbrew przepisom.

- Wiem, jak tam dojechać. ->

Na trawniku ustawiono planszę pośrednika sprzedaży nieruchomości z informacjami na temat domu. Biały budynek, przypominający małe ranczo, wyglądał na opuszczony i zamknięty na głucho. Tra wa wyraźnie wymagała skoszenia, a między krzewami rozpleliły się chwasty.

- Chcę wejść do środka - powiedziała Laurie.

- Mamy tu numer do agencji nieruchomości - zauważył Moody. - Możemy zadzwonić i dowiedzieć się o klucz.

- Zamek w przesuwanych szklanych drzwiach tarasu nie działa - powiedziała Laurie i zachichotała. - Wiem, co mówię. W końcu otwierałam je dość często.

Sara zamarła; ten śmiech należał do Leony.

Cicho podążyli za Laurie na tył domu, gdzie rozpościerało się wyłożone kamiennymi płytami patio. Sara zwróciła uwagę na wysoką ścianę wiecznie zielonych krzewów, odgradzających patio od ulicy. W swoich listach do Allana Granta Leona wspominała, że obserwuje go przez szklane drzwi.

Istotnie, mogła to robić niezauważona przez przechodniów.

- Na pierwszy rzut oka mogą się wydawać zamknięte, lecz jeśli na przesz na nie trochę... - Drzwi ustąpiły i Leona weszła do środka.

W środku czuć było zapach pleśni. Tu i ówdzie stały jeszcze w nieładzie meble. Leona wskazała na stary skórzany fotel.

- To było jego ulubione miejsce. Potrafił przesiadywać na nim go dzinami.

Uwielbiałam wtedy na niego patrzeć. Czasem, kiedy szedł w końcu spać, wślizgiwałam się i zwiјаłam w kłębek na tym fotelu.

- Leono - przerwał jej Justin. - Tej nocy, kiedy zginął Allan Grant, wróciłaś tutaj po swoje rzeczy. Debbie opowiadała nam, że zo stawiałaś go śpiącego, a twoja torba i nóż leżały na podłodze obok łóżka. Pokaż nam, co się wtedy stało.

Kiwnęła głową i zaczęła ostrożnie i bezszelestnie iść w kierunku korytarza prowadzącego do sypialni. Zatrzymała się nagle.

- Jest tak cicho. Przestał chrapać. Może się obudził.

Na palcach zakradła się do drzwi sypialni i stanęła przed nimi.

- Czy drzwi były otwarte?

-Tak.

- A czy świeciło się światło?

- Małe światełko w łazience. O nie!

Zatrzymała się na środku sypialni i spojrzała w dół. Nagle cała jej postawa uległa zmianie.

- Patrz na niego. Nie żyje. Znowu oskarżą biedną Laurie. - Głos chłopca wydobywający się z ust Laurie był pełen przerażenia. - Muszę ją stąd wyciągnąć.

Znowu ten chłopiec, pomyślał Justin. Potrafię się w końcu do nie go dostać.

On zna klucz do tego wszystkiego.

Sara patrzyła ze zgrozą na Laurie, która w ogóle nie przypomina ła Laurie. Jej siostra stała na szeroko rozstawionych nogach i z wyde ty mi policzkami, zaciśniętymi ustami i przymkniętymi oczami wyglą dała zupełnie inaczej niż zwykle. Pochylona, wykonywała gwałtowne ruchy, jakby coś ciągnęła.

Wyjmuje nóż z ciała, pomyślała Sara. O Boże! Justin, Brendon i Gregg stali wraz z nią w jednym rzędzie, niczym widzowie jakiegoś surrealistycznego przedstawienia. Nagle zaczęło jej się wydawać, że w pustym pokoju znajduje się śmiertelne łoże Allana Granta. Dywan został już wyczyszczony, ale Sara bez trudu wyobraziła sobie, że, tak jak tamtej nocy, pokrywają go plamy krwi.

Teraz Laurie-chłopiec sięgnął po coś leżącego na grywanie. Jej tor ba, domyśliła się Sara. Chowa w niej nóż.

- Muszę ją stąd wyciągnąć - powtórzył przestraszony dziecięcy głos. Stopy, które nie były w tym momencie naprawdę stopami Lau rie, skierowały się ku oknu. Zatrzymały się. Ciało, które nie należało do niej, odwróciło się. Nie swoimi oczami spojrzała na pokój. Pochy-lila się, jakby coś podnosiła z podłogi, i zaczęła wykonywać gesty cho wania znalezionej rzeczy w kieszeni.

To dlatego w dzinsach Laurie znaleziono bransoletkę, uprzytomniła sobie Sara.

Okno otwierało się dzięki specjalnej dźwigni. Laurie -chłopiec, przyciskając do siebie wyobrażoną torbę, przeszedł na drugą stronę, stanął na niskim parapecie i zeskoczył na podwórze.

Justin wyszeptał:

- Za nim.

Na zewnątrz czekała na nich Leona.

- Tamtej nocy dzieciak nie musiał otwierać okna - wyjaśniła rzeczowo. - Było już otwarte, kiedy wróciłam. Dlatego mieszkanie tak się wyziębiło. Mam nadzieję, że wziął pan papierosy, doktorze.

Bic i Opal nie zjawili się na sali sądowej, kiedy Laurie wystąpiła na niej po raz pierwszy. Bic

odczuwał wprawdzie wielką ochotę, żeby to zrobić, ale uświadomił sobie, że z pewnością zostałby rozpoznany przez dziennikarzy.

- Jako namiestnik Pana i przyjaciel rodziny powinienem się tam pojawić -

tłumaczył Opal. - Ale Sara zawsze odmawia, kiedy zapraszamy ją na wspólną kolację lub proponujemy, żeby nas odwiedziła razem z Lee.

Spędzali teraz dużo czasu w domu w New Jersey. Opal nie z nosiła tego miejsca. Przygnębiona patrzyła, jak Bic znika w łazience, która należała do Lee. Jedyne jej wyposażenie stanowił stary fotel bujany, niemal identyczny z tym, który mieli kiedyś na farmie. Bujał się w nim godzinami, pieszcząc wyblakły różowy kostium kąpielowy. Czasem śpiewał hymny. Kiedy indziej puszczał w kółko pozytywkę Lee z tą samą dzwoniącą w uszach piosenką:

- „Dookołamiasta... Chłopcy i dziewczynki razem...”.

Liz Pierce z czasopisma „People” kontaktowała się z Bicem i Opal kilka razy, żeby uzgodnić pewne fakty i daty.

- Mieszkaliście na północ od Nowego Jorku. Tam właśnie poczu liście się powołani. Zostaliście radiowymi kaznodziejami w Bethlehem w Pensylwanii, a potem po kolei w mieście Marietta w Ohio, w Louis ville w Kentucky, w Atlancie w Georgii i w końcu w Nowym Jorku. Zgadza się, prawda?

To że Pierce dokładnie zna datę ich pobytu w Bethlehem, zawsze wywoływało u Opal przerażenie. Ale przynajmniej wiadomo, że nikomu nigdy nie udało się tam zobaczyć Lee. Każdy przysięgnie, że mieszkali wtedy sami. A zatem wszystko w porządku, uspokajała się.

Tego samego dnia, kiedy Lee przyznała się do winy, Pierce za dzwoniła, żeby umówić się na dodatkową sesję zdjęciową. Zaplanowano, że okładkę numeru, który ukaże się 31 sierpnia, ozdobi ich zdjęcie, a historia życia obojga będzie główną atrakcją wydania.

Brendon Moody przyjechał do gmachu sądu okręgu Hunterdon własnym samochodem. Pierwotnie zamierzał wrócić stamtąd do do mu, jednak po tym, czego był świadkiem w sypialni Allana Granta, postanowił, że musi porozmawiać sam na sam z doktorem Donnel-lym. Dlatego bez wahania przyjął zaproszenie Sary na lunch w nowym mieszkaniu.

Odpowiedni moment nadarzył się, kiedy Sara poprosiła Donnel-ly'ego o rozpalenie ognia pod barbecue. Moody skwapliwie p odążył za doktorem na patio. Ściszej głoś, zapytał:

- Czy sądzi pan, że Laurie lub jedna z jej osobowości mówią prawdę, utrzymując, że zostawiła go żywego, a zastała martwego?

- Obawiam się, że najprawdopodobniej osobowości, która zabiła Granta, jeszcze nie znamy.

- Wyklucza pan jakąkolwiek możliwość, że Laurie jest całkowicie niewinna?

Donnelly starannie ułożył kawałki węgla pod barbecue i sięgnął po zapalniczkę.

- Możliwość? Zakładam, że wszystko jest możliwe. Miał pan oka zję widzieć dwie z jej dodatkowych osobowości, Leone i chłopca. A może być ich jeszcze dużo więcej. Nawet takie, które do tej pory się nie ujawniły i nie ma żadnej pewności, że to kiedykolwiek zrobią.

- Mimo wszystko coś mi mówi... - Brendon nagle urwał; na patio pojawiła się Sara.

99

- Dziękuję za to, że pójdzie pan z nami w piątek do sądu, doktorze - zwróciła się do Justina Laurie. Leżała na kozetce. Wydawało się, że jest spokojna, niemal senna. Jedynie sposób, w jaki bawiła się dłońmi, zdradzał wewnętrzne napięcie.

- Chciałem być z tobą i Sarą, Laurie.

- Wie pan, kiedy wygłaszałam swoje oświadczenie, bardziej niż sobą przejmowałam się Sarą. Ona tak strasznie cierpi.

- Sam to widzę.

- Dzisiaj rano koło szóstej usłyszałam, jak płacze, więc poszłam do jej pokoju.

Śmieszne, przez lata to ona do mnie przychodziła. Wie pan, co robiła, kiedy weszłam?

- Nie.

- Siedziała na łóżku i wypisywała nazwiska osób, które chciałyby prosić o wstawienie się za moją osobą u sędziego. Dotąd miała nadzieję, że odsiedzę tylko dwa lata i zostanę zwolniona warunkowo, ale teraz zaczęła się obawiać, że sędzia Armon orzeknie pięć lat bez możliwości wcześniejszego zwolnienia.

Mam nadzieję, że pozostanie pan w kontakcie z Sarą, kiedy pójdę do więzienia. Będzie pana potrzebowała.

- Mam zamiar utrzymać z nią kontakt.

- Gregg jest świetny, prawda, doktorze?

- Owszem.

- Nie chcę iść do więzienia - niespodziewanie wyrzuciła z siebie Laurie. -

Chcę zostać w domu. Z Sarą i Greggiem. Nie chcę iść do więzienia.

Siedziała teraz wyprostowana na łóżku, machając nogami i zaciskając dłonie w pięstki. Jej twarz zaczęła nabierać twardszych rysów.

- Niech pan posłucha, doktorze. Niech pan nie pozwoli jej myśleć w ten sposób. Nie ma wyjścia,

musi zostać zamknięta.

- Dlaczego, Kate, dlaczego? - dopytywał się Justin. Nie było odpowiedzi.

- Kate, pamiętasz? Kilka tygodni temu powiedziałaś, że chłopiec jest gotów ze mną porozmawiać. Pojawił się znowu wczoraj w domu Granta. Czy razem z Leona mówili prawdę? A może jest jeszcze ktoś, z kim powinienem porozmawiać?

W jednej chwili twarz Laurie znowu się zmieniła. Rysy nabrały miękkości, a oczy się zwęziły.

- Nie powinien pan zadawać tylu pytań na mój temat - uprzejmie, ale zdecydowanie powiedział chłopięcy głos.

- Cześć - przywitał go swobodnie Justin. - Miło było spotkać cię wczoraj znowu. Nadzwyczaj dzielnie opiekowałaś się Laurie tej nocy, kiedy zginął

profesor. Jesteś bardzo bystry, jak na dziewięciolatka. Ale ja jestem dorosły. I myślę, że mogę ci pomóc zatroszczyć się o Laurie. Nie uważasz, że przyszedł

czas, aby mi zaufać?

- Pan się nie troszczy o nią.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Pozwolił jej pan powiedzieć, że zabiła doktora Granta, a ona te go nie zrobiła.

Jaki z pana przyjaciel?

- A może zrobił to ktoś inny, kto jeszcze ze mną nie rozmawiał?

- Jest nas tylko czworo, Kate, Leona, Debbie i ja. Żadne z nas ni kogo nie zabiło. Dlatego wczoraj w sądzie próbowałem przeszkodzić Laurie.

Brendon Moody nie mógł pozbyć się podejrzeń wobec Karen Grant. W

ostatnim tygodniu lipca, czekając z niecierpliwością na na kaz sądu w Chicago, kręcił się po holu hotelu Madison Arms. Nie ule gało wątpliwości, że Anne Webster w końcu odeszła na emeryturę. Jej biurko zastąpił modny stół z drewna wiśniowego, a ogólny wygląd biura nabrał większej elegancji. Moody doszedł do wniosku, że najwyższy czas złożyć kolejną wizytę byłej szefowej Karen Grant. Tym razem w jej domu w Bronxville.

Anne, nie zwlekając, poinformowała Brendona, jak bardzo uraziło ją zachowanie Karen.

- Naciskała na mnie, żeby przyspieszyć sprzedaż firmy. Atrament j eszcze nie zdążył wyschnąć na umowie, kiedy dowiedziałam się, że nie ma potrzeby, abym w ogóle przychodziła do firmy, bo ona sobie ze wszystkim świetnie poradzi. Następnie natychmiast wyniosła moje meble i zastąpiła je

nowymi, dla tego swojego narzeczonego. Kiedy przypominę sobie, jak stałam za nią murem, kiedy ludzie robili różne uwagi na jej temat, niech mi pan wierzy, czuję się jak idiotka. To mi dopiero nieutulona w żalu wdowa.

- Pani Webster - powiedział Moody - to bardzo ważne, co pani mówi. Wydaje mi się możliwe, że Laurie Kenyon nie jest winna śmierci -

ci Allana Granta. Trafi jednak do więzienia w przyszłym miesiącu, jeśli nie zdołamy udowodnić, że zabił go ktoś inny. Czy mogłaby pani raz jeszcze opowiedzieć o wieczorze spędzonym na lotnisku z Karen Grant? Niech pani nie pomija żadnego szczegółu, bez względu na to, jak mało ważny się wydaje.

Proszę zacząć od jazdy samochodem.

- Wyjechałyśmy na lotnisko o ósmej wieczorem. Karen rozma wiała wcześniej ze swoim mężem. Była bardzo przygnębiona. Kiedy zapytałam ją, co się stało odpowiedziała, że groziła mu jakaś rozhiste - ryzowana dziewczyna, a on zrzucił wszystko na Karen.

- Zrzucił wszystko na nią? Co mogła mieć na myśli?

- Nie wiem. Nie plotkuję i wtykam nosa w nie swoje sprawy. Jeśli czeokolwiek jestem pewien, to właśnie tego, ponuro pomy ślał Brendon.

- Pani Webster, co ona mogła mieć na myśli?

- Karen coraz więcej czasu spędzała w swoim hotelowym aparta mencie w Nowym Jorku. Zwłaszcza odkąd poznała Edwina Randa. Coś mi mówi, że Allan dał jej do zrozumienia, że ma już dosyć tej sytuacji. W drodze na lotnisko powiedziała coś takiego: „Powinnam na tychmiast porozmawiać z Allaniem, a nie świadczyć usługi przewozowe”. Przypomniałam jej, że klientka, po którą jedziemy, jest dla nas bardzo ważna i że ma wyjątkową awersję do wynajmowanych samochodów.

- A potem okazało się, że samolot ma opóźnienie.

- Tak. To wyraźnie zezłościło Karen. Ale poszłyśmy do poczekalni dla VIP-ów i zamówiłyśmy po drinku. A potem zaczął się „Spartakus”. To mój...

- ...ulubiony film, wiem. Przy okazji bardzo długi. A pani ma skłonność do nagłego zapadania w sen. Czy jest pani pewna, że Karen Grant przez cały ten czas oglądała film?

- Cóż, wiem tylko, że w tym czasie sprawdzała, co się dzieje z samolotem, i kilka razy wychodziła, żeby zadzwonić.

- Pani Webster, jej dom w Clinton dzieli od lotniska czterdzieści dwie mile.

Czy mogło się zdarzyć, że nie było jej z panią przez jakieś dwie, dwie i pół

godziny, tak żeby zdążyć pojechać w tym czasie do domu?

- Naprawdę nie wydaje mi się, żebym spała, ale... - Zawahała się.

- O co chodzi, pani Webster?

- O nic takiego, tylko kiedy opuszczaliśmy lotnisko z naszą klientką, zauważyłam, że samochód Karen stoi w innym miejscu.

Kiedy przyjechałyśmy, było tak tłoczno, że musiałyśmy zaparkować daleko od terminalu, a kiedy wychodziłyśmy, samochód stał naprzeciw głównego wejścia. Moody westchnął.

- Szkoda, że nie powiedziała mi pani tego wcześniej, pani Webster.

Spojrzała na niego z zakłopotaniem.

- Przecież pan o to nie pytał.

Znowu jest tak, jak w czasie tych miesięcy, zanim Lee została zamknięta w klinice, pomyślała Opal. Teraz też zaczęli ją śledzić razem z Bicom, jeżdżąc wynajętymi samochodami. Bardzo często parkowali po drugiej stronie ulicy i obserwowali, jak Lee biegnie z parkingu w stronę kliniki. Potem czekali tak długo, aż pojawiła się znowu. Bic siedział wtedy wpatrzony w drzwi wejściowe, aby od razu, gdy wyjdzie, móc ją oglądać. Krople potu pojawiały się na jego czole, a ręce zaciskały się na kierownicy, kiedy ukazywała się w drzwiach.

- Zastanawiam się, o czym dzisiaj mówiła. - W jego głosie słychać było lęk i złość. - Przesiaduje tam sama z lekarzem, Opal. Niewykluczone, że mu się podoba.

W dni powszednie Lee pojawiała się w klinice rano. Popołudniami grywały często z Sarą w golfa na jednym z ogólnie dostępnych pól. Bic z obawy, aby Sara nie zauważyła jadącego za nią samochodu, dzwonił

wcześniej do obsługi miejscowych pól i ustalał, gdzie do konano rezerwacji na nazwisko Kenyon. Jechali tam potem z Opal i robili wszystko, żeby niby przypadkiem wpaść na Sarę i Lee w golfowej kawiarni.

Nigdy nie zatrzymywał się dłużej, pozdrawiał je, przechodząc, i szedł dalej, nic jednak nie uchodziło jego uwagi. Już po chwili w samochodzie pełen emocji komentował wygląd Lee:

- Ta bluzka z golfem tak ściśle przylega do jej delikatnego ciała... Musiałem się hamować, żeby nie wyciągnąć ręki i nie rozpiąć spinki przytrzymującej te złote włosy.

Ze względu na „Kościół Przesłany” musieli być w Nowym Jorku przez większą część weekendu. Opal dziękowała za to Bogu w głębi serca. W sobotę i niedzielę Lee i Sara prawie zawsze towarzyszyli Donnelly i ten młody mężczyzna, Gregg Bennett. Doprowadzało to Bica do furii.

Pewnego dnia zawołał Opal, żeby przysłała do łazienki Lee. Siedział pośrodku w bujanym fotelu. Przez zasłonięte okno ledwie prześwitało się światło.

- Modliłem się o wskazówkę i dostałem ją - powiedział na widok Opal. - Lee zawsze jeździ sama do Nowego Jorku. W jej samochodzie jest telefon. Udaj się zdobyć jego numer.

Opal skurczyła się cała na widok dziwnego blasku w oczach Bica.

- Opal - powiedział groźnie - nie sądz, że nie zdaję sobie sprawy z twojej zazdrości. Zabraniam ci znowu niepokoić mnie w tej sprawie. Ziemski czas Lee dobiega już końca. Musisz pozwolić mi wchłonąć w siebie jak najwięcej widoku, zapachu i dźwięku tego pięknego dziecka. Póki jest jeszcze czas.

Thomasinę Perkins bardzo wzruszyła prośba Sary Kenyon. Prosiła Thomasinę o napisanie listu do sędziego, który miał wkrótce wydać wyrok na Laurie, i o wstawienie się za nią u niego. Sara pisała:

Pamięta Pani tak dobrze jej strach i przerażenie i tylko Pani widziała ją z jej

krzywdzicielami. Musimy pomóc sędziemu zrozumieć, jaki koszmar przeżyła

Laurie jako mała dziewczynka. Proszę również nie zapomnieć napisać imienia,

którym ta kobieta zwróciła się do mężczyzny, kiedy pośpiesznie opuszczali

restaurację.

W zakończeniu Sara wspominała o znanym z molestowania dzie ci przestępcy o tym imieniu, o którym wiadomo, że przebywał w tedy w okolicy, i chociaż nie można już w tej chwili tego udowodnić, chciaaby przynajmniej zasugerować, że właśnie on mógł być pory-Thomasina tyle razy powtarzała opowieść o tym, jak ujrzała Laurie i zadzwoniła na policję, że opisanie jej w liście nie stanowiło dla niej żadnego problemu. Do pewnego momentu.

Tamtego dnia kobieta nie użyła imienia „Jim”. Thomasina wiedziała teraz o tym z absolutną pewnością. Nie mogła przekazać tego imienia sędziemu.

Byłoby to jak krzywoprzysięstwo. Dręczyła ją myśl, że Sara straciła czas i pieniądze, tropiąc niewłaściwą osobę.

Thomasina traciła poza tym zaufanie do wielebnego Hawkinsa. Napisała do niego kilka razy, dziękując za zaszczyt pojawienia się w jego programie i dodając, że chociaż nie jest w żadnym razie jej zamiarem posądzać Boga o pomyłkę, zastanawia się, czy nie pospieszili się zanadto i nie za krótko go słuchali. Po prostu na początku Bóg celowo podsunął jej imię chłopca sprzedającego w sklepie. Czy nie mogłaby spróbować raz jeszcze?

Wielebny Hawkins nie zatroszczył się o to, żeby jej odpowiedzieć. Och, nie miała wątpliwości, że ma ją na swojej liście adresowej. Ile kroć wysyłała dwudolarowy datek, natychmiast otrzymywała list z prośbą o więcej.

Dzięki siostrzenicy mogła oglądać program, w którym wzięła udział, kiedy tylko chciała. Uwielbiała to robić. Jednak w miarę jak pogłębiała się jej niechęć do wielebnego Hawkinsa, kiedy odtwarzała

nagranie, zauważała coraz więcej zastanawiających szczegółów. Na przykład to, że jego usta były tuż przy jej uchu, kiedy usłyszała imię. A także to, że nie potrafił nawet zapamiętać, jak się Laurie nazywa. W pewnym momencie powiedział o niej

„Lee”.

Kiedy wreszcie skończyła list do sędziego, czuła, że ma czyste su mienie.

Obrazowo oddała pełen paniki, hysterii i przerażenia stan Laurie z tamtego czasu. I nie napisała ani słowa o imieniu Jim. Kopię wysłała Sarze. Dołączyła do niej wyjaśnienie, dlaczego postąpiła inaczej, niż chciała Sara, i nie mogła sobie darować przy okazji wytknięcia błędu wielebnemu Hawkinsowi, który sam nazwał Laurie niewłaściwym imieniem - Lee.

- Zbliża się - rzeczowo poinformowała doktora Donnelly'ego Laurie, zrzucając energicznym ruchem buty i kładąc się na kozetce.

- Co takiego?

Spodziewał się, że ma na myśli więzienie, ale zamiast tego usłyszał:

- Nóż.

Zamarł w oczekiwaniu na ciąg dalszy. Dla odmiany odezwała się Kate:

- Doktorze, myślę, że oboje zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

- Witaj, Kate - powiedział - to, co mówisz, brzmi jakoś inaczej niż zwykle.

Czyżby Laurie zaczęła myśleć o samobójstwie? - przemknęło mu przez myśl.

Szyderczy śmiech.

- Kate umie czytać znaki, doktorze. Ma pan papierosa?

- Jasne. Jak leci, Leono?

- Już prawie przeleciało. A pan coraz lepiej gra w golfa.

- Dziękuję.

- Lubi pan bardzo Sarę, prawda?

- Tak.

- Niech pan nie pozwoli, żeby za nadto rozpaczała, dobrze?

- Dlaczego?

Ciało Laurie naprężyło się.

- Tak mnie boli głowa - wymamrotała. - Teraz to się zaczęło pojawiać nie tylko w nocy. Nawet wczoraj, kiedy grałyśmy z Sarą w gol fa, nagle zobaczyłem przed oczami rękę z nożem.

- Laurie, twoje wspomnienia wypływają już prawie na powierzchnię. Czy nie możesz ich uwolnić?

- Nie potrafię pozbyć się poczucia winy. - Kto to mówił: Laurie, Kate czy Leona? Po raz pierwszy Justin nie miał pewności. - Robiłam takie złe rzeczy -

ciągnęła. - Obrzydliwe. Jakaś część mnie nie może o tym zapomnieć.

Justin podjął nagłą decyzję:

- Chodź. Pójdziemy na spacer do parku. Usiądziemy sobie na pla cu zabaw i popatrzymy na dzieciaki.

Na huśtawkach, zjeżdżalniach i drabinkach tłoczyła się dzieciarnia. Przysiedli na jednej z ławek, tuż obok matek i opiekunek pilnują cych dzieci. Wokół

rozbrzmiewał dziecięcy śmiech, krzyki i spory

0 kolejność huśtania się. Justin wyłowił wzrokiem dziewczynkę mają cą na oko około czterech lat. Pełna radości podrzucała do góry piłkę. Jej niania kilka razy zwracała się do niej ze słowami:

- Nie odchodź za daleko, Christy.

Dziewczynka była tak zajęta podrzucaniem piłki, że nie zwracała uwagi na nianię. Ta w końcu wstała z ławki, podbiegła do dziecka i złapała piłkę.

- Powiedziałam, żebyś nie wychodziła poza plac zabaw - skarciła ją. - Jeśli znajdziesz się z piłką na ulicy, wpadniesz pod samochód.

- Zapomniałam. - Na twarzyćce dziecka pojawiła się skrucha, ale już w następnej chwili dziewczynka obróciła się na pięcie i widząc, że Laurie i Justin jej się przyglądają, cała pojaśniła. Podbiegła do nich.

- Podoba wam się mój piękny sweterek? - zapytała. Nadeszła niania.

- Christy, nie zaczepiaj ludzi. - Uśmiechnęła się do nich przepaszająco. -

Christy uważa, że wszystko, co włoży na siebie, jest piękne.

- I rzeczywiście tak jest - odpowiedziała Laurie. - To bardzo piękny sweter.

Za kilka minut wracali już do kliniki.

- Założmy, że ta mała dziewczynka, całkowicie pochłonię ta tym, co robi, znajduje się w pewnym

momencie za blisko ulicy, z której ktoś ją zabiera do samochodu, wywozi daleko i molestuje. Czy na prawdę uważasz, że po latach powinna siebie za to winić?

W oczach Laurie zebrały się łzy.

- Strzał w dziesiątkę, doktorze.

- Więc wybacz sobie wreszcie tak szczerze, jak wybaczyłabyś te mu dziecku, jeśli rzeczywiście przytrafiłoby się mu dzisiaj coś złego.

Wrócili do gabinetu Justina. Laurie wyciągnęła się na kozetce.

- Jeśliby tę dziewczynkę ktoś porwał i wywiózł gdzieś samochodem. .. -

myślała głośno.

- ... może potrafiłabyś sobie wyobrazić, co się z nią dalej dzieje -delikatnie zasugerował Justin.

- Chce wrócić do domu. Mamusia będzie się na nią gniewała, że wyszła na ulicę. Siedemnastoletni syn sąsiadów jeździ szybko samochodem i mamusia ją prosiła, żeby nie wychodziła sama przed dom, bo może wpaść pod samochód. A rodzice tak ją kochają. Nazywają swoim cudem.

- Ale ludzie, którzy ją zabrali, nie odwożą jej do domu?

- Nie. Tylko jadą coraz dalej i dalej. Ona tak płacze, że w końcu kobieta uderza ją w twarz i mówi, żeby się zamknęła. Mężczyzna z owłosionymi rękami podnosi ją do góry i sadza sobie na kolanach. - Mówiąc to, Laurie nie przestawała zaciskać i rozwierać dłoni.

Nagle objęła się rękami.

- Dlaczego tak robisz?

- Powiedzieli małej dziewczynce, żeby wysiadła z samochodu. Było bardzo zimno. Musiała iść do łazienki, ale mężczyzna chciał jej zrobić zdjęcie i kazał

stać pod drzewami.

- Przypomniało ci się to wszystko, kiedy zobaczyłaś to zdjęcie, które podarłaś, prawda?

- Tak. Tak.

- I mała dziewczynka spędzała resztę czasu z tym mężczyzną... to znaczy ty spędzałaś resztę czasu z tym mężczyzną...

- Gwałcił mnie! - wyszlochała Laurie. - Nigdy nie wiedziałam, kiedy się to zdarzy, ale brał mnie na górę zawsze po tym, kiedy śpiewaliśmy razem w bujanym fotelu. Zawsze zaraz potem. Zawsze. Tak bardzo mnie ranił.

Justin poderwał się, żeby uspokoić płaczącą dziewczynę.

- Już wszystko w porządku - przemawiał do niej cicho. - Powiedz sama, czy to twoja wina?

- Był silny, potężny. Próbowałam z nim walczyć. Ale nie potrafiłam go powstrzymać - wyłkała. - Nie potrafiłam.

Justin poczuł, że nadszedł odpowiedni moment.

- Czy była tam Opal?

- To jego żona.

Laurie urwała i zacisnęła usta. Jej oczy zmieniły się w szpareczki.

- Doktorze, mówiłem przecież, że to zakazane słowo.

Nasz czujny dziewięciolatek nie pozwoli dzisiaj na więcej wspo mnień, pomyślał Justin.

17 sierpnia, kiedy Gregg zaproponował Laurie kolację oraz grę w golfa, Sara i Brendon postanowili pojechać na lotnisko Newark. Dotarli tam za pięć dziewiąta.

- Mniej więcej o tej porze przybyły wtedy Karen Grant i Anne Webster -

wyjaśnił Sarze Moody, wjeżdżając na plac parkingowy. -Samolot, którym leciała ich klientka, miał ponad trzygodzinne opóźnienie, podobnie jak inne tej nocy. A to oznacza, że na parkingach stało więcej samochodów niż zwykle.

Anne Webster pamięta, że musiały dość długo iść do terminalu - objaśniał

dalej i celowo zatrzymał się niemal na końcu placu. - Stąd jest całkiem spory kawałek do hali przylotów - zauważył. - Pójdziemy tam normalnym krokiem i zobaczymy, ile czasu nam to zajmie. Przypuszczam, że jakieś pięć minut.

Sara kiwnęła głową. Wcześniej obiecała sobie, że nie będzie się chwytać złudnych nadziei, tak jak to robili bliscy tych, k tórych była oskarżycielem. Odmawiali zaakceptowania prawdy. Ich mąż, córka, siostra, brat nie mógł popełnić tak strasznej zbrodni, argumentowali. Nawet ewidentne dowody traktowali jako skutek jakiejś potwornej pomyłki.

Zmieniła zdanie po rozmowie z Justinem, którego Moody przekonał, że Karen Grant miała nie tylko możliwość, ale i motyw, żeby za bić swojego męża.

Justin zaczął dopuszczać ewentualność, że Laurie ma rzeczywiście tylko cztery dodatkowe osobowości, te, które już się ujawniły i które zgodnie mówią o niewinności Laurie.

Kiedy weszła z Moodym do klimatyzowanej hali, z ulgą poczuła chłód zamiast parnego ciepła sierpniowego wieczoru. Stanowiska od prawy paszportowej przypomniały jej wyjazd do Włoch,

gdzie niewiele ponad rok temu pojechała z Laurie i rodzicami. Jakby zdarzyło się to w jakimś innym życiu, pomyślała ze smutkiem.

- Zapamiętaj: o tym, że nawalił system komputerowy i przylot sa molotu został

przełożony na dwunastą trzydzieści, Karen Grant i An nę Webster dowiedziały się zaraz po przybyciu. - Moody przerwał na moment i spojrzął na listę przylotów i odlotów. - Jak zareagowałabyś, gdybyś była Karen Grant i właśnie miałabyś kłopoty małżeńskie? Może nawet więcej niż kłopoty, gdybyś przed chwilą usłyszała od męża, że żąda rozwodu?

W pamięci Sary pojawiła się postać Karen Grant. Przyzwyczała się myśleć o niej przez te miesiące jako o pogrążonej w smutku wdo wie. W sądzie, kiedy Laurie składała oświadczenie o przyznaniu się do winy, Karen Grant była ubrana na czarno. Trochę to dziwne, uderzyło nagle Sarę, kiedy wróciła pamięcią do tego dnia. Czy nie nosi się tak trochę za długo? Niewiele osób tuż po trzydziestce wkłada czarny ubiór na znak żałoby.

Sara podzieliła się swoim spostrzeżeniem z Brendonem, kiedy zmierzali w stronę poczekalni dla VIP-ów. Przytaknął.

- Nasza wdowa po prostu zawsze gra jakąś rolę - skomentował. - Wiemy, że kiedy znalazły się w tej poczekalni, zamówiły coś do picia. Film „Spartakus”

zaczął się o dziewiątej na kanale filmowym. Dzisiaj ma tutaj dyżur ta sama osoba, co wtedy. Porozmawiajmy z nią.

Kobieta nie pamiętała nocy 28 stycznia, ale znała za to i bardzo lubiła Anne Webster.

- Pracuję tu od dziesięciu lat - mówiła - i nie znam sumienniejszej osoby w branży turystycznej. Jedyne kłopot z Anne Webster polega na tym, że ilekroć musi na kogoś dłużej czekać, przykleja się do tele -

wizora. Ustawia jeden z kanałów filmowych i nie pozwala nikomu przełączyć się na „Wiadomości” lub cokolwiek innego.

- To istotnie problem - ze zrozumieniem powiedział Brendon. Kobieta roześmiała się.

- Ale nie do końca. Zawsze tłumaczę ludziom, żeby po prostu chwilę poczekali. Nie znam nikogo, kto zapada w sen szybciej niż Anne Webster. A kiedy już śpi, można śmiało zmienić kanał.

Z lotniska pojechali do Clinton. W drodze Brendon snuł przypuszczenia:

- Wyobraźmy sobie taką sytuację: Karen kręci się po lotnisku i wpada w coraz większą złość, że nie może wyperswadować swojemu mężowi rozwodu.

Webster w tym czasie z uwagą ogląda film lub po prostu śpi i nie będzie za Karen tęsknić. A samolot przyleci najwcześniej o wpół do pierwszej.

- Wsiada więc w samochód i jedzie do domu - dopowiedziała Sara.

- Właśnie. Przypuśćmy dalej, że wchodzi do domu, otworzywszy drzwi własnym kluczem, i kieruje się prosto do sypialni. Allan już śpi. Karen nie spostrzega na podłodze torbę Laurie, a na niej nóż, i uświada sobie, że jeśli ktoś znajdzie Allana nieżywego, nie ona zostanie obciążona winą.

Po drodze poruszyli też sprawę sądowego nakazu ujawnienia danych bankowych i tego, że jego uzyskanie niewiele im dało.

Rachunek otwarty został na nazwisko Jane Graves, posługującą się adresem z Wysp Bahama, który okazał się kolejną skrytką pocztową. Depozyt stanowił

przelew z zaszyfrowanego rachunku bankowego w Szwajcarii.

- Uzyskanie informacji na temat klientów banku szwajcarskiego graniczy z cudem - westchnął Brendon. - Skłonny jestem teraz przyjąć, że to Karen Grant wynajęła Danny'ego. Mogła przecież zakamufłować na osobnym rachunku część dochodów z majątku Allana Granta, a poza tym, pracując w swojej branży, znała różne sposoby postępowania z bankami.

Kiedy dojechali do Clinton, na trawniku przed domem Allana Granta wciąż stała tabliczka agencji nieruchomości.

Przesiedzieli kilka minut w samochodzie, przyglądając się budynkowi.

- Rzeczywiście mogło tak być, wszystko brzmi sensownie - odezwała się w końcu Sara. - No dobrze, ale jak to udowodnimy?

- Rozmawiałem dzisiaj znowu z tą sekretarką, Connie Santini - odparł Moody.

- Potwierdziła wszystko, co wiemy. Karen Grant żyła, tak jak chciała, korzystając przy tym z tego, co odziedziczył Allan Grant, jak z własnych dochodów. Udaje jej się grać rolę zrozpaczonej wdowy, ale to tylko pozory.

Według sekretarki, nigdy nie czuła się lepiej. Dwudziestego szóstego sierpnia Anne Webster wraca z Australii. Trzeba raz jeszcze porozmawiać z tą damą.

Chciałbym, żebyś mi towarzyszyła przy tej rozmowie.

Nadszedł dzień 24 sierpnia.

- To ostatni tydzień - zwróciła się do Justina Donnelly'ego Laurie. Patrzył, jak się kładzie na kozetce, zarzucając ręce za głowę.

- Wczoraj było zabawnie, prawda, Justinie? Przepraszam, tutaj powinnam się raczej zwracać per „doktorze”.

- Owszem, było zabawnie. Jesteś naprawdę świetną zawodniczką. Wszystkim nam nieźle dołożyłaś.

- Nawet Greggowi. Cóż, wkrótce znowu będę miała przerwę w graniu.

Ostatniej nocy obudziłam się i długo nie mogłam zasnąć. Myślałam o dniu, w którym zostałam porwana. Widzę siebie wyraźnie, jak w różowym kostiumie kąpielowym schodzę na dół, żeby popatrzeć na ludzi jadących w kondukcje żałobnym. Byłam przekonana, że to jakaś parada. Kiedy ten mężczyzna podniósł mnie do góry, trzymałam w ręku pozytywkę. Ciągle mam w głowie tę melodię, „Na wschód i na zachód, dookoła miasta... Chłopcy i dziewczynki razem...”. - Przerwała.

Justin spokojnie czekał, co się stanie dalej.

- Kiedy ten mężczyzna z owłosionymi rękami wciągnął mnie do samochodu, spytałam go, dokąd jedziemy. Pozytywka cały czas wygrywała melodię.

- Czy coś szczególnego wywołało w tobie te wspomnienia?

- Możliwe. Wczoraj wieczorem, kiedy poszliśmy już z Greggiem, a ja i Sara zostałyśmy same, siedziałyśmy jeszcze długo, rozmawiając o tamtym dniu. Powiedziałam jej, że kiedy odjeżdżałam z tymi ludźmi i mijałam narożny dom, ten, który miał taki wstrętny różowy kolor, na ganku zobaczyłam starą panią Whelan. Czy to nie śmieszne, że pamiętam takie rzeczy?

- Wcale nie śmieszne. To też są twoje wspomnienia. Jeśli wreszcie wyciągniesz je wszystkie na powierzchnię, pozbędziesz się strachu, który one wywołują.

- „Chłopcy i dziewczynki razem...” - cichutko zanuciła Laurie. - To dlatego przyłączyli się do mnie inni. Razem byliśmy grupą chłop ców i dziewcząt.

- Chłopców? Laurie, czy jest jeszcze jakiś inny chłopiec? Laurie zsunęła stopy z kozetki. Zaczęła uderzać dłońią o dłoń.

- Nie, doktorze. Tylko ja jestem - wyszeptał chłopięcy głos. - Nie potrzebowała nikogo więcej. To ja pomagałem jej zawsze odlatywać daleko, kiedy Bic zaczynał ją krzywdzić.

Justin nie usłyszał dobrze ledwie wyszeptanego imienia.

- Kto ją zaczynał krzywdzić?

- O kurczę - powiedział chłopiec. - Nie chciałem tego powiedzieć. Dobrze, że pan nie usłyszał.

Po sesji Justin Donnelly pomyślał, że chociaż nie udało mu się usłyszeć imienia, które nieopatrznie wyrwało się chłopcu, jedno wydawało się pewne: było już w zasięgu ręki. Wkrótce znowu wypłynie na powierzchnię.

Jednak za tydzień Laurie miała się już znaleźć w więzieniu. Jeśli będzie miała szczęście, pozwolą jej się zobaczyć ze swoim adwokatem raz na kilka miesięcy.

Justin zdawał sobie poza tym sprawę, że nie wszyscy z jego kole gów po fachu wierzą w chorobę, którą się zajmował.

Anne Webster i jej mąż wrócili z podróży wczesnym rankiem 26 sierpnia.

Moody'emu udało się złapać panią Webster około południa i zdobyć jej zgodę na niezwłoczne spotkanie z nim i Sarą. Kiedy zjawili się w Bronxville, okazała się niespodziewanie bezpośrednia.

- Wiele myślałam o tej nocy, kiedy zabity został Allan Grant - zaczęła z miejsca. - Wiadomo, że nikt nie lubi czuć się jak głu piec. Pozwoliłam się przekonać Karen, że nie ruszała swojego samochodu z miejsca. I wiedzą państwo co? Mam dowód, że jednak ruszała.

Moody podniósł głowę, a wargi Sary stały się momentalnie suche.

- Co to za dowód, pani Webster? - zapytała.

- Wspominałam już, że w drodze na lotnisko Karen była bardzo zdenerwowana. Zapomniałam wtedy dodać, że prawie na mnie warknęła, kiedy zwróciłam jej uwagę na niski poziom paliwa w baku. Nie zatankowała ani w drodze na lotnisko, ani kiedy wiozłyśmy naszą klientkę, ani następnego dnia, kiedy jechałam z nią do Clinton.

- Nie wie pani, czy kiedy tankuje, płaci gotówką, czy raczej używa karty? -

zapytał natychmiast Moody.

Webster uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Może pan być pewny, jeśli rzeczywiście tankowała tamtej nocy, użyła karty i poszło to na rachunek firmy.

- Gdzie możemy znaleźć wyciągi za styczeń?

- W biurze. Karen nie pozwoliłaby mi szukać w nich czegośkolwiek, ale Connie robi to dla mnie, jeśli ją o to poproszę. Zaraz do niej zadzwonię.

Rozmawiała dość długo ze swoją sekretarką. W końcu odłożyła słuchawkę i powiedziała:

- Mają państwo szczęście. Karen jest na jakimś wyjeździe, sponzorowanym przez American Airlines. Connie chętnie przejrzy dla państwa te wyciągi.

Dyszy z wściekłości na Karen. Poprosiła ją o podwyżkę, ale ona jej odmówiła.

W drodze do Nowego Jorku Moody ostrzegł Sarę:

- Zdajesz sobie sprawę, że nawet jeśli będziemy w stanie udowodnić przyjazd Karen Grant do Clinton tamtej nocy, to nie oznacza, że możemy jednoznacznie dowieść, iż ma ona coś wspólnego ze śmiercią swojego męża.

- Wiem - odrzekła Sara. - Ale przecież taki dowód musi istnieć.

Connie Santini przywitała ich z uśmiechem pełnym triumfu.

- Styczniowy wyciąg ze stacji Exxon położonej przy drodze numer 78 w odległości czterech mil od Clinton - powiedziała - a także kopia rachunku z podpisem Karen. Ludzie, mam zamiar rzucić tę pracę. Ona jest taka skąpa.

Przez ostatni rok nie dostałam podwyżki, bo interes słabo się kręcił. Teraz zrobiło się lepiej, ale ona mimo to ani myśli podzielić się nawet centem.

Powiem jedno: wydaje na biżuterię więcej pieniędzy, niż ja zarabiam w ciągu roku.

Santini wskazała na mieszczącą się w holu firmę jubilerską L. Crown.

- Robi u nich tak często zakupy, jakby kupowała po prostu kos -

metyki. Ale nawet w stosunku do nich jest skąpa. Tego samego dnia, kiedy zginął jej mąż, kupiła bransoletkę, a potem ją zgubiła. Zmusiła mnie, żebym szukała jej wszędzie na kolanach. Kiedy zadzwoniono z informacją o śmierci Allana, robiła właśnie u jubilera piekielną awanturę o to, że bransoletka miała za luźne zapięcie i zgubiła ją po raz drugi. Tym razem na dobre. Moim zdaniem, nic tej bransoletce nie brakowało, tylko Karen nie chciało się porządnie zapiąć zameczka. Mimo to zmusiła ich, żeby jej dali inny egzemplarz.

Bransoletka, pomyślała Sara, bransoletka! W dniu złożenia oświadczenia w sądzie, kiedy Laurie, a raczej chłopiec, którym się wtedy stała, odgrywał

scenę w sypialni Allana Granta, wyraźnie podnosił coś z podłogi i wpychał do kieszeni. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że bransoletka znaleziona w poplamionych krwią dżinsach Laurie nie musi wcale należeć do niej. Nigdy nawet nie poprosiłam, żeby mi pokazano.

- Panno Santini, wyświadczyła nam pani wielką przysługę - powiedział

Moody. - Czy zostanie tu pani jeszcze jakiś czas?

- Do piątej i ani minuty dłużej.

- W porządku.

Za ladą w sklepie jubilerskim stał młody sprzedawca. Łatwo uległ sugestii Moody'ego, który dał mu do zrozumienia, że pracuje dla towarzystwa ubezpieczeniowego i zajmuje się sprawą pewnej zaginionej bransoletki.

Usłużnie zaczął przeglądać dokumenty.

- Rzeczywiście, proszę pana. Dwudziestego szóstego stycznia pani Grant kupiła u nas bransoletkę. To był zupełnie nowy wzór w naszej kolekcji, złoto łączone ze srebrem, co daje efekt, jakby było wysadzane diamentami.

Niebrzydka rzecz. Kosztowała tysiąc pięćset dolarów. Nie bardzo jednak rozumiem, dlaczego pani Grant zgłosiła reklamację. Daliśmy jej przecież drugą bransoletkę, kiedy przyszła następnego dnia i twierdziła, że poprzednia zsunęła jej się z ręki wkrótce po tym, kiedy ją włożyła.

- Na jakiej podstawie tak uważała?

- Ponieważ wcześniej spadła jej na biurko. Jeśli miałbym być szczery, proszę pana, cały problem w tym, że ta bransoletka miała no wy rodzaj zameczka, wyjątkowo bezpieczny, tylko trzeba było poświęcić trochę czasu, żeby ją dokładnie zapiąć.

- Czy posiada pan dowód sprzedaży? - zapytał Moody.

- Oczywiście, ale przecież zdecydowaliśmy się podarować jej no wy egzemplarz. Pani Grant jest naszą stałą klientką.

- Czy ma pan przypadkiem zdjęcie tej bransoletki lub jeszcze jeden egzemplarz?

- Posiadamy zarówno zdjęcie, jak i bransoletkę. Od stycznia spo ro ich wyprodukowano.

- Dokładnie takich samych? A może zgubiony egzemplarz czymś się różnił?

- Właśnie zapięciem, proszę pana. Po zejściu z panią Grant zmieniliśmy zapięcie na pozostałych bransoletkach w tym wzorze. Chcie liśmy uniknąć dalszych problemów. - Sięgnął pod ladę po notes i ołówek.

- Proszę spojrzeć, poprzednio zapinała się w ten sposób... a teraz tak. Tu jest jeszcze dodatkowy łańcuszek dla bezpieczeństwa. - Sprzedawca sprawnie rysował.

Trzymając w dłoni kopię dowodu sprzedaży z 28 stycznia, koloro we zdjęcie bransoletki oraz podstemplowany i podpisany rysunek sprzedawcy, Sara i Moody wrócili do agencji Global Travel. Santini czekała na nich z niecierpliwością. Na prośbę Moody'ego wykręciła numer Anne Webster i podała mu słuchawkę. Moody nacisnął przycisk, dzięki któremu wszyscy mogli słyszeć rozmowę.

- Pani Webster - zaczął - czy przypomina się pani coś w związku z zaginioną bransoletką tej nocy, kiedy pojechała pani z Karen Grant na lotnisko?

- Ależ tak. Jak wspominałam, to Karen prowadziła, kiedy jecha łyśmy z naszą klientką do Nowego Jorku. Nagle powiedziała coś takiego: „Cholera, znowu ją zgubiłam”. I bardzo zdenerwowana zaczęła się dopytywać, czy widziałam, że miała ją na lotnisku.

- A widziała pani? Webster szukała słów.

- Troszeczkę wtedy skłamałam. Tak naprawdę widziałam, że miała ją na ręku w poczekalni dla VIP-ów, ale kiedy zaczęła pocieszać samą siebie, że na pewno zgubiła ją w biurze... No cóż, po prostu zależało mi, żeby nie wybuchnęła złością w obecności klientki. Powiedziałam więc bardzo stanowczo, że nie miała jej na lotnisku i że bransoletka z pewnością leży gdzieś na jej biurku. Zadzwo niłam jednak wtedy na wszelki wypadek na lotnisko po powrocie do domu. Ale wszystko jest

już w porządku. Jubiler dał

jej nową.

Mój Boże, mój Boże, kołatało w głowie Sary.

- A czy rozpoznałaby pani tę bransoletkę, pani Webster? - pytał Moody.

- Rzecz jasna, pokazała ją mnie i Connie i nie omieszkała dodać, że to najnowszy wzór.

Connie Santini potakiwała energicznie głową.

- Pani Webster, zgłoszę się do pani niebawem. Okazała nam pani niezwykłą

pomoc. - Wbrew sobie, dodał w myślach, odkładając słu chawkę.

Brakowało jeszcze jednego elementu w tej układance. Proszę, panie Boże, proszę, modliła się Sara w myślach, wykręcając numer prokuratora okręgu Hunterdon. Połączono ją z prokuratorem, któremu wyjaśniła, czego potrzebuje.

- Nie będę odkładała słuchawki. - Czekając, wyjaśniała sytuację Moody'emu.

- Posłali kogoś tam, gdzie trzymają dowody rze -

Po dziesięciu minutach milczącego oczekiwania w milczeniu Moody zobaczył, jak twarz Sary nabiera blasku, a potem łzy szczęścia spływają po jej policzkach.

- Złoto przetykane srebrem - powiedziała. - Dziękuję, chciałabym zobaczyć się z panem z samego rana. A czy sędzia Armon będzie w swojej kancelarii?

Karen Grant wpadła w irytację, widząc w czwartek rano, że Connie Santini nie siedzi za swoim biurkiem. Zwolnię ją, pomyślała, zapalając z wściekłością światła i włączając automatyczną sekretarkę. Jedną z wiadomości zostawiła Santini. Ma coś bardzo pilnego do załatwienia i przyjdzie później. Co takiego niezwykłego może się dzieć w jej życiu? - pomyślała ironicznie Karen, siadając za biurkiem. Zaczęła czytać pierwszą wersję oświadczenia, które zamierzała przedstawić sądowi w dniu ogłoszenia wyroku w sprawie Laurie Kenyon. Zaczynało się od słów: „Nie znałam drugiej takiej osoby jak mój zmarły mąż, Allan Grant”.

Gdyby Karen wiedziała, gdzie jest, pomyślała Connie Santini, siedząc wraz z Anne Webster na fotelach dla interesantów w korytarzu obok biura prokuratora. Sara Kenyon i Brendon Moody rozmawia z nim za drzwiami.

Connie zafascynowana chłonęła atmosferę miejsca. Bez przerwy dzwoniły telefony. Młodzi prawnicy biegali tam

i z powrotem z naręczami akt. Jeden z nich właśnie odwrócił się i krzyknął do kogoś przez ramię:

- Odbierz za mnie. Nie mogę teraz rozmawiać. Za chwilę mam być w sądzie.

W drzwiach pojawiła się Sara Kenyon.

- Czy mogę panie teraz prosić? Prokurator chciałby z paniami po rozmawiać.

Chwilę potem, po przywitaniu z prokuratorem Levine'em, Anne Webster rzuciła bystre spojrzenie na jego biurko i leżącą tam przezroczystą torebkę z jakimś przedmiotem wewnątrz.

- Wielkie nieba, przecież to bransoletka Karen! - wykrzyknęła. - Gdzie ją znaleźniono?

Po upływie godziny prokurator Levine i Sara udali się do kancelarii sędziego.

- Panie sędzio - zaczął Levine. - Nie wiem, od czego zacząć, ale przyszedłem tutaj z Sarą Kenyon, aby wspólnie z nią poprosić o odroczenie terminu orzeczenia wyroku w sprawie Laurie Kenyon o dwa tygodnie.

Brwi sędziego uniosły się w górę.

- Dlaczego?

- Panie sędzio, nie spotkałem się dotąd z niczym podobnym, zwłaszcza że oskarżona przyznała się do winy. Mamy poważne powody, aby wątpić, czy Laurie Kenyon rzeczywiście dokonała tego zabójstwa. Jak pan pamięta, wyraźnie podkreślała, że nie pamięta, aby je popełniła, ale uznaje wyniki oficjalnego śledztwa, z których wynika, że jednak to zrobiła. Obecnie pojawiły się nowe, bardzo zastanawiające dowody, podważające jej udział w tej zbrodni.

Sara siedziała, nie odzywając się ani słowem, podczas gdy prokurator referował sędziemu sprawę bransoletki, zeznania sprzedawcy oraz okoliczności zakupu benzyny na stacji w Clinton, a następnie wręczył mu pisemne oświadczenia Anne Webster i Connie Santini.

Trzy kolejne minuty upłynęły w absolutnej ciszy. Sędzia Armon czytał

oświadczenia i uważnie przeglądał kopie rachunków. Kiedy skończył, pokręcił głową i powiedział:

- Od dwudziestu lat siedzę w sądzie i nigdy nie słyzałem o podobnej historii.

To oczywiste, że ze względu na zaistniałą sytuację odroczenie terminu ogłoszenia wyroku.

Ze współczuciem popatrzył na siedzącą w fotelu Sarę. Dostrzegł napięcie na jej twarzy i ręce kurczowo zaciśnięte na oparciu. Sara z trudem opanowała drżenie głosu.

- Panie sędzio, z jednej strony doświadczam niezwykłego szczęścia, ale z drugiej czuję się podle, że pozwoliłam jej przyznać się do winy.

- Nie bądź dla siebie tak surowa, Sara - odpowiedział sędzia Armon. -

Wszyscy wiemy, jak bardzo musiałaś zmienić sposób myślenia, żeby podjąć się jej obrony.

Prokurator wstał.

- Zamierzałem - powiedział - porozmawiać przed wyrokiem z panią Grant na temat oświadczenia, które chciała złożyć w sądzie. Za miast tego zagadnę ją o to, w jaki sposób zginął jej mąż.

- Co to znaczy, że wyrok nie zapadnie w poniedziałek? - z oburzeniem zapytała Karen. - Jaka przeszkoda? Panie Levine, chyba zdaje pan sobie sprawę, jak okropnym przeżyciem jest dla mnie to wszystko. Nie chcę więcej oglądać tej dziewczyny. Pisanie oświadczenia, które mam zamiar przekazać sędziemu, jest już wystarczająco okropne.

- Przykro mi, pojawiły się pewne względy techniczne - bez zająknięcia mówił

Levine. - A może mogłaby pani przyjść do mojego biura około dziesiątej?

Chętnie panią z nimi zapoznam.

Connie Santini weszła do biura o drugiej. Oczekiwała, że kiedy tylko przekroczy próg, Karen Grant powita ją atakiem wściekłości. Miała przygotowane wytłumaczenie swojej nieobecności, gdyż prokurator prosił, żeby nie mówiła o spotkaniu z nim. Karen była jednak bardzo zajęta i o nic nie pytała.

- Zajmij się telefonami - rzuciła zza biurka. - I mów, że mnie nie ma.

Przygotowuję oświadczenie. Chcę, żeby sędzia dowiedział się, przez jaki koszmar przeszedłem.

Nazajutrz rano Karen starannie obmyśliła, jak się ubierze. Będzie chyba przesadą pojawić się tam w żałobie, uznała. Włożyła w końcu ciemnoniebieski żakiet i spodnie. Zrobiła też bardzo dyskretny maki jaż.

Prokurator już na nią czekał.

- Proszę wejść. Miło mi, że panią widzę.

Zawsze jest taki uprzejmy i w dodatku całkiem przystojny, pomyślała Karen i uśmiechnęła się do prokuratora.

- Napisałam już to oświadczenie dla sędziego. Chyba udało mi się zawrzeć w nim wszystko, co chciałam.

- Zanim się tym zajmiemy, chciałbym zapoznać panią z kilkoma sprawami.

Czy może pani pozwolić ze mną?

Ze zdziwieniem stwierdziła, że nie prowadzi jej do swojego gabinetu, lecz do jakiegoś innego, dużo mniejszego pokoju. Znajdowało się w nim kilku mężczyzn oraz stenotypistka. Wśród mężczyzn

rozpoznała dwóch detektywów, którzy rozmawiali z nią w dniu znalezienia ciała Allana.

Wyczuwała zmianę w zachowaniu prokuratora Levine'a. Zwrócił się do niej oficjalnym tonem:

- Mam zamiar odczytać teraz, jakie przysługują pani prawa.

- Słucham?

- Ma pani prawo nic nie mówić. Czy to rozumiałe? Karen Grant poczuła, że krew odpływa z jej twarzy.

- Tak.

- Ma pani prawo korzystać z pomocy adwokata... Wszystko, co pani powie, może zostać wykorzystane przeciwko pani w sądzie...

- Tak, rozumiem, ale co tu się, do diabła, wyprawia? Jestem wdo wną po ofierze.

Prokurator w dalszym ciągu odczytywał przysługujące jej prawa i upewniał

się, czy rozumie ich treść. Na koniec zapytał:

- Czy przeczyta to pani jeszcze raz sama i zechce potwierdzić pod pisem zrzeczenie się praw po to, żebyśmy mogli porozmawiać?

- Tak, już to robię, ale uważam, że wszyscy tu zwariowaliście -powiedziała i drżącą ręką podpisała formularz.

Zaczęło się przesłuchanie. Zdawała się nie zauważać włączonej kamery i nie słyszeć cichego stukotu klawiatury, w którą uderzała steno -typistka.

- Nie, oczywiście, że nie opuszczałam lotniska tamtej nocy. Nie, nie przestawiłam samochodu w inne miejsce. Anne Webster jest już stara i nie zawsze zachowuje przytomność umysłu. Przesiedziałam cały ten idiotyczny film, słuchając, jak chrapie obok.

Pokazali jej rachunek za paliwo, które kupiła tamtej nocy.

- To jakaś pomyłka. Ta data jest błędna. Oni nigdy nie wiedzą, co robią.

Bransoletka.

- Sprzedano mnóstwo takich bransoletek. Uważacie, że jestem jedyną klientką tego sklepu? Zgubiłam ją w biurze. Nawet Anne Webster mówiła, że nie widziała jej na mojej ręce na lotnisku.

Karen opuszczała głowę coraz niżej, gdy prokurator poinformował ją, że jej bransoletka jest unikalna ze względu na rodzaj zamka, a Anne Webster zeznała pod przysięgą, że widziała bransoletkę na lotnisku i nawet zadzwoniła tam potem, żeby zgłosić zgubę.

Czas mijał, a Karen zbywała krótko kolejne pytania. Jej związek z Allanem?

- Jak najlepszy. Przepadaliśmy za sobą. Oczywiście, że nie poprosiłam mnie o rozwód tamtej nocy.

Edwin Rand?

- To tylko przyjaciel. Bransoletka?

- Nie mam zamiaru rozmawiać więcej na temat tej bransoletki. Nie, nie zgubiłam jej w sypialni.

Na szyi Karen nabrzmiały żyły, oczy stały się wilgotne. W rękach ścisnęła chusteczkę do nosa. Prokurator i detektywi zrozumieli, że za czyną sobie zdawać sprawę z powagi sytuacji. Najwyraźniej poczuła, że pętla się zaciska.

Starszy z detektywów, Frank Reeves, zwrócił się do niej współczująco:

- Mogę chyba zrozumieć, jak do tego doszło. Pojechała pani do domu, żeby załagodzić spór z mężem. Spał już. Zobaczyła pani, że na podłodze leży młodzieżowa torba. Może przyszło pani do głowy, że oszukiwał panią i jednak miał romans z tą studentką. Nagle olśniło panią. Zobaczyła pani nóż. Po sekundzie zdała sobie pani sprawę z tego, co się stało. Musiała pani przeżyć szok, kiedy powiedziałam pani, że nóż został znaleziony w pokoju Laurie.

Słuchając słów Reevesa, Karen pochylała się coraz bardziej. Wyglądała, jakby uszło z niej powietrze. Podniosła głowę i z oczami pełnymi łez powiedziała:

- Kiedy zobaczyłam jej torbę, pomyślałam, że okłamywał mnie wcześniej i że jednak to z nią miał romans. Tego wieczoru przez telefon poprosił o rozwód i przyznał, że jest ktoś w jego życiu. Kiedy dowiedziałam się od was, że to u niej był nóż, nie mogłam uwierzyć. Nie wierzyłam też, że Allan nie żyje.

Wierzcie mi, nie chciałam go zabić.

Spojrzała błagalnie na prokuratora i detektywów.

- Naprawdę go kochałam - powiedziała. - Był taki wspaniałomyślny.

108

- Co za weekend! - powiedział Justin do Laurie, która sadowiła się na kozetce.

- Ciągłe nie może to do mnie dotrzeć - odpowiedziała. - Dokładnie o tej godzinie miałam stać przed sądem i słuchać wyroku.

- A co sądzisz o Karen Grant?

- Szczerze? Nie wiem. Chyba wciąż trudno mi uwierzyć, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią jej męża.

- Uwierz w to w końcu, Laurie - łagodnie powiedział Justin. Przyjrzał jej się uważnie. Euforia spowodowana nagłym rozwojem wypadków gdzieś się ulotniła. Spodziewał się, że Laurie wkrótce znacznie odczuwać wyczerpanie, objaw typowy po tak długotrwałym napięciu. - Uważam, że to dobry pomysł, abyście pojechały gdzieś z Sarą na kilka tygodni. Pamiętasz, jak całkiem niedawno opowiadałaś mi, że dałabyś wszystko, żeby zagrać w golfa na St Andrews w Szkocji? Możesz to teraz zrobić.

- Mogę?

- No jasne, Laurie. Chciałbym podziękować małemu chłopcu, który tak dzielnie się tobą opiekował. On był tym, który wiedział, że jesteś niewinna.

Czy mógłbym z nim porozmawiać?

- Jeśli chcesz.

Zamknęła oczy, zamarła w bezruchu i wyprostowała się, po czym otworzyła znowu. Jej rysy stały się łagodniejsze, ale usta pozostawały zaciśnięte.

Odezwała się grzecznym chłopięcym głosem:

- W porządku doktorze, jestem tutaj.

- Chciałem po prostu sam ci powiedzieć, że byłeś wspaniała - wyjaśnił Justin.

- Nie całkiem. Jeśli nie podniósłbym wtedy tej bransoletki, Laurie nie zostałaby oskarżona o to wszystko.

- To nie twoja wina. Staraleś się, jak mogłeś, a masz przecież tyl ko dziewięć lat. Laurie ma dwadzieścia dwa i staje się coraz silniejsza. Uważam, że wkrótce wy wszyscy, ty, Kate, Leona i Debbie powinniście zacząć myśleć o całkowitym połączeniu się z nią. Mało widuję Debbie ostatnio. Kate i Leona też się rzadko pokazują. Nie sądzisz, że naprawdę przyszedł w końcu moment na ujawnienie wszystkich tajemnic, które pomogą Laurie poczuć się dobrze?

Laurie westchnęła.

- Boże, ale mnie dzisiaj boli głowa - odezwała się swoim normalnym głosem, opierając się plecami o ścianę. - Dziś jest jakoś inaczej, doktorze. Pozostali chcą najwyraźniej, żebym to ja gadała.

Justin wiedział, że to bardzo ważny moment, którego nie można przegapić.

- To dlatego, że chcą się stać częścią ciebie. Kate reprezentuje twoją naturalną potrzebę zaopiekowania się samą sobą. Jest czystym instynktem samozachowawczym. Leona to kobieta ukryta w tobie. Tak długo powstrzymywałaś swoje naturalne kobiece reakcje, że musiały się ujawnić w inny sposób.

- W postaci seksownego kociaka - odpowiedziała Laurie, uśmiechając się lekko.

- Owszem, jest czy raczej była całkiem seksowna - przyznał Justin. - Debbie to mała zagubiona dziewczynka, która chce wracać do domu. Jesteś już w domu, Laurie. Jesteś bezpieczna.

- Jestem?

- Będiesz, jeśli pozwolisz dziewięcioletniemu chłopcu ułożyć do końca tę układankę. Wyjawił, że jedno z zakazanych imion brzmi Opal. Pozwól, żebyśmy poszli jeszcze kawałek dalej. Spraw, żeby przekazał ci to, co pamięta. Czy wiesz, jak ten chłopiec ma na imię?

- Teraz już wiem.

- Zdradź mi je, Laurie. Nic się nie stanie, obiecuję. Westchnęła.

- Mam nadzieję. Ma na imię Lee.

Telefon nie przestawał dzwonić. Wszyscy chcieli im pogratulować. Sara uświadomiła sobie, że powtarza w kółko to samo:

- Wiem. To cud. Chyba to do mnie jeszcze nie całkiem dotarło. Przywożono kolejne bukiety i kosze kwiatów. Największy kosz przysłali wraz z błogosławieństwami i gratulacjami wielbny Bobby i Carla Hawkinsowie.

- Takie duże kosze kupuje się na pogrzeby - prychnęła pogardliwie Sophie.

Po tych słowach Sara poczuła chłód w całym ciele.

- Sophie, wychodząc, weź je, proszę, ze sobą. Wszystko mi jedno, co z nimi zrobisz.

- Jesteś pewna, że nie będę ci już dzisiaj potrzebna?

- Nie, odpocznij sobie. - Sara podeszła do Sophie i przytuliła się do niej. - Nie dałybyśmy sobie z tym wszystkim rady bez ciebie. Gregg zaraz tu będzie. W

przyszłym tygodniu zaczyna zajęcia i już jutro wyjeżdża do Stanfordu.

Zabiera gdzieś dzisiaj Laurie.

- A ty?

- Ja zostaję w domu. Muszę odpocząć.

- A nie spotykasz się z doktorem Donnellym?

- Nie dzisiaj. Jedzie na jakieś spotkanie do Connecticut.

- Lubię go, Saro.

- Ja też.

Sophie właśnie wychodziła, kiedy zadzwieczał dzwonek telefonu. Sara powiedziała:

- Nie przejmuj się. Ja odbiorę.

Dzwonił Justin. Rzeczowość, z jaką się przywitał, zaniepokoiła Sarę.

- Czy coś się dzieje? - zapytała wprost.

- Nie, nie - uspokoił ją łagodnie. - Tylko tyle, że Laurie wypowiedziała dzisiaj pewne imię i usiłuję sobie przypomnieć, w jakich oko licznosciach już je wcześniej slyszalem.

- A jakie to imię?

- Lee.

Sara zmarszczyła czoło.

- Chwileczkę. Wiem. To było w liście od Thomasiny Perkins, która napisała do mnie kilka tygodni temu. Wspominałam ci o nim. Wyznała, że straciła wiarę w cuda wielebnego Hawkinsa. A na końcu dodała, że kiedy modlił się nad nią w czasie programu, mówił o Laurie Lee.

- Zgadza się - przyznał Justin. - Sam to zauważyłem, oglądając program.

- A dlaczego Laurie użyła tego imienia?

- Tak ma na imię ten dziewięcioletni chłopiec. No cóż, to pewnie zbieg okoliczności. Sara, muszę pędzić. Potrzebują mnie na gorze. Laurie jest w drodze do domu. Zadzwoń później.

Sara wolno odłożyła słuchawkę. W jej głowie pojawiła się przerażająca, niewiarygodna i obrzydliwa myśl. Wykręciła numer agencji nieruchomości Betsy Lyons.

- Pani Lyons, proszę przygotować dokumenty naszego domu. Za chwilę u pani będę. Chciałabym mieć dokładne daty, kiedy państwo Hawkinsowie odwiedzali nasz dom.

Laurie jechała do domu. Lada chwila pojawi się też Gregg. Wybiegając z mieszkania, Sara zostawiła mu klucz pod wycieraczką.

Laurie przecięła Dziewięćdziesiątą Szóstą, potem pojechała wzdłuż West Side, pokonała most Waszyngtona oraz zachodni odcinek drogi numer 4 i północny drogi numer 17. Wiedziała, skąd wzięło się to przerażliwe uczucie, że jej czas się kończy.

Nie wolno jej było wypowiedzieć tych imion. Nie wolno jej było wyznać, co on jej zrobił. Odezwał się dzwonek telefonu. Podniosła słuchawkę i nacisnęła guzik. Dzwonił wielebny Hawkins.

- Laurie, Sara podała mi twój numer. Czy jedziesz do domu?

- Tak. Gdzie jest Sara?

- Tutaj. Miała niegroźny wypadek, ale już jest w porządku, ko chanie.

- Wypadek? Co pan na myśli?

- Przyjechała, żeby odebrać pocztę, i skręciła nogę. Czy możesz po nią wpaść?

- Oczywiście.

- Pośpiesz się, kochanie.

Magazyn „People” z wielebny Bobbym i Carla Hawkinsonami na okładce znajdował się już w skrzynkach pocztowych w całym kraju.

Thomasina Perkins aż westchnęła, widząc ich zdjęcie na pierwszej stronie i niemal wybaczyła im to, jak ją potraktowali. Otworzyła cza sopismo na stronach poświęconych tym dwojgu i ze zdumieniem po patrzyła na zdjęcie Hawkinsów sprzed dwudziestu lat. On ze złotym kolczykiem, o silnych, owłosionych rękach i z brodą, a ona z długimi, prostymi włosami. Oboje trzymali gitary. Pamięć wróciła do Thoma-siny, kiedy przeczytała: „Bic i Opal, niedoszte gwiazdy rocka”. „Bic”. Imię, które prześladowało ją przez tyle lat!

Kwadrans po rozmowie z Sarą Justin Donnelly wyszedł ze swoje go gabinetu i miał zamiar wyruszyć w drogę do Connecticut, gdzie odbywało się ważne sympozjum. Mijając sekretarkę, zauważył, że na jej biurku leży otwarte czasopismo. Kątem oka spojrział na jedno ze zdjęć i poczuł ciarki w plecach.

Chwycił pismo. Wielkie drzewo. Nie ma domu, ale z tyłu stoi kurnik...

Przeczytał podpis pod zdjęciem: „Dom, w którym wielebny Hawkins poczuł powołanie do służby”.

Wpadł z powrotem do swojego gabinetu i wyszarpnął z teczki Laurie posklejane z kawałeczków zdjęcie. Przyłożył je do fotografii w czasopiśmie.

Drzewo nieco potężniejsze, ale z tym samym poprze-rastanym pniem.

Identyczny fragment kurnika na obu zdjęciach. Ka mienna ściana, biegnąca tuż za drzewem.

Wypadł pędem z kliniki. Na szczęście zaparkował na ulicy. Zadzwo ni do Sary z samochodu. W głowie miał obraz programu telewizyjnego, w którym wielebny Hawkins modli się, żeby Thomasina Perkins zdoła ła przypomnieć sobie imię człowieka, który skrzywdził Laurie.

W Teaneck Betty Moody z radością zabierała się do czytania naj nowszego wydania magazynu „People”. Brendon, wyjątkowo zrelak sowany, jak na siebie, miał nareszcie kilka dni wolnego. Skrzywił usta na widok Hawkinsów na okładce.

- Nie znoszę tej pary - cedził słowa, zaglądając przez ramię swojej żonie. -

Cóż takiego ciekawego można o nich napisać?

Zona kartkowała czasopismo, aż w końcu doszła do artykułu o Hawkinsach.

- Jezu! - Moody z trudem wyjął podpis pod jedną z fotografii: „Bic i Opal, niedoszące gwiazdy rocka...”. - Co się ze mną stało? - wrzasnął. - To było oczywiste od początku.

Pognał korytarzem, zatrzymując się po drodze tylko po to, żeby wyjąć z szuflady swój pistolet.

Sara siedziała po drugiej stronie biurka Betsy Lyons i analizowała zawartość teczek z napisem „Kenyon-Hawkins”.

- Pierwszy raz Carla Hawkins przyszła do biura, kiedy nasza oferta pojawiła się już na rynku - oznajmiła Betsy. - Ale nie od razu jej o niej powiedziałam.

- Więc jak do tego doszło?

- Zauważyła ją, przeglądając księgę ofert.

- Czy kiedykolwiek zostawiła pani Carlę samą w naszym domu?

- Nigdy! - Betsy z trudem ukryła oburzenie.

- Pani Lyons, mniej więcej pod koniec stycznia z naszej kuchni zniknął nóż.

Jak widzę, w tym czasie Carla Hawkins odwiedzała nasz dom kilka razy.

Niełatwo ukraść spory nóż, wiszący na ścianie, jeśli nie jest się samemu przynajmniej przez chwilę. Czy nie przypomina pani sobie, żeby zostawiła ją pani w kuchni samą choćby na moment?

Lyons przygryzła wargi.

- Tak - przyznała z ociąganiem. - Zgubiła gdzieś w domu rękawiczkę, więc poszłam jej poszukać i zostawiłam panią Hawkins na ta borecie w kuchni.

Rękawiczka leżała na podłodze w pokoju Laurie.

- W porządku. Jeszcze jedna rzecz. Czy nie wydaje się pani dość niezwykle, że nabywca nie targuje się o cenę?

- Miałyście rzeczywiście dużo szczęścia, uzyskując taką sumę.

- Nie byłabym taka pewna, czy należy w tej sytuacji mówić o szczęściu. Czyż to nie wyjątkowo niecodzienne zachowanie, żeby po sfinalizowaniu transakcji pozwalać poprzedniemu właścicielowi mieszkać tak długo, jak mają na to ochotę, i nawet nie odliczyć sobie tego od kosztów?

- To rzeczywiście niecodzienne.

- Mnie to już jednak nie dziwi. I ostatnia obserwacja. Proszę spojrzeć na te daty. Pani Hawkins bardzo często przychodziła w soboty około jedenastej.

- Zgadza się.

- Dokładnie wtedy, kiedy Laurie jeździła na terapię - cicho mówiła Sara. - A oni o tym wiedzieli.

Głowa kurczaka, która tak potwornie wystraszyła Laurie. Nóż. Zdjęcie w dzienniku. Ci ludzie nieustannie wchodzący i wychodzący, przynoszący do domu pudła, które prawie nic nie ważyły. I ten upór Laurie, żeby wrócić do kliniki zaraz po tym, kiedy w domu pojawili się na chwilę Hawkinsowie. I jeszcze... Różowy dom! - pomyślała Sara. Carla Hawkins wspomniała o nim, kiedy jedliśmy wspólnie kolację.

- Pani Lyons, czy kiedykolwiek wspominała pani Carli Hawkins, że narożny dom przy naszej ulicy był niegdyś jaskraworóżowy?

- Nie wiedziałam, że był kiedyś różowy. Sara chwyciła za słuchawkę.

- Muszę natychmiast zadzwonić do domu.

Odebrał Gregg Bennett.

- Gregg, dobrze, że tam jesteś. Nie odstępuj ani na chwilę Laurie.

- Jej tutaj nie ma - powiedział Gregg. - Miałem nadzieję, że jest z tobą. Siedzę tu z Brendonem Moodym. Justin zaraz dojedzie. Sara, to Hawkinsowie są ludźmi, którzy porwali Laurie. Justin i Moody mają co do tego pewność.

Gdzie jest Laurie?

Intuicja podpowiedziała Sarze odpowiedź na to pytanie.

- W naszym starym domu - odparła. - Jadę tam.

Laurie jechała znaną sobie ulicą i z trudem powstrzymywała się, żeby nie nacisnąć mocniej na gaz. Ale na trawniku przy jednym z domów bawiły się dzieci. Laurie dobrze pamiętała, że mama nie pozwalała jej wychodzić przed dom ze względu na jeżdżącego bardzo szybko chłopaka z sąsiedztwa.

Sara. Skręcona noga to nic wielkiego, próbowała sobie tłumaczyć. Ale chodziło o coś innego. O coś potwornie złego. Nie miała co do tego wątpliwości, przeczuwała to cały dzień.

Skręciła na podjazd przy domu, który wydawał jej się jakiś inny. W oknach nie było już niebieskich żaluzji, które wybrała niegdyś mama. Hawkinsowie zastąpili je czarnymi roletami, przez co dom oglądany z zewnątrz wydawał się niedostępny i niegościnnie. Przypominał jej teraz inny dom, ponury, zamknięty naглуcho dom, w którym działy się przerażające rzeczy.

Przeszła szybko z podjazdu na ścieżkę prowadzącą do ganku, a stamtąd po schodkach do drzwi

wejściowych. Zauważyła, że zainstalowano interkom.

Dzięki temu wewnątrz domu widać było każdego, kto stał przed wejściem.

Rzeczywiście, ledwie dotknęła przycisku dzwonka, usłyszała kobiecy głos:

- Drzwi nie są zamknięte. Wejdz.

Przekręciła obrotową klamkę, przekroczyła próg i zamknęła za sobą drzwi.

Korytarz, który zawsze rozświetlały promienie wpadające z przyległych pokoi, tonął teraz w półmroku. Przymrużyła oczy i rozejrzała się wokół.

Panowała absolutna cisza.

- Saro! - zawołała. - Saro!

- Jesteśmy w twoim dawnym pokoju. Czekamy na ciebie - usłyszała z oddali.

Zaczęła wspinać się po schodach, najpierw szybko, potem coraz wolniej.

Poczuła pot na czole. Dłoń, trzymająca poręcz, zrobiła się wilgotna i zaczęła zostawiać mokry ślad. Język Laurie zrobił się nagle wielki i suchy. Oddech stał się krótki i urywany. Zatrzymała się u szczytu schodów i spojrzała w głąb korytarza. Drzwi do jej pokoju były zamknięte.

- Saro! - krzyknęła.

- Wejdz, Lee - odpowiedział tym razem męski głos, wyraźnie zniecierpliwiony, dokładnie tak samo, jak kiedyś, dawno temu, kiedy przynaglał ją, żeby szła z nim na górę.

Pełna rozpacz stała przed drzwiami swojego pokoju. Dobrze wie działa, że nie ma za nimi Sary. Zawsze przeczuwała, że nadejdzie czas, kiedy oni przywołają ją do siebie. Ta chwila właśnie nadeszła.

Drzwi uchyliły się do środka. Otworzyła je Opal. W oczach miała to samo zimno i wrogość, jak wtedy, kiedy Laurie po raz pierwszy ją zobaczyła. Na jej ustach pojawił się dobrze znany uśmiech, który nie był uśmiechem. Miała na sobie krótką czarną spódniczkę i obcisły T-shirt. Jej długie ciemne włosy zwisały w nieładzie. Laurie nie stawiała oporu, kiedy Opal wzięła ją za rękę i podeszła z nią do siedzącego w starym bujanym fotelu Bica. Siedział bez butów, w luźnych spodniach, niezapiętych w pasie, i w koszulce z krótkimi rękawami. W uchu miał złoty kolczyk, który zakołysał się, kiedy wyciągnął

rękę w kierunku Laurie. Chwycił ją za dłonie i przyciągnął tak, żeby znalazła się dokładnie naprzeciw niego, jak dziecko, które zaraz zostanie skarcone. Na jego kolanach leżał jakiś różowy materiał. Jej kostium. Pokój oświetlała jedynie mała nocna lampka, którą mama zostawiała zawsze włączoną, żeby Laurie nie spała w ciemnościach.

Huczało jej w głowie od napierających myśli.

Pełen złości i napomnienia głos mówił: „Ty mała kretynko, po co tu przylazłaś?”.

Płaczące dziecko prosiło: „Nie każ mi tego robić”. Chłopiec wrzeszczał:

„Uciekaj, uciekaj!”.

Zmęczony głos wzdychał: „Trzeba będzie wreszcie umrzeć za te wszystkie złe rzeczy, które zrobiliśmy”.

- Lee - powiedział z wyrzutem Bic - zламаłaś przysięgę, prawda?

Rozmawiałaś o nas z doktorem.

-Tak.

- Wiesz, co się teraz z tobą stanie.

-Tak.

- A co się stało z kurczakiem?

- Odciąłeś mu głowę.

- Czy nie wolisz sama wymierzyć sobie kary?

-Tak.

- Dobra dziewczynka. Widzisz ten nóż? - Wskazał róg pokoju. Laurie kiwnęła głową. - Weź go i wróć z nim tutaj.

Kiedy szła przez pokój, głos w jej głowie nakazywał: „Nie rób tego!”.

Przyśpieszyła ruchy.

„Weź nóż i rób, co on ci każe. Ty i ja robiłyśmy obrzydliwe rzeczy i dobrze o tym wiemy”.

Zacisnęła dłoń na rękojeści i wróciła do Bica. Drżała, przypomi nając sobie bezgłowego kurczaka u swoich stóp. Teraz przyszła kolej na nią.

Znajdował się tak blisko niej. Czowała jego gorący oddech na twa rzy. Zawsze wiedziała, że pewnego dnia wejdzie do jakiegoś pomiesz czenia i on będzie tam na nią czekał, tak jak teraz, w bujanym fotelu.

Zacisnął wokół niej ramiona i uniósł ją w górę. Kiedy siedziała już na jego kolanach, jej nogi, jak dawniej, zawisły bezwładnie w powie trzu. Poczwała kołyszący ruch i szorstką twarz, ocierającą się o jej po liczek.

- Opętałaś mnie - wyszeptał. - Kiedy umrzesz, będę wolny. Módl się o odpuszczenie grzechów, kiedy będziemy śpiewali tę piękną pieśń, którą zawsze śpiewaliśmy razem. A potem wstaniesz, pocałujesz mnie na do widzenia, wrócisz do miejsca, z którego wzięłaś nóż, przyłożysz go sobie do serca i wbijesz. Wiesz, co będę musiał zrobić w razie twojego nieposłuszeństwa.

Głębokim, łagodnym głosem zaintonował:

- „Niezwykła łaska, jaki słodki dźwięk...”.

Fotel bujał się w przód i w tył, uderzając z głuchym stukiem o podłogę.

- Śpiewaj, Lee - nakazał surowo.

- „Która zbawia łotra jak ja...”.

Jego ręce błądziły po plecach, ramionach i szyi Laurie. Za chwilę wszystko się skończy, obiecywała sobie w myślach. Jej sopran wznosił się, coraz czystszy i słodszy.

- „Byłem zgubiony, lecz się odnalazłem, byłem ślepy, ale teraz wi dzę...”.

Palce Laurie dotykały ostrza noża na wysokości serca.

- Nie mamy na co czekać - przynaglała Leona. - Zrób to teraz.

114

Justin jechał z Nowego Jorku do New Jersey najszybciej, jak mógł, cały czas usiłując przekonać sam siebie, że Laurie jest bezpieczna. Miała jechać prosto do domu i spotkać się tam z Greggiem. Ale dzisiaj rano zauważył w niej coś takiego, co go zmartwiło. Rezygnacja. Nareszcie znalazł właściwe słowo. Ale dlaczego?

Odkąd wsiadł do samochodu, próbował ostrzec Sarę przed Haw -kinsami, ale nie było jej w domu. Co dziesięć minut włączał przycisk „ponowne wybieranie”. '

Właśnie wjechał na drogę numer 17, kiedy wreszcie ktoś podniósł słuchawkę.

To był Gregg. Powiedział, że Sary nie ma i że spodziewa się lada moment Laurie.

- Nie spuszcza jej z oczu! - krzyknął Justin. - To Hawkinsowie ją wtedy porwali. Nie mam co do tego wątpliwości.

- Hawkins. A to skurwiel.

Reakcja Gregga jeszcze silniej uprzytomniła Justinowi, jak niewyobrażalną cierpienie doznała od tych ludzi Laurie. I przez te wszystkie miesiące krążyli wokół niej, terroryzowali ją, usiłowali doprowadzić do szaleństwa. Nacisnął

na gaz. Samochód wyskoczył jak strzała.

Skręcał z drogi numer 17 w Ridgewood Avenue, kiedy zadzwonił telefon. To był Gregg.

- Przyjechał Brendon Moody. Sara przypuszcza, że Laurie jest z Hawkinsem w ich starym domu. Jedziemy.

- Byłem w nim tylko dwa razy. Powiedz, jak mam tam dojechać. Wskazówki Gregga wystarczyły, żeby Justin przypomniał sobie drogę. Wokół stacji, obok drogerii, prosto, w lewo...

Przyhamował, mijając basen. Było tam pełno ludzi, całe rodziny z dziećmi przecinały ulicę, idąc w kierunku pływalni.

Przed oczami Justina pojawiła się wizja delikatnej, bezbronnej Laurie, stojącej w tej chwili twarzą w twarz z monstrum, które porwało ją jako czteroletnią dziewczynkę, ubraną tylko w kostium kąpielowy.

Na podjeździe stał samochód Laurie. Sara wysiadła z samochodu i pędem wpadła na ganek. Kilka razy nacisnęła dzwonek i złapała za klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Kiedy pchnęła je do przodu i wtargnęła na korytarz, usłyszała, jak gdzieś na górze trzasnęły drzwi.

- Laurie! - krzyknęła.

Carla Hawkins schodziła na dół z rozczochranymi włosami, zawiązując powłóczystą szatę. Patrząc nieprzytomnie, -powiedziała:

- Sara, Laurie wpadła tu kilka minut temu z nożem w rękę. Groziła, że się zabije. Bobby usiłuje ją od tego odwieść. Nie można jej te raz przestraszyć.

Lepiej zostań tu ze mną.

Sara odepchnęła ją i wbiegła na górę. Drzwi do pokoju Laurie były zamknięte.

Pobiegła natychmiast w tym kierunku tak szybko, że jej stopy niemal nie dotykały podłogi. Zatrzymała się przed drzwiami. Dobiegał zza nich, wznosząc się i opadając męski głos. Nacisnęła ostrożnie na klamkę.

Laurie stała w rogu pokoju, wpatrując się nieobecny wzrokiem w Bobby'ego Hawkinsa. Trzymała nóż i kierowała go w stronę swoje go serca. Zdążyła się już ugodzić czubkiem ostrza i krew zabarwiła jej bluzkę na czerwono.

Hawkins stał owinięty w sięgającą podłogi białą aksamitną materię. Miał rozwichrzony włosy.

- Musisz zrobić tylko to, czego chce od ciebie Pan - mówił. - Pamiętaj, czego od ciebie oczekuje.

Chce ją zmusić, żeby się zabiła, pomyślała Sara. Laurie znajdowała się w stanie podobnym do transu i najwyraźniej nie zauważyła po jawienia się siostry. Sara była się wykonać gwałtowny ruch w jej kierunku.

- Laurie - przemówiła do niej łagodnie. - Laurie, spójrz na mnie. Po tych słowach ręka Laurie pchnęła ostrze noża o kilka milimetrów głębiej.

- Za wszystkie grzechy musi być kara - mówił Hawkins hipnotycznym tonem.

- Nie wolno ci już więcej grzeszyć.

Sara dojrzała na twarzy Laurie wyraz ostatecznej determinacji.

- Laurie, nie! - załkała. - Laurie, nie! Głosy nie przestawały jazgotać w jej głowie. Lee ryczał: „Zatrzymaj się!”.

Debbie płakała w przerażeniu.

Kate wrzeszczała: „Tchórz! Kretynka!”.

Najgłośniej krzyczała Leona: „Zrób to wreszcie!”

Jeszcze ktoś płakał. To Sara. Sara, zawsze taka silna, troskliwa, zbliżała się teraz do niej z rozpostartymi ramionami. Jej mokra od łez twarz wyrażała błaganie, a usta mówiły:

- Nie opuszczaj mnie. Kocham cię.

Głosy umilkły. Laurie odrzuciła nóż i ruszyła w kierunku siostry.

Nóż leżał na podłodze. Oczy Bica błyszczały, a szata, którą narzuciła na niego Opal, zsuwała mu się już prawie z pleców, kiedy pochylony zaciskał palce na rękojeści noża.

Lee już nigdy nie będzie należała do niego. Skończyła się jego pośluga.

Dobiegły końca wszystkie te lata, kiedy za nią tęsknił i lękał się o to, jak wiele zapamiętała. Opętała go i stała się przyczyną jego upadku. A teraz jej siostra mu ją zabrała. Niech więc zginą obie.

Laurie usłyszała świszający odgłos, prześladowający ją przez wszystkie te lata.

Spojrzała w półmrok i dostrzegła błyski ostrza zataczającego w powietrzu wielkie koła. Nóż trzymała potężna owłosiona ręka.

- Nie - jęknęła. Widząc zbliżające się do Sary ostrze, odepchnęła ją gwałtownie w bok.

Sara straciła równowagę i upadła, uderzając głową o poręcz fotela.

Bic zaczął zbliżać się do Laurie z przerażającym uśmiechem. Stał rannie odmierzając każdy krok.

Skierowane w jej stronę ostrze unie umożliwiało dziewczynie ucieczkę. W końcu nie miała już możliwości najmniejszego ruchu. Przyparta do ściany, patrzyła w twarz swojemu egzekutorowi.

Przy Twin Oaks Road Brendon Moody przycisnął gaz do dechy.

- Obie tu są! - zawołał, widząc samochody stojące na podjeździe. Zatrzymał

wóz, wyskoczył i natychmiast pobiegł w stronę domu. Tuż za nim pędził

Gregg. Dlaczego drzwi frontowe są uchylone?

Wewnątrz panowała nienaturalna cisza.

- Ty sprawdzisz na dole - rzucił. - Ja idę na piętro.

Drzwi na końcu korytarza były otwarte. To pokój Laurie. Zaczął biec. Jakies przecucie kazało mu odbezpieczyć broń. Kiedy zbliżał

się do drzwi, do jego uszu dobiegł czyjś rozpaczliwy jęk. Spojrzał w głąb pokoju i zamarł.

Sara leżała półprzytomna na podłodze, usiłując się podnieść. Z jej czoła spływała strużka krwi.

Carla Hawkins stała nieruchomo pół metra od Sary.

Laurie wciskała się w róg pokoju, zasłaniając rękami gardło. Wpa trywała się w napierającą na nią postać, która dłonią trzymającą nóż zataczała coraz większe kręgi.

W końcu Bic Hawkins uniósł wysoko nóż, spojrział na Laurie i wy szeptał:

- Zegnaj, Lee.

Na tę chwilę czekał Brendon Moody. Jego kula trafiła bezbłędnie w gardło prześladowcy Laurie.

Justin wpadł do domu dokładnie w chwili, kiedy Gregg przemierzał korytarz w kierunku schodów.

- Na górę! - rzucił Gregg.

Kiedy byli na półpiętrze, rozległ się strzał.

Zawsze wiedziała, że tak to będzie. Nóż w jej gardle. Ciepła i lep ka krew, zalewająca twarz i ręce.

Ale raptem nóż znikł. Krew bryzgająca na nią nie była jej krwią. Zamiast niej na podłogę osunął się Bic. I nie jej, lecz jego oczy patrzyły teraz w górę.

Laurie przyglądała się bez ruchu, jak blask tego spojrzenia gaśnie, a powieki opadają na zawsze.

Justin i Gregg wpadli do pokoju w momencie, kiedy Carla Hawkins runęła na kolana przy martwym ciele i zaczęła błagalnie zawodzić:

- Bie, wracaj. Dokonaj cudu. Przecież potrafisz.

Brendon Moody beznamiętnie przyglądał się tej scenie. Wciąż trzymał w dłoni pistolet, ale ręce miał opuszczone.

Sarze udało się wreszcie wstać. Laurie wyciągnęła do niej ręce. Przez chwilę patrzyły na siebie bez słowa. W końcu Laurie powiedziała mocnym głosem:

- Już po wszystkim, Saro. Teraz już naprawdę po wszystkim.

Dwa tygodnie później Sara i Justin stali obok siebie w hali odlotów lotniska Newark i odprowadzali wzrokiem oddalającą się figerkę Laurie. Za chwilę miała odlecieć lotem numer 19 do San Francisco.

- To najlepsze rozwiązanie dla niej: mieć blisko Gregga i skończyć college w San Francisco - odezwał się Justin, dostrzegając, że pożegnalny uśmiech Sary ustąpił miejsca lękowi.

- Wiem. Może tam poza tym grać, ile chce, w golfa i odzyskać do brą formę.

Osiągnie niezależność, ale w pobliżu zawsze będzie Gregg. Tworzą naprawdę wspaniałą parę. Już nie jestem jej potrzebna, w każdym razie nie w taki sposób, jak dotychczas.

Przed zakrętem Laurie odwróciła się na chwilę i posłała im w po wietrze całusa.

To nie ta sama Laurie, pomyślała Sara. Pewna siebie, śmiała i ufna. Nigdy wcześniej nie widziałam jej takiej. Przyłożyła palce do ust i odesłała pocałunek.

Kiedy szczupła postać Laurie znikła na dobre, Sara poczuła, że obejmuje ją ramię Justina.

- Resztę pocałunków zachowaj dla mnie, kocha nie.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)